


◆ SENSACYJNE DEBIUTY ◆

Richard STEINBERG


AMBER

A dark, atmospheric illustration in shades of blue and black. In the foreground, a man in a hooded jacket aims a futuristic, multi-barreled weapon. In the background, a dark tunnel or cavern is lit by several bright spotlights. Silhouettes of several figures are visible in the distance, some standing and some appearing to be in motion. The overall mood is one of suspense and action.

Zniszczył supermocarstwo... Przetrwiał pobyt w piekle...
Czy zdoła przechytryć najlepszych psychiatrów i odzyskać wolność?

Nadczłowiek

Richard
STEINBERG

Nadczłowiek

Przekład JAN KABAT



Tytuł oryginału THE GEMINI MAN

Projekt graficzny okładki KLAUDIUSZ MAJKOWSKI

Redakcja stylistyczna ELŻBIETA BURAKOWSKA

Redakcja techniczna ANNA BONISLAWSKA

Korekta JOANNA CHRISTIANUS

Skład WYDAWNICTWO AMBER

Informacje o nowościach i po/ostalnych książkach Wydawnictwa AMBER oraz możliwość zamówienia możecie Państwo znaleźć na stronie Internetu <http://www.amher.supermedia.pl>

Copyright © 1998 by Richard Steinberg All Rights Reserved.

For the Polish edition © Copyright by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o. 1998

ISBN 83-7169-860-7

WYDAWNICTWO AMBER Sp, z o.o.

00-108 Warszawa,

ul. Zielna 39.

tel. 620 40 13. 620 81 62

Warszawa 1998.

Wydanie 1

Druk: Drukarnia im. Karola Miarki, Mikołów

*Memu najsurowszemu krytykowi i najzagorzalszemu
sprzymierzeńcowi, który bez względu na okoliczności był
zawsze przy mnie - Glorii Uiskin Steinberg - z wdzięcznością
i radością dedykuję tę, a także moje pozostałe książki.*

Część pierwsza

WIĘZIENIA

Rozdział pierwszy

Nad Piatigorskiem nigdy nie widziano tęczy.

Oko rozróżniało tylko trzy barwy - biel śniegu, szarość nieba, czerń serc i dusz.

Spod skorupy księżycowego krajobrazu nie wyrastało choćby pojedyncze drzewo czy jakakolwiek roślina. Żaden jasno upierzony ptak nie pojawił się na niebie ani nie przysiadł choć raz na przewodach energetycznych, które stanowiły jedyne urozmaicenie tej monotonnej pustki. Właściwie nie widywano tu nic żywego prócz szarych cieni, które uchodziły za istoty ludzkie.

Słyszeć było jedynie wiatr, stłumiony płacz, gniewny krzyk, trzask łamanego ramienia, nogi, rozbijanej czaszki czy dźwięk zamrożonego przewodu wysokiego napięcia.

Ten pusty, jałowy, pokryty lodem obszar miał tylko nazwę, stanowił ledwie widoczną kropkę na mapie i niewiele więcej.

Cztery budynki, jedyne w promieniu stu sześćdziesięciu kilometrów, pochylone i prowizorycznie połatane - czekały na silniejsze uderzenie wiatru, który zdmuchnąłby je w zapomnienie, na które tak bardzo zasługiwały.

Jednak jakimś cudem Piatigorsk z roku na rok trwał nadal - pomnik szaleństwa jego twórców.

Helikopter zdążył już trzykrotnie zatoczyć koło nad tym miejscem, kiedy radio ożyło nagle z trzaskiem.

- C-H. C-H. Tu D-B. Melduj, proszę.

Głos był skrzekliwy i niewyraźny.

Pilot włączył mikrofon.

- D-B. D-B. Tu C-H. Proszę o pozwolenie lądowania.

- C-H. C-H. Tu D-B. Podaj swój cel.
- D-B. D-B. Tu C-H. Mam na pokładzie majora Walerego Witenkę, osobistego przedstawiciela generała Miedwierowa. Wiezie dokumenty z Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Moskwie. Misja priorytetowa.

Długa cisza wypełniona trzaskami.

- C-H. C-H. Możesz lądować. Wysyłam ludzi.

Pilot odłożył mikrofon i odwrócił się do pasażera, który siedział za jego plecami.

- Możemy lądować. Kiedy dotkniemy ziemi, proszę trzymać głowę nisko, zasłonić twarz i szybko oddalić się od maszyny. Łopaty wirnika wzbijają w górę kawałki lodu. Ostre odłamki będą latać w powietrzu jak kule. Niech się pan jak najszybciej schowa w budynku!

Witenka zaciągnął pod szyję zamek błyskawiczny kurtki.

- Nie wyłączy pan silnika?

Pilot potrząsnął głową.

- Nie tutaj! Zamarzłby i nie ruszylibyśmy się stąd do wiosny. Przylecimy po pana jutro, jeśli będziemy mieli szczęście.

Witenka skinął głową, naciągnął obszyty sobolowym futrem kaptur i podniesionym kciukiem dał znak, że jest gotowy.

Helikopter przechylił się gwałtownie, schodząc w dół pod ostrym kątem. Wyrównał lot w ostatniej chwili, siadając z drzeniem na zamrzniętej ziemi. Członek załogi odsunął drzwi, a Witenka wyskoczył na zewnątrz.

Zdawało mu się, że wylądował w samym sercu straszliwej zamieci. Płatki śniegu i kawałki lodu fruwały szaleńczo w różne strony, tworząc masywną, białą ścianę, spoza której nic nie było widać. Witenka poczuł na ciele bolesne, mocne uderzenia lodowych igieł.

Zrobił ostrożnie kilka kroków, próbując za wszelką cenę przebić się przez wirującą biel i twarde bryłki lodu. Rozglądając się za obiecany przewodnikiem, postąpił jeszcze jeden krok, gdy coś ciężkiego uderzyło go w tył głowy. Zwalił się na ziemię.

Leżał chwilę, starając się złapać oddech i jakoś wstać. Nagle poczuł, że ktoś ciągnie go za ramię. Z początku instynktownie stawiał opór, ale w końcu zrezygnował. W dwie minuty później burza wywołana przez łopaty transportowego helikoptera ucichła.

Witenka uniósł powoli głowę.

Stało wokół niego trzech ludzi. Dwaj po bokach - ci trzymali go za ramiona. Trzeci przyglądał mu się z góry. Ich twarze zakrywały ciężkie, futrzane kaptury.

Mężczyźni po bokach pomogli mu wstać. Ten trzeci pokazał ręką kierunek w prawo. Witenka ruszył w ślad za nim. Pięć minut później przestąpili próg ciężkich, stalowych drzwi i znaleźli się w budynku. Po chwili drzwi zamknęły się za nimi.

Stojąc w niewielkim, ciemnym przedpokoju, Witenka widział niewiele, ale czuł, jak pozostali się poruszają, i dostrzegał obok siebie niewyraźne kształty.

Po minucie, która ciągnęła się w nieskończoność, otwarto wewnętrzne drzwi.

Przedpokój zalało światło. Mężczyźni weszli do środka. Zdjęli powoli kurtki i powiesili na wieszaku. Dwaj, którzy go ciągnęli za ramiona - widział teraz, że to kapral i szeregowy - zaszalutowali i oddalili się mrocznym korytarzem. Trzeci, sierżant po pięćdziesiątce, przyglądał się Witenca z uwagą.

- Może pan tam powiesić tę swoją kurtkę ostatnie słowo wymówił niemal z pogardą.

Witenka ściągnął drogą kurtkę narciarską, starając się nie zwracać uwagi na ton sierżanta. Jestem major Witenka - zaczął. - Mam dokumenty...

- Nieważne - przerwał mu bez cienia zainteresowania sierżant. - Tędy.

Skierował się w prawo.

Witenka zawahał się, potem ruszył za przewodnikiem. Jak dotychczas, nic nie przebiegało zgodnie z jego oczekiwaniami. A dla tak pedantycznego człowieka jak on było to niezwykle irytujące.

Korytarz oświetlały słabe, pomalowane na pomarańczowo żarówki bez kloszy, które zainstalowano pod sufitem co piętnaście metrów. Podłogę pokrywały wysepki przyćmionego blasku, oddzielone od siebie obszarami mroku. Witenka z trudem dostrzegał liczne drzwi po jednej stronie. Ze znajdujących się za nimi pomieszczeń nie przedostawało się na korytarz nawet najsłabsze światło.

Dotarli wreszcie na koniec korytarza i stanęli pod drzwiami z napisem „Dyrektor do spraw penitencjarnych”.

Witenka przymknął powieki, oślepiiony blaskiem, który zalał korytarz. Mrużąc oczy, wszedł do pokoju.

- Majorze Witenka - niski, muskularny mężczyzna wychodząc zza biurka, zwrócił się do niego z zaskakująco ciepłym uśmiechem. - Witamy w Ośrodku Odosobnienia numer 6210.

Witenka uniósł powieki, ogarniając wzrokiem jasny gabinet i niewielkiego mężczyznę stojącego pośrodku. Stuknął obcasami.

- Major Walery Witenka! Przywiozłem dokumenty z Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrzznego w Moskwie.

Mężczyzna oddał niedbale honory.

- Pułkownik Igor Rujnow, do dyspozycji. - Wskazał skórzany fotel przed biurkiem. - Proszę. - Powrócił na swoje miejsce i usiadł w swobodnej pozie na wielkim, obrotowym krześle. - Przejechał pan kawał drogi, majorze. Czym mogę służyć?

Witenka starał się siedzieć prosto w wygodnym fotelu, ale miękkie poduszki raczej tego nie ułatwiały.

- Pułkowniku, pragnę przekazać panu osobistą pochwałę generała Miedwierowa.

Rujnow wzruszył ramionami.

- Daleko się pan z tym fatygował, majorze.

Lekkim ruchem oparł dłonie na kolanach.

- Generał polecił mi poinformować pana, że pańska służba w tym ośrodku nie uchodzi uwadze. Pragnął, bym przekazał panu podziękowania za dobrze wykonaną robotę.

Rujnow uśmiechał się zagadkowo.

- Dziękuję.

Witenka czuł się nieco zbity z tropu niekłamana obojętnością swego rozmówcy.

- Zapewniam pana, że generał docenia pańskie osiągnięcia. - Przerwał. - I jeśli mogę dodać coś od siebie, przed wyjazdem pozwoliłem sobie przejrzeć dossier dotyczące tego ośrodka. Pańskie starania, by utrzymać tu porządek, budzą najwyższy podziw. Myślę, że czerpie pan z tego ogromną satysfakcję.

Rujnow przyglądał się z uwagą siedzącemu naprzeciw mężczyźnie. Odznaki wskazywały na absolwenta akademii wojskowej ze stażem służby ponad sześć lat, ale nie więcej niż osiem. Baretki medali głównie za zasługi w czasie pokoju, ani jednego za odwagę w walce. Włosy na karku obcięte regulaminowo trzy centymetry nad kołnierzykiem, i trzy centymetry nad uszami. Doskonały twór regulaminu. Mundur, nowy i świeżo odprasowany,

leżał na nim jak ulał.

Krótko mówiąc, major uosabiał wszystko, czego Rujnow nienawidził. Zamożność, usłużność, przemądrzałość, brak doświadczenia.

- Był pan kiedykolwiek w ośrodku takim jak ten, majorze?

- Nie. Ale do moich obowiązków należy zapoznawanie się z cotygodniowymi raportami, posiadam więc wystarczającą wiedzę na ten temat.

Rujnow skinął znużony głową.

- Pozwoli pan, że wyjaśnię pewne szczegóły, które mogły umknąć pańskiej uwadze. - Wskazał na mapę, wiszącą za jego plecami. - Znajdujemy się sto sześćdziesiąt jeden kilometrów od najbliższego osiedla. Sto sześćdziesiąt jeden kilometrów zamieci i wichrów. Temperatura w lecie nigdy nie przekracza dziewięciu stopni Celsjusza. - Przerwał i sięgnął do szuflady biurka po cygara. Poczęstował Witenkę, który potrząsnął przecząco głową. - Utrzymujemy porządek, majorze, ponieważ w tym piekle, jeśli więźniowie mają przeżyć, nie ma innej możliwości. - Zapalił cygaro i wypuścił z ust ciemnoniebieską chmurę dymu. - Oni to rozumieją, podobnie jak strażnicy. Najmniejszy nawet bałagan w tych warunkach jest równoznaczny z samobójstwem.

Zapadło milczenie, które po chwili przerwał Witenka:

- Mhm, panie pułkowniku, przywiozłem dokumenty z...

- ...Moskwy - uśmiechnął się Rujnow. - Już się bałem, że pan zapomniał.

Witenka podał mu kopertę.

Rujnow złamał pieczęć i zaczął czytać.

- Zobaczmy, jakie są obecnie priorytety Moskwy. - Przejrzał dwie pierwsze strony. - Rutyna. - Podniósł wzrok i spojrzął na Witenkę. - Napisano tu, że cieszy się pan pełnym zaufaniem Miedwierowa i całej reszty.

Witenka jeszcze bardziej się wyprostował.

- Brzmi dwuznacznie - stwierdził Rujnow i czytał dalej. Przerwał w połowie trzeciej strony. - Co to są Uzgodnienia Nowtogorskie?

- To traktat podpisany przez prezydentów Jelcyna i Clintona, chyba pod koniec 1995.

- Nie przypominam sobie, żebym coś o tym słyszał. - Pułkownik zawahał się. - Ale trzeba pamiętać, że wiadomości docierają tu z opóźnieniem. - Powrócił do lektury. - Dopiero co się dowiedzieliśmy, że człowiek wylądował na księżycu. - Kontynuował czytanie. Więc co tam ustalono?

- W zamian za gwarancję pożyczek na amerykańskie produkty trwałego użytku, obiecaliśmy dokonać repatriacji wszystkich amerykańskich obywateli przetrzymywanych w tutejszych więzieniach. Ma to się odbyć w trzech etapach.

Rujnow przesunął wargami cygaro, wciąż czytając.

- O kogo chodzi?

- Po pierwsze, o pospolitych przestępców - nielegalnych imigrantów, chuliganów i tak dalej. Po drugie, o tych, którzy nie dopuścili się przestępstw politycznych - włamywaczy, gwałcicieli, handlarzy narkotyków.

- Baba z wozu.

- Odciąży to w znacznym stopniu nasz system penitencjarny.

Rujnow przewrócił następną stronę. Nagle znieruchomiał. Wertował tam i z powrotem dokument, odczytując po kilka razy te same paragrafy.

- Specjalni także? - spytał niskim, stłumionym głosem.

- Uznano, że w trzecim etapie zwolnienia powinny objąć również specjalnych więźniów politycznych - stwierdził obojętnie Witenka, nie zwracając uwagi na ton Rujnowa. - Ich utrzymanie kosztuje najwięcej, a przy nowym ładzie politycznym pobyt tych ludzi w naszych więzieniach niczemu nie służy.

- Czy w tym pańskim nowym ładzie szpiegostwo nie jest już karane? - spytał Rujnow, nie kryjąc zdumienia.

- Wręcz przeciwnie - odparł Witenka. - Zdecydowano, że szpiegostwo będzie karane pobyt w więzieniu nie przekraczającym pięciu lat. Przekażemy Amerykanom tylko tych osobników, którzy byli przetrzymywani dłużej.

Rujnow powrócił do lektury dokumentu.

- Nie wiem, ilu z nich... - przewracając ostatnią stronę, nagle urwał. - Mój Boże!

Witenka nachylił się ku niemu.

- Pułkowniku?

Rujnow zbladł jak ściana. Choć w gabinecie było zimno, na czoło wystąpił mu pot. Wyglądał jak człowiek, który właśnie doznał ataku serca.

- Pułkowniku?

Rujnow podniósł z wolna wzrok na Witenkę.

- Nie wierzę w to! Musiała zajść jakaś pomyłka, przestawienie cyfr, coś w tym rodzaju. - Przerwał, by po chwili rzucić bez tchu: - Nie wierzę w to!

Witenka, na którego twarzy malowało się zdumienie, wyciągnął dłoń i wziął od pułkownika papiery. Starając się nie patrzeć na wyraźnie przestraszonego Rujnowa, porównał ostatnią stronę z informacjami w swoim prywatnym notatniku.

- Przekaze mi pan więźnia numer 90-1368, Sigma- Teta-Alfa, odsiadującego obecnie szósty rok dożywocia. - Przerwał i uniósł wzrok. - Wszystko jest w rozkazie, pułkowniku.

Rujnow zaprzeczył powolnym ruchem głowy.

- Nie bardzo.

- Słucham?

- Ten człowiek... 1368. Naprawdę zamierzacie go uwolnić? - spytał przyciszonym

głosem.

- Spełnia wszelkie warunki uzgodnione w traktacie.
- Nie.

Witenka nigdy nie widział, by ktokolwiek kwestionował rozkazy, i teraz nie miał pojęcia, jak ma się zachować.

- Pan wybaczy, pułkowniku?

Rujnow zerwał się z szybkością, o jaką Witenka nigdy by go nie posądzał, i walnął pięścią w biurko.

- Dobrze pan słyszał, majorze. Nie wezmę odpowiedzialności za uwolnienie tego... - urwał, szukając właściwego słowa. W końcu, zdesperowany, powtórzył: - Nie wezmę na siebie takiej odpowiedzialności.

- Proszę wybaczyć, panie pułkowniku, ale zarówno rozkazy, jakie pan otrzymał, jak i pańskie obowiązki, są jasno określone.

Rujnow pochylił głowę.

- Całkowicie się z panem zgadzam, majorze. Są jasno określone. Na nieszczęście, są również sprzeczne.

- Nie rozumiem, panie pułkowniku?

Na twarzy Witenki malowało się niekłamane wzburzenie.

- Więc pozwoli pan, że mu wyjaśnię. - Pułkownik wziął od zmieszanego majora papiery. - Zanim wykonam te rozkazy, zażądam ich potwierdzenia od samego generała Miedwierowa! Wtedy, i tylko wtedy, będę im posłuszny. - Przerwał, gryząc wściekle cygaro. - 1368 zostanie uwolniony pod warunkiem, że dostanę wyraźne potwierdzenie generała Miedwierowa, i to po oficjalnym proteście z mojej strony. - Przegryzł cygaro, wyjął je z ust i cisnął o ścianę. - Czy pan mnie zrozumiał, majorze?

Witenka nie zrozumiał. Ani trochę. Ale jego rozmówca miał wyższy stopień, poza tym i tak trzeba było czekać do następnego dnia.

- Tak jest, panie pułkowniku! - powiedział, stając na baczność.

Rujnow nacisnął guzik na swoim biurku. W chwilę później pojawił się sierżant.

- Tak?

Rujnow podszedł do niego.

- Połącz mnie przez UKF z generałem Miedwierowem, Aleksy.

- To może być trudne, panie pułkowniku. Aktywność plam na słońcu...

- Gównu mnie to obchodzi! Wykonać polecenie, sierżancie Dniebroński!

Żołnierz dopiero teraz stanął na baczność.

- Tak jest, panie pułkowniku.

Witenka zatrzymał sierżanta gestem dłoni i zwrócił się do Rujnowa.

- Czy mogę tymczasem zobaczyć więźnia, panie pułkowniku? - spytał, jak mu się zdawało, swoim najbardziej ujmującym tonem.

Rujnow odetchnął kilka razy głęboko.

- Dniebroński, dopilnujcie, by zaprowadzono majora na oddział 3.

Pułkownik i sierżant wymienili znaczące spojrzenia.

- Zrób to, Aleksy.

W głosie Rujnowa słychać było znużenie i rezygnację.

Sierżant wzruszył ramionami.

- Tak jest, panie pułkowniku.

Witenka stanął na baczność i zaszalutował. Rujnow przyglądał mu się przez długą chwilę, potem oddał honory. Witenka wykonał zwrot w tył, by opuścić pokój.

- Majorze Witenka?

Witenka popatrzył na pułkownika.

- Amerykanie mają takie powiedzonko: Uważaj na to, czego pragniesz, bo możesz to dostać - powiedział i powrócił za biurko.

Dniebroński czekał na majora, który wyszedł powoli z gabinetu.

- Tędy - machnął ręką niedbale i ruszył ciemnym korytarzem.

Witenka szedł obok.

- Powiedźcie mi coś, sierżancie.

- Słucham.

- Tak między nami, czy z pułkownikiem wszystko w porządku?

Dniebrońki parsknął śmiechem.

- Było wszystko w porządku, dopóki się pan nie zjawił. - Niemal po namyśle dodał: -
Panie majorze.

Szli dalej w milczeniu.

- A tak na marginesie, do jakiego więźnia mam pana zaprowadzić, majorze? - spytał
w końcu sierżant.

-90-1368 Sigma...

Dniebroński zatrzymał się gwałtownie.

- To chyba żart!

Cierpliwość Witenki wyczerpała się. Mógł znieść lekceważące traktowanie ze strony
starszego stopniem oficera, ale odmowa wykonania specjalnego rozkazu przez zwykłego
żołnierza, tego już było za wiele.

- Baczość, sierżancie!

Głos Witenki był dźwięczny i władczy.

Dniebroński stał w miejscu, gapiąc się na Witenkę, jakby ten postradał zmysły.

- Rozkazuję wam stanąć na baczość, żołnierzu! Jeśli nie chcecie być dyscyplinarnie
ukarani, to lepiej...

Zamilkł, słysząc wyraźny trzask bezpiecznika półautomatycznego pistoletu makarowa.
Spuścił wzrok i zobaczył lufę pistoletu, który tamten trzymał niedbale, celując mu w kro-
cze.

- Nie jest pan w Moskwie, majorze - zauważył sierżant. - Tutaj, po ciemnej stronie
księżycy, postępujemy według własnych zasad. A mądry człowiek wie, jak się do nich
dostosować.

Witenka stał nieruchomo niczym głaz. Słyszał już o przypadkach klaustrofobicznego
szaleństwa w takich jednostkach jak ta. Zimno, odosobnienie, napięcie związane z pilno-
waniem najniebezpieczniejszych przestępców - wywoływały stres.

- Czego chcecie, sierżancie? - spytał cicho.

Dniebroński potrząsnął głową, jakby miał do czynienia z niedorozwiniętym dziec-
kiem.

- Rozkazano mi, majorze, zaprowadzić pana na oddział 3. Zrobię to. Ale jeśli chce
pan, żebyśmy poszli do więźnia 1368, to musi mi pan przedstawić jakiś ważniejszy po-

wód niż tylko „rozkazy”.

Witenka, czując nacisk lufy pistoletu na brzuchu, był zmuszony posłuchać sierżanta.

- Mam rozkazy, by przejąć więźnia 1368 i dostarczyć go Amerykanom.
- Bzdura!

Witenka sięgnął ostrożnie do kieszeni, wyciągnął dokumenty i podał je Dniebrońskiemu.

- Ostatnia strona, sierżancie.

Dniebroński szybko przebiegł wzrokiem kartkę. Na jego twarzy pojawiał się z wolna uśmiech.

- Bogu dzięki - mruknął pod nosem. Opuścił kurek pistoletu i schował broń do kabury. Poklepał Witenkę po plecach. - Uszczęśliwi pan paru ludzi, majorze.

Ruszył korytarzem, a w chwilę później podążył za nim bardzo zmieszany Witenka.

Dniebroński otworzył jakieś drzwi.

- Sasza, Michał, Iwan, weźcie broń i chodźcie ze mną.

Trzej mężczyźni spojrzeli znad kart.

- Po co? - spytał jeden z nich.

- Odwiedzimy 1368.

Na obojętnych dotychczas twarzach strażników pojawił się strach. Dniebroński wzruszył ramionami.

- Niewykluczone, że się pożegnamy z tym draniem.

Wstali z niechęcią, nałożyli kurtki, wzięli swoje kałasznikowy i wyszli na korytarz. Jeden zatrzymał się i zawrócił, by po chwili pojawić się znowu z dodatkowymi magazynkami amunicji.

Witenka, widząc niechęć żołnierzy i ich ledwie skrywany lęk, pokręcił głową.

Ruszył za nimi kolejnym ciemnym korytarzem.

- Powiedźcie mi, sierżancie, co tu się u diabła dzieje? - spytał Dniebrońskiego, kiedy się z nim zrównał. - Pułkownik zachowuje się tak, jakby zwolnienie tego człowieka było aktem zdrady, a dla pana to jakby wielkie święto.

Dniebroński uniósł brwi, kierując jednocześnie Witenkę ku schodom prowadzącym w dół.

- Przechodzimy z jednego budynku do drugiego pod ziemią. To prostsze, no i jest o wiele cieplej.

Zeszli po schodach do przejmująco zimnego tunelu, którego ściany i sufit wzmocniono drewnianymi deskami.

- Jeśli go pan zabiera, to musieli coś panu o nim powiedzieć - zauważył Dniebroński.

Witenka potknął się i oparł o ścianę. Żołnierze nie zwracali na niego uwagi.

- To agent amerykańskiego wywiadu, schwytany przez siły Bezpieczeństwa Wewnętrznego sześć i pół roku temu. Dostał dożywocie, a potem zesłano go tutaj.

Wyszli z tunelu i zatrzymali się przy grzejniku u podnóża następnej kondygnacji schodów.

- Typowe - stwierdził Dniebroński. Zdjął rękawice i nie podnosząc wzroku zaczął ogrzewać dłonie. - Widzi pan, majorze, 1368 to nie agent wywiadu - ciągnął. Nagle spojrział Witenkę prosto w oczy. - To sam pieprzony diabeł.

Nalóżył rękawice i ruszył dalej. Witenka podążył tuż za nim.

- Kiedy go tu pierwszy raz przywieziono, znajdował się pod wpływem silnego środka uspokajającego - mówił Dniebroński, wspinając się po schodach. - Rozkazy były proste. Miał być trzymany w odosobnieniu, przy zachowaniu największych środków ostrożności. Mogliśmy go wiązać, karać, ale pod żadnym pozorem nie wolno nam było go zabić. Pierwsze, co zrobił, kiedy odzyskał świadomość, to wykończył sanitariusza, który mu towarzyszył. Zanim go obezwładniono, zdążył jeszcze poważnie zranić trzech strażników.

Sierżant skręcił w lewo. Znajdowali się teraz na drugim piętrze. Po obu stronach dobrze oświetlonego korytarza widać było stalowe drzwi.

- Od tego czasu - ciągnął Dniebroński - zabił jeszcze dwóch strażników, dwóch innych ledwo wyżyło. On sam dwukrotnie uciekał.

- Uciekał?

- Tak. Pierwszy raz znaleźliśmy go po czterech mroźnych dniach i nocach nieprzytomnego na lodzie. Nie powiem panu, jak przeżył. Nie pytam diabła o jego sztuczki.

Witenka dostrzegł dwóch żołnierzy, trzymających wartę przy stalowych drzwiach na samym końcu korytarza.

- A drugi raz? - spytał.

Dniebroński wydawał się teraz poruszony.

- Jakimś cudem pokonał zaśnieżoną równinę i dotarł do osady Kurckiej. - Zamilkł, jakby chciał uciszyć bolesne wspomnienia. - Zanim go w końcu dopadliśmy, wymordował czterosobową rodzinę i rozwalil dwóch miejscowych milicjantów.

Zatrzymali się trzy metry przed strzeżonymi drzwiami.

Witenka był zaskoczony.

- I nigdy go nie sądzono za morderstwa?

Dniebroński odetchnął głęboko.

- 1368 jest zaklasyfikowany jako Sigma-Teta-Alfa. Sprawa polityczna. Gdyby to zależało od pułkownika, już dawno wbiłby mu w serce drewniany kołek. Ale nie mogliśmy go tknąć - rozkazy Moskwy. Trzymać go w zamknięciu i mieć nadzieję, że umrze z przyczyn naturalnych.

Żołnierze ustawili się pod ścianą, mierząc w zamknięte na zasuwę drzwi. Na znak Dniebrońskiego unieśli broń i przycisnęli kolby do ramion.

Sierżant położył dłoń na ciężkiej zasuwie.

- Tu siedzi 1368.

Witenka uniósł dłoń.

- Czy ten człowiek jest pod wpływem środków uspokajających?

Dniebroński potrząsnął przecząco głową.

- Nie starcza nam nawet dla psychopatów, musimy je oszczędzać. - Zamilkł na chwilę. - Poza tym uodpornił się prawie na wszystko, czym tutaj dysponujemy. - Zastukał w drzwi kolbą pistoletu. - Więzień 90-1368! Wstańcie, podejdźcie do ściany naprzeciwko drzwi i klękajcie! Skrzyżować nogi! Ręce na głowie! Jeśli po otwarciu drzwi nie zastaniemy was w takiej pozycji, zaczniemy strzelać!

Witenka wskazał judasza.

- Nie chce pan sprawdzić?

Wydawało się, że strach sierżanta jest zaraźliwy.

- Nie. Znam wartownika, który stracił w ten sposób oko. - Dniebroński zastukał trzykrotnie w drzwi celi. - Otwieramy za dziesięć sekund!

Kiedy stary sierżant odsuwał powoli zasuwę, na jego skronie wystąpił pot. Spojrzał na Witenkę, odbezpieczył broń i pociągnął do siebie ciężkie drzwi. Natychmiast odskoczył do tyłu, i wymierzył w głąb celi.

Witenka odczekał chwilę, a kiedy sierżant skinął nieznacznie głową, ruszył powoli w stronę drzwi.

Kiedy tak stał między uniesionymi lufami a nie znanym zbrodniczym potworem, przypomniało mu się stare afrykańskie powiedzenie, które poznał w czasie pobytu w Angoli: Niedobrze jest być źdźbłem trawy pod nogami walczących słoni.

Zajrzał do celi.

Mężczyzna znajdował się w odpowiedniej pozycji - na kolanach, twarzą do ściany, z rękami na głowie.

Starając się nie zwracać uwagi na smak potu na wargach, Witenka postąpił krok do przodu.

- Więzień 90-1368, jestem major Witenka z Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego - powiedział doskonałą, choć szkolną i z cieniem obcego akcentu, angielszczyzną. - Chcę z wami pomówić.

Jedyną odpowiedzią ze strony mężczyzny w workowatym uniformie więziennym było milczenie.

- Słyszycie mnie? Chcę z wami mówić. - Przerwał, znów nie doczekawszy się odpowiedzi. Po chwili spróbował ponownie. - Będzie to z korzyścią dla was.

- No tak, pewnie - spod ściany dobiegło mruknięcie.

Witenka wyczuwał za plecami strach, tych wszystkich mężczyzn z drżącymi palcami na spuście.

- Więzień 90-1368, podjęto kroki, by was zwolnić i odesłać do Ameryki. - Przerwał, czekając na jakąś reakcję. - W tym celu muszę pomówić z wami i uzyskać potwierdzenie waszej tożsamości.

- No to jazda - odparł mężczyzna bez najmniejszego ruchu, wciąż obrócony twarzą do ściany.

W przerażająco bezbarwnym głosie nie wyczuwało się śladu żadnej emocji.

Ciągle się bojąc, ale też nie chcąc, by uznano go za tchórza, Witenka postąpił krok do przodu.

- Majorze! - Dniebroński powstrzymał go niecierpliwym szeptem. - Jeśli wejdzie pan do środka, nie będę mógł zagwarantować panu bezpieczeństwa!

Witenka wpatrywał się w więźnia.

- Jestem tu po to, by dopilnować waszego zwolnienia. Rozumiecie? - Zaszło mu w gardle. Marzył o szklance dobrze schłodzonej wódki. - Zapewniam was, że to żaden podstęp. Nie mam wobec was złych zamiarów.

- A więc nie musi się pan niczego obawiać, wchodząc tutaj - mężczyzna przekreślił powoli głowę, by popatrzeć przez ramię.

Potem znów odwrócił się do ściany.

Mijały długie sekundy. Witenka zagryzł wargę, jakby się wahał, ale w końcu wszedł do celi.

- Niech się pan nie oddala od drzwi, majorze! - krzyknął z korytarza Dniebroński.

Cela miała rozmiary metr osiemdziesiąt na dwa - ledwie starczało miejsca na przytwierdzonej do ściany pryczę. W rogu stało zakryte wiadro, które pełniło rolę zlewu i ubikacji. Ściany, z których odpadał tynk, były wzmocnione stalowymi, krzyżującymi się, szynami. Istna klatka w grobowcu.

Witenka nie spuszczał wzroku z klęczącego mężczyzny.

- Jak się nazywacie, więzień 90-1368?

- 90-1368 - zabrzmiała bezbarwna odpowiedź.

- Jeśli nie zechcecie współpracować, wasze zwolnienie stanie pod znakiem zapytania.

- Współpraca nie należy do moich mocnych stron - stwierdził spokojnie mężczyzna. -
Ale...

- Tak?

- Byłbym bardziej skłonny do rozmowy, gdybym mógł wstać. - Zamilkł na chwilę. -
Lepiej mi się myśli, kiedy jestem na nogach.

Witenka przygotował się na najgorsze.

- W porządku.

- Majorze!!!

- Sierzancie! Dopóki więzień będzie posłuszny rozkazom, zabraniam wam otwierać
ogień. Zrozumiano!?

Dniebroński nie powiedział nic więcej. Są głupcy, których nie da się uratować przed
nimi samymi, choćby nie wiadomo, jak się starać.

Witenka odwrócił się znów do więźnia.

- Wasze ruchy muszą przez cały czas być powolne i celowe. Zrozumiano?

- Moje ruchy zawsze są celowe, majorze.

Rozsunął z wolna stopy, opuścił ręce, oparł się o podłogę i wstał.

Miał nieco poniżej stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, musiał ważyć około
osiemdziesięciu kilogramów. Gęste kasztanowe włosy były przyprószone siwizną. Twarz
wychudzona, skóra blada, lecz oczy płonęły wewnętrznym ogniem.

Ten żar przyprawił majora niemal o drżenie.

Wydawało się, że więzień widzi wszystko na wylot.

Mając nadzieję, że jego zdenerwowanie nie jest zbyt widoczne, Witenka uśmiechnął się.

- Nasz rząd uznał za celowe okazać wam łaskę. Macie być zwolnieni.

Mężczyzna wpatrywał się w majora bez zmrużenia powiek.

- Jestem wzruszony.

- Nie rozumiecie? Uwalniamy was. Możecie wracać do domu.

- A wszystko, co mam zrobić, to...

Twarz mężczyzny była absolutnie obojętna, jakby nic w świecie go nie obchodziło. W
tym własne życie.

- Nic, zapewniam was. Odpowiedzcie po prostu na kilka prostych pytań.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Żołnierze odskoczyli do tyłu.

- Sierzancie! - krzyknął Witenka. - Nie chcę żadnych incydentów! Zrozumiano?

- Tak jest!

Dniebroński skinął na swoich ludzi, by przyjęli swobodniejszą pozycję. Posłuchali, choć nie do końca.

Witenka podjął przerwany wątek.

- Przepraszam pana. Wróćmy do pytań.

- Wie pan, że ostatni człowiek, który zadawał mi pytania, opuścił to miejsce?

Witenka wyciągnął z kieszeni notatnik.

- Chce pan powiedzieć, że był przybity?

- Jak pan woli.

Witenka spojrział raptownie w tę obojętną twarz i płonące oczy, upuszczając niechcący notes. Nim zdążył zareagować, mężczyzna schylił się, podniósł i podał mu go z ironicznym uśmiechem.

Powoli, wstrzymując przy każdym ruchu oddech, Witenka wyciągnął dłoń i wziął swój notatnik. Otworzył go szybko, gdyż wolał się skoncentrować na zapiskach niż patrzeć na uśmiech, który błąkał się w kącikach ust mężczyzny.

- Jak się pan nazywa?
- Brian Newman.
- Drugie imię?
- Dawid.

Witenka po każdej odpowiedzi odhaczał kolejne pozycje.

- Data i miejsce urodzenia?
- 23 lipca 1956 roku. Los Angeles, Kalifornia.
- Nazwisko panieńskie matki?
- Greenhartz.

Witenka przebiegł wzrokiem kolumnę informacji potwierdzających tożsamość mężczyzny. Nie zamierzał tego przeciągać bardziej, niż było to absolutnie konieczne.

- Na jakiej pozycji grał pan w drużynie futbolowej szkoły średniej?
- Rozgrywający i środkowy obrońca. Dlaczego pan pyta? Szukacie zawodników do drużyny uniwersytetu Patrice'a Lumumby?

Witenka zamknął notatnik i schował go do kieszeni.

- To wystarczy. - Spojrzał na Newmana. - Chce pan, żebym wyjaśnił procedurę poprzedzającą zwolnienie?

Tamten potrząsnął przecząco głową.

- Niekoniecznie. I tak zrobicie, co macie do zrobienia. - Obrócił się w lewo, spoglądając na strażników. - Sądzę, że opowiedzieli już panu o mnie.

Witenka nie był pewien, jak ma odpowiedzieć. Newman wybawił go z kłopotu.

- Stworzyli całą legendę o mnie, wie pan? - Rozmawiając z Witenką, ani na moment nie spuszczał strażników z oka. - Opowiedzieli panu o mojej brawurowej ucieczce do Kurcka? - Roześmiał się beztrząsco. - O tym, jak sterroryzowałem mieszkańców?

- Powiedzieli, że zabił pan rodzinę i kilku milicjantów - wyjaśnił cicho major.

Newman obrócił się w jego stronę. Wydawał się zaskoczony.

- Doprawdy? - pokiwał głową. - Z upływem czasu przybywa coraz więcej szczegółów. Niech mi pan powie, ile to już ofiar mam na koncie?
- Mówili o dziewięciu zabitych.

Na obojętnej dotychczas twarzy po raz pierwszy pojawił jakiś wyraz. Rozbawienie i jednocześnie smutek.

- Dziewięciu - powtórzył matowym głosem. Zdawało się, że chce zgłębić tę liczbę. - Zdumiewające.

Witenka zrobił odruchowo krok w jego stronę.

- Twierdzi pan, że to nieprawda?

Newman spojrzał na niego.

- Czy tak twierdzą? - usiadł na pryczy. - Jeśli mamy jechać jutro, to powinienem wypocząć. - Zastanawiał się przez chwilę. - To będzie jutro, prawda?

- Jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, to tak, zgadza się. - Major odwrócił

się i ruszył w stronę drzwi. - Wróć rano, żeby omówić szczegóły.

Wyszedł z celi.

Dniebroński schował szybko pistolet do kabury i zrobił krok w stronę drzwi, by je zamknąć.

- Sierżancie Dniebroński?

Sierżant znieruchomiał, słysząc dobiegający z celi lodowaty głos. Zajrzał do środka.

Newman uśmiechał się do niego serdecznie. Ale w głosie nie było ciepła.

- Nie powinien pan opowiadać takich dziecinnych historyjek. Wie pan, co się dzieje z małymi chłopcami, którzy zmyślają?

Drżąc, sierżant zatrzaskała drzwi celi i czym prędzej zabezpieczył je zasuwą.

Nazajutrz rano, zaraz po śniadaniu, Witenka został wezwany do gabinetu Rujnowa.

- A więc co pan sądzi o 1368? - spytał pułkownik bez zbędnych wstępów.

Witence przychodziły do głowy różne rzeczy. Myślał, że ludzie odizolowani od cywilizacji szukają sobie kozła ofiarnego, by winić go za swoją sytuację; że najzwyczajsze wydarzenie łatwo rozdmuchać do rozmiarów strasznego kataklizmu; i że rosyjscy żołnierze wciąż są naiwni i przesądni.

- Wydaje się, że jest w niezłej formie - stwierdził.

Rujnow głaskał się po brodzie.

- A więc wciąż zamierza pan zabrać go ze sobą?

- Tak.

Rujnow mileczał przez chwilę.

- Generał Miedwierow zgadza się z panem. Właśnie rozmawiałem z nim przez radio.

- I?

Rujnow uniósł dłonie w geście rezygnacji.

- Nie chce mnie zrozumieć. Pozostaje mi jedynie przedstawić moje obiekcje.

Pułkownik wyglądał tak, jakby odczuwał ból.

- Pułkowniku Rujnow, czy pozwoli pan, że zadam mu osobiste pytanie?

Rujnow skinął głową.

- Jeśli uważa pan, że ten człowiek stanowi zagrożenie, że jest aż tak niebezpieczny...

- Ja nie sądzę, majorze! Ja to wiem!

- W takim razie, panie pułkowniku, z całym szacunkiem, dlaczego tak się pan sprzeciwia jego wyjazdowi? Niech teraz Amerykanie się nim zajmują.

Rujnow wstał i zaczął przemierzać niewielki gabinet.

- Kiedy byłem jeszcze chłopcem, mieszkałem w małej wiosce nad Donem. Pewnego dnia, gdy polowałem ze swoim starszym bratem, natknęliśmy się na psa, który toczył pianę z pyska. Nie widział nas, przeszedł po prostu przez drogę i pobiegł w pole. Mój brat powiedział, że powinniśmy pójść za nim. Zabić go, nim kogoś pogryzie. Ale mnie szkoda było polowania. Powiedziałem, że pies należy do kogoś innego, więc to nie nasza sprawa. Następnego dnia pies zaatakował i zabił małe dziecko. - Pułkownik przystanął i obrócił się na pięcie. - Obserwuję więźnia numer 1368 od ponad sześciu lat. Porównanie z wściekłym psem jest, moim zdaniem, dość łagodne. To zimny, wyrachowany morderca.

Tutaj sprawujemy nad nim przynajmniej jakąś kontrolę. Wypuścić takiego człowieka, by żył pośród niczego nieświadomych ludzi, to ostatnia rzecz, jaką bym zrobił.

Witenka wstał.

- Pańskie porównanie, panie pułkowniku, nie jest zbyt trafne. Jeśli przyjąć, że Newman jest zabójcą, to należy też pamiętać, że zabijał z patriotycznego obowiązku! Najpierw podczas misji, potem, kiedy próbował uciec. Nie ma powodu przypuszczać, że mógłby stanowić jakiegokolwiek zagrożenie dla swoich rodaków. Jeśli oczywiście założyć, że jest naprawdę zabójcą.

- Ma pan wątpliwości?

- Powiedzmy, pytania.

Rujnow stanął za biurkiem.

- Ja nie mam. - Wyciągnął z szuflady jakieś papiery i podpisał je szybko. - Na szczęście to nie my podejmujemy decyzję. - Wręczył dokumenty Witenke. - Modłę się, żeby miał pan rację. Wydam rozkazy, by go przygotowano.

Kilka godzin później Witenka patrzył, jak oddział więźniów oczyszcza lądowisko dla helikopterów ze śniegu i lodu. Przyłączył się do niego Rujnow.

- Właśnie dzwonili. Sprowadzają go na dół.

- To dobrze - skinął głową Witenka. - Helikopter przyleci lada moment.

Usłyszeli brzęk metalu.

Newman, otoczony przez pięciu strażników, stanął w drzwiach głównego budynku.

Jego kurtkę ścisnął w pasie gruby, skórzany pas. Przyczepiono do niego pięć łańcuchów. Cztery łączyły się z obręczami na kostkach nóg i nadgarstkach. Piąty był przymocowany do skórzanej obroży na szyi, przez co więzień musiał iść cały czas pochylony. Na nogi i dłonie założono mu dodatkowo wąskie kajdany.

To byłoby takie proste - pomyślał Rujnow, patrząc na demona, który nawiedzał go w snach. - Takie proste.

Kiedy więzień przechodził obok, powłócząc nogami, zastanawiał się, czy go nie pochnąć. Najłżejsze dotknięcie przewróciłoby go w głęboki śnieg. Leżąc bezwładnie, skrępowany łańcuchami... Złamany kark jako skutek wyjątkowo nieszczęśliwego wypadku. Rujnow mógłby to bez trudu wytłumaczyć zarówno Moskwie, jak i Amerykanom.

I swojemu Bogu.

Ledwie minawszy milczącego pułkownika, Newman zatrzymał się. Spojrzał na ni-

skiego, zaprawionego w walce eks-komandosa, a potem się uśmiechnął.

- Nigdy nie będziesz miał lepszej szansy, Igor - powiedział z ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

Rujnow przez chwilę wpatrywał się w płonące, wyzywające, szydercze oczy, po czym wolno opuścił rękę, Kolba pistoletu automatycznego wśliznęła się w jego dłoń.

W tym momencie pojawił się helikopter. Z włączonymi silnikami dotknął ziemi.

Newman parsknął śmiechem.

Rujnow patrzył, jak trzech uzbrojonych żołnierzy wyskakuje z helikoptera, by pomóc Witence i strażnikom umieścić Newmana w tylnej części maszyny. Witenka sprawdził, czy więzień jest bezpieczny, i wrócił do pułkownika.

Rujnow krzyczał coś w ucho młodszego oficera, który właśnie nadbiegł.

- Do widzenia, pułkowniku. Chciałem w imieniu generała Miedwierowa podziękować panu za współpracę.

Rujnow był na twarzy biały jak papier.

- Dniebroński nie żyje - powiedział wstrząśnięty.

- Co!?

- Właśnie znaleziono u podnóża schodów jego ciało.

Witence zakręciło się w głowie.

- Pośliznął się! Schody były oblodzone! Ja sam omal nie...

Rujnow nie słuchał, wpatrując się w Newmana, który siedział w helikopterze.

- Zabierzcie tego drania - mruknął. - Zabierzcie go daleko stąd. - Ruszył w stronę budynku. - Nim z mojego pododdziału nie zostanie nikt żywy.

Witence patrzył w ślad za starszym człowiekiem, potem odwrócił się powoli w stronę helikoptera.

Newman, na wpół wychylony z maszyny, wzruszył ramionami.

Fala zimna, która przepłynęła przez ciało młodego oficera z Moskwy, nie miała nic wspólnego z narastającą burzą.

Rozdział drugi

Nocne powietrze wypełniały ciche dźwięki jazzu.

Jego rytmy i subtelne aranżacje napływały przez niewidzialne głośniki do salonu, gdzie goście krążyli od grupki do grupki, na dziedziniec, gdzie pary kołysały się w tańcu albo stały przy obfitym bufecie, wreszcie do ogrodu z basenem, gdzie usadowieni w wygodnych fotelach ludzie rozmawiali przyciszonymi głosami pośród blasku pochodni, obserwując unoszące się na wodzie lampiony.

Z drzew w pobliskim lesie zwisały się kolorowe światełka, kusząc co bardziej romantyczne pary, które udawały się na miłosne przechadzki po wiejskiej okolicy albo całowały bez tchu pod wspaniałym baldachimem gwiazd, zagładających przez świeżo zazielenione gałęzie.

Pomimo romantycznej scenerii, muzyki i kojącej atmosfery tego wieczoru Patrycja Nellwyn nie potrafiła się cieszyć. Choć nigdy by się do tego nie przyznała, zwłaszcza przed sobą, czuła się nieswojo jako jedyna na przyjęciu kobieta poniżej sześćdziesiątki, której nie towarzyszył mężczyzna.

Nie lubiła przychodzić na takie imprezy sama.

Nie planowała tego. Nie chciała. Ale obecność była obowiązkowa, a popołudniowy telefon od jej aktualnego partnera tylko przyspieszył podjęcie tej decyzji.

Prawdę mówiąc, nie tylko tej.

A Patrycja nienawidziła podejmowania osobistych decyzji.

W wieku trzydziestu siedmiu lat mogła już spoglądać na pierwszą połowę swojego życia z pewną satysfakcją. Choć ustawiła sobie poprzeczką bardzo wysoko, osiągnęła zamierzone cele szybciej, niż jej się kiedykolwiek śniło.

Ukończyła zdominowany przez mężczyzn uniwersytet z doskonałym wynikiem jako

pierwsza na wydziale medycznym Harvardu. Przed trzydziestką podjęła praktykę z certyfikatem towarzystwa psychiatrycznego.

W ciągu siedmiu lat opublikowała w prestiżowych pismach medycznych dwie poważne prace na temat zaburzeń osobowościowych. Zostały określone jako „pierwszy krok do przełomu” i zyskały aplauz środowiska, które wciąż traktowało lekarzy psychiatrów płci żeńskiej jak pielęgniarki.

Życie zawodowe dawało jej sporą satysfakcję, a uwieńczeniem kariery - jak dotąd - była praca w Instytucie Volkera, jednym z najlepszych w świecie ośrodków tego typu.

Jednak pod względem osobistym jej życie nie wydawało się już takie udane.

Była przemęczona, pracowała często po dwadzieścia godzin na dobę, zapominając, że gdzieś poza nauką istnieje zwykły świat czy kochanek. Nigdy nie radziła sobie dobrze w sprawach męsko-damskich, które dla innych kobiet nie stanowiły żadnego problemu. Nie wiedziała, jak flirtować - nigdy nie miała czasu, by się tego nauczyć. Brakowało jej cierpliwości do miłosnych gier, kompromisów czy poświęceń, jakich wymagało nawiązanie i utrzymanie związku.

Jej romanse, a i te zdarzały się coraz rzadziej, były krótkotrwałymi przygodami, nieodmiennie kończącymi się gniewnym szeptem w ciemności i trzaśnięciem drzwi.

Wróciła myślami do przyjęcia.

Obecność na cocktail party, wydawanym co kwartał przez szefa instytutu w jego domu, była okazją do nawiązywania stosunków, podbudowania swojej pozycji i klasycznego lizusostwa. Po sali krążyli mężowie z żonami, a młodszy pracownicy, którzy nie wstąpili jeszcze w związki małżeńskie (nikomu po prostu nie mieściło się w głowie, by zostać starszym pracownikiem, nie założwszy wcześniej rodziny), starali się jak zwykle zaprezentować swych partnerów w jak najlepszym świetle, tak by nie tylko przyczynili im samym chwały, ale również podbudowywali obraz instytutu i jego personelu.

Patrycja, z charakterystyczną dla siebie pedanterią, spędzała całe dni na przygotowaniach do tego wieczoru. Wszystko zaplanowała. Odpowiednia, klasycznie skromna sukienka, odpowiednie tematy do rozmów (szybko dokonała przeglądu upodobań i uprzedzeń ważniejszych pracowników), i co najważniejsze, odpowiednia asysta.

Choć jej związek kulał już od tygodni, błagała swojego aktualnego kochanka, attaché marynarki wojennej, by jej towarzyszył.

Było to doskonale posunięcie - dopóki nie zadzwonił tego popołudnia.

Teraz, wciąż czując smak goryczy i gniewu, jakim wybuchła, kiedy jej odmówił, stała z boku i rozglądała się wokół.

Do diabła z nimi wszystkimi, pomyślała sobie, wybierając się na przyjęcie. W ataku furii zrzuciła tradycyjną na takie okazje suknię i założyła obcisłą czerwoną z cekinami i głębokim rozcięciem na plecach.

Wiedziała, że będą gadać. Cholera, już udawała, że nie słyszy tych szeptów: „Dlaczego

go taka piękna dziewczyna przychodzi sama?”. Ale i tak będą gadali. Więc czemu by nie dać im do tego powodu?

Kiwała grzecznie głową, widząc zgorszony wzrok starszych pracowników instytutu, by po chwili cieszyć się w duszy z ich bardziej skrywanych i pożądlivych spojrzeń.

Uśmiechała się słodko do zmartwionych żon, które wczepiały się w swoich mężów, kiedy akurat przechodzili obok witając ją serdecznie.

Przez cały wieczór raczyła się jednym drinkiem. Mogła pozwolić sobie na lekceważenie kolegów, ale musiała się pilnować i przestrzegać pewnych zasad. Patrzyła na zegarek, którego wskazówki poruszały się wolno, jakby zanurzone w smole.

Był to plan awaryjny. Robić dobrą minę do złej gry. Pokazać się na przyjęciu, chociażby w niezwykłym stroju, podziękować szefowi i jego żonie za „wspaniałe chwile”,

a potem urwać się szybko do któregoś z nocnych klubów Monachium.

Miała nadzieję, że kilka godzin rozpuszty z przypadkowym znajomym, ucieczka od codziennej rutyny, przywróci jej energię, poprawią nastrój i pozwolą ujrzeć świat w korzystniejszym świetle.

- No, no - usłyszała za plecami głęboki męski głos. - Któż to, jeśli nie koleżanka Patty w sukience dla dużych dziewczynek?

Odwróciła się gniewnie, ale gdy tylko ujrzała mówiącego, wybuchnęła śmiechem.

- Wzięłam kąpiel, i umyłam sobie włosy - kokieteryjnie przekrzywiła głowę.

Mężczyzna przytaknął z aprobatą.

- Jedna uwaga. Rozcięcie na plecach mogłoby być mniejsze.

- Nie pochwalasz?

Uśmiechnął się.

- Jestem naukowcem. Akceptuję nowe idee.

Zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Nie wiedziałam, że już wróciłeś, Jack - powiedziała. Dokończyła drinka i wzięła od przechodzącego kelnera dwa następne.

Doktor Jack Clemente - wiek sześćdziesiąt lat, osiemdziesiąt kilo wagi, sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, szef pracowni badań behawioralnych w instytucie - wziął od niej szklaneczkę.

- Przylecieliśmy późnym popołudniem.

- Jak Jenny?

Uśmiechnął się.

- Świetnie. - Machnął ręką w stronę patio, wskazując korpulentną kobietę, która przypuściła atak na bufet. - Wysłała mnie, żebym ci dotrzymał towarzystwa, kiedy będzie się pożywiać.

Patrycja roześmiała się bez humoru, obejmując go ramieniem.

- Jak się domyśliłeś, że przyszłam sama?

- Jestem zdolnym obserwatorem - stwierdził żartobliwie zrozumiiałym tonem. - Widzę rzeczy, których zwykli śmiertelnicy nie dostrzegają! - Zamilkł na chwilę. - Koleżanka Patty jest ubrana jak młoda dziewczyna. Najwyraźniej chce się rzucać w oczy. Wybiera krój i kolor sukienki, a nawet odpowiednie miejsce na przyjęciu, by osiągnąć maksimum efektu, bo doskonale wie, że żaden z tych drani o ponurych twarzach nie lubi, gdy kto-

kolwiek robi wrażenie. Nie mówiąc już o ich „żeńskich trutniach”. - Przerwał mu gwałtowny atak kaszlu. Zasłonił usta chusteczką, by po chwili ciągnąć wyraźnie słabszym głosem: - Konkluzja: koleżanka Patty urwała się z uwięzi, jest na łowach. Nasuwa się końcowe pytanie. - Milczał przez chwilę. Potem rzucił cicho i ze współczuciem: - Kto podjął decyzję, on czy ty?

- On.

- Ostrzegałem cię przed dyplomatami.

Nachyliła się i pocałowała go w policzek.

- Muszę się zadowalać namiastkami, dopóki nie nadejdzie dzień, gdy zgodzisz się uciec ze mną.

- A co z Jenny?

- Zostaw mi tylko karty kredytowe i książeczki bankowe, kochanie - wtrąciła Jenny, podchodząc do nich. - Resztą może zabrać.

Obie kobiety uściskały się serdecznie.

- Jak było w Waszyngtonie?

Jenny wzruszyła ramionami.

- Cały czas siedziałam w Georgetown albo łąziłam po sklepach.

Patrycja spojrzała na Jacka, który ocierał krople krwi z kącika ust. Udawała, że tego nie widzi.

- Myślałam, że byliście na wakacjach.

- Ja też tak myślałam - odparła Jenny z ledwie wyczuwalną goryczą.

Jack przecierał okulary o klapę marynarki.

- Coś zaszło.

Jack Clemente nigdy nie ograniczał się do kilku słów, kiedy można było gadać długo, i nigdy nie odpowiadał wprost na pytanie. Zawsze udzielał złośliwej riposty albo dawał upust sarkazmowi. Stwierdzenie „Coś zaszło” było dla niego tak nietypowe, że Patrycja nadstawiła uszu.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, a potem zwróciła się do Jenny.

- No dobra - zapytała bez ogródek. - Co się stało?

- Jesteśmy tam ledwie od trzech godzin - zaczęła od razu Jenny. - Właśnie się rozpakowujemy, kiedy do Jacka dzwoni ktoś z Pentagonu. Jakiś cholerny współpracownik współpracownika zastępcy sekretarza. Wiem tylko tyle, że jestem sama i muszę łązić po sklepach. - Przerwała, obdarzając męża nieprzychylnym spojrzeniem. - Bo Jack spędza każdy dzień na jakichś idiotycznych spotkaniach.

Patrycja była naprawdę zaintrygowana.

- No, gadaj, stary kumplu - szturchnęła łokciem Jacka. - O co chodzi?

Jack uśmiechnął się nieznacznie, spojrział poirytowany na żonę, a potem zwrócił się do Patrycji.

- Wiesz, jak to wygląda, Party. Połowa dotacji, z których się utrzymujemy, pochodzi od rządu. Ktoś ma jakiś idiotyczny pomysł, więc dzwonią do instytutu, a instytut do mnie. Nie ma nic gorszego, niż być niezastąpionym.

- Nie bądź taki pewien - wtrąciła jego żona, podając mu ukradkiem czystą chusteczkę.

Patrycja zauważyła to, ale nie zareagowała. Wszyscy wiedzieli, że Jack ma raka. Nigdy jednak o tym nie mówił, więc koledzy szanowali jego decyzję i również milczeli.

W tej chwili Patrycję bardziej intrygował ton jego głosu. Sugerował coś ważnego, nowe wyzwania, coś bardzo szczególnego, a ona akurat czegoś takiego w swym życiu potrzebowała. Jeśli nie nowego związku z mężczyzną, to chociażby pracy.

Jack udawał, że nie dostrzega jej spojrzenia. Przyglądał się gościom, popijając drinka, ale w końcu dał za wygraną i wrócił do tematu.

- Dostrzegam w twoich oczach niepohamowaną ciekawość. W porządku. Ale niech to pozostanie między nami, zgoda?

- Oczywiście.

- Poślę cię na tortury, jeśli kiedykolwiek...

- Gadaj!

Nachylił się ku niej, zerkając na boki.

- Szykuje się coś wyjątkowego - stwierdził cicho konspiracyjnym tonem. - Nikt nie chce mówić o tym wprost, ale to coś bardzo ważnego dla departamentu obrony. Nieograniczone fundusze. Nie wspominając o najściślejszej tajemnicy. Zwalają nam to na głowę i żądają szybkich efektów.

Spojrzał na młodszą koleżankę. Stała nieruchomo z szeroko otwartymi oczami, chłonąc każde jego słowo.

Po chwili milczenia znów zaczęła go naciskać.

- No dalej! W czym rzecz? - spytała pełnym podniecenia szeptem.

Jack wyglądał na zakłopotanego.

- Naprawdę powiedziałem ci więcej, niż powinienem.

- Jaka dziedzina? - nie ustępowała.

- No...nigdy nie umiałem odmawiać pięknym kobietom.

- Nigdy nie miałeś okazji - wtrąciła między jednym a drugim kęsem żona.

Obdarzył ją nieprzychylnym spojrzeniem.

- Pamiętasz pracę Eisenricha na temat skutków długotrwałego stresu u osobników typu A3?

Patrycja przytaknęła gorliwie.

- Nieprawidłowe reakcje psychoruchowe. Labilność. Tendencje atawistyczne. I tak dalej - wyliczyła, niczym wyuczoną lekcję.

Jack skinął głową.

- Projekt dotyczy właśnie tych zagadnień. - Przerwał, jakby czuł, że powiedział już za dużo. - To znaczy, tak z grubsza.

- Jezu - wyszeptwała. Wydawała się zamyślona, nieobecna. - Jak często można obserwować te objawy? Które z nich wystąpiły u badanych? U ilu? U pięciu? Dziesięciu? Piętnastu?

- Wszystkie u jednego.

Dostrzegła budzącą dreszcz podniecenia szansę.

- U jednego - powtórzyła rozmarzonym głosem, wpatrzona w pobliskie drzewa. - Wszystkie u jednego. - Potrząsnęła ramieniem szefa. - To moja dziedzina, Jack! Wiesz o tym! Musisz mnie do tego dopuścić! Czego to dotyczy? Jak mogę się do tego dostać?

Jack uniósł dłoń.

- To nie zależy ode mnie. Decyzje personalne będzie podejmował szef instytutu w porozumieniu z człowiekiem nadzorującym projekt z ramienia departamentu obrony.

Patrycja zastanawiała się gorączkowo. Nie zauważyła nawet przechodzącej obok młodej pary - oboje byli pracownikami instytutu.

- Dobry wieczór, pani Clemente - przywitał się mężczyzna. - Dobry wieczór, Jack. Wspaniała sukienka, Patty.

Patrycja spojrzała raptem na siebie i wydała cichy okrzyk rozpaczy.

- Szef decyduje? Cholera! - Potrząsnęła głową. - Akurat dziś wieczór musiałam sobie pofolgować, iść na żywioł! - Spojrzała na Jacka. - Co mam robić?

Jack roześmiał się.

- Mając na sobie taką sukienkę, możesz się z nim przespać. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Jenny potrząsnęła głową.

- Obawiam się, że nie jest w jego typie - zauważyła. - Nie odpowiada też jego skłonnościom.

Patrycja rozglądała się nerwowo, starając się coś wymyślić.

- Muszę się w to włączyć... muszę... - nagle urwała i spojrzała na Jacka. - Człowiek z Pentagonu.

- Co? - spytał Jack między jednym a drugim łykiem.

- Powiedziałeś, że szef musi skonsultować swoją decyzję z kimś z departamentu obrony. Kto to jest? Jak mogę do niego dotrzeć?

Jack powiódł wzrokiem po dziedzińcu, aż w końcu dostrzegł osobę, której szukał. Wskazał ją ruchem głowy.

- Wystarczy, że przejdziesz parę metrów w tamtym kierunku.

Patrycja obróciła się na pięcie, przyglądając się każdemu, kto stał w pobliżu.

- Który to?

- Ten ważniak przy barze.

- Ciemnoniebieski garnitur, czerwony krawat - wtrąciła Jenny od niechcenia. - Przyleciał z nami.

Nie odrywając od mężczyzny oczu, Patrycja wzięła od starszej kobiety talerz.

- Jesteś chyba głodna, Jenny - stwierdziła, nawet na nianie patrząc. - Przyniosę ci coś.

Ruszyła w głąb dziedzińca.

Jenny odprowadziła ją wzrokiem.

- Nie jestem z siebie dumna, Jack.

Wzruszył ramionami.

- Rozkaz to rozkaz.

Spojrzała na niego.

- Czy to naprawdę konieczne?

Jack patrzył na Patrycję, która zbliżała się do mężczyzny przy barze.

- Wygląda na to, że jest o tym przekonany.

Patrycja, podchodząc do suto zastawionego stołu, szybko zapanowała nad emocjami i

przyjrzała się uważnie mężczyźnie w niebieskim garniturze.

Po pięćdziesiątce, wysoki - sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, może więcej. Był potężnie zbudowany, ramiona rozpychały szwy marynarki. Opalona na ciemno, mocno pobrużdżona twarz, podkrążone, choć bystre oczy. Wyprostowany, proporcjonalnie umięśniony, nosił skórzane, sznurowane buty średniego rozmiaru, nieprawdopodobnie wręcz wypolerowane.

Od razu uświadomiła sobie, że to zawodowy wojskowy, a nie jakiś cywilny pracownik Pentagonu.

Patrzył z niesmakiem na talerz, który mu właśnie podał kelner.

Uśmiechnęła się i podeszła do niego, niby to przypadkiem.

- Ten, kto zidentyfikuje główne danie, ma dostać na końcu nagrodę.

Rzucił na nią przelotne spojrzenie, potem znów podłubał widelcem w talerzu.

- Nie mam pojęcia - stwierdził zakłopotany. - I wolę nie pytać.

Nie mogła sobie wybaczyć, że nie spytała Jacka o imię mężczyzny.

- Specjalnością doktora Madela jest jakieś niemieckie danie z piętnastego wieku.

Może wydawać się trochę dziwne.

Nażożyła sobie sałatki.

- Kto to jest doktor Madei? - spytał, odstawiając talerzyk.

- Szeff cieplarni.

- To znaczy ogrodnik? - upewnił się, nie bardzo rozumiejąc.

Wybuchnęła śmiechem. Miała nadzieję, że jest pociągająca.

- Ależ skąd. Tak tylko mówimy. Cieplarnia to oddział dla wegetatywnych i katatonicznych osobników. W tym roku przygotowanie bufetu przypadło jej szefowi.

- Jadali w średniowieczu burgery? - zainteresował się. - A tak na marginesie, nazywam się Alex Beck.

- Patrycja Nellwyn.

Cholera! Powinnam powiedzieć „Patty” - pomyślała.

Uścisnęli sobie ręce. Wyczuła twarde zgrubienie wzdłuż prawej dłoni.

- Nie przypominam sobie, żebym pana tu wcześniej widziała - stwierdziła po prostu.

- Przyjechałem dopiero dzisiaj. - Spojrzał na pozostałych gości. - Prawdę mówiąc, poza doktorem Tabbartem i doktorem Clemente jest pani jedyną osobą, jaką poznałem.

Ma pani coś wspólnego z instytutem?

Wreszcie coś, co można wykorzystać.

- Pracuję w centrum badań behawioralnych, pod kierownictwem Jacka Clemente - wyjaśniła czym prędzej.

Okazał nagłe zainteresowanie.

- Naprawdę?

- Od czterech lat.

Podeszli do stolika.

- Może będę współpracował z paroma ludźmi od was - podtrzymał rozmowę przywołując kelnera. Patrycji podał kieliszek szampana, a dla siebie wziął piwo. - Dlatego tu jestem.

- No cóż, jeśli interesują pana badania behawioralne, nie mógł pan trafić lepiej. - Ugryzła się w język, ponieważ uświadomiła sobie, że mówi jak specjalistka od public

relations. - Chciałam powiedzieć, że w naszym centrum pracują najlepsze umysły w tej dziedzinie.

Beck uśmiechnął się, dostrzegając jej zakłopotanie.

- Jest pani jednym z nich?

Próbowała sobie przypomnieć, jak mówić z pokorą w głosie.

- Lubię tak myśleć - stwierdziła skromnie.

- Niech pani da spokój - nalegał. - Stać panią na szczerłość.

Do diabła z pokorą.

- Gdybym nie była dobra, nie rozmawiałabym teraz z panem - powiedziała twardo.

Przez dłuższą chwilę sączył piwo, a potem obdarzył ją przenikliwym spojrzeniem, jakiego widywała tylko u psychopatów.

Ale ten mężczyzna nie wyglądał na psychopatę.

- Co pani wie o stłumieniu zachowań instynktownych?

W jego spojrzeniu było coś, co ją niepokoiło, postanowiła więc się wycofać - tylko trochę, dopóki nie rozgryzie tego człowieka.

- Nieco dziwne pytanie jak na garden party.

Patrzył na nią nieustępliwie.

- Powiedziała pani, że jest jedną z najlepszych. Proszę to udowodnić. - Zamilkł, a na jego twarzy pojawił się cień żalu. - Przepraszam. Czasem mnie ponosi. - Znów łyknął piwa. - To trudne pytanie dla pielęgniarki.

Wszelkie wątpliwości, wahania i ambicje nagle gdzieś się ulotniły.

- Dla lekarza - poprawiła cichym, gniewnym głosem.

- Słucham?

- Doktorat i prawie dziesięć lat doświadczeń klinicznych z najgorszymi psychopatami, o jakich ani panu, ani nikomu innemu, nawet się nie śniło. - Była wściekła na Becka, na attaché marynarki, na mizoginiczne do szpiku kości środowisko medyczne, na mężczyzn w ogóle. - To takie miłe z pańskiej strony, ze strony każdego mężczyzny, z góry zakładać, że każda kobieta pracująca w służbie zdrowia to pielęgniarka! Ja, patrząc na pana, nie zakładam automatycznie, że zajmuje się pan kopaniem rowów!

Beck, ku jej zaskoczeniu, uśmiechnął się.

- Dostałem nauczkę.

Rozbroił ją.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Po prostu w niewłaściwym momencie poruszył pan jedną z moich czułych strun. - Milczała przez chwilę. - Jak brzmiało pańskie pytanie?

- Czy jest możliwe stłumienie zachowań instynktownych?

- Pewnie, że tak. Pawłowi do n-tej potęgi. Każdego można uwarunkować tak, że zrobi wszystko.

- A instynkt przetrwania?

- Dlaczego nie? Na tej samej zasadzie. Może trochę trudniej, ale idea pozostaje nie zmieniona.

Z twarzy Becka zniknął uśmiech.

- Jak?

Patrycja znów się skupiła. Miała okazję zrobić na swoim rozmówcy wrażenie.

- Dwojako. Po pierwsze, modyfikacja zachowań poprzez bodźce pozytywne i nega-

tywne. Jak dotykanie zapalanej żarówki. Instynkt przetrwania i doświadczenie powstrzymuje nas od tego, zgadza się?

- Zgadza się.

- A więc ilekroć dany osobnik nie chce dotknąć rozgrzanej żarówki, zadaje mu pan ból gorszy od oparzenia. A jak już dotknie, nagradza go pan niezwykle przyjemnym bodźcem. Po jakimś czasie, jeśli bodziec pozytywny jest dostatecznie silny, osobnik będzie szukał wszędzie zapalonych żarówek, byle dostać nagrodę.

- I skończy ze zwęglonymi dłońmi.

Wzruszyła ramionami.

- Niefortunny efekt uboczny.

Beck wydawał się głęboko zamyślony.

- A ten drugi sposób?

- Wywołana chemicznie, posthipnotyczna sugestia. Wystarczy wprowadzić jakąś myśl dostatecznie głęboko w podświadomość człowieka, a z radością wsadzi sobie lufę pistoletu w usta i pociągnie za spust, na przykład, żeby oczyścić sobie gardło

- W obu przypadkach, pani doktor - ostatnie słowo wymówił z naciskiem - mamy do czynienia z tym samym problemem. Otrzymujemy zasadniczo zdeformowanego, słabego i wrażliwego osobnika.

W tonie jego głosu wyczuła jakąś dziwną nutę.

- W jakim sensie?

Zupełnie zapomniała o pierwotnym celu tej rozmowy.

Beck skierował wzrok ku drzewom. Kiedy mówił, słowa zdawały się dobiegać gdzieś z daleka.

- Weźmy ogrodowego ślimaka...

- Ślimaka?

- Jako przykład. Ślimak potrafi wyczuć sól z odległości ponad stu metrów. To w naszym przypadku kilometry. Kiedy tylko ją wykryje, od razu zaczyna zmieniać kurs, żeby ominąć niebezpieczeństwo, ponieważ rozumie, że jeśli jakakolwiek część jego ciała zetknie się nawet z niewielką ilością soli, to w rezultacie ulegnie rozpuszczeniu.

Patrycja odchyliła się na krzesło, zastanawiając się nad jego słowami.

- Do czego pan zmierza? - spytała, choć już wiedziała.

Beck wciąż wpatrywał się w drzewa.

- Niech pani usunie instynkt przetrwania, a ślimak wypełźnie na sól i rozpuści się, nie zważając na ból.

- A więc teoretycznie - zauważyła Patrycja, jakby mówiąc do siebie - musiałby pan uwarunkować albo nauczyć ślimaka, by nadal unikał soli, a jednocześnie oduczyć go innych zachowań, wynikających z instynktu przetrwania.

- Czy to wykonalne?

- W przypadku ślimaka? Pewnie. - Zastanawiała się długą chwilę. - Tak sądzę.

Beck spojrzał na nią.

- Pozwoli pani, że rozwinę ten problem.

- Okej.

Była zaskoczona, dostrzegając w kąciku jego oka łzę.

- Zachowania związane z przetrwaniem to w dziewięćdziesięciu pięciu procentach unikanie niebezpieczeństw, zgadza się?

- Zgadza się.

- A gdyby miała pani do czynienia z osobnikiem, u którego instynkt samozachowawczy zamienił się w agresję czy atak? Czy mogłaby pani usunąć te skłonności i otrzymać w efekcie osobnika nieskażonego? Takiego samego jak ja czy pani, jeśli chodzi o szanse na przetrwanie?

W jego głosie pojawiła się jakby nutka prośby.

- Eksperci odpowiedzialiby przecząco.

- Tak mi powiedziano - stwierdził cicho Beck, patrząc na dno swojej szklanki.

- Wszystko zależy od tego, czy zachowania agresywne były wrodzone, czy też wyuczone - zauważyła, zastanawiając się cały czas nad zagadnieniem.

- Doktor Tabbart, pani szef, ma inne zdanie.

Roześmiała się. Głośniej, niż zamierzała.

- Nie jestem zaskoczona.

Beck podniósł wzrok.

- Doktor Clemente uważa, że w najlepszym razie potrwałoby to bardzo długo.

Zastanawiała się, marszcząc czoło.

- Jack to dobry człowiek. Genialny badacz.

- Ale...

- Nie chcę być posądzona o brak szacunku, ale przełamywanie schematów nie należy do jego mocnych stron.

Beck znów się uśmiechnął.

- A jeśli chodzi o panią?

Patrycja postanowiła odrzucić wszelki takt i pójść na całość.

- Niech pan posłucha, nie znam szczegółów pańskiego projektu, ale wiem jedno. Jestem panu potrzebna.

Beck dopił swoje piwo.

- O jakim projekcie pani mówi?

- Jack Clemente jest jednym z najlepszych specjalistów. Kocham go jak ojca. Ale pan potrzebuje kogoś, kto nie boi się wyzwiać. Kogoś otwartego na nowe idee i zdolnego do niekonwencjonalnego myślenia!

- Naprawdę? - wydawał się rozbawiony. Wstał. - Było mi bardzo miło rozmawiać z panią, doktor Nellwyn.

Ruszył w stronę domu.

- Niech pan posłucha - Patrycja nie pozwoliła mu odejść. - Stosowanie konwencjonalnych metod w przypadku osobnika cierpiącego na zespół chwiejności i wykazującego zachowania atawistyczne może skończyć się tylko w jeden sposób!

Beck przystanął.

- To znaczy?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Będzie pan miał martwego człowieka albo roślinę do kolekcji doktora Madela!

Beck przez długą chwilę milczał. Po jego twarzy przemknął cień.

- Zapewniam, pani doktor, że to drugie jest wykluczone.

Odwrócił się i odszedł.

Patrycja stała bez ruchu, gdzie jeszcze przed chwilą stał Beck, odtwarzając w myślach ich rozmowę. Nawet nie zauważyła, kiedy zbliżył się do niej Jack Clemente.

- No i co? Jak poszło?

Spojrzała w jego wychudłą twarz.

- Nadaję się co najwyżej na dziwkę - stwierdziła cicho, przygnębiona.

Jack otoczył ją ramieniem.

- Aż tak źle?

- Gorzej.

Odetchnął głęboko.

- No cóż, jesteś przynajmniej odpowiednio ubrana.

Następnego ranka, w jeszcze gorszym nastroju, kipiąc gniewem na samą siebie, szła głównym korytarzem instytutu do windy. Nie bardzo wiedziała, co myśleć o rozmowie z Beckiem.

Jej temat stanowił interesujące wyzwanie.

Wszelkie współczesne teorie, dotyczące rehabilitacji osobników ze skłonnością do agresji, sprowadzały się do jednego. Wystarczyło usunąć niepożądane cechy, zaaplikować terapię, leki lub przeprowadzić operację, żeby osiągnąć powodzenie. Jak pacjent radził sobie później w życiu było już mniej ważne.

Widziała rezultaty podobnych kuracji. Wyprani z wszelkich uczuć, bezbarwni, emocjonalnie obojętni osobnicy, którzy znajdowali się w znacznie gorszym stanie niż wówczas, gdy okazywali swe okrutne skłonności.

Uważano, że taka terapia przynosi korzyść społeczeństwu i zapewnia bezpieczeństwo obywatelom.

Weszła do pustej windy, żeby wjechać na trzecie piętro, gdzie znajdował się jej gabinet.

- Proszę poczekać!

Nadbiegł młody stażysta. Patrycja zatrzymała windę.

- *Guten morgen*, doktor Nellwyn.

Zerknęła na młodego człowieka, gorączkowo próbując przypomnieć sobie jego nazwisko.

- Cześć.

Wróciła do swoich myśli.

- Przeprowadza pani dzisiaj prezentację?

Wyrwał ją z zadumy. Nienawidziła ludzi, którzy upierali się, żeby prowadzić rozmowy o niczym.

- Co? Nie - warknęła.

Młody człowiek okazał nieklamane zdumienie.

- Naprawdę? - spytał i zamilkł. Nie mówił zbyt dobrze po angielsku i z trudem dobierał słowa. - Dziś morgen doktor Tabbart prowadzi obchód dla trzeci rok. Chyba słyszałem, jak mówił, że pani też tam być.

Patrycja zaklęła pod nosem. Gdy tylko drzwi windy rozsunęły się, wypadła na korytarz.

Po przyjęciu nie poszła do żadnego klubu, tylko prosto do domu, żeby utopić smutki w kieliszku. Obudziła się rano, pół godziny po tym, jak dzwonił budzik; wciąż miała na sobie czerwoną sukienkę. Możliwe, że z powodu złości, frustracji i alkoholu po prostu o czymś zapomniała.

A teraz ze spuszczoną głową próbowała przeniknąć nie zauważona do bezpiecznej kryjówki jaką stanowił jej gabinet.

- Doktor Nellwyn!

Zatrzymała się, by pielęgniarka mogła ją dogonić..

- Cześć - rzuciła szybko Patrycja. - Skoczę na chwilę do siebie i zaraz przyjdę.

Pielęgniarka położyła jej dłoń na ramieniu.

- Nie ma pani czasu. Szef szuka pani od dwudziestu minut.
- Cholera!
- Spokojnie. Zadzwoiłam do niego i powiedziałam, że ma pani jakiś nagły przypadek.

Patrycja odetchnęła z ulgą.

- Uratowałaś mi życie.
- Przyglądała szerokie spodnie i luźną bluzkę. Sprawdziła jeszcze upięte z tyłu włosy i zwróciła się do pielęgniarki.
- Jak wyglądam?
 - Świetnie - uśmiechnęła się kobieta. - Ale w tej sukience z cekinami podobała mi się pani bardziej.

Patrycja skrzywiła się, zawracając w kierunku wind.

- Obchód? Och, sądziłam, że... - mamrotała do siebie. - Obchód? Oczywiście. Tyle, że jeden z pacjentów miał akurat atak, więc...

Wzięła głęboki oddech, gdy drzwi kabiny rozsunęły się na ostatnim piętrze.

Niebieski dywan, bladezielone ściany i kojąca muzyka sprawiały, że spacer korytarzem zdawał się dłużyć ponad miarę. Cały czas pamiętała, by trzymać się prosto i nie rozglądać na boki. Uśmiechnęła się ciepło do sekretarki, która siedziała za biurkiem na końcu korytarza, ale ta tylko popatrzyła na nią groźnie.

- Dzień dobry, pani Lotte - przywitała się Patrycja, podchodząc do kobiety o męskiej urodzie.
- Pani doktor - odparła sekretarka, podnosząc słuchawkę i wystukując numer na interkomie. - Doktor Nellwyn. - Chwila ciszy. - Oczywiście. - Podniosła wzrok na Patrycję.
- Może pani wejść.

Niedobrze - pomyślała Patrycja. - Tabbart zawsze każe czekać młodszym pracownikom.

Weszła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi.

Doktor Klaus Manfred Tabbart, szef personalny w Instytucie Volkera, siedział za wypolerowanym, wielkim biurkiem, uśmiechając się serdecznie. Błat biurka był nagi. Lustrzanej powierzchni nie zakłócała choćby najmniejsza plamka, smuga czy pojedyncza kartka papieru. Światło, które się w niej odbijało, padało na Tabbarta i tworzyło wokół

jego głowy coś w kształcie aureoli.

Starsi pracownicy od wielu lat zastanawiali się, czy był to efekt niezamierzony, czy też świadome działanie szefa, który chciał przekonać podwładnych o swej boskości. Tak czy owak, robiło to wrażenie.

- Dzień dobry, doktor Nellwyn.

- Dzień dobry. - Usiadła na krześle z miękką poduszką, które wskazał jej szef.

Każdy, kto siedział przed biurkiem, znajdował się niżej od Tabbarta i musiał patrzeć na niego z dołu. - Przepraszam, że nie mogłam zjawić się od razu...

Machnął ręką. Zły znak.

- Pani nieobecność została usprawiedliwiona - zaczął. Głos miał dziwnie wysoki. - W końcu pacjenci są najważniejsi. - Przerwał na chwilę. - Zgodzi się pani ze mną?

- Oczywiście. - Zastanawiała się, co powiedzieć, by złagodzić napięcie, które wyczuwała po drugiej stronie biurka. - Party było wspaniale - zauważyła pokornie. - Ma pan piękny dom.

Przytaknął grzecznie.

- Tak. Przyjęcie. - Milczał dłuższą chwilę. - Dobrze się pani u nas czuje?

- Tak. Bardzo dobrze.

- Nie wolałaby pani przebywać w jakimś bardziej atrakcyjnym miejscu? Może w Londynie, Nowym Jorku, Los Angeles?

- Nie.

Było gorzej, niż myślała. Przysięgła sobie, że jeśli wyjdzie z tego bez szwanku, wykreśli ze swego słownika wszelkie nieparlamentarne określenia, a przekłętą czerwoną sukienkę wyrzuci.

- Czasem mam co do tego wątpliwości - stwierdził cicho. - Obrócił się na kręconym krześle, by móc patrzeć przez wielkie okno, z którego rozpościerał się widok na tyły głównego budynku. - A tak na marginesie, zrobiła pani zeszłego wieczoru duże wrażenie. Wy, Amerykanie, mówicie w takich sytuacjach: „przyciągać wzrok”.

Czuła się, jakby płonęła na stosie - a wraz z nią, jeden za drugim, te cholerne cekiny.

Czekał, aż Patrycja coś powie.

- Miałam, hm, kłopoty z pralnią - skłamała żałośnie.

Tabbart skinął głową.

- To samo powiedziałem kilku pracownikom. - Wydał z siebie krótki, wysoki pisk. Wiedziała już, że tak właśnie się śmieje. - Powiedziałem im, że przecież nie przyszłaby pani do mojego domu, ot tak sobie, ubrana jak zwykła prostytutka. - Umilkł i obrócił się do niej. Na jego twarzy nie było już uśmiechu. - Nie wierzę, by celowo chciała pani sprawić przykrość sobie, kolegom, tej instytucji - znów przerwał na chwilę. - A także mnie.

- Oczywiście, że nie - odparła, coraz bardziej wściekła z powodu jego bezlitosnego, złośliwego spojrzenia.

- Oczywiście, że nie. Doktor Nellwyn, mówmy szczerze. Zgoda?

- Oczywiście - zgodziła się skwapliwiej, niż zamierzała.

- Jest pani, madame, znakomitym, być może nawet genialnym lekarzem. Pani kliniczne osiągnięcia sanie do podważenia. Ale odnoszę wrażenie, że gdy znajduje się pani poza murami instytutu, przestaje pani być jego częścią.

- Czyżby?

Mówiła głosem z pozoru beznamiętnym, ale wyczuwało się w nim ukryty, narastający gniew, nad którym z trudem panowała.

Przynajmniej na razie.

- Na przykład ten niemądry incydent zeszłego wieczoru, obnoszenie się ze swoją, jak by to powiedzieć... fizycznością. Nie będę owijał w bawełnę. - Nachylił się, splatając dłonie na biurku. - Wielu obecnych na przyjęciu, w tym i ja, uważa, że takie zachowanie stawia w złym świetle nie tylko panią, ale i instytut, który pani reprezentuje.

- Czyżby?

Gniew, jaki odczuwała na samą siebie za osobiste klęski, skierowała na Tabbarta. Jak zwykł mawiać jej ojciec - lepiej być zastrzelonym jako grizzly, niż jako zwykła świnia.

- Kto dokładnie?
- Przepraszam, nie rozumiem?
- No cóż, wydaje mi się, że dostrzegłam także kilka pozytywnych reakcji - stwierdziła z przekąsem. - Zwłaszcza ze strony starszych pracowników.

Tabbart był zbity z tropu.

- Będę z nimi jeszcze o tym rozmawiał. Ale w tej chwili dyskutujemy o pani.

Przerwała mu.

- Tak. Zgadza się. Przyznał pan, że nie ma żadnych zastrzeżeń do mojej pracy, że jestem znakomitym, genialnym lekarzem. Wydaje mi się, że właśnie tych słów pan użył.

Tabbart wydawał się zupełnie zmieszany.

- Na terenie instytutu, owszem. Ale...

Patrycja potrząsnęła głową i pochyliła się, opierając dłonie o krawędź lśniącego biurka.

- Za to mi pan płaci. Za pracę. A jeśli praca to za mało, chyba będziemy musieli się rozstać.

- Przepraszam, słucham?

Do diabła - pomyślała - może naprawdę potrzebuję zmiany. Bóg mi świadkiem, że nic mi tu nie wychodzi.

- Jeśli to, jak się zachowuję - wycodziła lodowato - będzie kiedykolwiek rzutowało na moją pracę, zapewniam pana, że natychmiast otrzyma pan moją rezygnację na piśmie. Póki co jednak, albo pan zaakceptuje moją twórczą pracę razem z całą resztą, albo niech mnie pan od razu wywali. Ty mizoginiczny draniu!

Oddychała z wysiłkiem.

Tabbart tak mocno zacisnął palce na krawędzi biurka, że kostki mu zbieleły, a nadgarstki zaczęły dygotać. Zagryzł zęby, mięśnie na prawym policzku drgały konwulsyjnie.

- Nikt nigdy nie mówił do mnie w ten sposób - syknął.

Patrycja patrzyła na niego, zastanawiając się, czy wolałaby uczyć w jakiejś szkole medycznej na środkowym zachodzie Stanów, czy pracować w klinice psychiatrycznej w Kalifornii. Przyszło jej do głowy, że za parę sekund stanie przed wyborem. W każdym razie posunęła się za daleko, by móc się teraz wycofać.

Zdawało się, że Tabbart zapanował nad sobą.

- Doktor Nellwyn - odezwał się w końcu, biorąc głęboki oddech - gdyby to ode mnie

zależało, nie doczekałaby pani tu końca dnia. Ale w przeciwieństwie do pani, muszę wyrzec się osobistych pragnień dla dobra instytutu. Nie należy pani do ludzi, których pragnęlibyśmy tu widzieć, ale dyrekcja uważa, naiwnie moim zdaniem, że pani pleć zawsze była dyskryminowana. Dlatego pani tu jest. Nic nie mogę na to poradzić. - Wstał i podszedł do okna. - Istnieją też pewne aspekty natury materialnej, które muszę brać pod uwagę. - Zamilkł na dłuższą chwilę. W końcu odwrócił się do niej. - Nie pojmuję dlaczego, może sypia pani z kimś wpływowym, ale doktor Clemente domaga się pani uczestnictwa w jakimś szczególnym projekcie, który nadzoruje. Może się pani od razu do niego zgłosić. Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas.

Patrycja siedziała jak ogłuszona.

Jack, stary dobry Jack, mimo wszystko, to załatwił! Niemal zerwała się z krzesła, by pobiec do drzwi.

- Doktor Nellwyn?

Zatrzymała się.

- A jak coś pani nie wyjdzie z tym idiotycznym projektem, za który płacą Amerykanie, zapewniam, że zostanie pani zwolniona. Bez słowa sprzeciwu ze strony dyrekcji, jak sądzę.

Patrycja uśmiechnęła się.

- Czy to wszystko?

Pragnęła jak najszybciej pobiec do gabinetu Jacka.

- Jeszcze jedno - powiedział wolno Tabbart. - Jeśli moje słowa albo ton obraziły panią, to przepraszam.

Potrząsnęła głową, nie mogąc uwierzyć w hipokryzję tego człowieka, i wybiegła z jego gabinetu.

Dziesięć minut później niemal przewróciła Clemente, wpadając do jego pokoju.

- Jack! Jesteś cudownym, genialnym, niesamowitym człowiekiem - zawołała uszczęśliwiona i rzuciła mu się na szyję.

- Zapomniałaś dodać „sexy” - zauważył, broniąc się przed jej uściskiem.

Ucałowała go w policzki.

- Co tylko zechcesz! - Spojrzała na niego. - Dziękuję.

Jack uniósł dłonie.

- Nie mnie.

Patrycja była zaskoczona.

- W takim razie kto...

Podążyła za jego spojrzeniem i cofnęła się odruchowo, spostrzegłszy Becka, który siedział pod ścianą.

Wstał i podszedł do nich.

- Próbowałem ci powiedzieć, że to nie była moja decyzja - zaczął Jack.

Patrzyła to na jednego, to na drugiego.

- Nie rozumiem.

Beck wzruszył ramionami.

- Wydaje się, że jest pani odpowiednią osobą do tej roboty, doktor Nellwyn.

Zrobiła krok w jego stronę.

- A wczorajszy wieczór? Myślałam, że zrobiłam z siebie idiotkę.

Beck sprawiał wrażenie, że nie wie, o co chodzi.

- Tabbart - wyjaśnił krótko Clemente.

Beck spojrział na zegarek.

- Później będzie czas na szczegóły. Teraz musimy złapać samolot.

Wyszła z pokoju za obu mężczyznami, milcząc zmieszana.

Dziesięć godzin później stali na granicy polsko-niemieckiej w niewielkim miasteczku Görlitz-Zgorzelec. Oparci o ambulans, chuchali w dłonie, by się rozgrzać - nie wiadomo skąd pojawiła się mgła.

Wyjaśnienia były skąpe. Im bliżej celu podróży, tym bardziej Beck stawał się tajemniczy. Przez ostatnie dwie godziny nie powiedział ani słowa, spoglądał tylko ku drugiej stronie granicy.

Patrycja rozglądała się wkoło.

Kiedy przybyli na miejsce, na spotkanie wyszedł im oddział uzbrojonych żołnierzy amerykańskich. Beck coś im powiedział i po chwili zniknęli. Patrycji zdawało się jednak, że co kilka minut słyszy szelest; pewnie któryś z nich zmieniał pozycję.

- Czy to naprawdę konieczne? - spytała Jacka szeptem. - Myślałam, że mur runął kilka lat temu. Rozumiesz, pokojowe współistnienie i tak dalej.

- Owszem, między narodami łatwiej o zaufanie. W przypadku ludzi nie zawsze jest tak dobrze.

Zamilkł, gdy rozległ się warkot ciężarówki, która w chwilę później zatrzymała się po polskiej stronie.

Z kabiny wysiadł jakiś człowiek w mundurze.

Patrycja drgnęła, słysząc wokół siebie trzask odbezpieczanej broni.

Beck podszedł do człowieka w mundurze, który przekroczył linię graniczną.

- Aleksander Beck.

- Major Walery Witenka.

Witenka podał Beckowi grubą teczkę.

Rozmawiali przez kilka minut przyciszonymi głosami, w końcu Witenka odwrócił się i pomachał w stronę ciężarówki. Ruszyła powoli, by zatrzymać się pięć metrów od ambulansu.

Beck zaświecił do środka latarką. Dał Witence znak i wrócił do ambulansu.

Patrycja przyglądała się jak zauroczona, gdy opuszczono klapę, a z mroku pod plan-deką wyłonił się jakiś człowiek.

Z łańcuchami przy szyi, a także na nogach i rękach, zeskoczył z ciężarówki w asyście dwóch żołnierzy rosyjskich, którzy natychmiast wymierzyli w niego karabiny.

Mężczyzna rozejrzał się wokół, po czym ruszył, powłócząc nogami, w stronę ambulansu.

Do żołnierzy z karabinami przyłączyli się jeszcze dwaj, którzy wysiedli z szoferki i też skierowali lufy na więźnia. Patrycja nie przypominała sobie, by w swej zawodowej karierze widziała kiedykolwiek równie zdenerwowanych ludzi.

W porównaniu z nimi mężczyzna skuty łańcuchami wydawał się rozluźniony i spokojny.

Witenka patrzył, jak więzień oddala się, szurając nogami, potem odwrócił się w stronę ciężarówki.

- Majorze Witenka! - zawołał za nim Beck.
- Tak?
- Zapomniał pan o kluczach.

Witenka jakby się zawahał, ale sięgnął do kieszeni i cisnął kółko z kluczami pod nogi Becka.

- Przypuszczam, generale Beck, że ma pan tu ukrytych ludzi. Podobnie jak ja. - Zamilkł i odetchnął głęboko. - Jeśli rozkuje go pan, zanim zdążymy stąd odjechać, moi snajperzy załatwią sprawę.

Wsiadł do ciężarówki, która w chwilę później oddaliła się pospiesznie.

Beck stał w milczeniu obok skutego łańcuchami człowieka. Pozostali otoczyli ich półkolem; czekali w milczeniu, pełni napięcia.

Zrób to teraz - pomyślał Beck. - To byłoby takie łatwe.

Dwaj snajperzy amerykańscy ukryci po polskiej stronie granicy już wzięli na celowniki głowę i klatkę piersiową Newmana. Czekali na chociażby nieznaczny ruch lewej dłoni Becka, oznaczający sygnał do strzału.

Beck wiedział, że to byłoby wyjście. Przekonywał swoich przełożonych, że to jedyna rzecz, jaką należy zrobić. Ale nie zrozumieli albo nie chcieli zrozumieć i pozostali przy swoim. Newmana należało zachować przy życiu.

Ale wypadki się zdarzają - myślał dalej. - Pojedynczy strzał w nocy, od strony granicy. Coś, co Beck bez trudu wytłumaczyłby Waszyngtonowi i Rosjanom.

I swemu Bogu.

Ironia losu polegała na tym, że Newman i tak musiał umrzeć, o czym Beck doskonale wiedział. Ten koszmar nie mógł zakończyć się inaczej. Więc dlaczego nie zrobić tego od razu, tutaj, na tej zimnej, wilgotnej ulicy? Zapobiec nieuniknionej tragedii, ocalić przyszłe ofiary. Oszczędzić samego Newmana, zadając mu śmierć.

- A więc, Alex?

Newman przejrzał Becka.

Beck rozpaczliwie pragnął odwrócić wzrok. By nie widzieć, jak przed nim rozgrywa się cała ta groteska. Ale nie mógł uwolnić się od pytających, oskarżycielskich oczu.

Wziął głęboki oddech, a potem dał znak.

Patrycja patrzyła zafascynowana, jak klucze otwierają kolejno wszystkie zamki, a Newman powoli uwalnia się z kajdan.

Przez cały czas milczał.

Gdy zdjęto z niego ostatni łańcuch i skórzany pas, wyprostował się powoli.

Przez pięć minut próbował rozruszać zastygłe mięśnie. Potem odwrócił się do Becka.

- Nazwał cię generałem? - spytał cicho.

Beck przytaknął nieznacznie.

- Awansowałem parę lat temu. A co u ciebie, Brian?

Newman potrząsnął ze smutkiem głową.

- Generał. No cóż - Newman odwrócił się. - Jestem pewien, że twoi ludzie zapraco-

wali na te gwiazdki. - Dopiero teraz dostrzegł Jacka i Patrycję. - Kto to jest?

Beck położył mu dłoń na ramieniu.

- Mają ci pomóc.

Newman spojrział na dłoń Becka, a potem popatrzył mu w oczy.

- Pomóc mnie...czy tobie?

Rozdział trzeci

Przy dźwiękoszczelnych drzwiach i na korytarzu trzymali wartę umundurowani strażnicy. Na środku sali wykładowej znajdowała się mównica - po jednej stronie stali Beck i Patrycja, po drugiej Jack Clemente i Tabbart. Trudno było odczytać cokolwiek z ich twarzy.

Sala wykładowa, choć najmniejsza w instytucie, pozostawała w większości pusta. Około dwudziestu sanitariuszy, pielęgniarek, pracowników socjalnych i techników wypełniało z wolna trzy pierwsze rzędy.

Po paru minutach, kiedy Tabbart zbliżył się do mównicy, szepty i szum na sali ucichły.

- Dzień dobry, koledzy.

Rozłożył przed sobą notatki. Nie potrzebował ich, nie zamierzał mówić długo. Zawsze jednak tak robił, ilekroć miał publicznie zabrać głos.

- Każdy z was został wybrany do... - zdawał się szukać odpowiedniego słowa - ...tego zadania na podstawie dotychczasowej pracy, kwalifikacji i osiągnięć. Należą się wam gratulacje.

Niektórzy ze słuchaczy otwierali notatniki, inni sprawdzali, czy piszą im pióra, jeszcze inni poruszali niespokojnie stopami. Słuchali jedynie nieliczni. Wiedzieli, że to tylko rozgrzewka. Show miał się zacząć dopiero po wyjściu Tabbarta.

- My, pracownicy Instytutu Volkera, podtrzymujemy chwalebłą tradycję - ciągnął - wytyczania nowych granic w bezustannie rozwijającej się dziedzinie badań neuropsychiatrycznych. Dziś wyruszamy w kolejną podróż.

Patrycja, sprawdziła swoje notatki, po czym zerknęła ukradkiem na Becka.

Szczęki miał zaciśnięte, wzrok skierowany wprost przed siebie. Gdyby go nie znała,

pomyślałaby, że sam kwalifikuje się do leczenia.

- Cieszę się - ciągnął Tabbart - że wszyscy będziecie pracować zgodnie z nakazami chwalebnej tradycji instytutu, że poświęćcie się bez reszty temu trudnemu zadaniu i uczynicie wszystko, by nie przynieść wstydu pozostałym z nas, którym nie przypadł w udziale przywilej uczestniczenia w tym szlachetnym dziele.

Zebrał z pulpitu swoje kartki, skinął głową Jackowi Clemente i Beckowi, ignorując przy tym Patrycję, po czym szybko wyszedł z sali.

Jack czekał, aż strażnicy zamkną za szefem drzwi, i dopiero wtedy zbliżył się do mównicy. Uśmiechnął się do zebranych.

- Dzień dobry.

Wszyscy skupili na nim uwagę, trzymając w pogotowiu pióra.

Nachylił się nad pulpitem.

- Najpierw sprawy ogólne. Projekt został zatwierdzony na najwyższym szczeblu. Ponieważ wszyscy pracowaliście już w takich warunkach, nie będę omawiał szczegółowo zasad. Wszyscy otrzymaliście je na piśmie. Przypomnijcie je sobie! I jeszcze jedno. Wszelkie dyskusje na temat tego projektu, nawet z innymi członkami zatrudnionego przy nim personelu, muszą być ograniczone wyłącznie do terenu, na jakim jest on realizowany. To znaczy do ścian oddziału 249. Ochrona nalega na to. - Przerwał i popatrzył na słuchaczy. - Ktoś kiedyś powiedział, że publiczne wystąpienia trzeba zawsze zaczynać od dowcipu. Okej. - Zastanawiał się przez chwilę. - Co wynika z faktu, że ma się do czynienia z osobnikiem typu A-3, wszechstronnie wyszkolonym w dość tajemniczej sztuce penetracji wywiadowczej, który spędził sześć lat w jednym z najcięższych więzień na świecie, i to w odosobnieniu?

Długa chwila ciszy.

- Żadnych odpowiedzi? Żadnych sugestii? - Jack pokiwał głową, jakby przytakując własnym myślom. - Wynika stąd problem, który właśnie musimy rozwiązać. Stoi przed nami trojkie zadanie. Po pierwsze, odpowiedzieć na pytanie, które przed chwilą postawiłem. Po drugie, znaleźć sposób pozwalający odwrócić wszelkie psychiczne spustoszenia, jakich dokonało w tym człowieku więzienie. Po trzecie, i jest to najtrudniejsze, moi kochani, przywrócić temu osobnikowi, o ile to możliwe, normalność.

- Proszę zdefiniować normalność - odezwał się wśród słuchaczy jakiś głos, podczas gdy pozostali notowali pospiesznie.

Jack zastanawiał się przez chwilę.

- To ważne pytanie. Przypuśćmy, że stoicie w kolejce do kina, w bardzo zimny dzień. Nagle wpycha się przed wami jakiś człowiek i wykupuje ostatni bilet. A wy jesteście zmuszeni stać na mrozie przez następne dwie godziny. Normalny człowiek próbowałby coś zrobić. Typ A-1 zacząłby protestować, może na tyle głośno, by zjawił się kierownik kina. Nasz osobnik, cierpiący na rozpad osobowości i sporadyczne nawroty prymitywnych zachowań, najprawdopodobniej zaatakowałby i zabił intruza, a pewnie i bile-

tera. - Przerwał na chwilę. - W tym wypadku wskazałbym na zachowanie typu A-1 jako normalne.

Odwrócił się i gestem zaprosił Patrycję na podium. Wstała, podchodząc do mównicy odetchnęła głęboko i zaczęła bez specjalnych wstępów.

- Metoda leczenia, jaką zastosujemy, jest w tym momencie jeszcze niesprecyzowana - stwierdziła mocnym głosem. - Ale jeśli możemy opierać się na dotychczasowych doświadczeniach i naszej wiedzy, to należy uwypuklić cztery punkty. - Otworzyła teczkę. - Pierwszy punkt: musimy ograniczyć dostęp innych osób do pacjenta, zwłaszcza w początkowej fazie terapii. Dopóki się nie upewnimy, że nagłe zmiany nastrojów i gwałtowne napady furii są pod kontrolą, będą mogły się z nim kontaktować tylko cztery osoby:

doktor Clemente, ja, jedna pielęgniarka i jeden sanitariusz na dyżurze. Drugi punkt: ze względu na bardzo wysoki stopień inteligencji osobnika, musimy nieustannie sprawdzać, czy jego zachowanie i wszelkie czynności są rzeczywistym odzwierciedleniem jego stanu emocjonalnego, czy też sprytnie dobraną maską, którą będzie się posługiwał, by uspić naszą czujność. Nie wolno wam w obecności tego człowieka pozwalać sobie choćby na chwilę dekoncentracji. Trzeci punkt: zdiagnozowano wstępnie zespół chwiejności. Ponieważ występuje on stosunkowo rzadko, spodziewam się, że poświęcicie wszyscy odpowiednio dużo czasu na lekturę fachową. Pozwólcie mi tylko na jedną istotną uwagę. - Ponieważ nigdy nie lubiła przemawiać publicznie, skupiła wzrok na reprodukcji Chagalla wiszącej na tylnej ścianie sali, jakby zwracała się właśnie do niej. - Choć w znacznym stopniu zredukowaliśmy stres, jaki mu towarzyszył w ciągu ostatnich lat, erozja jego osobowości będzie trwała nadal, dopóki znajduje się pod nadzorem, bez względu na to, jak łagodny jest ten nadzór, czy też jak łagodny może się wydawać. Dołóżcie więc starań, bądźcie mili, śmiećcie się z jego żartów, jeśli sobie na nie pozwoli. Cały czas go zachęcajcie. Ale bądźcie przygotowani na niespodziewany opór albo gwałtowne reakcje w sytuacjach, zdawałoby się, zupełnie zwykłych.

W drugim rzędzie uniosła się czyjaś dłoń.

- Doktor Nellwyn, jak niebezpieczny jest ten osobnik? - spytała jedna z pielęgniarek.
- Co nam grozi?

Patrycja spojrzała na Jacka.

- Zajmiemy się tym zagadnieniem w odpowiednim czasie - wtrącił pospiesznie.

Patrycja uniosła nieznacznie brwi, po czym zwróciła się ku słuchaczom.

- Czwarty i najważniejszy punkt, który ma związek z pani pytaniem. Nigdy, pod żadnym pozorem, w niczym mu się nie przeciwstawiajcie. Nie przypierajcie go do ściany i nie ograniczajcie mu możliwości wyboru. - Wzięła głęboki oddech. - Pomijając anomalie w jego zachowaniu i wszelkie atawizmy, człowiek ten został znakomicie wyszkolony - tu zerknęła na Becka - by poradzić sobie z przeważającą siłą. - Przerwała, jakby zastanawiając się, czy jeszcze coś dodać. - A teraz - zwróciła się po chwili do Becka - byłoby dobrze, gdybyśmy zapoznali się z historią naszego pacjenta.

Ustała miejsca przedstawicielowi Pentagonu.

- Jestem generał Alexander Beck, były ASS przy połączonych sztabach.

- Co? - spytało równocześnie kilkoro ludzi.

Beck się uśmiechnął.

- Przepraszam. Asystent Szefa Sztabu do działań specjalnych i zwalczania partyzantki. Dwanaście lat temu powierzono mi zadanie utworzenia jednostki agentów zajmujących się głęboką penetracją wywiadowczą, zdolnych działać i przeżyć na wrogim terenie miejskim lub obszarze niezamieszkałym, bez wsparcia i jakichkolwiek instrukcji. - Oparł się swobodnie o mównicę. - Mówiąc wprost, należało wyszukać kobietę lub mężczyznę, powierzyć im zadanie do wykonania, na przykład ograniczenie w poważnym stopniu produkcji rolnej Ukrainy, czy też zakłócenie funkcjonowania chińskiej fabryki produkującej broń atomową, a następnie tylko spuścić ze smyczy. Mieli odpowiednie wykszolenie,

możliwości techniczne, odznaczali się umiejętnością przetrwania, dzięki czemu mogli wyruszyć w obcy teren, samodzielnie wykonywać swoje zadanie przez określony czas, a następnie, powiedzmy po sześciu miesiącach, po prostu zniknąć. - Mówił teraz, jakby do siebie. - Był to genialny pomysł. Absolutnie samowystarczalni agenci, którzy wtapiali się w wyznaczone środowisko, czerpiąc z niego wszystko, co było potrzebne do przeżycia i przeprowadzenia misji. Nie wymagające wielkich nakładów, niezwykle wydajne, niewidoczne i skuteczne ludzkie karabiny. Tylko wycelować i strzelać.

Słuchacze siedzieli bez ruchu.

- Badania przeprowadzone w Instytucie Horizon w Santa Monica sugerowały, by do tego rodzaju operacji wyszukiwać ludzi o socjopatycznych osobowościach. Zakładano, że będą stanowić doskonałe narzędzia, jako że cechuje ich brak tradycyjnych zasad moralnych, jak i zdolność przeprowadzania skomplikowanych, wysoko ryzykownych zadań na zimno, bez emocjonalnego osądzania ich słuszności.

- Jezu - mruknął któryś ze słuchaczy.

Beck przygwoździł go spojrzeniem.

- Jak się na nieszczęście okazało, proszę pana... - milczał przez dłuższą chwilę... - ja takim narzędziem nie byłem.

W tym samym czasie na terenie oddziału A-249 odbywała się inna odprawa.

Stojący na obrzeżach terenu niewielki, samotny budynek wyglądał z zewnątrz jak duży, typowo niemiecki domek myśliwski. Ze wszystkich stron był otoczony rozległym trawnikiem, a od lasu dzieliło go niecałe sto metrów. Tuż obok biegły symetrycznie rozplanowane grządki kwiatów w odpowiednio dobranych kolorach i wąskie ścieżki, a starannie przyszyżona winorośl, wspinała się po ścianie budynku. Okna były przyciemnione, tak że nikt nie mógł zajrzeć do środka, drzwi zawsze zamknięte.

Gdy jednak ktoś znalazł się wewnątrz, od razu zapominał o sielskim otoczeniu.

Parter, o surowych, szpitalno-białych ścianach i podłodze krytej wykładziną, pozbawiony jakichkolwiek ozdób, wywoływał szok u tych, którzy przychodzili tu po raz pierwszy. Potem, przekroczywszy podwójne, elektronicznie zabezpieczone drzwi, goście znów czuli zaskoczenie, tym razem widokiem w pełni wyposażonego pokoju pielęgniarskiego. Odnosiło się wrażenie, że to oddział intensywnej opieki medycznej jakiegoś nowoczesnego szpitala.

Z małym wyjątkiem.

Nigdzie nie było sal chorych.

Natomiast znajdował się tu, wyposażony w wysokiej klasy sprzęt, pokój ochrony z monitorami rejestrującymi każdy centymetr otoczenia. A także apteka zaopatrzona w najnowsze środki psychotropowe. I pomieszczenie, tuż obok pokoju pielęgniarstwa, gdzie zainstalowano aparaturę umożliwiającą podsłuch i obserwację sal chorych. Nikt jednak nie wiedział, gdzie się one znajdują.

Pierwsze piętro zajmowała „komora dekompresyjna”.

Pomieszczenia, zaprojektowano nie tylko dla funkcji użytkowych, ale i w celu zapewnienia odpowiedniego komfortu. Mieściły się tu dobrze zaopatrzona kuchnia, jadalnia i dwie sypialnie, które przypominały sale w internacie. Każda mogła pomieścić pięć osób.

Po drugiej stronie znajdowała się część biurowa. Sześć gabinetów z dwoma stanowiskami recepcyjnymi miało łączność komputerową z instytutem, a także dostęp do Internetu. Przy pełnej obsłudze można tu było bez trudu wykonywać wszystko to, co w głównym budynku.

Między gabinetami znajdował się drugi pokój ochrony.

Ale i tu nie było sal dla chorych.

Umieszczono je pod budynkiem, na głębokości dziesięciu metrów, mniej więcej trzy piętra niżej. Miały ściany ze zbrojonego betonu o grubości ponad pół metra.

Winda, której zamaskowane drzwi znajdowały się za pokojem pielęgniarskim, a także w pomieszczeniu ochrony na piętrze, poruszała się bezszelestnie.

Obsługiwana tylko trzema kluczami, zjeżdżała bezpośrednio do niewielkiego - trzy na trzy metry - przedpokoju przy sali dla chorych. Jego jedyne wyposażenie stanowił monitor telewizyjny, na którym widać było wnętrze sali, i centralka telefoniczna.

Były tu jeszcze jedne drzwi. Ze wzmocnionej stali, z kratą i zasuwami, zamykane dodatkowo na zamek. By je otworzyć, należało się posłużyć dwoma kluczami i przekręcić elektroniczny włącznik w pokoju ochrony na górze.

Sala dla chorych była wygodna. Przy powierzchni dwudziestu pięciu metrów kwadratowych, i wysokości dwu i pół metra, wydawała się dość duża, jak apartament w pięciogwiazdkowym hotelu - jednak z kilkoma istotnymi różnicami.

Wszystkie meble zostały przyśrubowane do podłogi. Obrazy, posrebrzane plastikowe lustra i kratki przewodów wentylacyjnych zabezpieczono w podobny sposób.

Książki, które stały na półce w salonie, miały wyłącznie miękkie oprawy, żadna nie ważyła więcej niż kilogram.

Ubrania poukładano w szufladach, których nie dało się wyciągnąć z komody.

Nawet wykładzina była przytwierdzona do podłogi i niepalna.

Nadmiar ostrożności, gdyż w pomieszczeniu najbardziej pomysłowy piroman nie wznieciłby ognia.

Mimo wszystko lokum uchodziło wedle wszelkich standardów za wygodne, nawet luksusowe. Do tego stopnia, że przez wiele miesięcy w roku, gdy na oddziale nie przeby-

wali pacjenci, stanowiło ulubione miejsce spotkań młodszego personelu.

Lecz Konrad Edel nie myślał teraz o płomiennych kochankach, spędzających w tych podziemiach chwile miłosnych uniesień.

Jako szef niezwykle rozbudowanej ochrony instytutu, a także starszy swego kościoła, niepokoił się dwoistą naturą stojącego przed nim zadania.

Przeczytał dossier Newmana, a przynajmniej tę jego część, którą mu udostępniono, i zasadniczo zgadzał się z decyzją, by umieścić go na tym najbardziej strzeżonym oddziale. Potencjalna siła tkwiąca w tym człowieku budziła prawdziwy respekt. Ale jednocześnie odczuwał też wyjątkową niesprawiedliwość takiej decyzji.

Weteran niemieckiej jednostki Grenzschutzu Gruppen 9, zawsze znajdował się na pierwszej linii w wojnie z terroryzmem i komunizmem, jaką prowadził jego kraj. Walczył, był ranny, widział, jak umierają drodzy mu towarzysze. Większość, jak uważał, niepotrzebnie. Rozumiał, co z człowieka może zrobić stres związany z bezustanną walką. Widział już niejednego, który załamał się pod ciężarem znacznie mniejszym niż ten, jaki złożono na barki Newmana.

A jednak, jeśli wierzyć dokumentom, Newman się nie załamał. Wręcz przeciwnie. Wykonał robotę, dokończył powierzone mu zadanie, a potem, już w niewoli u tych drani Rosjan, dochował wiary: nie ujawnił niczego, zatruwał im życie, zmusił do zastosowania nadzwyczajnych środków, nawet dwukrotnie uciekał.

Edel myślał o nim bezustannie, odkąd doktor Tabbart powierzył mu to zadanie.

Nawet jeśli Newman zabił przy okazji kilku ludzi - a nikt przecież nie mógł zaręczyć, że nie wymyślili tego sami Rosjanie, by oczernić bohatera Zachodu - to w przekonaniu Edela wypełnił tylko swój żołnierski obowiązek. Wykonywał rozkazy, jak na wojnie.

I za to wszystko Newman miał być pogrzebany żywcem - w przenośni albo prawie dosłownie. Traktowany jak szczur przez psychiatrycznych konowałów, którzy oczerniali ludzi pokroju Newmana czy Edela. Ludzi, którzy od niezliczonych pokoleń stali na pierwszej linii, strzegąc bezpieczeństwa przeciętnych, nie lubiących się wychylać obywateli i broniąc ich prawa do życia wolnego od ryzyka.

Edel był w głębi serca produktem niemieckiego militarysty. Nie umiałby nie wykonać rozkazu. Zanotował sobie w pamięci, by zmówić za Newmana modlitwę na śródowym spotkaniu kółka biblijnego, po czym zwrócił się do swoich ludzi, którzy skończyli właśnie obchód terenu:

- Baczość!

Byli żołnierze i policjanci, zatrudnieni w jednej z najlepiej opłacanych firm ochroniarskich w Niemczech, stuknęli obcasami.

Edel przeszedł się wolno tam i z powrotem wzdłuż szeregu strażników. Jednemu poprawił guzik, innemu zalecił przystrzyżenie włosów. W końcu stanął przed frontem.

- Panowie. Spodziewamy się, że personel wraz z dokumentacją zjawi się na miejscu dziś o czternastej zero zero. Ten...uhm... pacjent zostanie przywieziony o piętnastej zero zero. W tym czasie będzie obowiązywać podwyższony stopień gotowości bojowej. W związku z tym chciałem przekazać wam osobiste rozkazy. - Przerwał na chwilę. Na jego

twarży malowała się surowość i patos. - Nie wolno wam zbliżyć się do pacjenta na odległość mniejszą niż trzy metry. Będziecie zachowywać czujność przy każdym, nawet najbardziej nieznacznym ruchu z jego strony, zgodnie z instrukcją. Jeśli pacjent podejmie próbę ucieczki lub zaatakuje kogokolwiek, podejmiecie wszelkie działania, jakie tylko uznacie za stosowne, by chronić życie swoje i innych. Według instrukcji. - Uniósł do góry palec. Kiedy przemawiał, jego głos był stłumiony ze wzruszenia. - Pamiętajcie jednak, by przez cały czas okazywać temu człowiekowi szacunek. Zwracajcie się do niego „sir”. Jeśli tylko nie będzie to sprzeczne z waszymi rozkazami, dołóżcie wszelkich starań, by uczynić jego areszt - szukał przez chwilę właściwego słowa - jak najbardziej znośnym. Nigdy nie zapominajcie, że jest waszym towarzyszem broni, któremu należy się podziw za

wspaniałą służbę. Jeśli musimy go więzić, to dla jego własnego dobra - rzekł ze smutkiem i wyprostował się. - Pamiętajcie słowa naszego ukochanego Zbawiciela: „Bądźcie miłośni, jak Ojciec wasz jest miłosierny”. Rozejść się.

Patrycja spoglądała na mężczyzn zebranych przed budynkiem i miała nadzieję, że nie zapomną o jednym. To ma być szpital, a nie obóz koncentracyjny.

Edel zapewnił ją, że nie posłuży się psami, głównie ze względu na uraz, jaki wielu ludzi wciąż odczuwało na widok uzbrojonych i umundurowanych mężczyzn z groźnymi bestiami na smyczy.

Jack Clemente kończył swoje wystąpienie.

- Krótko mówiąc - ciągnął, przeglądając raport, który dopiero co przeczytał - mówimy o człowieku, który praktycznie od urodzenia był sam. Wychowywany przez kolejne zastępcze rodziny, w szkole, pomimo problemów z dyscypliną, otrzymywał niezmiennie wysokie oceny. Choć ukończył college z wynikiem bardzo dobrym, odrzucił propozycje kilku uniwersytetów proponujących mu stypendia i zniknął na dwa lata, nim zaciągnął się do armii. Uznany za ideał żołnierza o wysokich zdolnościach przywódczych, został rekomendowany do szkoły oficerskiej. Krótko potem postawiono go przed sądem wojskowym za pobicie instruktora musztry, który według Newmana był wobec niego niesprawiedliwy. Przed rozprawą jednak został zwerbowany do wywiadu. - Przerwał na chwilę i zajrzał do notatek. - Osobiście twierdzę, że diagnozę poprzedzającą rekrutację trzeba uznać za przedwczesną. Nie można jednak wykluczyć, że była prawidłowa. - Wziął do ręki pojedynczą kartkę papieru. - Ocena osobowości według testu Menningera/Colemana/Foresmana wskazuje na pewne cechy socjopaty. - Zaczął czytać z kartki: - Zdradza nie-
możność zrozumienia wartości etycznych, z wyjątkiem poziomu werbalnego. Istnieje wyraźna rozbieżność pomiędzy jego inteligencją a dojrzałością sumienia. Jest egocentrycznie impulsywny. Wykazał się nieumiejętnością uczenia się na własnych błędach, z wyjątkiem... - Jack podniósł wzrok - to zastanawiające: z wyjątkiem uczenia się, jak wykorzystywać innych ludzi i unikać kary. - Powrócił do oceny. - Zdradza skłonności hedonistyczne, żyje wyłącznie teraźniejszością, bez refleksji o przeszłości czy przyszłości. Jest miły, da się lubić, potrafi być czarujący i zaskarbiać sobie sympatię i przyjaźń innych. Pod tą maską kryje się cynizm, brak jakiegokolwiek współczucia i wyrzutów sumienia w postępowaniu z innymi. Umie bez trudu wytłumaczyć swoje postęпки, często ukazując je w pozytywnym świetle, na przykład, powołując się na patriotyczny obowiązek. Nie trzeba

oczywiście dodawać, że ma niezwykle bujną wyobraźnię. - Jack przerwał i popił wody ze szklanki, przez dłuższą chwilę zbierając myśli. - Muszę wam jednak na zakończenie przypomnieć, że już samo jego wstąpienie do wojska i zgoda na udział w projekcie głębokiej penetracji wywiadowczej wydają się, przynajmniej na pierwszy rzut oka, sprzeczne z ową diagnozą. - Zamknął teczkę i powiódł wzrokiem po słuchaczach. - A zatem kiedy będziecie mieli z nim do czynienia nie zakładajcie niczego z góry. Obserwujcie, spisujcie spostrzeżenia, wyciągajcie wnioski. Nie ryzykujcie zbyt, ale nie lekceważcie żadnej okazji do bliższego poznania tego człowieka. Nie zapominajcie, że - pomijając jego osobowość - jest on niewątpliwie głęboko sfrustrowany. Warunki, w jakich był przetrzymywany w znacznym stopniu go tłumaczą. - Wreszcie zamilkł. - Pytania?

Jeden z młodych pracowników uniósł dłoń.

- Czy zaciągnięcie się do wojska, a potem przystąpienie do programu nie było po prostu ucieczką przed spodziewaną karą? Przecież czekał go sąd wojskowy...

Jack przytaknął.

- Tak, ale trzeba pamiętać, że kiedy wysłano go z pierwszym zadaniem, miał mnóstwo okazji do ucieczki. Mimo to po wykonaniu każdej misji, zawsze wracał. - Zastanawiał się przez chwilę. - Nietypowe dla socjopaty.

Starsza pielęgniarka poprosiła o głos.

- Przeszłość kryminalna przed wstąpieniem do wojska?

Beck podniósł się z miejsca.

- Bójki na pięści w dzieciństwie. Niebezpieczna jazda samochodem. W wieku piętnastu lat aresztowanie za sprzeczkę z porządkowym na meczu baseballu. Pierwszy poważniejszy incydent to konflikt z instruktorem musztry.

Przyszła kolej na psychologa.

- Jakies anomalie w tomografii komputerowej mózgu albo rezonansie magnetycznym?

Jack potrząsnął głową.

- Jego mózg wygląda tak samo jak mój.

- To rzeczywiście przerażające - odezwał się jakiś anonimowy głos. Rozległy się stłumione śmiechy.

Stażysta z psychiatrii.

- Jakie leki przewidujemy?

- Mam nadzieję, że żadnych - wtrąciła ze swojego miejsca pod oknem Patrycja. - Przynajmniej na początku. - Podeszła do mównicy. - Łatwiej nam przyjdzie zdiagnozować go i leczyć, jeśli będzie cały czas przytomny. - Po chwili dodała: - Oczywiście gdyby zaszła taka konieczność, damy mu środek uspokajający. Nic więcej. - Usiadła. - Poza tym Rosjanie zauważyli u niego znaczną tolerancję na większość lekkich i średnio silnych środków.

- To ich opinia - mruknął pod nosem jeden ze starszych neurologów.

- Jak już przy tym jesteśmy, to trzeba stwierdzić, że niewiele nam powiedzieli o okolicznościach jego aresztowania - wtrąciła siedząca w pierwszym rzędzie lekarka.

Beck popatrzył na nią.

- Pani pytanie?
- Chciałabym wiedzieć, na czym polegało jego zadanie i w jakim stopniu je wykonał. Beck przez chwilę się wahał.
- Zadanie miało charakter strategiczny - rzucił krótko po namyśle.
- Czy może pan mówić jaśniej?
- Mogę, ale jeszcze nie teraz. Wystarczy powiedzieć, że jego misja polegała na zahamowaniu wydajności sowieckiej bazy przemysłowej, co miało doprowadzić do braków w dostawach środków konsumpcyjnych i przemysłowych. Liczono, że spowoduje to zamieszki i naciski na komunistyczną infrastrukturę.

- Jakim cudem mógł tego dokonać jeden człowiek? - spytał ktoś.

- Hipotetycznie? - Beck patrzył twardo i zdecydowanie.

- Okej.

- Znaczne zakłócenia systemu energetycznego wysoko uprzemysłowionej prowincji, takiej jak na przykład Abchazja, gdzie wytwarza się większość części zamiennych dla przemysłu ciężkiego, wywołałaby, jak wolno przypuszczać, reakcję łańcuchową prowadzącą do pożądanego efektu. - Zamilkł na chwilę. Potem mówił dalej: - Przy dostatecznie długotrwałych zakłóceniach w funkcjonowaniu sieci energetycznej, dostawa części zamiennych na terenie Związku Radzieckiego spadłaby, teoretycznie, do poziomu grożącego niemal całkowitym zahamowaniem produkcji przemysłowej.

Mówił cały czas spokojnym głosem, jak profesor podczas wykładu.

Audytoryum zastygło, wszyscy wlepili wzrok w Becka. Zachowywał się tak, jakby w tym hipotetycznym przykładzie kryło się więcej prawdy, niż zamierzał przekazać.

- Abchazja - mruknął w zamyśleniu jeden z lekarzy. Po chwili otrząsnął się z zadumy i powrócił do omawianego problemu. - Nieważne. Jeśli chodzi o uwagi Rosjan co do odporności na leki... - Nagle zamilkł, coś sobie przypominając. - Abchazja - powtórzył cicho, jakby nieobecny myślami. - Czy to nie właśnie tam nastąpił wybuch reaktora?

Po sali przebiegł nerwowy szmer.

- Tak - potwierdził ktoś inny. - Reaktora zasilającego. Promieniowanie objęło swoim zasięgiem połowę wschodniej i centralnej Europy. Nie wspominając już o Azji Środkowej. Zmarło kilka tysięcy ludzi.

- Kiedy to było? - spytał ktoś inny.

Twarz Becka ani na chwilę nie zmieniła wyrazu.

- Chodzi o reaktor grafitowy. Dostarczał dziewięćdziesiąt trzy procent całej energii przeznaczonej dla Abchazji. - Milczał przez dłuższą chwilę. - Do wybuchu doszło mniej więcej sześć i pół roku temu.

W sali zapadła nagle cisza. Wszystkie oczy były wlepione w Becka, który zaciskał szczęki, by nie dać nic po sobie poznać.

- Wracając do wcześniejszych pytań - ciągnął, jakby nie dostrzegał wpatrzonych w niego oczu. - Pan Newman, nim go aresztowano, wykonał swoją misję pod każdym względem.

Cisza pogłębiała się.

- Generale Beck? - dłoń uniósł niemiecki psychiatra.
- Tak?
- Proszę wybaczyć, sir, ale wyrażono tu pewne wątpliwości dotyczące informacji, które nam dostarczono.

Beck wlepił wzrok w doktora, starszego człowieka po siedemdziesiątce.

- Więc?

Doktor mówił niemal łagodnym głosem:

- Jak już powiedziałem, generale, nie chcę być posądzony o brak szacunku. Ale jest pan jedynym człowiekiem na tej sali, który zna pacjenta, i to od dawna. Widzi pan... - przerwał na chwilę i rozejrzał się po sali. - Wiemy, a przynajmniej ci z nas, którzy mieli nieszczęście zetknąć się z byłymi władzami sowieckimi, że często fabrykowały one

informacje, które miały skompromitować ludzi posądzonych o szpiegostwo. Pan, generale, widział dokumenty i zna pan tego człowieka. - Zastanawiał się przez chwilę, jak najlepiej sformułować kolejne pytanie. - Nie zamierzam posądzać służb kontrwywiadowczych NATO o nieudolność, ale...

Beck słuchał z uwagą.

- Proszę mówić.

Doktor skłonił się.

- Dziękuję. Akta mówią o kilku próbach ucieczki z ośrodka odosobnienia, a także o serii ataków na tamtejszych strażników. Również o śmiertelnych wypadkach wśród żołnierzy i personelu cywilnego. Co gorsza, wspomina się też o nie spowodowanym napażdzie na przypadkowych ludzi, całą rodzinę, zakończonym ich śmiercią. - Po chwili milczenia spytał: - Czy może pan, generale, rzucić odrobinę światła na wiarygodność tych informacji?

Tym razem nawet Patrycja i Jack spojrzeli na Becka.

Generał milczał jakiś czas, popijając wodę ze szklanki. Głowę miał spuszczoną i był głęboko zamyślony.

- Doktorze... - zaczął, wciąż pochylony.

- Kapf - dodał uprzejmie starszy człowiek.

- Doktorze Kapf, wojskowy kodeks honorowy stwierdza, że głównym obowiązkiem żołnierza wziętego do niewoli jest podejmowanie prób ucieczki. Jeśli takie próby się nie powiedą, powinien robić wszystko, by zmusić wroga do zaangażowania znacznych sił w ludziach i sprzęcie, zdeorganizować jego działania. - Cały czas patrzył w podłogę. - Nie wolno mi zdradzić treści dokumentów, które nam przekazano, ale mogę wysunąć kilka wniosków. Wszkolenie i wrodzone skłonności Newmana z pewnością nie ułatwiły życia jego strażnikom. Należał do najlepszych agentów, jakich kiedykolwiek wyszkoliliśmy. - Zamilkł na moment. Kiedy znów się odezwał, zdawało się, że mówi do siebie. - Zasoby sił, jakimi dysponuje, i jego pomysłowość budzą doprawdy respekt. - Po chwili zaczął mówić już normalnym tonem, patrząc tym razem na doktora. - Czy co najmniej dwukrotnie podejmował próby ucieczki? Nie można tego wykluczyć. Czy starał się wyrządzić maksymalną szkodę swoim prześladowcom? Ja na jego miejscu tak bym właśnie postąpił. Czy w czasie jego niewoli doszło do serii ataków na strażników? Prawdopodobnie. - Zdawało się, że po jego twarzy, od bruzdy na czole i oczu aż po zaciśnięte wargi powoli

spływał smutek. - Czy podczas którejś z tych ucieczek zaatakował i zamordował niewinną rodzinę liczącą czworo ludzi? - Zamilkł, jakby wzbierał w nim żal. - Po prostu nie wiem. - Odwrócił się i ruszył ku drzwiom. Lecz pod wpływem jakiegoś impulsu przystanął w połowie drogi i znów spojrzął na słuchaczy. - Ale jest do tego zdolny.

Beck wyszedł z sali, nie oglądając się za siebie. Podążał szybko korytarzem, najpierw skręcił w lewo, potem w prawo. Przemierzał bez celu rozległy kompleks, nie dbając o to, gdzie się akurat znajduje ani dokąd dojdzie. Wiedział jedynie, że musi się stamtąd wydostać.

Znalazł się przed drzwiami, które wychodziły na trawnik za budynkiem.

Przypomniał sobie, że ma do wykonania robotę - musiał poinstruować ludzi, opracować procedury, skontrolować systemy.

Było też mnóstwo spraw czekających na rozwiązanie w Stanach. Zagwarantował szefowi połączonych sztabów, że praca nie ucierpi pod jego nieobecność.

Ale wszystko musiało poczekać.

Za wszelką cenę potrzebował odrobiny powietrza.

Wyszedł niepewnym krokiem na trawnik.

Oddalił się o jakieś pięćdziesiąt metrów od głównego budynku, przystanął i poluzował krawat, rozpinając jednocześnie kołnierzyk. Oparty o drzewo, odetchnął głęboko kilka razy, odświeżając płuca. Jakoś się pozbierał.

Przynajmniej na razie.

Ataki klaustrofobii zaczęły pojawiać się coraz częściej i były trudne do przewidzenia.

Nie, to kłamstwo. Były równie przewidywalne jak szwajcarski zegarek albo gejzer w Yosemite.

I coraz silniejsze.

Miał pięćdziesiąt trzy lata. Generał z jedną gwiazdką i bez szans na drugą.

Następne kłamstwo. Mówiąc ściślej, wytłumaczenie przyczyny tych ataków.

Mógł dostać awans, a potem jeszcze jeden. Do diabła, korporacja zawsze nagradzała odniesiony sukces, a Bóg jeden wie, ile ich miał na koncie.

Ale ataki i tak były nieuniknione.

Piętnaście istot ludzkich - dziewięciu mężczyzn, sześć kobiet - zwerbowanych, wyszkolonych, przydzielonych do wykonania określonych zadań.

Piętnaście istot ludzkich wysłanych w charakterze biologicznych pocisków sterowanych przeciwko wrogom.

Piętnaście istot ludzkich, dwanaście lat temu. Sześcioro przetrwało do dzisiaj.

Czworo zginęło podczas misji, poświęcając się Bogu i Ojczyźnie! Miał przynajmniej nadzieję, że tak to wyglądało w ich oczach.

Ale pięcioro pozostałych nawiedzało go w snach i prześladowało na jawie.

Otaczali go tak ściśle, że odcinali mu dostęp powietrza i zmuszali do ucieczki na otwartą przestrzeń.

Tony i Joab, którzy najpierw zamordowali swe żony i dzieci, a potem popełnili samobójstwo, jako pierwsi padli ofiarą tkwiącej w nich presji.

Monika wpadła w szal, kiedy jakiś mężczyzna zajechał jej drogę samochodem. Rozbiła trzy wozy, nim go dopadła i staranowała, by w końcu uciec przed policją.

Ale Beck ją odszukał. Tak jak Chrisa, który systematycznie wysadzał w powietrze billboardy, zasłaniające mu widok gór z okien jego mieszkania. I Colleen, która znalazła swojego Boga, a potem zastrzeliła telewizyjnego kaznodzieję, bo zawiódł jej zaufanie i ukradł pieniądze.

Widział ich wszystkich. Pamiętał dotyk ich dłoni, czuł woń kobiet, pot mężczyzn. Widział spojrzenie oczu, kiedy strzelał im w głowę.

A teraz powróciły do niego twarze pozostałych sześciorga, także Newmana twarze tych, którzy wciąż działali, wykorzystując swe straszliwe umiejętności w każdym niemal zakątku świata.

I wiedział, że musi im pomóc. Znaleźć jakiś sposób, by mogli żyć normalnie, panować nad swym życiem, jak większość ludzi. By odzyskali spokój, na który tak bardzo zasłużyli latami wiernej służby.

Musi im w tym dopomóc!

Albo ich zabić z miłości. By nie stali się tym, czym mogliby się stać bez niego. Dlatego, że już stali się zagrożeniem przez niego, z powodu jego osobistej winy i zła.

Wreszcie dlatego, że było to bardziej humanitarne, niż pozostawić ich, by zniszczyli samych siebie, co wydawało się nieuniknione.

W przypadku Newmana wierzył, że ma w końcu szansę.

Odrzucił się i spojrzął na wyższe piętra głównego budynku.

Alexander Beck był żołnierzem i zabijał wiele razy - osobiście, w Wietnamie i Zatoce Perskiej, ale też rękami innych.

Sześćset pięćdziesiąt ofiar eksplozji i pożaru transsyberyjskiego rurociągu naftowego.

Tysiąc sto ofiar zawalenia się podziemnego tunelu z pociskami raketowymi w Iraku.

Tysiąc sześćset trzydzieści dwie ofiary zniszczenia zapory wodnej i elektrowni w Huanan, w Chinach.

Ponad trzy tysiące ofiar śmiertelnych, około stu tysięcy rannych, niezliczone tysiące cierpiących, w wyniku napromieniowania po zniszczeniu reaktora grafitowego w Abchazji.

Wszyscy oni zginęli, co prawda, nie bezpośrednio z jego ręki, ale na pewno z jego rozkazu.

Stalin powiedział kiedyś, że śmierć jednego człowieka jest tragedią. Śmierć tysięcy tylko statystyką. Beck uważał, że to prawda.

Śmierć tych, których kazał zabić w imię demokracji, nie spędzała mu snu z powiek, nie wywoływała ataków panicznego lęku. Wiedział jednak, że do końca życia zapamięta spojrzenie oczu tych sześciorga - w chwili, gdy będzie musiał ich zabić.

Modlił się tylko, by potem pozostało mu już niewiele życia.

Zapiął powoli kołnierzyk, poprawił krawat i ruszył z powrotem ku głównemu budynkowi; starał się nie dostrzegać wlepionych weń oczu, w oknie na piątym piętrze.

Dziesięć minut później, kiedy już spryskał sobie twarz zimną wodą i przyczesał włosy, wysiadł z windy na piątym piętrze.

Okazując przy każdym z czterech posterunków kartę identyfikacyjną, dotarł na miej-

sce.

Strażnicy pełniący wartę przed drzwiami pokoju stanęli na jego widok na baczność. Beck skinął im głową i podszedł do monitora. Nachylił się i zaczął uważnie studiować scenę na ekranie.

Newman siedział na łóżku, przewracając kartki jakiegoś magazynu.

Ubrany w dżinsy i podkoszulek, wyglądał znacznie lepiej niż przed trzema dniami, w chwili wymiany na granicy polsko-niemieckiej. Zdążył przybrać na wadze ponad dwa kilo, nie kulał już, jak po zdjęciu łańcuchów, i najwidoczniej bez większego trudu adaptował się do nowych warunków.

Lecz Beck znał go zbyt dobrze, by dać się zwieść pozorom. Wcisnął guzik mikrofonu.

- Brian, to ja, Alex. Mogę wejść?

Newman podniósł wzrok znad gazety.

- A mogę cię nie wpuścić?

- Tak. Wystarczy jedno słowo.

- Wejdz.

Przewrócił kolejną stronę.

Beck zawahał się.

- Zagwarantujesz mi bezpieczeństwo?

Na wargach więźnia błąkał się gasnący uśmiech.

- Wejdz i sam się przekonaj.

Beck podszedł do drzwi, dając strażnikom znak. Wyjęli i odbezpieczyli pistolety, patrząc uważnie, jak Beck otwiera drzwi. Przekroczył próg, a wtedy jeden ze strażników zatrzasnął za nim drzwi.

Newman nie podniósł głowy.

- No cóż - stwierdził beznamiętnie. - Jedno muszę ci przyznać. Wciąż masz jaja.

Beck stał bez ruchu.

- Chcę z tobą porozmawiać.

Newman po raz pierwszy oderwał się od kolorowego magazynu.

- Naprawdę? Jestem zaszczycony.

- Mogę usiąść?

Newman wzruszył ramionami.

- To twoja cela dla wariatów.

Powrócił do lektury, Beck przysiadł na łóżku.

- Jak się czujesz?

Newman znów potrząsnął głową i cmoknął językiem.

- Niewłaściwe podejście. Spróbuj jeszcze raz.

- Potrzebujesz czegoś?

Na skroniach Becka pokazały się kropelki potu.

Newman potrząsnął głową.

- Czyż to nie ja powinienem zadać ci to pytanie, generale? - odłożył magazyn i po raz pierwszy popatrzył wprost na Becka. - W co gramy, generale?

- Chciałem cię odwiedzić. Upewnić się, czy przyjacielowi z dawnych lat niczego nie brakuje.

Newman przez dłuższą chwilę przyglądał się starszemu mężczyźnie, w końcu, zadowolony z jakiejś wewnętrznej kalkulacji, przeciągnął się.

- A więc tak.

- Co?

Newman uśmiechnął się. Ciepłym, szczerym uśmiechem.

- Ilu z nas właściwie pozostało, generale?

- Kiedyś zwracałeś się do mnie po imieniu.

- Pamiętam, generale. No więc ilu?

Beck wzruszył ramionami.

- To utajnione.

- Dziesięciu? Pięciu? - Zamilkł na chwilę. - Dobry Boże, niech mi wybaczy, że wzywam jego imienia nadaremno, tylko mi nie mów, że jestem ostatni.

Beck rozejrzał się po niewielkim pokoju o miękkich ścianach.

- Nie - odparł cicho. - Nie jesteś ostatni.

Zdawało się, że ta odpowiedź zadowolila Newmana. Powrócił do swojego magazynu.

- Trzeba nadrobić zaległości. Muszę przyznać, że cieszy mnie tendencja do skracania spódniczek.

Przez następne pół godziny siedzieli razem w absolutnym milczeniu. Newman czytał, Beck mu się przyglądał.

- Próbowaliśmy cię wyciągnąć - odezwał się w końcu cicho Beck.

Newman przytaknął z udaną powagą.

- Nie wątpię.

- Takie rzeczy wymagają czasu.

- Dokładnie sześć lat, siedem miesięcy, dwanaście dni. Pięćdziesiąt siedem tysięcy, dziewięćset siedemdziesiąt dwie godziny, mówiąc jeszcze dokładniej. Nieco poniżej trzech i pół miliona minut. Wiem, policzyłem sobie. - Przerwał i podniósł wzrok. - Nie dość dokładnie? Mogę podać ci liczbę sekund, jeśli chcesz. - Znow się zamyślił. - Nie? Jak sobie życzysz. Pamiętam, że lubisz dokładność.

Wrócił do lektury.

- Cały czas robiliśmy, co w naszej mocy.

- Przykro mi - stwierdził Newman oficjalnym tonem. - Wyczerpaliśmy temat.

Beck był zaskoczony.

- Słucham?

Newman zniżył głos i spoważniał.

- Dziwne słowo jak na ciebie. - Chwila milczenia i znow ten oficjalny ton. - Jak powiedziałem, wyczerpaliśmy temat. Spróbuj w przyszłym tygodniu.

Wstał i podszedł do chronionego żelazną siatką, podwójnego okna.

Beck podniósł się. Na jego twarzy malowało się zmieszanie.

- O czym ty mówisz?

Newman wciąż wyglądał przez okno. Kiedy się odezwał, jego głos był ledwie słyszalny.

- O rozgrzeszeniu.

Beck wpatrywał się w jego plecy przez całą minutę, potem odwrócił się i zastukał w drzwi. Gdy usłyszał dźwięk zasuw, zawahał się.

- Dziś po południu zostaniesz przeniesiony do wygodniejszej kwatery - powiedział zrezygnowanym tonem. - Proszę, nie skrzywdź nikogo.

- Alex? - Newman odwrócił się od okna.

- Tak?

Newman postąpił krok, a strażnicy natychmiast w niego wycelowali.

- Dla ciebie. Ten jeden raz.

Beck skinął głową i wyszedł z celi. Zatrzaśnięto drzwi.

Resztę dnia i część wieczoru Beck spędził na trawniku, patrząc na drzewa i próbując oddychać.

Rozdział czwarty

B było późno, zbliżała się północ, a na oddziale panował spokój. Patrycja siedziała w swoim gabinecie i przeglądała notatki. Przy dźwiękach muzyki Mozarta, opierając stopy o biurko, starała się skoncentrować na krytycznych uwagach, jakie musiała sporządzić.

Przychodziło jej to z trudnością.

Skończył się najbardziej podniecający dzień od wielu lat. Po raz pierwszy zetknęła się z człowiekiem, który uosabiał wszelkie powody, dla jakich zajęła się psychiatrią. Widziała go uwolnionego z więzów, patrzyła mu w oczy - bez krępującej obecności strażników i monitorów,.

Wydawało jej się, że zaczyna rozumieć.

Zmusiła się, by powrócić do dokumentu zatytułowanego „Historia i tło”.

„Trzeciego dnia, około piętnastej dziesiątej, pacjent został przeniesiony z głównego budynku na oddział A-249 - czytała. - Nie zdradzał w tym czasie agresywnego zachowania. Wykazywał chęć do współpracy i pomocy. Doktor Clemente uznał, że nie należy go krępować więzami”.

Prawdę mówiąc, pomimo obecności uzbrojonych strażników, działania przebiegały rutynowo.

Newman był gotowy, kiedy zjawili się w jego celi. Wydawało się nawet, że z chęcią przeniesie się do „domu z dala od domu”, jak to określił. Zachowywał się rozsądnie, nawet spokojnie, wyrażał ochotę do współpracy, nawet żartował sobie z absurdu sytuacji (trzech lekarzy, sześciu uzbrojonych strażników, dwóch sanitariuszy ze sznurami.)

„Jeśli tak to wygląda w przypadku normalnego pacjenta jak ja, to zawołajcie mnie, kiedy będziecie przenosić naprawdę stukniętego typu. Szkoda byłoby stracić takie widowisko!”

Kiedy maszerowali korytarzem, sytuacja nadal wydawała się absurda. Potem było jeszcze gorzej, gdyż ze względów bezpieczeństwa postanowili zrezygnować z windy. Kolumna, niczym wielogłowy wąż, ruszyła kręconymi schodami w dół.

Newman roześmiał się szczerze.

„Tylko żeby nikt się nie potknął - zawołał. - Wszyscy polecimy na łeb na szyję w dół, a winien będę oczywiście ja!”

Patrycja powróciła do lektury.

„Po przybyciu na oddział, pacjent poprosił o możliwość pozostanie na zewnątrz jeszcze przez parę minut, gdyż wiedział, że jego kwatery znajduje się pod ziemią. Jak udało mu się zdobyć tę informację, jest obecnie przedmiotem dochodzenia”.

A dla kilku ludzi powodem zmartwienia - pomyślała. Niepotrzebnie zresztą. W sytuacji, gdy pacjent przebywał już pod kluczem, nie miało żadnego znaczenia, co wiedział o oddziale i jak tę wiedzę zdobył.

Przewróciła kartkę.

„Przerwa trwała sześć minut - kontynuowała lekturę. - Pacjent patrzył głównie na las i na niebo, i podziwiał krajobraz. Następnie dał znak, że jest gotów wejść na oddział.”

Były to naprawdę nerwowe chwile.

Wcześniej, gdy znajdowali się już na początku ścieżki prowadzącej na teren oddziału, Newman nagle przystanął, przez co strażnicy za jego plecami omal na siebie nie powpadali. Tak szybko odskoczyli do tyłu na bezpieczną odległość, że ci z przodu, nie zdając sobie sprawy, co się stało, pomaszrowali dalej. W rezultacie Newman przez prawie pół minuty stał zupełnie sam.

Wśród eskorty zapanowało napięcie.

Strażnicy czym prędzej unieśli broń. Po kilku sekundach zamieszania szef ochrony Edel opanował sytuację.

„Jakiś problem, sir?” - spytał, zbliżając się do człowieka, który uchodził za wyjątkowo niebezpiecznego.

Stanęli twarzą w twarz.

Patrycja wciąż widziała przyjemne zaskoczenie na obliczu byłego więźnia. Prawdopodobnie nikt nie podszedł do niego tak blisko już od lat.

„Zanim schowam się w tej swojej dziurze jak mały królik doświadczalny - poprosił Newman - chciałbym jeszcze popatrzeć sobie na świat. Odetchnąć świeżym powietrzem, poczuć zapach kwiatów. Myślę, że rozumiecie”.

Edel zerknął na doktora Clemente, a nie widząc z jego strony sprzeciwu, zgodził się.

„Oczywiście”.

Newman stał w miejscu, obracając się tylko powoli i chłonąc piękno krajobrazu otaczającego instytut.

„Być może wkrótce - zauważył cicho Edel - pozwolą panu wychodzić do ogrodu. Mo-

że w ogóle pana zwolnią”.

Newman popatrzył na niego.

„Wątpię” - odezwał się w końcu.

„Mimo wszystko, będę się o to modlił, sir” - powiedział Edel, kiedy ruszyli w stronę oddziału.

Patrycja otrząsnęła się ze wspomnień i znów powróciła do lektury dokumentu.

Po przybyciu na miejsce pacjenta oprowadzono po oddziale i zapoznano z regulaminem. Jedyne pytanie, jakie zadał, dotyczyło toalety. Poprosił o choćby odrobinę

dyskrecji w czasie załatwiania potrzeb fizjologicznych. Obie strony szybko doszły do porozumienia: kamera zainstalowana w ubikacji miała być wyłączana, zostanie tylko mikrofon.

Głupie - pomyślała Patrycja przewracając kartkę. W ogóle nie powinno być tam kamery. Podczas pierwszego popołudnia pacjent czytał albo oglądał telewizję. O dziewiętnastej zjadł kolację. Czytał do dwudziestej drugiej, potem poszedł spać”.

Zanotowała, jakie programy oglądał i co czytał.

Spał spokojnie przez całą noc.

„Pacjent wstał nazajutrz rano o piątej trzydzieści i wykonał kilka ćwiczeń fizycznych. Wziął prysznic, potem ogolił się. W oznaczonym czasie zwrócił mydło i przybory do golenia. Obyło się bez jakichkolwiek incydentów. Przed śniadaniem, o siódmej, pozwolił się zbadać”.

Stan fizyczny Newmana poprawiał się z każdym dniem. Waga wciąż za niska, ale stopniowo rosła. Wytrzymałość i refleks już prawie normalne. Nawet skóra, pomimo sztucznego oświetlenia, w jakim pacjent przebywał, przybrała zdrowszy odcień.

Kolejna notatka - dopilnować, by Newman przez dwie godziny dziennie przebywał na słońcu.

Doktor Nellwyn, zgodnie z informacją na ostatniej stronie, zjawiła się na oddziale o szóstej piętnaście i przed wejściem do pomieszczenia pacjenta, co nastąpiło o ósmej trzydzieści, prowadziła obserwację.

Śledziła każdy jego ruch bardzo dokładnie, szukając choćby najmniejszych objawów głębokiej nerwicy - mogło to być zbyt pedantyczne mycie rak, potrzeba szczególnej schludności czy też odwrotnie, skłonność do niechlujstwa, jakiś tik czy coś szczególnego.

Ale niczego nie zauważyła.

Dalej sprawozdanie informowało o wywiadzie przeprowadzonym w pomieszczeniu mieszkalnym pacjenta.

Zapisowi nie towarzyszył żaden komentarz.

Podpisał je doktor Jonathan Clemente, dyrektor pracowni badań behawioralnych.

Przewróciła kolejną kartkę.

Zapis obejmował ponad sześć stron - nagrano każde słowo, każdy dźwięk, po czym wszystko skrzętnie spisano z taśmy. Nazajutrz protokół miał być przekazany personelowi zatrudnionemu przy projekcie i poddany pod dyskusję.

Tego wieczoru jednak miała szansę skonfrontowania osobistych odczuć z suchym zapisem. Napiała się wody sodowej z sokiem winogronowym i zaczęła czytać.

„Doktor Nellwyn weszła o ósmej trzydzieści dwie...”

Kiedy stała przed drzwiami i czekała, aż strażnicy zajmą wyznaczone stanowiska, doznawała takich samych uczuć, jak podczas pierwszej nocy miłosnej. Zwilżyła wargi, poprawiła włosy - tak samo jak wówczas - i dała znak, by wpuszczono ją do pomieszczenia.

Weszła do środka i posłyszała za sobą dźwięk zamykanych drzwi.

Newman stał zgodnie z regulaminem - plecami do drzwi, przy wejściu do sypialni.

Kiedy posłyszał dźwięk zasuwanych sztab, odwrócił się. Na jego twarzy malowała się czujność.

- Dzień dobry - Patrycja siłała się na swobodny ton terapeuty.
- Dzień? Trudno się zorientować, siedząc w tej jamie.

Wzięła głęboki oddech, podeszła do niego i wyciągnęła dłoń.

- Chyba nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni. Nazywam się Patrycja Nellwyn. Poproszono mnie, bym dopomogła panu przejść jakoś przez to wszystko.

Ostrożnie, zdając sobie doskonale sprawę, że każdy jego ruch jest rejestrowany, wyciągnął rękę i uściśnął jej dłoń.

Ten ciepły, zwyczajny gest uspokoił ją.

Newman usiadł w wyściełanym fotelu.

- Co pani ma na myśli?

Patrycja usadowiła się na kanapie.

- No cóż, po tym wszystkim, co pan przeżył, czeka pana okres adaptacji. Chcemy ułatwić panu tę zmianę.

- Rozumiem.

Trudno było wyczytać cokolwiek z tonu jego głosu.

- Jak się pan czuje?

Po raz pierwszy od chwili, gdy ujrzała go w tamtą mglistą noc niedaleko granicy polskiej, uśmiechnął się.

- Pani doktor, jeśli zamierzamy... - urwał. - Jest pani doktorem, prawda? - upewnił się po chwili.

- Tak.

- Jaka dziedzina?

Odwzajemniła jego uśmiech, mając nadzieję, że nie poczuje się onieśmielony.

- Psychiatria.

Zdawało się, że ta odpowiedź go rozbawiła.

- Beck daje pani chyba mnóstwo roboty. - Oparł się wygodniej w fotelu. - Jeśli mamy w ogóle współpracować, pani doktor, to obawiam się, że będzie pani musiała wyjść znacznie poza granice podstawowego wywiadu klinicznego.

- W jaki sposób? - spytała, dostrzegając nutę arogancji w jego głosie, niby nie wymuszoną ani udawaną, ale i nie naturalną.

- Niech pani nie marnuje mojego czasu na bezużyteczne uprzejmości - odparł tym samym, niby aroganckim i poirytowanym tonem. - Zróbmy po prostu to, co mamy zrobić,

w miarę możliwości szybko i skutecznie.

Druga wzmianka o pośpiechu i efektywności. Oznaka podświadomego lęku, by nie odkryto którejś z jego tajemnic.

Poczuła się trochę zbita z tropu.

- Nie lubi pan być uprzejmy?

Ziewnął, jakby się śmiertelnie nudził. Patrycja jednak przypuszczała, że tak samo jak ona od niego, on pragnie wydobyć informacje od niej.

- Pani doktor, błagam.

- Przepraszam - rzuciła jakby od niechcenia i umilkła na chwilę. - Jak pan myśli, dlaczego pan tu jest?

Zamknął oczy.

- Z różnych powodów.
- Na przykład?
- Jest ich wiele, poczynawszy od pani absurdałnego stwierdzenia o terapii adaptacyjnej,

a skończywszy na uwięzieniu poprzedzającym egzekucję.

Wypowiedział te słowa tonem tak beznamiętnym, jakby nie miało dla niego znaczenia, czy będzie żył, czy umrze.

- Uważa pan, że ktoś chce pana zabić?
- Powiedziałem tylko, że istnieje taka możliwość.

Wyciągnął nogi przed siebie, jak człowiek wypoczywający po długim, męczącym dniu.

- Dlaczego ktoś miałby pana zabić?
- A dlaczego w ogóle się zabija? - odparł niemal szeptem.
- Nie wiem, nie mam w tych sprawach doświadczenia. Może pan mnie oświeci?

Nie zmieniając pozycji, otworzył oczy i przechylił głowę, by się jej dokładniej przyjrzeć.

- Jako ekspert?

Znow mu się zmienił głos. Był teraz stłumiony, cichy, groźny.

Patrycja starała się, by jej głos nie zabrzmiał podobnie - tym nowym, niebezpiecznym tonem.

- A jest pan ekspertem?
- Niech pomyślę. - Usiadł prosto, zdawało się, że rozważa odpowiedź. - Przyjmijmy, że jestem praktykiem.

- A więc?

Patrzył na nią, odsłaniając zęby w czarującym i jednocześnie niepokojącym uśmiechu.

- Raczej przypadkowy praktyk, taki jak pani, mógłby wymienić dowolną liczbę powodów. A chodzi tylko o obniżoną zdolność do rozeznawania własnych czynów. Racjonalizacja, zna to pani?

Zapisała ostentacyjnie to wyrażenie.

Wydawało się, że znow jest znudzony. Odchylił się i zamknął oczy.

- Powinna pani to znać. Podstawy psychoanalizy, pani doktor.
- Może pan mi wyjaśni? - spytała niedbałym tonem.

Mogli długo bawić się w tę grę. Doskonale wiedziała, że toczą walkę o kontrolowanie ich terapeutycznego związku. Gdyby zbyt się starała, domagała się odpowiedzi na pytania, szybko znalazłaby się na gorszej pozycji.

Pod żadnym pozorem nie mogła do tego dopuścić.

Nie w przypadku Newmana.

Jej taktyka się sprawdzała.

Newman znów się wyprostował i mówiąc zaczął gestykulować. Wywabiła go z kryjówki, w której szukał schronienia.

- Zabija pani, ale w momencie dokonania czynu usprawiedliwia go pani jako coś koniecznego - wyjaśnił tonem zawodowca. - Nawet jeśli sprawa to pani ukrytą przyjemność, podaje pani wyjaśnienia typu: „Wolałabym tego uniknąć, ale...”

Przerwała mu.

- Już drugi raz bierze mnie pan za przykład. Sądzi pan, że jestem zabójcą?
- Wszyscy jesteśmy zabójcami, pani doktor.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Nie był podniecony, ale wydawało się, że ruch ułatwia mu koncentrację.

- Zgniotła pani kiedyś muchę, nadepnęła na pluskwę, utopiła swojego nauczyciela gry na pianinie? - spytał, kartkując jakąś książkę.

- Brałam lekcję akordeonu - sprostowała żartobliwie Patrycja.

Odłożył książkę z wyrazem niekłamane obrzydzenia na twarzy.

- Cyfry, nic więcej.
- A więc - zauważyła, uśmiechając się do niego - zabicie muchy znaczy tyle samo co zabicie człowieka?

Znieruchomiał nagle, ukazując jej jeszcze jedno oblicze.

- Albo kobiety.

Miał wyraz twarzy jak u jakiegoś drapieżnika. Absolutnie pierwotny. Przyglądał się jej z pełnym seksualnego pożądania zainteresowaniem.

I nagle ta twarz zniknęła. Powróciła znudzona, uśmiechnięta maska.

Ale Patrycja zdążyła ją zauważyć!

- Jakim cudem?

Wzruszył ramionami.

- Mucha żyje, oddycha, rozmnaża się, ma świadomość, cel istnienia. Zwija pani w rulon gazetę i kładzie temu wszystkiemu kres, zadając znacznie więcej bólu niż sznur od lampy owinięty wokół czyjegoś gardła.

- A zatem - stwierdziła, robiąc notatki - stawia pan wszelkie życie na jednej płaszczyźnie. Każde jest jednakowo cenne.

- W każdym razie na pewno jednakowo kruche.

Opadł na krzesło, najwyraźniej wyczerpany.

- Powinna pani przyłożyć tam trochę balsamu - zauważył mimochodem.

Patrycja przeglądała właśnie notatki.

- Słucham?

- Na spierzchniętą skórę przy pani lewej piersi - wyjaśnił. - Kiedy nie ma pani na sobie tego obcisłego stanika z przeceny. - Uśmiechnął się. Był to niekłamane czarujący, ale

i pożądlivy grymas. - Dzięki za przyjemne wrażenia.

Patrycja wyprostowała się nagle, sprawdzając palcami guziki fartucha. Próbowała zrobić to niby odruchowo, ale jej się nie udało.

- Cieszę się, że się panu podobam - odpowiedziała po prostu, chcąc jednocześnie ukryć zdenerwowanie. - A więc - z trudem podjęła rozmowę - dlaczego ktoś miałby pana zabijać?

Uniósł dłonie i klasnął lekko.

- Bardzo dobrze. - Wyprostował się, szczerząc zęby w uśmiechu. - Bardzo dobrze, pani doktor. Już się bałam, że zapomniała pani o swoim pytaniu.

- A potrafi pan na nie odpowiedzieć?

- No cóż, potrafię. Hipotetycznie, ma się rozumieć.

- Ma się rozumieć.

Pocierał usta wskazującym palcem, zastanawiając się.

- Wymieniliby trzy możliwe powody, jak sądzę. - Myślał przez chwilę. - Ale to byłyby kłamstwa, rozumie pani.

- Proszę mówić dalej.

- Po pierwsze stwierdziliby, że popełniłem zbrodnię w Stanach, jeszcze przed moim ostatnim zadaniem. Mogliby dodać, że odkryto je dopiero wówczas, gdy znajdowałem się poza ich zasięgiem. Następnie oświadczyliby, że właściwą karą może być tylko śmierć.

- Ale czy nie wymagałoby to jakiejś formy procesu sądowego przed wykonaniem egzekucji? - spytała z niekłamanym zainteresowaniem.

Newman najwyraźniej się bawił. Siedział na brzegu fotela z szeroko otwartymi oczami i kiwał głową, potakując.

- Być może. Jednak niewykluczone, że znalazłem się tu z innego powodu. By ulec jakiemuś „wypadkowi”, który pozwoli zaoszczędzić kosztów i kłopotów związanych z rozprawą.

- Proszę mówić dalej.

- Druga możliwość. Twierdzą, że stanowią zagrożenie dla społeczeństwa i powinienem być zgładzony dla dobra publicznego.

- I... - naciskała delikatnie Patrycja. Newman się otworzył, a ona nie chciała nic takiego powiedzieć czy zrobić, co by go zniechęciło.

- Trzecia możliwość - ciągnął, nie zwracając na nią uwagi. - Mogą mnie zabić w ramach tajemnego układu z Rosjanami.

- Nie rozumiem - przyznała z niekłamanym zdumieniem. - Jeśli Rosjanie chcieli pana śmierci, to czyż nie zabiliby pana w swoim więzieniu?

- Byłoby to politycznie niewskazane, a Rosjanie są bardzo uczuleni na tym punkcie. - Podniósł palec w geście triumfu. - Ale to, że zabiją mnie za nich moi rodacy, to całkiem do przyjęcia. Taką właśnie odmianę dialektyki wyznają.

Patrzył jej prosto w oczy. Każdy ruch, każde spojrzenie mówiło: „Czyż nie jestem cwany? Cwańszy niż wszyscy, z którymi miałaś do czynienia? Cwańszy nawet niż ty?”

Nie dała się sprowokować.

- Ale żaden z tych powodów nie byłby prawdziwy - stwierdziła stanowczo.

- Nie. - Jego arogancja nagle zniknęła. - Nie ma w tym nic dramatycznego.

- A więc powracamy do pytania, jakie zadałam panu na samym początku.
- Zapomniałem, jak brzmiało - wyznał, znów przyjmując leniwą pozę.
- Jaki byłby prawdziwy powód? Dlaczego mieliby pana zabijać?
- Ach - stwierdził. - O to chodzi.

Zdawało się, że czeka, by coś powiedziała, coś zrobiła. Ale ona tylko siedziała, patrząc na niego cierpliwie.

Czekała.

Newman westchnął głęboko.

- Zabiliby mnie z tego samego powodu, z jakiego zabija pani muchę. - Myślał przez chwilę. - Człowiekowi od razu lżej, kiedy pozbędzie się irytującego kłopotu.

- I uważa pan, że coś takiego nastąpi? - spytała cicho.

Wyprostował się tak gwałtownie, że aż podskoczyła.

Zachichotał zadowolony, że odniósł nad nią już drugie dnia małe zwycięstwo.

- Nie bardzo. Dlaczego mieliby mnie zabijać? To dobre chłopaki, prawda?

Mówił głosem pełnym zadowolenia, ale też fałszywych nadziei i skrywanych niepokojów.

Obserwował Patrycję, która starała się odzyskać panowanie nad sobą.

- Ale to interesujące przypuszczenie. Nie sądzi pani?

- Więc dlaczego pan tu jest? - spytała i zaczęła notować, by ukryć zdenerwowanie.

Newman splótł dłonie. Kiedy się odezwał, Patrycja miała wrażenie, że ciągle myśli o czymś innym.

- Moja odpowiedź byłaby czystą spekulacją - stwierdził po chwili. - Nie chcę zabierać pani czasu.

- Mamy mnóstwo czasu - odparła łagodnie. Wyczuwała, że jest bliski jakiegoś wyznania.

- Może mi to pani obiecać? - spytał. Po chwili dodał: - Tylko żartowałem.

Ton głosu i żartobliwy nastrój były wyraźnie wymuszone.

- Jeśli nie przychodzi panu do głowy żadna odpowiedź, możemy kontynuować - namawiała go ostrożnie.

Wstał i ruszył szybkim krokiem w stronę sypialni, biorąc po drodze gazetę.

- Doskonale! - zaśmiał się ironicznie. - Sprowokować pacjenta! Wyższa szkoła metodologii psychiatrycznej, pani doktor. Moje gratulacje!

Zignorowała jego ton.

- Jak pan sądzi, dlaczego pan tu jest?

Przystanął w drzwiach sypialni.

- Podejrzewam, że stało się coś złego z programem - odparł z nutą smutku i czegoś jeszcze. Może zmartwienia i troski. - A jestem tutaj, by mogła się pani zorientować, co to było, i spróbować to naprawić - dodał z wolna.

- Interesujące.

- Niech pani poczeka, aż pani zobaczy moje sztuczki z kartami - rzucił jeszcze, wychodząc do sypialni.

Patrycja skończyła czytać i wyczerpana zamknęła teczkę. Newman w żaden sposób

nie dał się jednoznacznie sklasyfikować, zdradzał tyle sprzecznych, wzajemnie wykluczających się zachowań. Skupiała się na czymś, sądząc, że uchwyciła nić, która doprowadzi ją do właściwej odpowiedzi. Nagle pojawiał się jakiś kompleks, objaw nerwicowy czy coś trudnego do określenia, co z miejsca podważało jej teorię.

Wsunęła stopy w pantofle i wstała.

Miała początkowo nadzieję, że lektura zapisu rozmowy pod kątem ściśle klinicznym umożliwi jej uchwycenie tej nici, pominięcie fałszywych tropów i dotarcie do korzeni. Ale choć przebrnęła przez jedną trzecią dokumentu, wiedziała mniej niż kiedykolwiek.

Wsunęła bluzkę w spódnice, czując się nieswojo w drogim staniku. Dwie rzeczy wydawały się absolutnie pewne.

Newman był inteligentnym, biegłym graczem, dysponującym pewnym zasobem wiedzy psychoanalitycznej. W jego przypadku podejście konwencjonalne nie dawało pożądanego rezultatu. Powinna posłużyć się czymś nowym. Niech Jack Clemente rozbija sobie głowę o stalowe drzwi fortecy, jaką Newman wznosił wokół siebie. Ona zajdzie go od tyłu i spróbuje wejść przez okno.

Druga rzecz, być może najważniejsza: Newman był bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

Żadnej chwiejności, nagłych napadów nerwicy czy braku samokontroli. Do diabła, zdawało się, że ten człowiek zachowuje równowagę bez względu na to, z której strony się do niego podchodziło. Jak kot.

Był bardziej niebezpieczny niż ktokolwiek inny.

Po prostu stwierdził - na drodze racjonalnego rozumowania albo irracjonalnych praw jakiejś antylogiki - że zasady życia społecznego jego nie dotyczą.

Tym samym, uwolniony od powszechnie akceptowanych pojęć dobra i zła, stawał się zdolny do wszystkiego.

Kiedy zjeżdżała windą, w jej umyśle kołatała nowa, jeszcze bardziej niepokojąca myśl.

Jeśli przyjąć, że Newman po rozważeniu wszelkich możliwości postanowił działać według własnych zasad, a nie powszechnie przyjętych reguł, jeśli odrzucił wyrzuty sumienia, to czy faktycznie był chory umysłowo? Czy też stanowił zupełnie nowy twór, jakiś nowy rodzaj człowieka, budzącego w społeczeństwie taką grozę, że domagało się spalenia go na stosie?

Zmierzając w stronę samochodu, zmagając się z niepokojącymi myślami, próbowała za wszelką cenę uwolnić się od następnego pytania, które się logicznie nasuwało.

A jeśli Newman nie jest jedyny?

Po powrocie do domu włożyła do magnetowidu kasetę z kreskówkami Disneya. Chciała odpędzić te męczące myśli, przynajmniej na tyle, by móc zasnąć.

Ale pytanie, pomimo późnej pory, powracało uparcie.

Poranna sesja stanowiła też przedmiot myśli człowieka, który spał, jak się wydawało, w swoim podziemnym mieszkaniu na oddziale A-249.

Newman leżał na łóżku, ubrany w spodnie od dresu i podkoszulek, oddychając głęboko i regularnie. W pokoju panowała cisza, tylko od czasu do czasu było słychać szum

obiektywu kamery o zmiennej ogniskowej, która obserwowała, jak przekręca się na łóżku w czasie głębokiego, zdrowego snu - rozluźniony i spokojny.

O to mu właśnie chodziło.

Leżał tak z zamkniętymi oczami już od dwóch godzin, spowalniając oddech.

Początkowo przybrał pozycję embrionalną, by stopniowo prostować ciało. Małeńka strużka śliny spływała powoli na poduszkę, w miarę jak starał się zapanować nad oddechem, nadając mu rytm typowy dla człowieka pogrążonego w głębokim śnie.

Był to trudny, bolesny proces, ale Newman doskonalił technikę przez sześć lat.

Wysunął gołą stopę spod koca, kilka razy na ułamek sekundy napinał mięśnie, jakby pod wpływem jakiegoś bodźca ze snu; po ciele przebiegało mimowolne drżenie. Włosy opadły mu na twarz, ramię spoczywało bezwładnie. Poruszał prawie niedostrzegalnie powiekami.

Słyszał, jak obiektyw kamery cofa się, przyjmując normalny, szeroki kąt widzenia; niewidoczny obserwator był przekonany, że Newman jest dla świata martwy.

Dopiero teraz, po dwóch godzinach starannego konstruowania „nocnej zasłony”, skupił się na najważniejszym problemie.

Na ucieczce!

Godziny spędzone w tym miejscu odosobnienia były niezwykle owocne.

Wcześniej z górnego okna głównego budynku mógł widzieć znaczną część terenu na tyłach instytutu, a także wokół budynku, w którym obecnie przebywał. Obserwował przypadkowe patrole ochrony, widział, które lampy się zapalają i jaki obszar obejmują swoim blaskiem. Ale nie potrafił odpowiedzieć na najważniejsze pytanie.

Jak daleko ciągnie się las na tyłach instytutu i czy wznosi się tam ogrodzenie.

Dzięki przenosinom do nowego mieszkania uzyskał odpowiedzi na inne, ważne pytania.

Wąskie ścieżki biegingy między budynkami, nie przecinały ogrodów ani zarośli.

Trawnik był tylko z pozoru płaski i zadbane. Kiedy się na niego patrzyło, wydawał się nieskazitelny, krótko przystrzyżony, jakby krył pod sobą względnie płaską, twardą glebę. Ale w miarę oddalania się od głównego budynku, jego powierzchnia stawała się mniej równa, ziemia nie tak zbita, bardziej miękka. Kiedy przystanęli, by „powąchać róże”, poczuł, jak jego stopa zagłębia się w sprężystej trawie.

Należało z kolei przeanalizować odległości.

Niektóre były znaczne, ale Newman starannie określił je krokami, gdy go przeprowadzano z miejsca na miejsce.

Sześćdziesiąt jeden metrów - szerokość budynku mieszczącego oddział.

Dwieście pięćdziesiąt metrów od wejścia na oddział do tylnych drzwi głównego budynku instytutu.

Dziewięćdziesiąt metrów - szerokość głównego budynku.

Teraz przyszedł czas na obliczenia.

Wciągnął stopę pod koc i odsunął głowę od mokrej plamy na poduszce.

Ruchy miał konwulsyjne, niekontrolowane, jak u osoby pogrążonej w głębokim śnie.

Samochód, minąwszy frontową bramę Instytutu, jechał do głównego wejścia czterdzieści dwie sekundy, z prędkością mniej więcej pięciu mil na godzinę.

Okolo dziewięćdziesięciu trzech metrów i siedemdziesięciu pięciu centymetrów. Bezpieczniej przyjąć dziewięćdziesiąt pięć metrów.

Oceniając długość głównego budynku w przybliżeniu na trzysta dwadzieścia pięć metrów, pamiętając jednocześnie, że oddział stoi mniej więcej na jego osi, i że główny budynek sięgał do połowy wschodniego ogrodzenia...

Poruszał lekko wargami, dokonując obliczeń. Sanitariusz na dyżurze zanotował to.

„Pacjent zdaje się mówić przez sen, choć zbyt niewyraźnie, by mikrofony mogły cokolwiek wyłapać.”

Trzysta dwanaście metrów od oddziału do wschodniego ogrodzenia. Bezpieczniej przyjąć trzysta piętnaście.

Identycznie obliczał odległość do ogrodzenia zachodniego.

Sto osiemdziesiąt metrów, przyjąć sto dziewięćdziesiąt.

Ustalenie, jak daleko jest od oddziału do lasu, nastęczało więcej trudności.

Teren był w tym miejscu bardziej nierówny, a Newman nie miał okazji dobrze mu się przyjrzeć. Wydawało mu się, że ta odległość wynosi ponad dwie długości samego oddziału.

Sto dwadzieścia dwa metry. Bezpieczniej przyjąć sto dwadzieścia pięć.

Wciąż nie uzyskał odpowiedzi na pytanie, jak głęboki jest las i co się za nim znajduje.

I tak już dużo ustalił. Wiedział teraz dokładnie, ile czasu potrzeba, by dotrzeć od głównego wejścia na oddział, do jakiegokolwiek punktu na terenie instytutu.

W optymalnych warunkach, biegnąc z szybkością ponad sześciu metrów na sekundę (tempo niezbyt szybkiego sprintera z college'u)... jego wargi znów zaczęły się poruszać, a dżurny w pokoju obserwacyjnym sporządził, tak jak uprzednio, notatkę.

Do głównej bramy: jedna minuta, dziewięć sekund.

Do wschodniego ogrodzenia: pięćdziesiąt dwie sekundy.

Do zachodniego ogrodzenia: trzydzieści jeden sekund.

Do lasu: dwadzieścia jeden sekund.

Zadowolony, przekręcił się na bok, przybierając nową pozycję, i skupił się na kolejnym problemie.

Jak przedostać się do głównego wejścia oddziału.

Proste rozwiązanie siłowe nie wchodziło w rachubę. Zbyt wielu strażników, za dużo zamkniętych drzwi, za dużo kamer. Nie wspominając już o windzie.

Nie, będzie musiał ich nakłonić, by wypuścili go z oddziału, a potem sprawić, by obserwacja nie była tak ścisła, uspić ich czujność i zyskać pięć minut niczym nie skrzepowanej swobody.

Ale jak to zrobić?

Odpowiedź nasuwała się natychmiast, oczywista jak szum poruszającego się bezstannie obiektywu.

Muszą sami tego chcieć.

Przystąpił do oceny tych, których miał okazję obserwować z bliska.

Clemente był przykładem psychiatry-tradycjonalisty. Stosował sprawdzone techniki. Ostrożny, doświadczony, konserwatywny.

Newman postanowił zająć się nim później.

Nellwyn. Interesująca.

Znacznie mniej pewna siebie, niż starała się to okazać, była również najinteligentniejsza z całej grupy. Podczas sesji dominował nad nią, ale tylko dlatego, że mu na to pozwoliła. Intrygowało go to.

Podjejrzał, że jest dobrym psychiatrą, ale musi czuć się niedoceniona. Miała skłonności do niekonwencjonalnego podejścia, wydawała się ulegać nieco ekscytacji, ale była

inteligentna, przenikliwa i spostrzegawcza.

Z całego serca i duszy pragnęła - a i Newman to dostrzegał - nie tylko mieć rację, ale i to okazywać. I było coś jeszcze.

Doktor Patrycja Nellwyn pod zimnym, profesjonalnym obiektywizmem i złymi manierami skrywała przekonanie, że jest poczwarką - brzydką gąsieniczką, która za moment przybierze postać pięknego motyla; a jednak była niezdolna przeobrazić się do końca czy wytrwać w tej nowej postaci dłuższy czas. Więc rozpościerała wielobarwne skrzydła jedynie w swej wyobraźni.

Gdyby zobaczyła, że ktoś inny widzi w niej motyla...

Postanowił, że Patrycja pójdzie na pierwszy ogień.

Szef ochrony, Edel, wydawał się dość prostym przypadkiem. Prawdopodobnie były żołnierz zawodowy albo policjant. Sprawiał wrażenie twardego, uczciwego i odważnego. A także, na nieszczęście dla siebie samego, zdolnego do współczucia.

Też ważna postać, ale na drugim planie. Newman zanotował sobie w myślach, by odświeżyć lekturę Biblii. To był klucz do Edela.

W końcu, po raz setny od chwili swego uwolnienia, skupił uwagę na osobie, którą, jak sądził, najłatwiej będzie podstępnie nakłonić do mimowolnej współpracy.

Alexander Beck.

Jego poczucie winy było oczywiste. Wcale go nie ukrywał. Ten człowiek przypominał porcelanową lalkę, którą upuszczono na ziemię o jeden raz za dużo. Poznaczony pęknięciami, ledwie dostrzegalnymi szczelinami, trwał jedynie dzięki sile woli, dyscyplinie i doświadczeniu. Jego największym pragnieniem, struną, którą należało poruszyć, była potrzeba całkowitego, głębokiego przebaczenia.

Przypominał dziecko, które błaga rodziców, by je pocałowali i tym samym sprawili, że stanie się lepsze; które zrobiłoby niemal wszystko, by zaznać takiej chwili spokoju i szczęścia.

Ale Beck stanowił również niewiadomą.

Wiedział niemal wszystko, co wiedział Newman, wielu rzeczy sam go nauczył. I choć głos sumienia i poczucie moralności nie pozwalały mu na swobodę działania, jaką dysponował Newman, gdyby doszedł do wniosku, że zysk przewyższa koszty, mógł być równie skuteczny jak on.

Ale Beck musiał toczyć walkę ze z sobą.

Nie ulegało wątpliwości, myślał Newman, pogrążając się z wolna we śnie, że Beck to słabe ogniwo. Znajdź klucz do tego człowieka, a drzwi oddziału otworzą się na oścież.

Po Becku druga w kolejności była Nellwyn. Potem, najprawdopodobniej, Edel.

Troje drzwi, zamkniętych, zabezpieczonych, ale możliwych do sforsowania dzięki jednemu w końcu kluczowi, jakim są ich ludzkie słabości.

W końcu zasnął.

Dochodziła trzecia nad ranem.

Za oknem było zimno i mgliście. Strażnicy, przemierzając z pochylonymi głowami ustaloną trasę, podnieśli kołnierze. Przy każdym punkcie kontrolnym wyciągali radiostacje i przekazywali odpowiedni meldunek.

Gdy znaleźli się przy wschodnim ogrodzeniu, w połowie drogi między główną bramą i lasem, powtórzyli całą procedurę.

- Tu patrol siedem, jesteśmy przy punkcie Echo Trzy.
- Patrol siedem, zrozumiałem - rozległo się na tle cichych trzasków. - Tu Show 0256, odbiór.
- 0256, zrozumiałem. Ruszamy w kierunku Echo Cztery.

Kontynuowali marsz, rozmawiając o zbliżającym się meczu piłki nożnej.

Nie dostrzegli groźnego cienia, który ruszył tuż za nimi.

Zdawało się, że przycupnął na moment w miejscu, skąd właśnie odeszli, jakby czekał z podjęciem decyzji, aż obaj strażnicy się oddalą. Po pięciu minutach ruszył bezgłośnie po trawniku, kierując się na zachód.

W którymś punkcie, tuż obok głównego budynku, znów przypadł do ziemi. Czekał tam, niewidoczne coś, obserwując pielęgniarkę i dwóch sanitariuszy, którzy szli ścieżką w stronę parkingu. Trzy minuty później znów przebiegł kawałek.

Podążył wzdłuż tylnej ściany głównego budynku i zatrzymał się na chwilę przy zachodnim ogrodzeniu. Ruszył na północ, w stronę lasu, mając po lewej stronie ogrodzenie, a po prawej oddział A-249. W końcu zatrzymał się bezgłośnie.

Trwał tak nieruchomo, w całkowitej ciszy, niczym nie zdradzając swego istnienia. Nieco głębsza ciemność na czarnym tle.

Po dwudziestu minutach, słysząc zbliżających się od strony zarośli strażników, przemknął się dalej.

Sunął bezgłośnie ku budynkowi oddziału, w końcu zatrzymał się na granicy obszaru, który znajdował się pod obserwacją kamer.

Tam pozostał - nieruchomy, wyodrębniony z otoczenia, a jednak weń wtopiony. Samotne, groźne coś, między oddziałem a zachodnim ogrodzeniem, które widziało główne wejście do budynku i cały trawnik.

Pozostał tam przez całą noc, a potem przez wiele kolejnych nocy. Tkwiał w miejscu, jak czarny słup, bez słowa skargi, ulgi czy wyjaśnienia. Gdy do świtu pozostawało tylko dwadzieścia minut, podnosił się i ruszał ukradkiem w stronę zarośli.

Piąta trzydzieści nad ranem.

Budzik Patrycji zabrzączał gwałtownie i hałaśliwie. Natychmiast go wyłączyła.

Nie spała już od dobrej godziny. Czytała.

Obejrzała mnóstwo kreskówek i nasłuchiwała się muzyki, nie zdołała jednak uciec od myśli o Newmanie. Znow wzięła do ręki zapis rozmowy.

„Pacjent powrócił do części mieszkalnej - czytała - spędziwszy w sypialni jedenaście minut na lekturze.”

Patrycja wiedziała, że Newman ich sprawdza. Spodziewał się, że go pozostawią, porzucą. Uważał, że tak właśnie zrobili, kiedy przebywał w Rosji. A zatem, by uniknąć bólu, sam się wycofał.

Jeśli mam rację - rozmyślała Patrycja - to muszę tu pozostać, dopóki nie powróci.

- Jeszcze tutaj? - spytał przyjaźnie, odkładając magazyn na stolik.
- Owszem.

Włączył radio. Nastawił niezbyt głośno jakąś stację z łagodnym rockiem.

- Przypuszczam, że ma pani powody.
- Chcę pomóc.

Uniósł brwi.

- Dlaczego?

Było to jedyne pytanie, jakiego się nie spodziewała. Na szczęście nie musiała odpowiadać.

- Chodziło mi o to - dodał Newman, opadając z powrotem na krzesło - że musi pani dostawać mnóstwo pieniędzy od Wuja Sama. - Zastanawiał się przez chwilę. - A tak na marginesie, ile jestem wart?

Wyglądał na szczerze zainteresowanego.

- Nam, prostytutkom, nie zdradzają takich rzeczy - odparła z uśmiechem. - Ale pewnie całkiem sporo, nie uważa pan?
- Dlaczego?

Wydawało się, że Newman traci cierpliwość.

Patrycja ciągnęła tonem zwykłej rozmowy:

- No cóż, nie chcę, by zabrzmiało to zarozumiale, ale nasz instytut wymaga znacznych funduszy. Wystarczy policzyć ludzi wyznaczonych do opieki nad panem, a od razu widać, że komuś na panu cholernie zależy.

- Nie na mnie, na programie - odparł po dłuższym namyśle.
- Czy naprawdę zadaliby sobie tyle trudu, tak bardzo by się dekonspirowali, gdyby zależało im jedynie na programie?
- Nie zna ich pani.
- Więc niech mnie pan oświeci.

Zapadło długie milczenie. Patrycja zaczęła już podejrzewać, że posunęła się za daleko.

- Czy wie pani cokolwiek o rekinach, pani doktor? O wielkich białych rekinach, żarłocznych ludojadach? - spytał głosem tak cichym, tak przytłumionym i zmienionym, że musiała wyteńczyć słuch.

- Niewiele.
- *Carcharodon Carcharias*, tak brzmi ich naukowa nazwa. Są samotnikami. Nikt nie wie, jak długo żyją ani jak żyją, jeśli już o tym mówimy. Wszystko, co robią, sprowadza się do trzech rzeczy - pływania, jedzenia i prokreacji.

Przytakiwała, starając się ukryć podniecenie. Udało jej się nakłonić Newmana, by zdradził jej uczucia, jakie żywił w stosunku do siebie. Nie ulegało wątpliwości, że za Wielkim Białym Rekinem, najbardziej przerażającą istotą głębin oceanicznych, kryje się on sam.

- Proszę mówić dalej.

Zdawało się, że Newman błądzi myślami gdzieś daleko.

- Niech pani wrzuci do wody skaleczoną rybę albo rozleje na powierzchni wzburzonego morza litr krwi, a Wielki Biały Rekin wyczuje ją z odległości stu mil. Będzie nawigował bezbłędnie, ominie albo przeplynie wszelkie przeszkody, byle dostać się do żeru. Kiedy zjawia się na miejscu, mimo swych rozmiarów, siły, i oczywistej przewagi - czeka. Krąży wkoło, dopóki się nie upewni, że jego ofiara nie może podjąć walki, nie może się

opierać. Dopiero wtedy uderza. Zazwyczaj od tyłu.

Trudno o lepszą metaforę tego, czym stał się Newman - myślała Patrycja. - Drapieżca, który wbrew wszechwładnym zwierzchnikom wciąż czeka, aż ewentualna ofiara będzie absolutnie bezbronna.

Z trudem się powstrzymywała, by nie zacząć opisywać tego psychicznego odsłonięcia się.

- Tak?

- Niech pani posłucha. Piętnaście milionów lat temu istniał przodek Wielkiego Białego Rekina. Nazywają go *Carcharodon Megalodon*. Dziesięciokrotnie przewyższał rozmiarami obecnego rekina. Kiedyś znaleziono skamieniały ząb, należący do niego. Był większy od pani ręki.

Patrycja spojrzała odruchowo na swoją dłoń.

Newman albo tego nie dostrzegł, albo udawał, że nie dostrzega.

- Gdyby żył dzisiaj, a niektórzy utrzymują, że tak jest, mógłby połknąć w całości małą łódkę. Żadna przeszkoda by go nie powstrzymała. - Zaśmiał się gorzko. - A już na pewno nie jakaś skaleczona rybka.

Skinęła poważnie głową.

- A pan uważa, że dzięki swojej osobowości i wyszkoleniu, stał się Megalodonom, niepowstrzymanym lewiatanem - stwierdziła akademickim tonem. - I jak to zwykle się dzieje w przypadku potwora z głębin, podejrzewa pan, że ci, którzy pana stworzyli, teraz się pana lękają, i dlatego chcą go zabić. - Po chwili milczenia dodała: -R ozumiem.

Newman wstał i znużony potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie, pani doktor.

Westchnął i stąpając ciężko poczłapał do sypialni.

- Megalodon to ludzie, dla których pracuję. Rząd. Pani i mój. - Znów umilkł.

Po chwili dodał. - A ja? Ja jestem tylko skaleczoną rybą.

Część druga

PSY GOŃCZE

Rozdział piąty

Widzowie, wychodzili z teatru wprost w objęcia szybko zapadającego jesienno moskiewskiego zmierzchu.

Zgodnie ze stuletnią tradycją, przystawali grupkami na marmurowych stopniach obok korynckich kolumn i wymieniali uwagi o przedstawieniu. Tradycja wymagała też, aby bez względu na to, czy przedstawienie było dobre czy złe - a dzisiejsze było znakomite - znaleźć w nim jakieś potknięcia.

- Mogłabyś uwierzyć, że ubiorą tę kobietę w tak wzorzystą suknię? - spytał z lekceważeniem jakiś mężczyzna.

- I ten dekolt - zrzędziła starsza kobieta. - Było jej widać prawie całe piersi!

- Jeśli miała w ogóle co pokazywać - dorzucił zadowolony z siebie mężczyzna.

Witenka kręcił głową, przeciskając się przez tłum stojący pod kolumnadą.

Rewolucja, czy nie rewolucja, myślał, moskwianie są zawsze tacy sami.

Podszedł do grupki przyjaciół. Mężczyźni w mundurach, kobiety w kosztownych - jak na Rosję - sukniach.

- Zastanawiam się, czy autor sztuki ma jakiegokolwiek pojęcie o życiu na dworze Katarzyny - mówił młody człowiek.

- Czyż suknie nie były cudowne? - wtrąciła jedna z kobiet.

Witenka roześmiał się.

- Aktorki, które je miały na sobie, z pewnością były cudowne.

Jedna z pań uderzyła go żartobliwie w ramię.

- Miałaś oglądać sztukę, a nie małe...

- Powściągnij język, mój aniele - przerwał jej Witenka.

- ...aktoreczki!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Witenka powiódł wzrokiem po rzedającym tłumie. Kiedy jego znajomi przestali rozmawiać o sztuce i zaczęli się zastanawiać, do jakiej dyskoteki się wybrać, nagle zamarł.

- Przepraszam, za chwilę wracam.

Jego przyjaciele ledwie zauważyli, że się od nich odłączył.

Zszedł kilka stopni niżej i zaczął mężczyznę, który stał samotnie, popijając parujący jabłecznik.

- Pułkownik Rujnow?

Mężczyzna spojrzął znad plastikowego kubeczka.

- Ach - przypomniał sobie po dłuższym czasie. - Wyślanek Miedwierowa. Chwilczkę... - Zastanawiał się przez chwilę. - Major Witenka, nie mylę się, prawda?

- Ten sam - odparł Witenka, kiedy uściśnęli sobie dłonie. - Upłynęło sporo czasu, panie pułkowniku.

Rujnow przyjrzał mu się z uwagą.

- Nie tak sporo.

- Trzy miesiące.

- Co u pana, majorze? Wciąż węszy pan dla Miedwierowa?

- Przeważnie tak.

Zapadło niezręczne milczenie.

- Jeśli pan sobie przypomina, panie pułkowniku - odezwał się w końcu Witenka - nasze spotkanie odbyło się w dość, mhm, specyficznych okolicznościach.

- Interesujące stwierdzenie, majorze.

Witenka odetchnął głęboko.

- Obaj mieliśmy rozkazy do wykonania, panie pułkowniku. I obaj wykonaliśmy je najlepiej, jak umieliśmy.

Rujnow napił się jabłecznika, i jeszcze przez chwilę obracał kubeczek w dłoniach.

- Jestem przekonany, że dla wdowy po sierżancie Dniebrońskim i trojga jego dzieci stanowi to wielką pociechę.

Witenka przysunął się bliżej.

- Czy kiedykolwiek udowodniono, że zrobił to rzeczywiście Newman?

Ton jego głosu był tak dobitny, że Rujnow podniósł wzrok i spojrzął swemu rozmówcy w oczy.

- Jeśli o mnie chodzi, tak - stwierdził przyciszonym głosem. - Jeśli o mnie chodzi, udowodniono. Ku mojej satysfakcji.

Witenka przytaknął z wolna, nie bardzo wiedząc, dlaczego.

- Poinformowałem generała o tym incydencie, ale nalegał, byśmy mimo wszystko uwolnili Newmana. Ale podjąłem wszelkie możliwe środki ostrożności.

Rujnow roześmiał się ironicznie.

- W przypadku tego człowieka to niemożliwe.

Zamilkł, wyrzucił kubek do kosza na śmieci i zapalił papierosa.

- Wie pan, co zrobiliśmy - pan, ja i Miedwierow? Wypuściliśmy na świat zarazę. I zapewniam pana, że gdy nadejdzie dzień sądu ostatecznego... - przerwał, zaciągając się głęboko papierosem, którego nie wyjął z ust, dopóki nie wypuścił niebieskawej chmury dymu - ...a nadejdzie, niech mi pan wierzy. Wówczas, stojąc przed obliczem Boga, będziemy musieli odpowiedzieć za ten czyn.

Znów się zaciągnął.

Witenka popatrzył w podkrążone oczy Rujnowa, którego twarz wyrażała znużenie i cynizm, i zdobył się na odwagę, by zadać pytanie prześladowające go od chwili, gdy przekazał Newmana Amerykanom.

- Pułkowniku?

Rujnow spojrzał badawczo na poważnego, młodego człowieka.

- Tak?

Witenka rozejrzał się, czy nikt nie stoi w pobliżu.

- Ja też się boję sądu ostatecznego, panie pułkowniku. - Spełniłem swój obowiązek, wobec generała, wobec ojczyzny. Ale jeśli miałyby to się skończyć tak jak się obawiam... - głos mu zamarł i nim Witenka uwolnił się od brzemienia koszmaru, który nawiedzał go nocami, upłynęła dłuższa chwila. - Wiem, że byłaby w tym i moja wina.

Rujnow ciągle przyglądał mu się z uwagą.

- A mówiąc ściślej, majorze?

- Panie pułkowniku, jako żołnierz, jako człowiek, muszę pana o coś spytać. - Odetchnął głęboko. - Czy on...

- Może pan być pewien, majorze, że od chwili swego uwolnienia Newman nie zrobił nikomu krzywdy - stwierdził cicho Rujnow.

- Ma pan jakieś informacje...?

Rujnow przytaknął.

- Od początku znajduje się pod ścisłą ochroną w sanatorium niedaleko Monachium. A od trzech miesięcy przebywa w podziemnej celi, z której nie da się w żaden sposób uciec. - Po chwili dodał: - Nie skrzywdził nikogo. Lekarze twierdzą nawet, że jest bliski całkowitego wyzdrowienia.

- Skąd pan to wszystko wie? - spytał Witenka z nutką niedowierzania w głosie.

- Wiem.

- Czy to sprawdzone wiadomości?

- Uruchomiłem pewne, nazwijmy to, kontakty. Dawni towarzysze z Afganistanu, zajmujący się obecnie niektórymi instytucjami na Zachodzie, spełnili kaprys starego człowieka. - Roześmiał się gorzko. - Moje informacje są wiarygodne.

Jeden z przyjaciół Witenki pomachał do niego. Major odpowiedział uspokajającym gestem podniesionej dłoni.

- Jest bliski wyleczenia. Dzięki Bogu - mruknął z ulgą.

Rujnow potrząsnął głową.

- Tego człowieka nie da się wyleczyć, majorze. Zło nie jest chorobą!
- Niemniej jednak, panie pułkowniku...
- Dobranoc, majorze - przerwał mu Rujnow, zgasił papierosa i zbiegł po schodach, przygotowując się w duchu na nieuniknione potępienie.

W sercu Bawarii, na dachu głównego budynku Instytutu Volkera, stał pewien człowiek, który także rozmyślał o wieczności. Spoglądał na te same gwiazdy co Rujnow, równie zatroskany grzechami tego świata, przygotowując się na rychłe przejście do innego.

Lecz w przeciwieństwie do rosyjskiego pułkownika, Jack Clemente myślał o sobie, nie o Newmanie.

- Wiedziałam, że cię tu znajdę - powiedziała Patrycja, która ukazała się w drzwiach prowadzących na dach. - Dlaczego nie lubisz siedzieć w ogrodzie, tak jak inni? Mógłbyś mi oszczędzić wspinaczki po tych przeklętych schodach.

Nie zwrócił na nią uwagi, wciąż spoglądając na gwiazdy.

- Jack? - spytała ostrożnie. - Dobrze się czujesz?

Odwrócił się z uśmiechem.

- W jakim sensie?

Patrycja wyraźnie się uspokoiła.

- Nie zaczynaj. - Podeszła do niego. - Spotkanie za dziesięć minut.

- Wiem.

Patrycja spojrzała na olśniewającą feerię gwiazd.

- Mój Boże.

Jack skinął głową.

- Dokładnie to samo pomyślałem - przyznał, opierając się o balustradę. Chwycił go tak gwałtowny atak kaszlu, że osłabiony zgiął się w pół.

Patrycja pospieszyła mu z pomocą, ale powstrzymał ją gestem dłoni.

Dławił się i kasłał przez długą chwilę - atak trząsał jego ciałem jak szmacianą lalką. Wreszcie minął.

Wyprostował się, ocierając z ust kropelki krwi.

- Czy mogłabyś... - poprosił chrapliwie, wskazując na termos.

Patrycja nalala do kubka soku jabłkowego, ale widząc, jak bardzo Jackowi trzęsą się ręce, sama przystawiła mu naczynie do ust.

Napił się, po czym sięgnął do kieszeni i wyjął małe, złote pudełeczko na pastylki.

Mocował się przez chwilę z wieczkiem, potem zdjął je i wyciągnął jedną z większych tabletek. Wsunął ją w usta, a Patrycja znów przytrzymała mu kubek przy wargach.

Po chwili, dał znak, że już wystarczy i uśmiechnął się do niej słabo.

- Dziękuję.

Patrycja żałowała, że nie odznacza się wrodzonym taktem i manierami swoich kolegów.

- Co bierzesz? - nic innego nie przychodziło jej do głowy.

- Dilaudid.

- Od kiedy? - spytała przyciszonym głosem.

Dilaudid był jednym z najsilniejszych dostępnych środków przeciwbólowych. Lekarze przepisywali go głównie w przypadkach nieuleczalnych nowotworów.

- Od miesiąca, może sześciu tygodni - odparł Jack, odzyskując panowanie nad głosem.

- Nie wiem, co powiedzieć - wyjąkała. - Tak mi przykro.

Jack uśmiechnął się.

- Wierz mi, to najbardziej treściwa i zwięzła wypowiedź, jaką udało mi się ostatnio słyszeć. - Zamilkł na chwilę i wyprostował się. - I jedna z nielicznych, w których szczerść nie wątpię. Dzięki.

- Dasz radę wziąć udział w zebraniu?

- Nie stoję jeszcze u wrót śmierci. Przynajmniej na razie.

Wziął od niej kubek i znów się napił. Dostrzegając wyraz twarzy Patrycji, położył jej rękę na ramieniu.

- Nie przyszedłeś tu ot, tak sobie, prawda?

Przytaknęła, zaciskając usta.

- No, dalej - zachęcał ją Jack. - Obiecuję, że nie umrę. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Większość ludzi byłaby zaszokowana tym żartem. Patrycja po prostu wybuchnęła śmiechem. Był to śmiech pełen napięcia, ale szczerzy, prosto z serca.

- Chciałam z tobą pogadać, nim zejdziemy na dół.

Oparł się o balustradę.

- No to śmiało.

Zawahała się, ale kiedy dostrzegła, że Jack uśmiecha się zachęcająco, spytała bez ogródek:

- Jak ci się wydaje, dlaczego Tabbart zwołał to zebranie?

- Pewnie chce posłuchać samego siebie. Może ty znasz inny powód?

Patrycja zrobiła parę kroków tam i z powrotem.

- Widzę dwie możliwości - zaczęła.

- Mówisz jak Newman.

- To komplement czy też przygana? Pomyślę o tym, a na razie chciałabym usłyszeć twoją opinię o zebraniu. Pierwsza możliwość - Tabbart jako szef instytutu chce otrzymać wyczerpujące sprawozdanie na temat naszych postępów, jak daleko się posunęliśmy i ile jeszcze przed nami.

Jack znał szefa równie dobrze jak ona.

- Jest to niewątpliwie powód do błyskotliwego wystąpienia.

- Ale ja w to nie wierzę - dodała i znów zaczęła chodzić tam i z powrotem.

- Masz rację.

- Pozostaje więc druga możliwość. - Przystanęła, nie patrząc na niego. - Chowa coś w zanadru.

Jack dolał sobie soku.

- Niewątpliwie. I domyślam się, co to może być.

Patrycja podeszła do niego i napiła się wprost z termosu.

- Więc?

- To ty jesteś analitykiem - przypomniał jej. - Doświadczonym obserwatorem. Zbadaj zachowanie, okoliczności, tło. Weź pod uwagę osobowość człowieka i wszystko, co wiesz o projekcie. A następnie odpowiedz sobie na swoje pytanie.

Z jej twarzy zniknęły oznaki współczucia, a pojawił się wyraz głębokiego poirytowania.

- Nie potrzebuję lekcji na temat sposobów postępowania z pacjentem czy jakichś personalnych rozgrywek, i to dziesięć minut przed zebraniem!

Jack uniósł brwi.

- Naprawdę? Zrozum, Patty, świat pełen jest Tabbartów. Naucz się z nimi postępować. Im wcześniej tym lepiej. - Otarł czoło, próbując zapanować nad straszliwym bólem.

- Pomyśl! Dlaczego teraz? Dlaczego dziś? Dlaczego o dziewiątej wieczorem?

Patrycja była tak zajęta własnymi myślami, że nawet nie dostrzegła, jak wsunął sobie do ust następną pastylkę.

- Dzisiaj - mruknęła. - Dziś wieczór. - Chodziła tam i z powrotem ze spuszczoną głową. Nagle przystanąła i wyprostowała się gwałtownie. - Cholera!

- Coś ci chyba świta.

- Kiedy wraca Beck? - spytała, po czym nie czekając na odpowiedź ciągnęła: - Jutro, prawda? Jutro wraca z Waszyngtonu. A Tabbart zdecydował, że to on, nie kto inny, przekaże mu nowiny!

Jack skinął głową.

- Zgadza się. Zamierza odegrać swój mały spektakl pod tytułem „Ja tu rządę i wiem o wszystkim”. Potem zdusi projekt albo da mu zielone światło. Wszystko zależy od tego, co usłyszy dziś wieczorem.

- Zdusi go - Patrycja ze smutkiem wypowiedziała na głos swoje obawy. - Wiesz o tym.

Chory człowiek wyprostował się, wziął termos, podszedł do niej i otoczył ją ramieniem.

- Chyba, że go przekonamy... że ty go przekonasz, by tego nie robił.

Była zaskoczona.

- Ja? On mnie nienawidzi. Ledwie raczy wysłuchać tego, co mam do powiedzenia, nie mówiąc o tym, by przyjął moje zdanie.

Jack poprowadził ją w stronę schodów.

- Więc spraw, by uznał je za swoje.

- Jak?

Uśmiechnął się zagadkowo.

- Pomyśl o nim jako o pacjencie. O człowieku, który żywi przekonanie, że jest normalny, choć wszystko wskazuje na coś wręcz przeciwnego. Bądź jego psychoanalitykiem, przekonaj go, że cierpi na psychozę.

- Chcesz mi coś zasugerować - skrzywiła się.

- Czyżby? - odpowiedział pytaniem, otwierając przed nią drzwi na klatkę schodową.

- No cóż, niewiele mu brakuje do paranoidalnego osobnika o narcystycznych cechach - zastanawiała się, pomagając Jackowi schodzić po schodach.

Kiedy zatrzymali się na piętze, by złapać oddech, Jack poklepał ją po ramieniu.

- A jaki jest najbardziej efektywny sposób porozumiewania się z takim osobnikiem?

Patrycja namyślała się przez chwilę.

- Analogia?

Stary człowiek potrząsnął przecząco głową i uśmiechnął się.

- Prawdę mówiąc, ja bym zaczął od pochlebstwa.

Patrycja zachnęła się.

- Nie mogę i nie będę schlebiać temu człowiekowi!

Jack znów się uśmiechnął.

- W takim razie proponuję, byś zaczęła od pierwszej rzeczy, jaką podpowiada ci instynkt - powiedział, ruszając w dół.

- Na przykład? - spytała.

- Opowiedz mu o gołębiu.

Piętnaście minut później siedzieli wraz z innymi uczestnikami projektu wokół stołu konferencyjnego.

Tabbart zajął miejsce u szczytu. Rozłożył przed sobą bezużyteczne papiery, nieskazitelnie czysty notatnik, leżał obok pióra.

- Zechce pan zacząć, doktorze Clemente?

Jack skinął głową, napił się wody, po czym podjął cicho, tonem wykładowcy:

- Zakończyliśmy właśnie dwunasty tydzień obserwacji i wstępnych badań naszego pacjenta. Dokonano wszelkich możliwych osobowościowych testów psychiatrycznych, jak i badań mózgu. - Zwrócił się do starego Niemca, psychiatry, który był obecny na pierwszym zebraniu. - Doktorze Kapf?

Kapf przekartkował swoje notatki, a potem zamknął je bez słowa.

- Przeprowadziliśmy całą serię prześwietleń rentgenowskich, pełne badanie tomograficzne i przy zastosowaniu rezonansu magnetycznego. Jak dotąd, nie znaleźliśmy niczego szczególnego. Nie zanotowaliśmy wyraźnych zmian patologicznych, żadnych guzów czy przemieszczeń skroniowych. Mózg pacjenta ma przeciętne rozmiary i nie odznacza się widocznymi anomaliami. Stwierdziliśmy krwiak tuż obok kory potylicznej, pochodzący, jak sądzimy, jeszcze z czasów dzieciństwa. Jednakże, ze względu na wielkość, umiejscowienie i inne czynniki, wykluczono, by stanowił on domniemany powód zachowań opisanych w aktach sowieckich.

Tabbart czekał, chcąc się upewnić, że Kapf skończył.

- A zatem, doktorze Kapf, stwierdza pan wedle swej najlepszej wiedzy medycznej, że nie istnieje żadna przyczyna fizjologiczna, mogąca tłumaczyć te zachowania?

Kapf zaprzeczył głową.

- Nie w budowie mózgu. Nic, co mogłoby tłumaczyć domniemane incydenty.

Tabbart zignorował fakt, że słowo „domniemane” zostało wypowiedziane z naciskiem. Kapf był starym człowiekiem, który, według niego, nie zapominał o starej rywalizacji plemiennej. Odkręcił z uwagą pióro i sporządził dokładną notatkę. Potem równie starannie odłożył je na to samo miejsce.

Skinął Jackowi głową, by kontynuował.

- Zakończyliśmy również wszelkie badania krwi i płynów organicznych. - Zwrócił się do człowieka, siedzącego po drugiej stronie stołu. - Doktorze Goethering.

Goethering zajrzał do swoich kartek.

- Krew funkcjonuje normalnie pod każdym względem. Zanikająca anemia jest zapewne wynikiem złego odżywiania w rosyjskiej niewoli. Wszystko jednak zdaje się wracać do normy. Nie stwierdziliśmy jakichkolwiek czynników, które mogłyby być przyczyną zachowań odbiegających od normy.

Zamknął teczkę i spuścił wzrok.

- ...jakichkolwiek czynników - powtórzył Tabbart, pisząc.

Clemente czekał, aż Tabbart skończy.

- Poddaliśmy go wszystkim możliwym testom psychiatrycznym. Na ogół dwukrotnie. W niektórych przypadkach trzykrotnie. - Zamilkł, zastanawiając się nad doborem słów. - Rezultaty nie są zbyt poruszające.

Tabbart natychmiast podniósł wzrok.

- Nie są zbyt poruszające? Faktycznie. - Wszyscy siedzący wokół stołu pojęli, że szef wyczuł świeżą krew. - Byłby pan tak uprzejmy, doktorze Clemente, i zechciał sprecyzować swoje określenia?

Clemente wziął głęboki oddech.

- Test na inteligencję dał wynik 185, znacznie powyżej geniuszu. Osobowość A-3, pacjent podatny na stres, niecierpliwy, skłonny do wybuchów, frustracji, złości, ekstremalnych emocji. Na dziesięciostopniowej skali Kiernana, mierzącej stopień skłonności do okrucieństwa - siedem. Wynik zgodny z typem osobowości A-3. Nie ma wyraźnych oznak nerwicy, psychozy, manii czy demencji. Żadnych urojeń, przynajmniej nie w tradycyjnym sensie. Sprawia wrażenie osobnika racjonalnego, odczytanego, niezbyt chętnego do współpracy.

Tabbart znów odkręcił pióro i zaczął pisać. Kiedy skończył, przeczytał głośno:

- Po dwunastu tygodniach badań stwierdzono, że zachowanie pacjenta mieści się całkowicie w przyjętych granicach normalności. Choć jest ono emocjonalne, nie może być uznane za przejaw jakiegokolwiek schorzenia neuropsychicznego.

- To nie jest dokładnie to, co powiedziałem - wtrącił gniewnym tonem Clemente.

Tabbart spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Nie? W którym miejscu przekreśliłem pańskie słowa? - rozejrzał się po zebranych. - Czy zdarzały mu się gwałtowne wybuchy?

- Nie.

- Czy występowały oznaki zachowań prymitywnych?

- Nie.

- Czy zdradzał objawy rozpadu osobowości, labilności, wahania nastrojów, cokolwiek tego rodzaju?

- Nie.

- Czy wymagał zastosowania leków albo kaftana bezpieczeństwa?

- Nie.

W sali zapanowała cisza.

Tabbart skinął głową, zakręcił pióro ponownie i spojrzał przyjaźnie na Clemente.

- W takim razie proszę nas oświecić.

Clemente wytarł twarz chusteczką.

- Odbyłem z nim czterdzieści osiem sesji klinicznych. Przeciętnie cztery w tygodniu. Być może testy niczego nie dowiodły, ale mogę was zapewnić, że coś w nim jest nie tak.

- Jakim cudem?

- Ten człowiek wykazuje arogancję posuniętą do absurdu - zaczął Clemente, pomagając sobie gestykulacją. - Wydaje się, że posiada pewną znajomość technik psychoanalitycznych. Sam decyduje, kiedy spod tej zasłony, jaką stanowi jego arogancja, ukazać maleńkie fragmenty swego prawdziwego ja. Sprawia mu to wielką przyjemność.

Tabbarta nie przekonał ten wywód.

- Jest pan pewien, że to maska? Z moich dość bogatych doświadczeń z typami o wysokiej inteligencji wynika, że ich arogancja jest na ogół nie udawana. - Odchylił się na

krześle, skrzyżował dłonie i zaczął wykład: - Podstawą ich działań jest przekonanie, że są zdolni do wszystkiego, bez względu na przeszkody. Ta arogancja jest bardzo często składnikiem ich wewnętrznej osobowości - na pewno nie maską, która ma ukryć jakiś niepokojący stan. - Uśmiechnął się z satysfakcją. - To typowe, nie anormalne.

- Nie tym razem.

Głos Jacka był twardy jak skała.

Tabbart westchnął głęboko i znów zaczął pisać, a potem odczytał:

- Pacjent zdradza niezwykle cechy osobowości, co najprawdopodobniej ma związek z dość rzadką profesją.

- Nie zgadzam się - ponownie zaprotestował Clemente. W jego głosie wyczuwało się irytację.

Tabbart wlepił w niego wzrok.

- Doktorze Clemente, jakie dokładnie stany czy dolegliwości dostrzega pan pod tą, jak pan ją określił, zasłoną? - położył nacisk na ostatnie słowo.

Clemente zacerpnął głęboko powietrza. Wpatrywał się w blat stołu.

- No - naciskał Tabbart. - Czy te dolegliwości można sklasyfikować, mają jakąś nazwę?

Clemente odetchnął.

- Nie według konwencjonalnej definicji...

Tabbart mu przerwał:

- Terapeuta nadzorujący projekt nie umie nazwać szczególnego stanu czy dolegliwości, które...

Teraz z kolei wtrąciła Patrycja.

- Niech pan przynajmniej pozwoli mu skończyć, zanim przekreśli pan jego słowa!

Tabbart spojrzał na nią zabójczym wzrokiem.

- Proszę mi wybaczyć - stwierdził władcym tonem i zwrócił się do Clemente: - Może pan dokończyć, doktorze.

Wydawało się, że Clemente w ogóle nie słyszał tej wymiany zdań. Patrzył przez okno, obserwując liście na pobliskim drzewie, poruszane wieczornym wiatrem.

- Jack - powiedziała cicho Patrycja.

Otrząsnął się z zamyślenia, spojrzał na Tabbarta.

- Jak już mówiłem, nie da się tu zastosować konwencjonalnej definicji. Nigdzie, w

żadnym opracowaniu, nie spotkałem się z opisem tego rodzaju symptomów.

Tabbart promieniał.

- Och...

- Ale - przerwał mu ostro Clemente - na pewno mamy do czynienia z pewnymi niepokojącymi objawami i stanami. To nie ulega wątpliwości.

Szef patrzył na swoje notatki.

- Jak dotąd nie usłyszałem nic, co mogłoby zmienić moje dotychczasowe zapatrywania. A więc...

- Sir - przerwała mu Patrycja, z pozoru grzecznie, ale w jej głosie wyczuwało się jad.

Szef spojrział na nią z urażoną miną.

- Wydaje mi się, że usłyszałem już dostatecznie dużo, doktor Nellwyn.

Patrycja uśmiechnęła się kwaśno.

- Ale nie zapoznał się pan jeszcze z moją opinią.

- I nie zamierzam. To doktor Clemente jest odpowiedzialny za oddział behawioralny i projekt. Wystarczająco naświetlił problem.

Patrycja przytaknęła z przesadną skwapliwością.

- Rozumiem, sir. - Umilkła na chwilę, dostrzegając cień triumfu, jaki przesunął się po twarzy szefa. - Przekażę mój raport bezpośrednio komisji.

- Co pani zrobi? - spytał zaskoczony Tabbart. Jego twarz oblała się czerwienią.

- Jako główny terapeuta korzystający z subsydiów, mam do tego prawo. - Po chwili dodała: - Jeśli jest pan zbyt zajęty, sama zaprezentuję komisji moją opinię.

Pozostali pracownicy za wszelką cenę starali się zejść z linii ognia między Tabbartem a Patrycją. Na skroni szefa zaczęła pulsować żyła.

- Może pani zacząć, pani doktor - stwierdził powoli, z największym trudem tłumiąc wściekłość.

- Jest pan pewien? - spytała słodkim głosem Patrycja, uśmiechając się niewinnie.

- Nie przeciągaj struny - szepnął do niej Jack.

Otworzyła powoli teczkę i zaczęła porządkować papiery.

- W ciągu trzech minionych miesięcy odbyłam z panem Newmanem sześćdziesiąt jeden sesji. Od krótkich, dwudziestominutowych rozmów, po trzy i pół godzinne maratony. I podobnie jak doktorowi Clemente, nie udało mi się zidentyfikować i określić jakiegokolwiek opisanego w podręcznikach stanu. Zgadzam się z nim całkowicie, że w tym człowieku coś jest.

- I oczywiście nie dysponuje pani żadnym dowodem? - spytał Tabbart złośliwym, jawowym tonem.

- Wprost przeciwnie - odparła swobodnie Patrycja. - Mam gołębia.

- Jakiego gołębia?

- Mówiąc ściślej - ciągnęła, przekładając kartki z jednej kupki na drugą - jednego gołębia i jednego kota.

Wydarzyło się to pod koniec drugiego miesiąca nowej niewoli Newmana.

Sesje terapeutyczne zmierzały donikąd. Wszelkie testy dawały wynik niepełny albo negatywny. Nawet dwudziestoczworogodzinne obserwacje niczego nie ujawniły.

Zdawało się, że Newman jest tym, czym jest. Inteligentnym sabotażystą, który cierpi jedynie na typowy stres, będący rezultatem pobytu w rosyjskim więzieniu.

A jednak...

Było coś jeszcze. Coś nieznanego - co przyczało się tuż pod powierzchnią i szydziło z nich, ponieważ nie mogli tego odnaleźć i nazwać.

Opracowano zatem pewien - co prawda dość ryzykowny - plan. Zakładał on poddanie Newmana nagłemu psychicznemu szokowi. Reakcja badanego miała odsłonić, choć przez chwilę, jego prawdziwą jaźń.

Po trwającej kilka dni dyskusji zdecydowano, że eksperyment przeprowadzi sama Patrycja.

Jak zwykle o ósmej trzydzieści weszła do jego kwatery.

- Dzień dobry - powiedziała, kiedy Newman się do niej odwrócił.

Nagle znieruchomiał.

Drzwi, które zwykle natychmiast za nią zamykano, tym razem pozostały otwarte!

- W co się bawimy? - spytał podejrzliwie, tkwiąc nieruchomo w miejscu.

- Pomyślałam sobie, żeby dzisiaj przeprowadzić sesję na dworze - miała nadzieję, że mówi przyjaznym i swobodnym tonem.

Nie sądziła, że człowiek może tak zastygnąć bez ruchu.

Nie poruszał się, nie mrugał, zdawało się nawet, że nie oddycha. Wodził tylko oczami tam i z powrotem, patrząc to na Patrycję, to na otwarte drzwi.

- A strażnicy?

Wzruszyła ramionami.

- Obawiam się, że tym razem będą nam towarzyszyć.

- Ilu? Jakie dostali rozkazy?

- Nie ja się tym zajmuję, ale sądzę, że wszystko będzie wyglądało tak jak wtedy, gdy tu pana sprowadziliśmy - odparła swobodnie. - Jeśli będzie pan przestrzegał ustalonych zasad, strażnicy zachowają dystans i pozwolą nam odbyć sesję sam na sam.

Oddychał szybko, drgały mu mięśnie. Emanowało z niego napięcie.

I gotowość do działania!

- Nie chodzi o to, że pani nie ufam - stwierdził. Po chwili dodał: - Ale zaufanie, jakie okazywałem innym, nigdy nie wyszło mi na dobre. - Obliznął szybko wargi. - Jeśli to nie tajemnica, proszę podać mi dokładną liczbę wartowników.

Patrycja szalała w duchu z radości! To był Newman, jakiego nigdy wcześniej nie widziała. W tym momencie prawdopodobnie najbardziej przypominał tamtego człowieka z Rosji. Fizyczność, ton głosu, wszystko wydawało się nowe.

Modliła się, żeby kamery rejestrowały obraz.

- W porządku - ciągle usiłowała nadać swemu głosowi możliwie swobodny ton. - Niech pan posłucha. Za drzwiami stoi dwóch wartowników z bronią gotową do strzału. Przejdziemy we czwórkę do windy. Na górę wjedziemy sami, pan i ja.

- Sami?

Znów się uśmiechnęła.

- Dlaczego by nie? Czy są jakieś powody, dla których powinnam się pana bać?

Milczał przez dobrą minutę.

- Nie podjąłem jeszcze decyzji, czy wyjdę na zewnątrz - odparł w końcu cichym, beznamiętnym głosem. - Proszę mówić dalej.

Starła się nie zwracać uwagi na pierwsze oznaki napięcia, jakie zaczęło w niej narastać.

- Na parterze czekają dwaj inni strażnicy z bronią gotową do strzału. Na korytarzu między windą a głównymi drzwiami nie będzie nikogo, od razu skierujemy się do wyjścia.

Zdawało się, że Newman nieco się rozluźnił.

- Proszę mówić dalej.

- To już wszystko. Wyjdziemy na zewnątrz i odbędziemy naszą sesję. - Zrobiła krok do wyjścia. - Czy teraz...

- Nie wspomniała pani o zasadach obowiązujących poza murami oddziału, pani doktor.

W jego głosie wyczuwało się podejrzliwość.

Odwróciła się do niego.

- To zasady podyktowane przez zdrowy rozsądek, nic więcej. Przez cały czas będziemy obserwowani przez strażników. - Miała nadzieję, że liczba mnoga nie uszła jego uwadze. - Możemy pójść, dokąd chcemy, o ile będziemy się trzymać w promieniu pięćdziesięciu metrów od budynku. To wszystko.

Newman myślał intensywnie. Od dawna pragnął wyjść na zewnątrz - modlił się o to, pracował nad tym, planował to! Coś jednak podejrzewał.

Zawsze mu się wydawało, że nim go wyprowadzą na zewnątrz, chociażby na krótko, dzień lub dwa wcześniej dokładnie zaznajomią go z zasadami zachowania. Dlatego wietrzył jakiś podstęp.

Przemknęło mu przez myśl, że to pułapka, okazja, by go zastrzelić podczas „próby ucieczki”.

Musiał jednak wyjść na dwór.

Po niespełna trzydziestu sekundach podjął decyzję.

Skinął Patrycji głową.

- Pani pierwsza, pani doktor.

Podążał w ślad za nią, dostrzegając, że obaj strażnicy znajdowali się poza jego zasięgiem. Ścisnęli wprawnymi dłońmi półautomatyczne pistolety glocka, wymierzone w jego głowę i korpus. Byli spokojni, opanowani, niewątpliwie świetnie wyszkoleni.

Kiedy winda jechała na górę, korygował obliczony wcześniej czas przejazdu.

- Nowa sukienka?

Patrycja uśmiechnęła się zalotnie.

- Specjalnie na tę okazję.

Kiedy wychodzili z windy, na twarzy Newmana błąkał się przelotny uśmiech.

Na parterze nie było nikogo, tak jak obiecała. W głębi korytarza, w pewnej odległości od siebie, stali tylko dwaj strażnicy. Zostali rozstawieni w profesjonalny, dobrze przemyślany sposób. Nawet gdyby Newmanowi udało się obezwładnić jednego z nich, ten drugi

miałby dość czasu, by go załatwić.

Powoli zbliżali się do drzwi wejściowych.

Widział strażników tworzących w odległości około sześćdziesięciu metrów od budynku nieregularne półkole. Trzymali przy bokach pistolety i karabinki automatyczne.

W drzwiach zawahał się.

- Wszystko w porządku - uspokoiła go Patrycja.

Nie zwracał na nią uwagi, bardziej interesował go szef ochrony, który się do nich zbliżał.

- Dzień dobry - przywitał się uprzejmie Edel. - Wydaje się, że nasze modlitwy zostały wysłuchane.

- Jestem zobowiązany.

Patrycja obserwowała podenerwowana, jak obaj mężczyźni nawzajem badają się wzrokiem.

- Proszę się niczego nie obawiać, sir - powiedział szczerze Edel. - Jeśli nie będzie pan podejmował żadnych podstępnych działań, nie zacznie uciekać ani nie spróbuje kogoś skrzywdzić, moi ludzie zachowają dystans i nie będą państwu przeszkadzać.

- W przeciwnym razie...

Edel wzruszył ramionami.

- Jeśli jakimś zrzędzeniem losu, zdoła pan przekroczyć wytyczoną granicę, ludzie zajmujący stanowisko na dachu zdejmą pana, nim zdoła pan pokonać dwadzieścia metrów.

Mówił bez cienia emocji.

Newman podniósł wzrok na sufit, wyobrażając sobie fachowo rozmieszczonych snajperów. Szef ochrony jeszcze bardziej zyskał w jego oczach.

Uśmiechnął się do Edela.

- „Dziękuję Ci, godne podziwu są Twoje dzieła. I dobrze znasz moją duszę”.

Edel szerokim uśmiechem wyraził swą aprobatę.

- Widzę, że czytał pan Biblię.

- Psalm sto trzydziesty dziewiąty, wiersz czternasty. To pomaga zabić czas - wyjaśnił swobodnym tonem Newman. - Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Edel miał już odejść, ale wstrzymał się na chwilę. - Może byśmy któregoś dnia podyskutowali o tym, co pan przeczytał?

- Bardzo chętnie.

Edel, skłonił się nieznacznie Patrycji, po czym opuścił budynek, by dołączyć do swoich ludzi.

Newman wyszedł powoli na słońce, z wdzięcznością przyjmując od Patrycji ciemne okulary.

Przez dziesięć minut spacerowali wolnym krokiem wokół budynku. Newman wydawał się opanowany i rozluźniony, wdychał głęboko świeże, czyste powietrze, chłonąc wszystko w milczeniu.

Patrycja czuła coraz większą radość. Newman wydawał się po raz pierwszy naprawdę odprężony. Z początku stąpał ostrożnie, potem kroczył swobodnie i zamaszyście. W pewnym momencie przykucnął pod drzewem przy zachodniej ścianie budynku. Miała nadzie-

ję, że to pierwsze dłuższe wyjście poza mury oddziału nie zrobi na nim zbyt silnego wrażenia.

Wydawało się, że wszystko jest pod kontrolą.

To, co ujrzał pod drzewem, natychmiast jednak uruchomiło w jego mózgu sygnał ostrzegawczy.

Porównywał kolor i nachylenie trawy w tym miejscu z zielenią w pobliżu.

Rozejrzał się i odszukał wzrokiem końcówki najbliższych zraszaczy, po czym obliczył z grubsza, ile wody spada na ten fragment terenu.

Po dwóch minutach zyskał potwierdzenie swoich podejrzeń.

Nocą, przed poranną rosą wyłączono spryskiwacze, ktoś wielokrotnie przystawał pod drzewem, a potem przysiadł i tkwił tu przez parę godzin bez ruchu.

Sądząc po śladach na ziemi, ukrywał się pod gałęziami albo siatką maskującą.

Ktoś, kto nie chciał być dostrzeżony przez ludzi Edela.

Kolejny fragment układanki, którą Newman mozolnie kompletował.

Wstał i wyprostował się.

Patrycja poczuła ulgę, widząc na jego twarzy zadowolenie.

- Możemy zacząć?

Skinął głową.

- Ale wolałbym chodzić. Potrzebuję ćwiczeń.

I muszę zorientować się w terenie - pomyślał.

- Rozmawialiśmy o gniewie.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Zastanawiała się przez chwilę. - Jakie są pańskie odczucia?

Newman wybuchnął śmiechem.

- Na temat gniewu? Czy mówienia o gniewie? - Kiedy nie odpowiedziała, rzucił: -

Doprawdy strata czasu.

- Dlaczego?

- No cóż, proszę zdefiniować pojęcie gniewu.

- A jak pan by je zdefiniował? - odparowała szybko.

Newman zatrzymał się i popatrzył jej w oczy.

- Niech pani ten jeden raz zapomni o czysto klinicznej definicji. - Uśmiechał się czarująco. - Proszę po prostu odpowiedzieć.

Skinęła głową.

- Okej. - Zastanawiała się przez chwilę. - Silna pasja lub niezadowolenie, czemu zwykle towarzyszy wrogość wywołana poczuciem krzywdy czy urazy. No i jak?

Przyklasnął.

- Brawo. Tyle, że pominęła pani kilka rzeczy.

- Na przykład?

- Gniew to doznanie aktywne. Nie tak jak jego przeciwieństwo - spokój, który z definicji jest czymś pasywnym. - Umilkł i przykucnął, by przyjrzeć się trawie. - Gniew osłabia energię, podnosi ciśnienie krwi, odcina dopływ tlenu do mózgu, przyspiesza bicie serca, powoduje napięcie mięśni. Ogólnie rzecz biorąc, w bardzo krótkim czasie może osłabić organizm.

Patrycja nie zaprzeczyła. Newman ruszył przed siebie.

- A co z rolą wentyla, jaką spełnia? Gniew stłumiony może być jeszcze groźniejszy.

Przyglądała mu się z uwagą, gdy rozważał jej pytanie.

- Nie zgadzam się.

- Czyżby?

Sprawiał wrażenie, że się dobrze bawi.

- To nie stłumienie gniewu jest szkodliwe, ale trwanie jego pierwotnej przyczyny, choć sam gniew nie został uzewnętrzniony.

- Nie rozumiem - stwierdziła szczerze.

Usiadł na trawie, w miejscu, z którego widział prześwit między drzewami.

Patrycja przysiadła obok.

- Według pani definicji, gniew jest reakcją na poczucie krzywdy albo urazu, czy tak?

- spytał, patrząc na nią.

- Proszę mówić dalej.
- No cóż - ciągnął nadal badając wzrokiem teren - najczęściej, kiedy w gniewie uewnętrzniamy nasz ból czy poczucie krzywdy, pozwala to nam rozwiązać niektóre problemy.

- To konieczne, prawda?
- Zgadza się. Ale po co w ogóle dopuszczać do głosu cały ten ból, żal i fizjologiczny chaos?

Zauważył kota, który szykował się do skoku na gołębia.

Patrycja podążyła w ślad za jego spojrzeniem.

Newman obserwował, jak kot rzuca się do przodu i sięga łapą w skrzydła gołębia. Ptak zdołał przefrunąć na najniższą gałąź pobliskiego drzewa.

- Dlaczego całe to gówno ma buzować w człowieku, podczas gdy można tego uniknąć, rozwiązując nasz problem od razu? - Zerknął na Edela i pokazując gołębia spytał: - Mogę go obejrzyć?

Edel skinął głową i gdy Newman z Patrycją ruszyli w stronę drzewa, zmienił rozmieszczenie swoich ludzi, tak by większość z nich znajdowała się między więźniem a lasem.

Obserwowani uważnie przez strażników, zbliżali się do rannego ptaka na drzewie. Newman mówił dalej.

- Jeśli patrzy pani na problem poprzez gniew, pani osąd musi być nieobiektywny. Jest pani wówczas skłonna zrobić więcej lub mniej, niż wymaga tego sytuacja.

Przystanął trzy metry od drzewa.

- Proszę się nie ruszać - nakazał cicho.

Patrycja obserwowała zafascynowana, jak Newman podkrada się ostrożnie, niemal z wdziękiem. Powoli wyciągnął w stronę rannego ptaka dłoń. Był spokojny, opanowany, rozluźniony, niegroźny. Ptak zdawał się to wyczuwać i nie stawiał oporu, gdy Newman zdjął go delikatnie z gałęzi.

Po chwili gładził ostrożnie gołębie pióra.

- Skrzydło złamane - stwierdził cichym, kojącym głosem. Odwrócił się do Patrycji. - Kiedy jakaś istota odczuwa ból, a nikt się tym nie interesuje, odczuwam to jako niesprawiedliwość i krzywdę. - Wzruszył ramionami. - Ale nie popadam w gniew, tylko załatwiam sprawę.

Patrycja ujrzała, jak Newman chwytą gołębia za głowę i wykręca ją błyskawicznie, łamiąc mu kark. Nie zdążyła nawet uświadomić sobie, co zrobił. Rzucił martwego ptaka na ziemię.

Strażnicy cofnęli się nieznacznie.

Edel powstrzymał ich gestem dłoni.

Patrycja nie poruszyła się, zmartwiała.

Newman zawrócił w stronę budynku. Dołączyła do niego dopiero w chwilę później.

Kontynuował przerwany wywód, jakby nic się nie stało:

- Nie ma gniewu, nie ma wściekłości - stwierdził zimno. - Tylko obserwacja: zobaczyłem, że ptak odczuwa ból i że nie jest w stanie wyleczyć się z obrażeń. Potem działanie: uwolniłem go od bólu.

Podszedł do nich kot i zaczął się ocierać o nogi Newmana, który patrzył na niego z uśmiechem.

- Nie odczuwałem wobec ptaka większego gniewu niż on - zauważył, wskazując głową kota. - Oczywiście...

Nagle uniósł stopę i zmiażdżył zwierzęciu czaszkę. Kot leżał w trawie, drgając przez kilka chwil konwulsyjnie, potem znieruchomiał.

Newman spojrział na bladą jak papier Patrycję.

- Oczywiście - dokończył niedbałym tonem - koty naprawdę mnie wkurzają!

Rozdział szósty

W sali zapadła głucha cisza. Nikt się nie ruszał, nikt nie rozmawiał, nikt nie ważył się przerwać milczenia, jakie było odpowiedzią na relację z pierwszej wyprawy Newmana poza mury oddziału.

Pierwszy otrząsnął się Tabbart.

- No tak, no tak - powtarzał z namysłem.

Patrycja spojrzała na niego, przekrzywiając głowę.

- Dysponujemy taśmą wideo z nagraniem tego incydentu. - Dostrzegła z radością niezadowolone Tabbarta. - Jeśli pan sobie życzy, możemy ją panu pokazać.

Tabbart by ukryć zmieszanie, udawał, że coś zapisuje. Na nieszczęście zapomniał odkręcić pióro.

- Nie, nie, mhm, pisemny raport powinien, mhm, wystarczyć. - Uświadomił sobie nagle swój błąd i gwałtownie zerwał nasadkę. - Proszę kontynuować.

Patrycja uśmiechnęła się słodko.

- Oczywiście, sir. Po tym incydencie Newman wrócił spokojnie na oddział. Bez sprzeciwu dał się zaprowadzić do swojej kwatery.

Gestem dała znak Jackowi.

Zagryzł wargę.

- Bezzwłocznie przeprowadziliśmy wszelkie możliwe badania, rozszerzyliśmy też obserwację. Nie udało nam się stwierdzić jakiegokolwiek zmiany w jego stanie fizycznym czy zachowaniu po tym incydencie. - Otworzył teczkę. - W ciągu następnych godzin nieco spadło ciśnienie krwi i tętno, zmniejszyło się pocenie. To wszystko.

Tabbart wciąż wpatrywał się w nie istniejące notatki.

- I raczej należy wykluczyć, że incydent z kotem był przypadkowy, prawda?

Patrycja przytaknęła.

- Jak już mówiłam, sir, byłabym zadowolona, gdyby zechciał pan obejrzeć taśmę i sam wyciągnął wnioski.

Clemente kopnął ją pod stołem.

- Nie, nie. To nie będzie konieczne - odparł pospiesznie Tabbart. - Jak tłumaczycie ten dość niezwykły incydent?

- Ustaliliśmy cztery możliwe hipotezy - odparł Jack, uprzedzając Patrycję. Zwrócił się do psychiatry. - Doktorze Kapf?

Starszy człowiek zaczął mówić, siedząc nieruchomo.

- Przeanalizujemy kolejność wydarzeń - zaproponował. Umilkł na chwilę, by się zastanowić. - Dyskusja o gniewie, jego przyczynach i uzewnętrznianiu. Pacjent zaczyna udzielać terapeutce lekcji na temat unikania gniewu, a następnie, by zilustrować swoją teorię, uwalnia rannego ptaka od niewątpliwego bólu. Nie wydaje się, by odczuwał gniew z powodu nie sprowokowanego ataku kota. Działa bezzwłocznie, kładąc po prostu kres cierpieniu gołębia.

- A kot? - spytał Tabbart.

- Logiczne przedłużenie wywodu - kontynuował doktor Kapf. - Druga demonstracja. Zamiast wyrażać gniew wobec kota, bierze odwet za ptaka, usuwając to, co spowodowało jego śmierć. - Przerwał, by napić się wody. Po chwili mówił dalej: - Widzi siebie samego jako kogoś, kto nie odczuwa ani gniewu, ani winy. Nie jest sprawcą żadnej z tych śmierci. Podczas gdy, w rzeczywistości, jego gniew jest skierowany na kota, którego oskarża o tchórzliwy atak, i na ptaka, za to, że pozwolił się zaatakować.

- Głupawe - mruknęła pod nosem Patrycja.

Clemente zerwał się czym prędzej z miejsca, starając się naprawić sytuację.

- Opinia doktora Kapfa nie spotkała się z powszechną akceptacją - wyjaśnił pośpiesznie. Zwrócił się do młodszego psychologa, siedzącego na drugim końcu stołu.

- Doktorze Mont?

Młody człowiek wygładził kartki z notatkami, a następnie zaczął z nich czytać, nie podnosząc wzroku.

- Po przejrzeniu nagrań i zapisów sesji, przypuszczam, że pacjent, zadając śmierć jednemu i drugiemu zwierzęciu, zamierzał wyrazić swoją pogardę wobec lekarzy, grupy oddanej idei uzdrawiania. Wpierw pozwala kotu zaatakować gołębia, by mieć pretekst do dokonania tych aktów. Następnie zabija i ptaka, i kota, chcąc wywołać w nas szok.

Zamknął teczkę z notatkami i spojrzał na Tabbarta.

- Dalej - stwierdził tylko Tabbart, nie zwracając uwagi na młodego człowieka, który był wyraźnie zbity z tropu.

Jack posłał lekarzowi uśmiech.

- Moja opinia jest wypadkową dwóch wspomnianych wyżej teorii. Z małą różnicą. -

Nagły atak kaszlu przeszkodził mu na moment. - Przypuszczam, że zabicie gołębia nie wymaga komentarza. Większość z nas jest co do tego zgodna. Natomiast kot mógł stać się w jego oczach symbolem nas wszystkich, którzy go więzimy i badamy. Podczas terapii często określał rząd jako drapieżnika, nad którym nikt nie sprawuje kontroli. Podobnie jak nikt nie ma kontroli nad kotem. Newman dostrzegł nieuchronność ataku, ale nie zareagował. Jego bierność doprowadziła do okaleczenia ptaka, musiał więc skrócić jego cierpienia. A potem ta jego tłumiona i nieświadomiona do końca wściekłość na nas, na rząd, na całe społeczeństwo, wzięła nad nim górę akurat wtedy, gdy dostrzegł szansę

wyrażenia jej w jakiś sposób. Jego intelekt uświadomił mu niebezpieczeństwo związane z bezpośrednim wyładowaniem tej wściekłości na nas. A zatem potraktował kota jako uosobienie społeczeństwa. - Zamilkł na chwilę. Potem kontynuował: - Nawet sposób, w jaki dokonał tego aktu zmiżdżenia kota stopą, by nie pobrudzić sobie rąk, że się tak wyrażę, świadczy o jego pogardzie wobec wszelkich autorytetów. - Znowu przerwał na moment. - A teraz wyobraźcie sobie, że osobnik o takiej mentalności robi to, co chce, działa bez żadnych hamulców...

Umyślnie zawiesił głos.

Tabbart sporządzał teraz obszerne notatki.

- Mimo to wciąż nie chce pan sklasyfikować pacjenta jako socjopaty?

- Jest to wyrażenie równie trafne jak każde inne, ale on nie jest socjopatą w ścisłym tego słowa znaczeniu. Wszelkie jego działania, wszelkie procesy myślowe dowodzą, że posiada pełną świadomość przyszłych konsekwencji swoich czynów, a co ważniejsze, że potrafi rozróżniać działania, które ujdą mu na sucho, od tych, za które poniesie odpowiedzialność. Jeśli jest socjopatą, to wykazał się niezwykle samokontrolą.

- Bzdura - skomentowała cicho Patrycja.

Tabbart podniósł szybko wzrok.

- Przepraszam, doktor Nellwyn?

- Powiedziałam „bzdura”.

Tabbart podniósł wzrok znad notatek.

- Mogę w takim razie zakładać, że opowiada się pani za czwartą hipotezą.

Skinęła głową.

Tabbart spojrzał na Jacka, potem znowu na Patrycję.

- Nie zgadza się pani ze swoim przełożonym?

Patrycja westchnęła.

- Przy całym należnym doktorowi Clemente szacunku - nie całkiem.

Tabbart, który zjawił się na zebraniu z przekonaniem, że bez większego trudu pozbędzie się tego nieszczęsnego projektu, miał teraz zamęt w głowie. Zabawne rojenia młodego Monta można pominąć, ale opinii ludzi takich jak Kapf i Clemente nie wolno ignorować. A ostatnia rzecz, jakiej potrzebował, to jakaś wzięta z sufitu hipoteza tej zwariowanej dziewczyny.

Mimo to potrafił przezwyciężyć swoją małostkowość i przyznać, że nawiązała z

Newmanem bliższy kontakt niż pozostali. Co więcej, pod nieprzystępnym pancerzem skutecznego, niemieckiego administratora biło serce psychiatry-badacza, którego przypadek Newmana zaczynał coraz bardziej intrygować.

I niepokoić.

- Niech pani kontynuuje, doktor Nellwyn. Tylko proszę się streszczać - nakazał, dla większego efektu, popierając swoje słowa wymownym gestem.

Patrycja powiodła wzrokiem po twarzach zebranych, na których malował się sceptycyzm albo nie skrywana wrogość. Clemente nie był wyjątkiem. Wzięła głęboki oddech i zaczęła:

- Zgadzam się z doktorem Clemente w tym, że Newman nie jest socjopatą. Socjopatą

odznacza się niedostatecznie rozwiniętym sumieniem, nie odczuwa winy z powodu działań przynoszących szkodę innym, natomiast zdecydowanie odrzuca działania przynoszące szkodę jemu. Myślę, że co do tego wszyscy się zgadzamy.

Przerwała i rozejrzała się wokół. Nawet Tabbart jej przytakiwał.

- O ile mogę sądzić, Newman nigdy nie okazał jakiegokolwiek poczucia winy z powodu tego, co zrobił. Nigdy. - Rzuciła na środek stołu kopię dokumentów, dotyczących przeszłości Newmana. - Przeczytajcie to! Począwszy od wczesnego dzieciństwa, jeśli postanawia coś zrobić, robi to, bez względu na możliwe konsekwencje. I absolutnie nic nie świadczy o tym, by kiedykolwiek kierowała nim złość!

Sceptyczne spojrzenia zmieniły się w otwarcie pogardliwe.

- Do rzeczy, doktor Nellwyn - upomniął ją Tabbart, spoglądając na zegarek.

Zignorowała ton jego głosu. Przysunęła sobie teczkę, otworzyła i zaczęła czytać na chybił trafił.

- Przybrani rodzice stwierdzają, że po skończeniu trzech lat chłopiec bardzo rzadko płacze. W wieku siedmiu lat łamie sobie palec, po czym idzie spokojnie do matki i mówi jej, co się stało. W wieku jedenastu lat spada z roweru, skaleczenie wymaga założenia trzynastu szwów. Podczas zabiegu nie płacze. Co więcej, lekarz pogotowia notuje, że chłopak ze spokojem przygląda się zszywaniu rany, cały czas zadając pytania.

- Odznacza się więc wysokim progiem odczuwania bólu - wtrącił Tabbart. - To wcale nie oznacza...

- W wieku piętnastu lat - przerwała szefowi - zostaje przyłapany przez nauczyciela na manipulowaniu przy sygnalizacji ulicznej. Wyjaśnia, że zielone światło pali się zbyt krótko, by mógł bezpiecznie przejść przez ulicę. Nauczyciel z kolei tłumaczy, że manipulowanie przy sygnalizacji może skończyć się strasznym wypadkiem. Chłopiec wzrusza jedynie ramionami i mówi: „Przynajmniej będę mógł przejść na drugą stronę”. Trzeba dodać, że w przeciwieństwie do typowego socjopaty, Newman nigdy nie sprzeciwiał się karze, która w tym przypadku była bardzo surowa. - Milczała przez chwilę. - Robił po prostu to, co chciał, i kiedy chciał, świetnie rozumiejąc i akceptując wszelkie możliwe konsekwencje swego czynu.

- Nie pojmuję... - zaczął Tabbart.

- Newman, jak przypuszczam - ciągnęła Patrycja - jest całkowicie pozbawiony sumienia. Biorąc pod uwagę, że nie stwierdziliśmy jakiegokolwiek uszkodzenia i deformacji

jego mózgu, zakładam, że taki się już urodził. Niezdolny do odczuwania winy, wyrzutów sumienia, wstydu, niczego, co ma związek z wartościowaniem swego postępowania. Jest emocjonalnie wyzwolony, może czynić wszystko, co tylko zapragnie, bez poczucia choćby najmniejszej troski o konsekwencje, jakie poniosą inni, czy też jakie poniesie on sam.

Tabbarta-naukowca nieco to zaintrygowało.

- Zakłócenia w biochemicznej strukturze i funkcjonowaniu mózgu zostały wykluczone, doktor Nellwyn, czy pani tego nie zauważyła? - Potrząsnął głową. - A w przypadku stanu, jaki pani hipotetycznie zakłada - radykalnych zmian w zachowaniu, prowadzących do niby-socjopatii - można by się spodziewać widocznego zachwiania równowagi w poziomie albo ciśnieniu płynu mózgowo-rdzeniowego, prawda? Albo przynajmniej

jakichś podstawowych zmian w splocie naczyniowym komory bocznej mózgu.

Patrycja przytaknęła, a na jej pełnej skupienia twarzy pojawił się dziwny uśmiech.

- Nie, jeśli złącza nerwowe funkcjonują w całkowicie nowy sposób. Ewoluuje ku stanowi, kiedy nie ma potrzeby wykorzystania przekaźnika nerwowego, takiego jak acetylocholina czy...

- Ewoluuje?

Patrycja spojrzała niskiemu człowiekowi prosto w oczy.

- Ewoluuje - potwierdziła zdecydowanym głosem. - W moim przekonaniu...

- Pytanie - przerwał jej szybko Tabbart - dotyczyło kota i gołębia.

Ton głosu szefa nie zrobił na Patrycji wrażenia.

- Właśnie o to chodzi. Przy całym szacunku dla doktora Clemente, a także Kapfa i Monta, nie sądzę, by Newman przejawiał głęboko zakorzenione urazy czy kierował się jakimiś ukrytymi motywami. Sądzę, że zabicie gołębia było śmiałą próbą, jaką podjął, by zaskarbić sobie naszą łaskę; być może, zyskać pewną przewagę, zdobywając podziw. Zademonstrować swoją dobroć poprzez wyeliminowanie cierpienia tego zwierzęcia.

- A kot? - wtrącił po raz pierwszy od dłuższego czasu Clemente.

Odrzuciła się do swego przyjaciela i kolegi po fachu.

- Newman sam udzielił nam odpowiedzi. Tamtego dnia.

- Chodzi ci o to, że...

Kiwnęła głową.

- Koty naprawdę go wkurzają. To jego własne słowa. A będąc człowiekiem pozbawionym sumienia, działał tak, by pozbyć się przyczyny poirytowania.

Tabbart postukał w blat stołu, prosząc o spokój, ale go zlekceważono. W końcu uwagę zebranych zdołał skupić na sobie Clemente.

- Jeśli masz rację, to dlaczego przez trzy miesiące, kiedy traktowaliśmy go dosłownie jak więźnia, nie wywołał żadnego incydentu? Dlaczego nie zaatakował nas na oślep, jak rzekomo uczynił to z Rosjanami? Chyba wkurzamy go bardziej niż koty?

Wszystkie oczy obróciły się na Patrycję.

Zastanawiała się dłuższy czas nad odpowiedzią. A właściwie nad tym, czyjej uwierzą.

Zaczęła bardzo powoli:

- Zgadza się, że nie jest socjopatą, którego cechą, jedną z wielu, jest nieumiejętność uczenia się na błędach. - Przerwała, a nie słysząc żadnych zastrzeżeń, mówiła dalej. -

Iloraz inteligencji powyżej geniuszu. Wyższy niż iloraz inteligencji kogokolwiek przy tym stole. Nie ma sumienia, ale wykazuje prawie nieograniczoną zdolność uczenia się. Zwróćcie uwagę na próby ucieczki podejmowane w Rosji - każda skuteczniejsza od poprzedniej. Powstrzymali go, maksymalnie izolując i trzymając na muszce, ilekroć byli zmuszeni otwierać drzwi jego celi. - Zamilkła dla tym większego efektu. - Tak jak zrobiliśmy to tutaj. - Zebrała kartki i zamknęła teczkę. - Wiedział, że może zabić kota, bez narażania na szwank swych oczywistych planów. Tak więc, ponieważ tego chciał, uczynił to.

- Proszę nam w takim razie wyjaśnić, co to za plany - odezwał się sarkastycznie Tabbart.

Patrycja odetchnęła głęboko.

- Myślę, że to jasne.

Rozejrzała się, szukając wsparcia, którego nigdzie nie dostrzegła.

- Uczy się na poprzednich błędach, staje się skuteczniejszy z każdym dniem, wie coraz więcej. Od nas, o nas. Pewnego dnia znów spróbuje ucieczki. A kiedy już się zdecyduje, zrobi bez wahania i żalu wszystko, co będzie musiał, by tym razem próba się naprawdę powiodła.

Przy stole zapadła cisza, ale Patrycja wiedziała, że nie na długo. Kto pierwszy wypowie głośno oczywistą myśl?

Tabbart odchrząknął.

- Doktor Nellwyn, czy naprawdę wierzy pani, że nasz pacjent jest czymś w rodzaju nadczłowieka? Jakimś cudownie utalentowanym dewiantem, którego może powstrzymać jedynie srebrna kula czy drewniany kołek wbity w serce?

- Nie - powiedziała cicho, ale stanowczo. - To nie jest dewiant.
- W takim razie proszę nas oświecić. Czym według pani jest?

Teraz albo nigdy.

- Nie trzeba nikogo przekonywać - zaczęła ostrożnie - że człowiek podlega ciągłej ewolucji. Jak potwierdzają badania wielu gałęzi nauk antropologicznych, małe palce u naszych rąk i nóg z każdym nowym pokoleniem się zmniejszają. Nikt nie zaprzecza, że w ciągu mniej więcej tysiąca lat całkowicie zanikną.

- Czy naprawdę jest nam potrzebny...

Tym razem Clemente przerwał Tabbartowi.

- Mów dalej - zachęcił zdecydowanym tonem Patrycję.

- Więc dlaczego to samo nie może dotyczyć naszego mózgu? Być może zmienia się wolniej, mniej widocznie, ale w sposób o wiele bardziej złożony. Dlaczego i on nie miałby podlegać ewolucji?

Zamilkła, czekając na nieuniknioną replikę.

Panowało milczenie.

- Człowiek zawsze był określany poprzez rozmiary i funkcje swego mózgu. Począwszy od *Australopithecusa Robustusa*, u którego objętość mózgu wahała się w granicach od czterystu pięćdziesięciu do siedmuset centymetrów sześciennych, aż do *Homo Erectusa*, z mózgiem o objętości od tysiąca stu do tysiąca pięćuset centymetrów sześciennych.

- Ale przecież mózg Newmana mieści się w tym przedziale, ma jak sądzę około ty-

siąca czterystu trzydziestu pięciu centymetrów sześciennych.

Patrycja wzruszyła ramionami.

- Wszyscy znamy pracę Dana Dennetta z Centre For Cognitive Studies; przeczytajcie sobie „Trzy szympanse” Jareda Diamonda. - Milczała przez chwilę, a gdy znów się odezwała, jej głos był cichy i niepewny. - Wszystko, co robię, ma na celu kontynuację ich pracy aż do kolejnego, logicznego etapu.

- Mój Boże - westchnął Tabbart z nieukrywanym przerażeniem. - Nie chce pani chyba sugerować...

Patrycja przerwała mu bez ogródek.

- A jeśli obecna ewolucja ma podłoże neurologiczne? Jeśli dokonuje się w naszym mózgu? Niejako ekspansja jego komórek, ale przeobrażenie samej jego istoty?

Kapf gapił się na nią.

- Czy zdaje pani sobie sprawę z tego, co pani mówi? - spytał głosem cichym i drżącym. - Człowiek nie zmienił się zasadniczo od trzystu tysięcy lat.

Przytaknęła z namysłem, nie zwracając uwagi na spojrzenia siedzących przy stole.

- *Australopithecus Robustus* żył przez dwieście tysięcy lat, nim pojawił się pierwszy *Homo Erectus*, któremu z kolei nikt nie zagroził przez następne dwieście tysięcy lat. Wtedy na scenę wkroczył *Homo Sapiens*. - Przerwała na chwilę. - Żyjemy na ziemi dłużej niż tamci dwaj. Czas na zmianę. - Znów umilkła. Potem dodała: - Prawdę mówiąc, jesteśmy bardzo opóźnieni.

Okrzyki zdumienia, gniewu i konsternacji mieszały się z głośnym waleniem w stół, czym Tabbart starał się uciszyć zebranych. Tylko Clemente, Kapf i Patrycja zachowali spokój, patrząc sobie głęboko w oczy.

Wrzawa powoli przygasła.

- Doktor Nellwyn - Tabbart wyrzucał z siebie pełne gniewu słowa - radzę pani z dobrego serca, proszę nie wygłaszać tych absurdalnych, idiotycznych, nienaukowych... - zdawał się szukać jakiegoś słowa, którym mógłby ją dobić. Nie udało mu się, więc potrząsnął tylko głową. - Nasze spotkanie dobiegło końca. Chciałbym jeszcze dziś porozmawiać indywidualnie z niektórymi z państwa.

Wstał.

- Doktor Nellwyn?

Spojrzała na niego.

- Doktor Nellwyn, jeśli choć słowem wspomni pani o tych swoich obłądnych teoriach poza ścianami tej sali, to osobiście dopilnuję, by nie tylko usunięto panią z instytutu, ale i w ogóle zabroniono pracować w zawodzie. - Ruszył ku drzwiom, pociągając za sobą pozostałych. - Żądam, by natychmiast zaczęła pani terapię i przeanalizowała swoje motywy. W związku z tym otrzymuje pani natychmiastowe zwolnienie lekarskie od dziś na czas nieokreślony. - Przystanął w drzwiach. - Nowy człowiek, też coś!

Wpadł jak burza na korytarz.

Patrycja zamknęła oczy, przygnieciona ciężarem gniewu, obelg i poniżenia, którymi uraczyli ją opuszczający salę koledzy. Kiedy znów uniosła powieki, zobaczyła, że w po-

koju prócz niej pozostali tylko Clemente i Kapf.

- Naprawdę w to wierzysz - powiedział wolno Jack.

Przytaknęła ze smutkiem.

- Tak.

Potrząsnął głową.

- Dlaczego? Popatrz na mnie, to ja, Jack. Po prostu mi powiedz, bez zarozumiałości.

Dlaczego?

Spojrzała mu w oczy i coś w nich dostrzegła. Być może rozczarowanie jej osobą.

- Zajmujemy się definiowaniem czegoś, czego zdefiniować nie sposób - odparła niemal z płaczem. - Wyjaśniamy tajemnice i złożoność myśli, emocji, działań, w powszechnie przyjęty sposób. Posługując się powszechnie przyjętym słownikiem pojęć.

- Wyciągnęła ręce i ujęła jego dłonie. - Sam mówiłeś, że Newman to coś, czego nigdy przedtem nie widzieliśmy. Coś, co wymyka się jakimukolwiek konwencjonalnemu wyjaśnieniu.

- Nie sklasyfikowane jak dotąd zaburzenia umysłowe - zgodził się, powtarzając swoją diagnozę.

Wstała i zaczęła przemierzać salę.

- Czy to jedyne rozwiązanie? - żarliwie próbowała go przekonać. - Nawet Freud przyznawał czasem, że cygaro to tylko cygaro! Dlaczego mamy ignorować oczywiste możliwości tylko dlatego, że wydają się dziwne? Czasem cygaro jest tylko cygarem, a czasem coś nowego jest czymś nowym!

Jack popatrzył na nią, wstał i potrząsnął ze smutkiem głową.

- Nie wiem - powiedział tak cicho, że musiała wytężyć słuch, by go zrozumieć. Zakaszła i jakby się przygarbił. - Muszę się nad tym zastanowić.

Wyszedł z sali, jakby przygnieciony niewidocznym ciężarem.

- Doktor Nellwyn?

Obróciła się na pięcie. Zapomniała, że pozostał jeszcze Kapf.

- Czego pan chce? - spytała pokonana.

Do diabła - pomyślała - jeśli Jack nie chce mi uwierzyć, to...

- Doktor Nellwyn, nie sądzę, by pani teoria była słuszna - stwierdził rzeczowym tonem stary człowiek.

- Wspaniale - odparła.

Kapf wstał z miejsca.

- Jednakże - dodał, podchodząc do niej i kładąc jej dłoń na ramieniu - mogę się mylić.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Co?

Wzruszył ramionami.

- Słońce nie krąży wokół płaskiej ziemi. Bardzo często dogmat dnia dzisiejszego staje się nazajutrz absurdem. - Poklepał ją po ramieniu. - Człowiek to istota podlegająca ewolucji. Któregoś dnia zacznie się kolejna era. Ujrzymy nagle nieprzyjazną twarz czy też postać i cofniemy się w niekzemy strachu. Tak jak uczyniliśmy to dzisiaj. - Zebrał swoje papiery i ruszył do wyjścia. W połowie drogi przystanął. - Mam nadzieję, nie, mo-

dlę się, by ta nieprzyjazna twarz czy postać nie okazała się naszym panem Newmanem. Przyszłość *Homo Sapiens* stającego do konfrontacji z *Homo Crudelis* jest dość mroczna. - Roześmiał się. - Przynajmniej dla tych spośród nas, którzy zasługują na miano *Homo Sapiens*. Gute Nacht, madame doktor.

Patrycja patrzyła za oddalającą się sylwetką, całkowicie zaabsorbowana obrazem, jaki przed nią odmalował doktor Kapf, i starała się gorączkowo pojąć sens jego słów. Pojąć tę jedną, najbardziej podstawową prawdę, którą wygłosił.

Homo Sapiens przeciwko *Homo Crudelis*.

Człowiek myślący w starciu, które z góry było skazane na niepowodzenie, ze swym nieuniknionym następcą.

Homo Crudelis. Człowiek okrutny. Uwolniony od wszelkich zahamowań, które dziś

wydają się oczywiste. Myśliwy-zabójca o intelekcie współczesnego człowieka. Zdolny do czegokolwiek i do wszystkiego.

Kapf ma rację - myślała, wychodząc z sali. - To wszystko może mieć tylko jeden finał.

Przebywający na oddziale Edel szykował się do kontroli, którą zapowiedziano na następny dzień.

- A więc jak wyglądają sprawy? - zwrócił się do jednego ze swoich starszych podwładnych.

Jego zastępca popijał kawę.

- Komisja ma się zjawić punktualnie o ósmej. A to, jeśli informacje doktora Clemente są zgodne z prawdą, oznacza, że zechcą go zobaczyć najwcześniej między dziesiątą trzydzieści a jedenastą.

- Pół godziny przed czasem doktor Clemente da nam sygnał. Wtedy zaczniemy go przygotowywać do wyprowadzenia - wtrącił drugi.

Edel przytaknął.

- Będę osobiście towarzyszył pacjentowi w windzie. Chcę... - urwał i potarł oczy. - Chcę, by w przedpokoju stało w pogotowiu dwóch ludzi, trzech przy pokoju pielęgniarskim, na wszelki wypadek, i pięciu na gorze.

Przyjęli jego rozkazy w milczeniu.

- Odpręż się, Konrad - poradził mu jeden z zastępców. - Wszystkiego dopilnowaliśmy. - Umilkł, po chwili by dodać: - Odpręż się. Idź się prześpij.

Edel spojrzał na niego, uśmiechnął się i skinął głową.

- *Ja.*

Wstał, przeciągnął się i ruszył do windy. Kiedy znalazł się w kabinie, zawahał się, nim wcisnął guzik. Powinien pójść do domu, był śmiertelnie zmęczony.

Konieczność ściślejszej ochrony od czasu, gdy Newman wychodził poza mury oddziału, kosztowała Edela i jego ludzi sporo nerwów. Do tego jeszcze ten jutrzejszy pokaz...

Zdecydował się. Dom i sen muszą poczekać. Wcisnął guzik i zjechał pod ziemię.

Podchodząc do monitora, dał strażnikom znak, by powrócili na swoje miejsca. Zobaczył, że Newman siedzi na kanapie i ogląda jakiś film. Podniósł mikrofon.

- Panie Newman, to ja, Konrad Edel.

Newman spojrzał w obiektyw kamery.

- Jak się pan czuje, Herr Edel?

Szef ochrony, uśmiechnął się.

- Bardzo dobrze, sir. Zastanawiałem się, czy nie zechciałby pan porozmawiać przez chwilę, skoro jeszcze pan nie śpi?

Newman przytaknął i też się uśmiechnął.

- Będzie mi miło.

Pięć minut później drzwi kwatery Newmana zamknęły się za Edelem, który podszedł do więźnia i uścisnął mu dłoń.

- Przepraszam, że ostatnio pana nie odwiedzałem. Byłem bardzo zajęty.

Newman zachowywał się niezwykle uprzejmie.

- Ja też przepraszam, jeśli miał pan przeze mnie więcej roboty.

Edel machnął ręką.

- Raczej przez biurokratów i lekarzy.
- Mogą zależeć za skórę.
- Święta prawda.

Przez chwilę panowało milczenie.

- A więc co u pana słychać? Potrzeba panu czegoś?

Siedzieli obok siebie na kanapie. Jak dwaj starzy przyjaciele.

- Pilnują, żeby zawsze było słychać to samo - odparł Newman. - Ale dzięki panu mam wszystko, co niezbędne.

Wskazał Biblię, leżącą na stoliku.

- Drobnostka. - Edel wziął książkę do ręki i otworzył na stronie zaznaczonej czerwoną tasiemką. - Izajasz?

Newman wyrecytował bez zająknięcia:

- „Pocieszcie, pocieszcie mój lud - mówi wasz Bóg. Przemawiajcie do serca Jeruzalem i wołajcie do niego, że czas jego służby się skończył, że nieprawość jego odpokutowana, bo odebrało z ręki Pana karę w dwójnasób za wszystkie swe grzechy”.

Edel słuchał z powagą.

- Boli pana gniew pańskiego rządu?
- Tak.

Edel przewrócił kilka stron.

- Nie wolno panu rozpaczać - powiedział, szukając w Biblii jakiegoś fragmentu. - Musi pan oddać się w ręce Boga i ufać Jego dobroci, miłosierdziu i nieskończonej miłości.

Zdawało się, że Newman przyjmuje jego słowa z uwagą.

- Rozumiem - odparł drżącym głosem. - Ale tyle trzeba by wybaczyć. - Zamilkł na długą chwilę, a jego oddech stał się szybszy. - Może nawet więcej, niżli Bóg tego oczekuje - powiedział, spoglądając w podłogę.

Edel otoczył tego samotnego człowieka ramieniem, wciąż kartkując strony Biblii.

- Nie trać wiary, Brian. - Nagle rozchmurzył się i podał Newmanowi książkę. - Od wiersza szesnastego.

Newman powiódł wzrokiem po tekście, po czym zaczął czytać.

- „Wejrzyj na mnie i zmiłuj się nade mną, bo jestem samotny i nieszczęśliwy. Oddal uciski mojego serca, wyrwij mnie z moich udręczeń. Spójrz na udrękę moją i na boleść i

odpuść mi wszystkie grzechy”.

Gdy skończył czytać, w oczach miał łzy.

- Dziękuję - powiedział stłumionym głosem.

Przez następne czterdzieści pięć minut czytali Biblię, wymieniali uwagi i wspólnie się modlili. W końcu Edel wstał.

- Nie rozpaczaj, Brian - starał się dodać Newmanowi otuchy, gdy ten wycierał oczy. - Pan czuwa nad tobą i strzeże cię.

- Amen - odparł Newman, a gdy drzwi się otworzyły, zaczął szybko rozważać swoje szanse.

Drzwi są otwarte, na zewnątrz tylko Edel i dwóch strażników... najwyżej piętnaście sekund. Biorę klucze Edela do windy, otwieram drzwi, wciskam guzik, drzwi się

zamykają, winda jedzie na górę...czterdzieści pięć sekund. Od trzech do pięciu strażników, zaskoczeni, ale reagują na mój pierwszy ruch. Przy odrobinie szczęścia...trzydzieści sekund. Jedna minuta, trzydzieści sekund od drzwi kwatery do głównego wejścia budynku. Jedna minuta, trzydzieści sekund i sześciu - ośmiu uzbrojonych ludzi. Nie licząc pielęgniarek z nocnej zmiany i sanitariuszy, którzy mogą być na tyle głupi, by się wtrącać. Prawdopodobieństwo sukcesu...pięćdziesiąt procent.

Postąpił krok w stronę Edela.

- Dobranoc, mój przyjacielu.

Szef ochrony odwrócił się i uśmiechnął, nieświadomy bliskości chwili, w której miał się przekonać o istnieniu Boga.

- Dobranoc, Brian. Będę się modlił o twe uwolnienie.

Drzwi zamknęły się, gdy tylko przestąpił próg.

Newman skierował się do łazienki. Dał znak ochroniarzom, a potem czekał, aż wyłączą kamerę. Kiedy się upewnił, że nikt go nie widzi, spuścił klapę i wszedł na sedes. Nucąc, zabrał się za to, co robił już od trzech miesięcy - grzebał palcami, manipulując wokół wentylatora.

Pracował tak trzy albo cztery razy dziennie, powoli i systematycznie, nigdy dłużej niż dwie minuty. Tam, gdzie znajdował się wentylator, musiał też przebiegać przewód wentylacyjny. Być może ten sam, który dostarczał powietrze do całego pomieszczenia.

A tam, gdzie był przewód, była też droga ucieczki.

Kiedy czas już upłynął, umieścił wszystko na swoim miejscu, spuścił wodę w ubikacji, umył ręce i wrócił do pokoju.

Dyżurny posłużył się teleobiektywem, obserwując, jak Newman siada na kanapie i otwiera Biblię. Zwiększył natężenie mikrofonów, by usłyszeć, co więzień recytuje.

- „Spójrz na mych nieprzyjaciół; jest ich wielu i gwałtownie mnie nienawidzą. Strzeż mojej duszy i wybaw mnie”.

Było już dobrze po pierwszej, gdy Newman udał się w końcu na spoczynek. Na oddziale zaczęły obowiązywać zasady „wieczornej obserwacji”, a obsługa przystąpiła do porządków. Wszystko pograżyło się w zwykłym, spokojnym, nocnym rytmie.

Za to krótki odcinek Sigersonstrasse na peryferiach Monachium, obejmujący zaledwie trzy przecznice i zwany powszechnie diabelskim placem zabaw, wyglądał zgoła odmiennie.

Gwar, neony, samochody, ciała. Jaskrawe światła nadawały wszystkiemu czerwono-wo-niebieski odcień. Ostra, rockowa muzyka - osiem różnych piosenek płynących jednocześnie z dwudziestu skrzeczących głośników - atakowała brutalnie uszy przechodzących ludzi.

Wszędzie unosił się zapach seksu.

Wąskimi ulicami posuwały się z wolna samochody, zmuszone przez tłum i gapiów do żółwiego tempa. Włączone silniki i odbiorniki radiowe potęgowały kakofonię dźwięków i wzmagaly wszechobecny obłęd.

Trwało to aż do świtu.

Ludzie odwiedzający diabelski plac zabaw dzielili się na trzy kategorie. Do każdej z nich należała inna część nocy.

Turyści, spragnieni dekadencjonalnej atmosfery, dreszczyku podniecenia, wszelkich sprośności, przybywali zazwyczaj po ósmej. Nie opuszczali nigdy samochodów, tylko krążyli po diabelskim placu, pokazując sobie palcami dziewczyny, uśmiechając się lubieżnie i chłonąc przez szyby obrazy, dźwięki i grzeszną sławę tego miejsca. Lecz przed nastaniem północy niemal wszyscy znikali.

Wówczas zjawiali się interesanci.

Pierwsi z nich przyjeżdżali taksówkami - nigdy prywatnymi samochodami - między północą a pierwszą nad ranem. Wsiadali na obrzeżach placu albo pod drzwiami prywatnych klubów i zostawali kilka minut albo kilka godzin, by potem wrócić do taksówek, które odwoziły ich czym prędzej do czystego świata. Tam uwalniali się od ciężaru grzesznej nocy. Do chwili, gdy znów tu powracali.

Najważniejsza klientela przybywała dopiero po trzeciej nad ranem, tuż przed świtem.

Długie limuzyny, srebrne albo czarne, stały cierpliwie w ogonku, by podjechać pod tylne drzwi prywatnych klubów. Ich bogaci i wszechwładni pasażerowie poszukiwali wyrafinowanych, zakazanych rozkoszy, za które byli gotowi zapłacić krocie.

To z myślą o nich stworzono diabelski plac zabaw. Dostawali wszystko, czego zapragnęli, wszystko, co mogli sobie wyobrazić. Jeśli tylko odpowiednio płacili, ma się rozumieć. Nikt się nie przejmował moralnością.

Zawsze płacili.

Po drugiej stronie wejścia na diabelski plac stał jakiś człowiek. Z papierosa, którego trzymał, pozostał już tylko niedopałek. Mężczyzna patrzył na cały ten chaos, wrzawę, słuchał dźwięków i wdychał delikatny zapach seksu, który unosił się wkoło i mieszał z duszącymi wyziewami.

Zaciągnął się głęboko - rozżarzony czubek dotknął palców. Zapach nocy wzbogacił się o woń spalonej skóry.

Lecz mężczyzna nawet nie drgnął.

Zaciągnął się ponownie, a wtedy niedopałek zgasł w palcach. Odrzucił niedbale peta, po czym wyciągnął nowego papierosa i zapalił. Podnosząc kołnierz, by osłonić się przed opadającą mgłą i wzrokiem przypadkowych przechodniów, przeszedł na drugą stronę ulicy.

Większość turystów już odjechała. Ulica, wciąż zakorkowana, ale coraz luźniej sza, przeobrażała się szybko i cichła, czekając na nową falę przybyszów. Dziewczęta, nadal względnie świeże i pełne energii, wołały do niego po niemiecku.

- Hej, kotku!
- Mam to, czego chcesz, olbrzymie!
- Wszystko dla ciebie.
- Mogę ci pokazać świadectwo zdrowia. Zabawimy się, chłopczyku!

Nie zwracał na nie uwagi. Na dziewczęta w krótkich spódniczkach, które niczego nie zakrywały, na rozsunięte nogi, przezroczyste bluzki, oznaki cielesnego pożądania. Nie interesowało go nic, co stanowiło nieodłączną część wędrówki po Sigerson.

Szedł przed siebie, nie zwracając uwagi na małych chłopców w obcisłych dzinsach i siatkowych podkoszulkach. Ani na starszych, ubranych w skóry, na nastolatków płci ob-
ojga, transwestytów, żałośnie podstarzałych dwudziestolatków, zalegających wejścia do
hoteli.

Za następną przecznicą zaczynały się kluby.

Muzyka była tu znacznie cichsza. prostytutki wyglądały czystiej i były mniej agre-
sywne. Portierzy namawiali go do obejrzenia „najlepszego pokazu w mieście” albo „wi-
dowiska, którego nie da się opisać słowami”, prosili też, by poinformował kierownictwo,
jeśli cierpi na chorobę serca „Nasz show może przyprawić o zawał!”

Mężczyzna, nie rzuciwszy nawet okiem na te atrakcje, ruszył dalej. Ku ostatniej prze-
cznicy diabelskiego placu.

Tutaj chodniki były niemal opustoszałe. Portierzy w liberii kiwali mu głową albo
uchylali czapki. Okolica wydawała się czystsza, spokojniejsza i w jakiś nieokreślony
sposób groźna.

Zatrzymał się przy numerze 37 i pokonał szybko pięć schodków. Portier bez słowa
otworzył mu drzwi.

Przedpokój był elegancko umeblowany i świadczył o zamożności tego miejsca. Na
parkiecie leżał gruby, czarno-złoty perski dywan, ściany zaś pokrywał wzorzysty adama-
szek, w tych samych kolorach. Głęboka francuska sofa z mahoniu współgrała z kontua-
rem, również mahoniowym, który znajdował się na końcu pomieszczenia.

Podszedł do starszego mężczyzny w garniturze, stojącego za kontuarem.

- Nazywam się Ghislain. W czym mogę pomóc? - spytał tamten po niemiecku.

Gość podał mu kartę członkowską.

Ghislain, wyciągnął laptopa i wystukał na klawiaturze kod. W chwilę później z ukło-
nem zwrócił kartę.

- Serdecznie witamy, sir. Czy mogę zająć się pańskim płaszczem? - zwrócił się do
przybyłego tym razem po angielsku.

Mężczyzna zdjął płaszcz i szalik.

Ghislain zniknął z rzeczami w pokój u obok, by pojawić się minutę później z kartą w
bladoniebieskim kolorze.

- Czy mogę przyjąć zamówienie?

Mężczyzna, wziął kartę i zaczął przesuwając po niej palcem. Wskazał kilka pozycji.

Ghislain skrzywił usta w zawodowym uśmiechu.

- Niezwykle trafny wybór, sir. Duża sala?
- Nie dziś - odparł cicho mężczyzna.
- Może więc salon?

Mężczyzna skinął głową.

Ghislain umieścił kartę w pojemniku, który wsunął do wlotu poczty pneumatycznej.

Nacisnął guzik, a wtedy drzwi po lewej stronie kontuaru otworzyły się bezgłośnie.

Kiedy mężczyzna ruszył w tamtą stronę, Ghislain zawołał za nim:

- Miło nam, że znów nas pan odwiedził, sir. Dawno pana nie widzieliśmy.

Mężczyzna zamknął za sobą drzwi.

Dyżurująca na górze pracownica klubu wyjęła z pojemnika bładoniebieską kartę. Zwróciła się do drugiej kobiety siedzącej w pokoju.

- Blondynka, trzydzieści-czterdzieści pięć lat, profesjonalistka, klasa średnia, arogancka, nieśmiała, przyzwoita, ze znajomością angielskiego. - Popatrzyła na towarzyszkę.
- Isa. Salon 24.

Niska blondynka, która miała na sobie tylko wąskie, ledwie widoczne majteczki i skąpy stanik, wstała i podeszła do wieszaka z ubraniami. Zdjęła bieliznę i założyła podobną, tyle że czarną i koronkową. Szefowa podała jej kartę.

Dziewczyna przeczytała ją, po czym wybrała klasyczną, sięgającą do kostek spódnice i zwykłą sportową bluzkę. Zebrała włosy z tyłu głowy i związała je kawałkiem czerwonej tasiemki. Szefowa wręczyła jej małą kameę, którą dziewczyna zawiesiła na wysokości górnego guzika bluzki, po czym ruszyła do drzwi.

Dwie minuty później, stojąc przed salonem 24, wzięła głęboki oddech i zapukała.

- Wejść - dobiegł ze środka głęboki, męski głos.

Uśmiechnęła się najzwyczajniej w świecie.

- Halo, chciał się pan ze mną zobaczyć.

Mówiła tonem przyjaznym, ale i rzeczowym.

- Myślę, że potrzebna mi pomoc, pani doktor - wyznał mężczyzna, który stał odwrócony do niej plecami.

Isa podeszła do biurka, wyjęła plik kartek i pióro. Potem usiadła na sofie.

- Proszę mi opowiedzieć - poprosiła tonem profesjonalistki. - Wszystko.

Mężczyzna oparł się o komodę, wciąż odwrócony do niej plecami.

- Mam chwilami takie uczucie...pragnienie. - Mówił głosem coraz bardziej chrapliwym. - Czasem mi się wydają, że wybuchnę, jeśli nie...

Isa uśmiechnęła się i zapraszającym gestem poklepała miejsce na sofie obok siebie.

- A może by pan tak usiadł przy mnie? Porozmawiamy o tym.

Mężczyzna odwrócił się z wolna i podszedł do niej. Zawahał się, ale dziewczyna uśmiechnęła się zachęcająco. Usiadł.

Isa szybko go oceniła. Bardzo silny, sprawny, ale z pewnością po pięćdziesiątce, z ciemnymi obwódkami wokół oczu. Szybko oceniła, jak daleko może się z nim posunąć.

- Jak mogę panu pomóc? - spytała, udając, że robi notatki.

- Czuję różne rzeczy - przyznał cicho mężczyzna. - I słyszę różne rzeczy. One spr-

wiają, że chcę robić... inne rzeczy.

Isa poczuła, jak przysuwa się do niej, ocierając się nogami o jej nogi. Odsunęła się odrobinę.

- Jakie to rzeczy chce pan robić?

- Brzydkie - powiedział, znów napierając na nią. - Strasznie brzydkie rzeczy, które mnie ujdą na sucho, a innym nie.

Położył jej dłoń na nodze, a potem zaczął ją głaskać i jednocześnie podciągać spódnice.

Isa wierciła się niespokojnie.

- Proszę, sir. Tak nie wolno się zachowywać.

Uniósł dłoń i zaczął pieścić jej piersi.

Próbowała się od niego odsunąć, ale przyciągnął ją do siebie, jego silne, stwardniałe dłonie przyciskały ją do kanapy.

- Mogę robić wszystko! - mruzczał chrapliwie. - Wszystko! Nie obowiązują mnie żadne zasady!

Rozdarł jej bluzkę.

Próbowała zepchnąć go z siebie, ale na próżno.

- Ty mała dziwko!

Ściągnął ją z kanapy i rzucił na wyłożoną grubym dywanem podłogę. Podciągnął jej spódnicę do pasa i wepchnął brutalnie dłoń między nogi, gryząc dziko piersi. Nagle wyprostował się ze zwierzęcym wyrazem twarzy i rozerwał na niej resztki ubrania.

Isa, na której obliczu malował się udawany strach, oceniła go zimno. Miała nadzieję, że nie będzie musiała wzywać ochroniarza, czekającego za drzwiami.

- Proszę, przestań - błagała. - Nie! Dlaczego ja?

Pozwoliła, by jej oczy napełniły się łzami, wciąż obserwując uważnie reakcje mężczyzny.

Znów się wyprostował.

- Zamknij się, dziwko! Dlaczego nie ty? Mogę robić wszystko, mieć wszystko! Nie możesz mnie powstrzymać. Nikt nie może!

Znów się nachylił, chwytając ją brutalnie za nogi i opierając je sobie o ramiona.

- Zrobisz wszystko, co ci powiem, prawda?

Gdy w nią wchodził, głos miał nabrzmiały od okrucieństwa.

- Zrobię wszystko, co zechcesz - jęknęła Isa.

Oczy mu zabłyśły, oddychał spazmatycznie. Po chwili znów przemówił. Tym razem wyrzucił z siebie nienawistnym szeptem:

- Więc...mów do mnie...Newman.

Rozdział siódmy

Niech pan pamięta, będzie chciał pana wypróbować - mówił Clemente do młodego człowieka, kiedy zjeżdżali na dół windą. - Nie ma doktor Nellwyn, można się więc po nim spodziewać szoku, gniewu, sam nie wiem czego. To najważniejsze.

Doktor Mont przytaknął gorliwie.

- Przejmowałem już wcześniej pacjentów. Wiem, jak sobie z tym poradzić.

Clemente potrząsnął głową.

- Rzecz w tym, że to nie jest zwykły pacjent. Proszę się niczego nie spodziewać, nie oczekiwać. Niech pan będzie tylko rozluźniony i na wszystko otwarty.

Drzwi windy rozsunęły się. Weszli do przedpokoju.

- Proszę potraktować dzisiejszy dzień jako sesję zapoznawczą. Bez pośpiechu.

- Jak pan uważa, doktorze - odparł wesoło Mont.

Był zadowolony. Nadszedł jego moment! Szansa, by pokazać starszym pracownikom instytutu, że świetny z niego specjalista, że zasługuje na awans i nagrodę.

W głębi duszy uważał to także za doskonałą okazję, by udowodnić swoją teorię dotyczącą tego przypadku. Jego starsi koledzy byli tak oderwani od rzeczywistości, że nie zauważyliby nawet negatywnej reakcji środowiska lekarskiego na jego rewelacje. Mont, mimo wszystko, wybrał już tytuł pracy, jaką zamierzał po tym wszystkim napisać. Stojąc z boku, szepnął do siebie:

- „Niepowodzenie rządowych planów wykorzystania prania mózgu jako środka w działalności wywiadowczej”.

- Mówił pan coś, doktorze? - spytał Clemente.

- Uhm, nie, sir. Tak, sir - wyjąkał.

Clemente podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

- Niech pan pamięta, wszystko będziemy obserwować na monitorze. W razie czego od razu wkroczymy. Jeśli uzna pan, że sytuacja jest groźna, proszę tylko podać jakieś hasło, a pospieszymy z pomocą.

Mont przytaknął z wyrazem rozbawienia na twarzy. Te staruchy znów przesadzają.

- Tak, sir.

Clemente przyglądał mu się niepewnie.

- Niech pan coś powie.

- Słucham?

- Hasło. Niech pan powie hasło. Tak jakby pan to zrobił w jego obecności. Żeby się nie zorientował.

Młodego lekarza zaczęła już nudzić cała ta komedia, ale Clemente był szefem oddziału.

- Powiedziałbym coś w rodzaju: „Zastanawiam się, czy miał pan kiedykolwiek problemy z uzależnieniem farmakologicznym”. No i jak?

- Świetnie. - Clemente poklepał go po plecach, a potem odsunął się i stanął za strażnikami. - Da pan sobie radę.

Nie wydawał się jednak całkiem przekonany.

Wąskim korytarzem przeszedł do pomieszczenia kontrolnego, gdzie doktor Kapf obserwował Newmana na monitorze.

- Rozmawiał pan z nim? - spytał, neurolog, nie podnosząc wzroku.

- Poradzi sobie.

Kapf spojrział na niego pytająco.

- To młody, niecierpliwy człowiek. Najbardziej niebezpieczne zwierzę w każdej możliwej sytuacji, nie mówiąc już o... - pokazał głową widocznego na ekranie Newmana.

Ten stał jak zwykle przy wejściu do sypialni, plecami do drzwi. Kiedy usłyszał, jak się zamykają, odwrócił się z uśmiechem, który zamarł mu szybko na ustach.

- Kim pan jest?

Głos miał bezbarwny, pozbawiony jakiegokolwiek intonacji. Twarz równie nieodgadniona.

Mont uśmiechnął się i wyciągnął dłoń.

- Jestem doktor Pierre Mont. Przez jakiś czas będę zastępował doktor Nellwyn.

Newman nie poruszył się.

- Dlaczego?

Mont opuścił wyciągniętą dłoń, ale nie przestał się uśmiechać.

- Wydaje mi się, że chodzi o jakieś sprawy rodzinne.

Newman nadal stał nieruchomo.

- Dlaczego?

Mont był zadowolony. Reakcje Newmana dawały się bez trudu przewidzieć.

Odpowiedział więc tak, jak zalecał to robić podręcznik.

- Jestem pewien, że wróci, gdy tylko będzie mogła. A tymczasem poprosiła, bym ją

zastąpił, że się tak wyrażę.

- Że się tak wyrażę - przedrzeźnił go Newman.

W pomieszczeniu kontrolnym Clemente powtarzał, jakby Mont mógł go usłyszeć:

- Spokojnie, tylko spokojnie.
- Powinien być bardziej konkretny - zauważył Kapf.

Mont wskazał krzesło.

- Mogę usiąść?

Newman przyglądał się młodemu człowiekowi.

Psychiatra nie miał na sobie lekarskiego fartucha, tylko bładoniebieską koszulę z białym kołnierzykiem i kraciasty krawat. Włosy długie, ale modnie przystrzyżone. Ogolony przed niespełną godziną. Rozpierało go samozadowolenie, co Newman bez trudu wyczuwał.

Nieszkodliwa larwa typu yuppie, jak go od razu sklasyfikował. Lecz niezwykle istotne pytanie pozostawało bez odpowiedzi.

Dlaczego zwolnili doktor Nellwyn i jaki to ma wpływ na jego plany?

Newman zajął miejsce na kanapie, podczas gdy Mont sadowił się na starym krześle.

- Bardzo wygodne - zauważył z zadowoleniem lekarz. - Podoba się panu?

- A panu?

Mont uśmiechnął się.

- Bardzo. - Przewidywał, że najbliższe minuty będą dość niezręczne. - Czy jest coś, co chciałby pan o mnie wiedzieć? Proponuję, byśmy potraktowali dzisiejszą sesję jako okazję do wzajemnego poznania się.

Newman przytaknął

- Jest coś.

- Może mnie pan pytać o wszystko, panie Newman.

- Ile pan waży?

Mont był szczerze zaskoczony, ale szybko odzyskał pewność siebie.

- Niezwykle interesujące pytanie. Wolno wiedzieć, dlaczego to pana ciekawi?

Newman wzruszył ramionami i rozsiadł się wygodniej.

- Sam pan stwierdził, że mogę pytać o wszystko.

Mont roześmiał się wyćwiczonym, niby naturalnym śmiechem.

- Rzeczywiście. - Zastanawiał się przez chwilę. - Ważę około siedemdziesięciu pięciu kilogramów.

Newman obliczał coś w myślach.

- Sto sześćdziesiąt pięć funtów - stwierdził cicho.

- Z grubsza. A pan?

Mont wyczuwał załączki dialogu.

- Więcej - doparł beznamiętnie Newman. Wpatrywał się w sufit. - Ile wynosi pański iloraz inteligencji?

Typowa próba przejęcia kontroli nad rozmówcą - pomyślał Mont.

- Chyba nie wiem. A pański? - odparował.

- Więcej.

W pomieszczeniu obserwacyjnym Kapf zwrócił się do Clemente.

- Jeśli teraz mu się przeciwstawi, to może być niedobrze.

- Nie zrobi tego - Clemente bez przekonania pokręcił głową. - Nie zrezygnuje ze swojej przewagi.

Mont postanowił obrać inną taktykę.

- Jeśli uznam pańską wyższość nade mną, zarówno fizyczną, jak i intelektualną, to czy będziemy mogli przejść do innego zagadnienia?

Wydawało się, że wszystko idzie dobrze. Newman przestał gapić się w sufit i spojrzał na lekarza. Uśmiechnął się bez cienia fałszu.

- Dlaczegożby nie? - odparł przyjaźnie, choć nadal zachowywał ostrożność.

- No to świetnie. - Mont rozluźnił krawat. - Nienawidzę tych rzeczy - rzucił od niechcienia i ukradkiem spojrzał w kamerę. - Ale starsi pracownicy personelu upierają się przy tym.

- Naprawdę?
- Wyznają bardzo ściśle zasady, jeśli chodzi o strój. Cholerna niewygodna. Sprawdzają, jak się ubieramy i co robimy nawet poza instytutem.

Newman nachylił się nieznacznie.

- Nie wydaje się to słuszne.
- Nie?

Mont czuł, że są już bliscy, bardzo bliscy głębokiego porozumienia.

- Chodziło mi o to - ciągnął Newman - że każdy jest inny. Ma prawo wyrażać siebie samego w sposób, jaki uzna za stosowny, prawda?

- Prawda - odparł Mont. Miał ochotę wycelować palec w obiektyw kamery i zawołać: „A nie mówiłem?”.

Newman przesunął się na kanapie. Od lekarza dzieliło go teraz zaledwie trzydzieści centymetrów.

- Z drugiej jednak strony, pan ich reprezentuje - dodał cicho. - W obecności pacjentów, ludzi z zewnątrz, powinien pan okazywać pewność siebie, profesjonalizm, wzbudzać zaufanie. - Zamilkł na chwilę. - Nie uważa pan, że ludzie, którzy panu płacą, mają prawo wymagać tego od pana?

Nie była to odpowiedź, jakiej Mont się spodziewał, ale zawsze odpowiedź.

Starannie dobierał słowa:

- A zatem opowiada się pan za autorytetem przełożonych?

Newman uśmiechnął się.

- Mogę mieć do ciebie zaufanie, Pierre? - nachylił się jeszcze bardziej. - Nie masz nic przeciwko temu, żebym nazywał cię Pierre, prawda?

- Ależ skąd - odparł podniecony młodzieniec.

- Posłuchaj, Pierre - Newman mówił tonem blahej rozmowy, otaczając lekarza ramieniem. - Pytałeś mnie, dlaczego chciałem znać twoją wagę. No cóż, powiem ci. - Zastanawiał się przez chwilę. - Widzisz - przysunął się jeszcze bliżej - chciałem wiedzieć, czy uda mi się rzucić twoim martwym ciałem w strażników, kiedy tu zaraz wpadną.

Uśmiechnął się rozbrajająco.

- Co? - Mont nie zdążył, nie mógł zareagować dostatecznie szybko.

Newman wbił błyskawicznie kciuk w szyję młodego człowieka, jednocześnie rozwierając tuż przed jego twarzą sztywną dłoń. Zasłonił Montem kamerę.

Obecni w pomieszczeniu obserwacyjnym zwiększyli natężenie mikrofonów, by usłyszeć, co Newman szepcze.

- Jeśli się poruszysz - powiedział cicho i bez złości - umrzesz. Obiecuję, że będzie to bezbolesne, ale obawiam się, że nieodwołalne. Jeśli mi wierzysz, daj znak oczami.

Mont, który nigdy nie podejrzewał, że pojedynczy kciuk może sprawiać tyle bólu, zmrużył oczy, a zaraz potem je otworzył. Wpatrywał się w twardą jak kamień, nieruchomą dłoń, która w każdej chwili mogła złamać mu nos i wbić do mózgu kawałki kości.

- Dobrze - stwierdził niemal rozbawiony Newman. - Jestem pewien, że podali ci na wszelki wypadek jakieś hasło czy umówiony zwrot. Nie mylę się?

W jego tonie wyczuwało się niekłamana ciekawość.

Mont znów zmrużył oczy.

- Więc mije podaj, szeptem, jak najciszej.

W pomieszczeniu kontrolnym Clemente i Kapf nachylili się nad monitorem.

- Co się dzieje? - Kapf raczej mówił od siebie, niż pytał kogoś konkretnego.

W tym momencie Newman odchylił się nieco i obrócił uśmiechniętą twarz do kamery.

- Farmakologicznie - powiedział tylko.

W chwilę później przed drzwiami jego kwatery stała gotowa do akcji grupa uderzeniowa.

Edel sprawdził wszystko, po czym wrócił do pomieszczenia obserwacyjnego.

- Gdzie on teraz jest? - spytał.

- Wciąż na kanapie – odparł jeden z jego ludzi.

Edel podszedł do Clemente i Kapfa.

- Panowie - zaczął z rozmysłem - musimy niezwłocznie podjąć pewne decyzje.

Clemente spojrzał na niego.

- Co pan proponuje?

Edel składał meldunek jak żołnierz.

- Jesteśmy przygotowani na wszelkie możliwości. Mamy plan i jesteśmy wyszkoleni. Jeśli sobie panowie życzyacie, moi ludzie bardzo szybko uporają się z tą kłopotliwą sytuacją.

Kapf przyglądał mu się z uwagą.

- Ale najpierw spróbowałby pan czegoś innego.

Było to stwierdzenie faktu.

- Zgadza się - odparł szef ochrony. - Spróbowałbym.

- Proszę mówić - ponaglał go Clemente.

- Nikogo nie zabił. Obezwładnił jedynie doktora Monta, w ten sposób chce nas zmusić do rozmowy. - Edel zastanawiał się chwilę. - Myślę, że powinniśmy na to przystać.

Kapf przysłuchiwał się uważnie.

- Tak. Mógł w każdej chwili zabić Monta. Ale obawiam się, że nie zechce rozmawiać przez mikrofony.

Edel potrząsnął głową i parsknął śmiechem.

- Ja na jego miejscu też bym nie chciał.

Clemente spojrzał na zegarek.

- Panie Edel, zgadzam się z panem, że sytuacja nie jest być może tak poważna, jak się na pierwszy rzut oka zdaje. Sam nieraz miałem ochotę zabić Monta. Ten człowiek potrafi być nieznośny. - Amatorszczyzna Monta wyraźnie go gniewała. - Ale potrafię zapanować nad swoimi odruchami - mówił dalej. - Pytanie, czy to samo dotyczy Newmana?

- Gdyby Newman chciał go uśmiercić, doktor już by nie żył - odparł beznamiętnie Edel. - To żołnierz, a nie porywacz, który bierze zakładników dla okupu.

- A jak by pan określił Monta?

Edel wpatrywał się w monitor.

- To facet, który ściąga na siebie kłopoty.

Kapf im przerwał.

- Wybaczcie, panowie, ale jeśli to potrwa jeszcze dłużej, to obawiam się, że nie będziemy mieli żadnego wyboru. Później przyjdzie czas na analizę. - Wpatrywał się w nieruchome postaci na monitorze. - Musimy podjąć jakieś działania. Jeśli tego nie uczynimy, może dojść do tragedii.

Twarz Edela przybrała zdecydowany wyraz.

- Nie wolno nam do tego dopuścić.

Kapf domyślił się, o co mu chodzi.

- Chce pan tam wejść, prawda?

- Tak.

Clemente potrząsnął głową.

- Jeśli ktokolwiek ma tam wejść, to tylko ja albo Kapf. Umiemy postępować z takim osobnikiem, mamy doświadczenie.

Kapf spojrział na niego zdumiony.

- Być może nigdy nie istniała tego typu osobowość. Czy można mówić o jakimkolwiek doświadczeniu?

Dwie minuty później drzwi uchyliły się na tyle, by mógł przecisnąć się przez niejeden człowiek, i czym prędzej się zatrasnęły.

Newman trzymał Monta między sobą a drzwiami.

- Kto to?

- Brian, to ja. Konrad Edel.

- Witam.

Edel wciąż stał na progu. Widział, jak Mont się trzęsie, wyczuwał jego strach.

Newman natomiast okazywał jedynie zdawkową uprzejmość.

- Mamy problem, Brian.

- Prawdę mówiąc, mamy dupka, który ma problem - skorygował Newman.

- Może mi pan powiedzieć, na czym ten problem polega? Może razem udałoby nam się go rozwiązać.

Zrobił dwa kroki, wchodząc głębiej do pomieszczenia.

- No cóż, służył pan w grupach GSG-9, zgadza się?

- Tak.

- Gdyby w czasie ataku, nagle, bez żadnego logicznego wytłumaczenia, zmieniono pańskiego dowódcę, co by pan pomyślał?

Edel zrozumiał, co Newman chciał powiedzieć.

- Że zostałem zdradzony. Że być może chcą mnie zabić.

- Słusznie.

Newman podniósł się, stawiając jednocześnie Monta na nogi.

- Niech pan posłucha. Wstaję sobie rano, jem śniadanie, a nagle pojawia się ten pant i opowiada jakieś bzdury o zastępstwie doktor Nellwyn, która ma rzekomo kłopoty rodzinne. - Milczał przez chwilę. - A teraz pytam pana, co by pan zrobił?

Mówił niemal rozbawionym głosem.

- Najprawdopodobniej to samo, co pan.

Newman skłonił głowę przed szefem ochrony.

- No to jesteśmy w domu.

Edel spojrział w kamerę.

- Doktorze Clemente?

- Tak? - głos Jacka odbił się w cichym pomieszczeniu echem.

- Czy zechciałby pan podać Newmanowi prawdziwy powód nieobecności doktor Nellwyn? - Długa chwila milczenia. - Doktorze Clemente?

- Tak.

Tym razem Edel wyglądał na rozgniewanego.

- Niech pan nie traci czasu na kolejną zmyśloną historyjkę. Pana też przejrzy na wy-lot! - Spojrzął na Newmana. - Ten człowiek zasługuje na prawdę!

- Doktor Nellwyn... - zaczął Clemente i zawahał się. Po chwili mówił jednak dalej : - Wyraziła pewną opinię, która wzbudziła liczne kontrowersje.

Newman spojrział sceptycznie na Edela.

- Pojmuje pan, co mam na myśli? Mam powierzyć swoje bezpieczeństwo takim lu-dziom?

Edel przytakiwał mu odruchowo.

- Niech pan mówi prawdę, doktorze Clemente!

W głośniku rozległ się głos Kapfa.

- Mówi Otto Kapf.

- Miło pana poznać, doktorze Kapf - zwrócił się do niego uprzejmie Newman, jesz-cze mocniej naciskając kciukiem szyję Monta.

- Doktor Nellwyn zaprezentowała pewną opinię na temat pańskiego przypadku, ale nie została ona zaakceptowana przez członków zespołu, który się panem zajmuje. W re-zultacie doktor Tabbart wykluczył Patrycję z naszego grona.

- Aha.

Newman puścił Monta, który runął na podłogę. Potem spojrzął w kamerę.

- Czy to było takie trudne?

Edel podszedł do młodego lekarza i pomógł mu wstać. Niemal zaniósł go do drzwi, które bezzwłocznie otwarto. Mont został wyniesiony z pomieszczenia, a drzwi zamknięto.

Edel wrócił do Newmana, który usiadł na kanapie i włączył telewizor.

Szef ochrony usiadł obok niego.

- Czy doktor Nellwyn jest naprawdę dla pana taka ważna? - spytał po przyjacielsku Edel.

- Niezupełnie.
- Tak myślałem. - Zastanawiał się przez chwilę. - Więc po co ten cały teatr?

Zdawało się, że Newman interesuje się wyłącznie programem.

- Uwierzyłby pan, gdybym powiedział, że chodziło tylko o fair-play i wzajemny szacunek?

- Nie - zaśmiał się szef ochrony. - Nie uwierzyłbym.

Newman zerknął na niego.

- Wiedziałem, że z jakiegoś powodu pana lubię.

Znów zajął się telewizją.

- Więc?

- Więc - stwierdził Newman, przeglądając po kolei kanały - o co według pana chodziło?

- O kontrolę.

Newman odwrócił się powoli w jego stronę.

- Ma pan rację, jak diabli.

Edel wstał, poklepał Newmana po ramieniu.

- Niech pan tego więcej nie robi, okej?

Newman patrzył, jak szef ochrony podchodzi do drzwi.

- Jeśli nie będzie żadnych niespodzianek z ich strony, postaram się być grzeczny, obiecał.

Drzwi się otworzyły, ale Edel jeszcze się zatrzymał.

- Kiedy przyprowadzą pana po południu do sali konferencyjnej, będzie się pan zachowywał jak należy?

Newman roześmiał się serdecznie.

- Sądzi pan, że po tym wszystkim nie będą się bali?
- Myślę, że są zakłopotani postępowaniem doktora Monta. A ja pańskim.

Newman zawahał się, po czym wstał i podszedł do otwartych drzwi. Strażnicy wycełowali w jego głowę i pierś.

- Przykro mi, jeśli pana zawiodłem - powiedział smutnym głosem.

Edel skinął głową.

- „Jeśli zachowasz pamięć o grzechach, Panie, Panie, któż się ostoi?”.

Newman dokończył cytata:

- „Ale Ty udzielasz przebaczenia, aby Cię otaczano bojaźnią”. - Uśmiechnął się rozbawiająco. - Psalm sto trzydziesty, wiersz trzeci i czwarty. - Po chwili dodał: - Nie będzie żadnych problemów. Ma pan moje słowo.

- Niech pan spróbuje odpocząć - rzucił na odchodnym Edel.

Po chwili zamknięto i starannie zaryglowano drzwi.

W dwie godziny później Beck, w towarzystwie pięciu cywili, spotkał się przy głównym wejściu do instytutu z Tabbartem i Clemente.

Podczas gdy Tabbart podlizywał się komisji, Clemente wziął Becka na bok.

Kiedy ściskali sobie dłonie, popatrzył na jego rękę..

- Skaleczył się pan, generale?

Beck uniósł dłoń, pokazując opatrunki na koniuszkach dwóch palców.

- Mały wypadek - wyjaśnił. - Oparzyłem się przy odkręcaniu żarówki.

Clemente przytaknął bez zainteresowania.

- Rozumiem - stwierdził. - Znajdzie pan chwilę czasu, żeby porozmawiać?

Beck dostrzegł troskę na twarzy psychiatry i przytaknął.

- Oczywiście.

Ruszyli w stronę oddziału.

Po drodze Clemente opowiedział Beckowi o wieczornej konferencji i porannym incydencie z Montem.

Przed budynkiem przystanął.

- Pytanie, generale, brzmi: co dalej?

Beck sprawiał wrażenie zamyślonego.

- Słucham?

- Mówilem - powtórzył Clemente - że nie wiemy, co teraz robić. Czy nasze stosunki z Newmanem popsuły się na dobre? Jak mamy leczyć człowieka, który okazał wobec nas tyle wrogości? Nie wspomnę już o elemencie ryzyka.

Wydawało się, że Beck zaczął nagle słuchać.

- Myślałem, że omawialiśmy to wszystko już wcześniej.

- Tak - przyznał Clemente - a personel został odpowiednio poinstruowany. - Rozejrzał się wokół, czy nikt ich nie podsłuchuje. - Ale wszystko brzmiało wtedy dość abstrakcyjnie. Teraz natomiast mamy do czynienia z rzeczywistością. Najpierw ten incydent z kotem, teraz doktor Mont...

- Boi się pan, że personel przestraszy się Newmana i odmówi udziału w projekcie?

Clemente wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że zrobią, co do nich należy. Ale zawsze będzie im towarzyszył lęk, jakiś podskórny strach, który Newman w nich budzi. Jestem tego pewien. - Rozważał coś w myślach. - Z czasem to może się stać nie do zniesienia. Nie wspominając już o braku zaufania z jego strony.

Beck spojrział na starszego człowieka.

- Co pan proponuje?

Clemente rozejrzał się.

- Może byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby Newmana przenieść do innego pomieszczenia. - Roześmiał się gorzko. - Jestem pewien, że Tabbart nie będzie się przeciwstawiał.

- Pieprzyć Tabbarta - rzucił z pogardą Beck. - Myślę przede wszystkim o Newmanie.

- Ja też - odparł Clemente. - Proponując zmianę miejsca pobytu, mam na względzie przede wszystkim jego dobro.

Beck potrząsnął przecząco głową.

- Obawiam się, że pan nie rozumie, doktorze. Przenosiny nie wchodzi w rachubę.

- Ale jeśli nie możemy...

- Niech pan posłucha, doktorze, spędziłem dwa ostatnie tygodnie w Waszyngtonie, starając się wyjaśnić pięciu biurokratom, którzy mają wszystko gdzieś, co tu robimy. - Zaczął chodzić tam i z powrotem. - Dla nich Newman to tylko kosztowny egzemplarz skomplikowanego sprzętu. Zepsuł się, więc przesłali go ekspertom do naprawy. - Zatrzymał się przy Clemente. - Jeśli powie im pan, że nie jest w stanie wykonywać swoich obowiązków, to przestaną dawać pieniądze i wyrzucą go na złom jak zużyty mikser.

- Wyrzucą na złom? - spytał zaskoczony Clemente.

Beck znów podjął swój marsz - dwa kroki naprzód i w tył zwrot.

- Uśmiechną się, podziękują za „wspaniałe, humanitarne wysiłki”, jakich się pan podjął, a potem załatwią mu specjalny ambulans i eskortę. Żeby go przewieźć do innego ośrodka, rozumie pan.

Clemente wodził za nim wzrokiem.

- A potem?

Beck wykonał nieokreślony ruch ręką..

- A potem, gdzieś w drodze donikąd, Brian Newman przestanie istnieć. Zostanie usunięty - po cichu, skutecznie, i na zawsze.

Zapadło niezręczne milczenie.

- Nie bardzo wiem, co powiedzieć - Jacka Clemente złapał kolejny atak kaszlu.

Beck nie zwrócił na to uwagi.

- Czy można jakoś pomóc Newmanowi? - spytał cicho, sam nie bardzo wiedząc, jakiej odpowiedzi właściwie oczekuje.

Clemente otarł czoło, a potem stanął obok Becka. Obaj obserwowali ptaki dziobiące trawę na skraju lasu.

- Nie potrafimy nawet nazwać choroby, nie mówiąc już o metodzie leczenia - odparł psychiatra martwym głosem.

- Jeśli to choroba.

- Teoria Patrycji wykracza poza granice nauki. To fantazja.

- Czy proponowana przez nią terapia w jakikolwiek sposób koliduje z pańskim podejściem?

Beck mówił z coraz większą pewnością.

Clemente wzruszył ramionami.

- Nie jestem nawet pewien, na czym jej terapia miałyby polegać! Nie wiemy, jak leczyć nową generację ludzi - jeśli nawet przez chwilę, założymy, że Patrycja ma rację.

- Przyjmijmy ją z powrotem do zespołu i przekonajmy się.

- Tabbart nigdy się na to nie zgodzi.

Beck spojrział ponad rozległym trawnikiem na Tabbarta i członków komisji, po czym ruszył w ich stronę.

- Niech pan ją tu ściągnie, i to od razu. - Przystanął, by poprawić marynarkę. - A Tabbartem ja się zajmę.

Clemente patrzył w ślad za nim przekrzywiając głowę, jakby chciał dopasować wzrok do świata, który nagle odchylił się od swej osi. Potem wszedł do budynku, by zadzwonić.

W półtorej godziny później Patrycja pojawiła się na oddziale.

Komisja zasiadła w sali konferencyjnej na pierwszym piętrze. Clemente zajął miejsce przy małym stoliku po prawej stronie, Tabbart przy drugim po lewej. Krzesło przy trzecim stole, naprzeciwko komisji, pozostało na razie puste.

- Towarzyszył pan generałowi Beckowi, doktorze Clemente - odezwał się lodowatym tonem jeden z członków komisji.

- Tak, sir.

- Więc gdzie on jest? Czekamy już...

W drzwiach ukazał się Beck, tuż za nim Patrycja.

- Zechciejcie, panowie, wstrzymać się jeszcze parę minut.
- Ale nie dłużej - odparł członek komisji.

Tabbart na widok Patrycji zerwał się z miejsca i podbiegł do drzwi.

- Ostrzegalem panią! Jest pani zawieszona...
- Może byśmy pomówili o tym na zewnątrz - zaproponował Beck, popychając ich łagodnie w stronę wyjścia.

Ruszyli korytarzem i weszli do jednego z gabinetów.

Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, Tabbart zaatakował Patrycję.

- To szczyt bezczelności! Nigdy nie będzie mogła się pani pokazać w żadnej klinice, nie wspominając już o jakimś przyzwoitym szpitalu! Od tej chwili jest pani zawieszona. Potem czeka panią zwolnienie.

Był tak wściekły, że prawie pisał.

- Palant - stwierdziła sucho Patrycja.

Beck uznał za stosowne wkroczyć między nich.

- Zechce pan usiąść, doktorze?

- Nie zechcę! - wrzasnął mały człowieczek. - Być może nie wie pan, co tu się ostatnio wydarzyło, ale ja wiem. Ta kobieta nie ma na terenie mojego ośrodka nic do roboty! I nie dopuszczę jej przed oblicze komisji! - Zamilkł, straciwszy na chwilę oddech. - To, że się tu zjawiała, przekracza...

- Poprosiłem ją, żeby przysła.

- Pan?

- Niech pan usiądzie, doktorze. Proszę.

- Nie usiądę! Generale Beck, to jest mój szpital, i to ja decyduję, kogo zatrudnić, a kogo zwolnić... - Przerwał, starając się zapanować nad gniewem. - Nie było pana przez dwa tygodnie, więc tym razem przymknę oko. Nie może pan wiedzieć, jakie nonsensy opowiadała ta dziewczyna. Ale proszę na przyszłość pamiętać, że jest pan tu wyłącznie za moją zgodą, którą mogę w każdej chwili cofnąć.

Zrobił krok w kierunku drzwi.

- Doktorze. - Beck ciężką dłonią chwycił go za ramię. - Jeszcze nie skończyliśmy.

Tabbart usiłował wyswobodzić się z uścisku.

- Jak pan śmie! Ja...

Nie zdążył dokończyć zdania, gdyż Beck rzucił go na fotel stojący pod przeciwległą ścianą.

- Zamknij się, Tabbart! - ryknął.

Tabbart gapił się na wielkiego, rozgniewanego mężczyznę. Jego spojrzenie miało błyskawice, usta wykrzywił grymas wściekłości, dłonie zaciskały się i otwierały na przemian. Ale nie powiedział ani słowa więcej.

- A teraz posłuchaj, ty mały, nazistowski draniu! Niedobrze mi się robi od tych bzdur, jakie ostatnio słyszę. Od tych w Waszyngtonie, od Clemente, od Newmana, od ciebie. - Urwał i zbliżył się do niego na odległość kilku centymetrów. Przytłaczał go swoim wzrostem. - Jesteś profesjonalistą. Wiesz wszystko o ludziach, którzy uciekają się do przemocy, by rozwiązać swoje problemy. - Roześmiał się szyderczo. - Mamy do czynienia właśnie z takim przypadkiem, zgadza się?

Milczenie.

- Zgadza się?

- Jak pan sobie życzy - odparł Tabbart przez zaciśnięte zęby.

- Dobra. I pewnie wiesz, co się dzieje, kiedy tacy jak ja, jak nasz przyjaciel na dole, nie mogą znaleźć ujścia dla swoich gwałtownych skłonności, prawda?

- Tak.

Beck nachylił się, chwytając Tabbarta za kłapy marynarki.

- Jeśli nie zejdziesz z drogi ludziom, którzy próbują pomóc mojemu... - zawahał się.

Po chwili dokończył: - Pomóc Newmanowi, to... - niemal uniósł małego człowieczka w powietrze - ...to wydarzy się nieszczęśliwy wypadek.

Głos miał lodowaty.

Tabbart patrzył w zimne oczy Becka, czuł na twarzy jego oddech i wiedział, że nie kłamie.

Ale nie chciał się do tego przyznać. Taki miał charakter.

- Nie wyłgałbyś się - usłyszał samego siebie.

Beck wzruszył ramionami i pociągnął Tabbarta do okna. Potem, pomagając sobie stopą, zwinął kawałek chodnika.

- Był pan rozgniewany - powiedział cicho. - I jak zwykle rzucał się pan na wszystkie strony. Później podbiegając do okna, potknął się pan i wypadł, łamiąc sobie kark na chodniku.

- Jesteś jeszcze bardziej zwariowany niż Newman - stwierdził cicho Tabbart, dostrzegając wyraz oczu Becka.

- Być może. To zależy od pańskiej decyzji - odparł równie cicho Beck. - Proszę to sobie dobrze przemyśleć.

Tabbart ustąpił.

- Doktor Nellwyn może wrócić - stwierdził tonem pokonanego.

Beck postawił go na ziemi i wygładził mu marynarkę.

- Dziękuję, doktorze. To bardzo miło z pańskiej strony. - Sięgnął do kieszeni, i podał mu kopertę. - Czeka z departamentu obrony dla pańskiego instytutu. Powinien pokryć wszelkie straty.

Tabbart schował czek do kieszeni, nawet go nie oglądając.

Beck wzruszył ramionami i skierował się do drzwi.

- Generale Beck?

- Tak?

Tabbart starał się ratować resztki godności.

- Newman stanie się przyczyną pańskiej śmierci, na którą pan zresztą w pełni zasługuje.

Beck skinął głową.

- Najprawdopodobniej.

Wyszedł i przyłączył się do komisji obradującej po drugiej stronie korytarza.

Tabbart pozostał przez długi czas w gabinecie. Myślał gorączkowo o wszystkim, co mógł i powinien zrobić w sprawie Becka. Powiadomić zwierzchników o jego groźbach.

Wymóc aresztowanie przez niemiecką policję. Stawić mu czoła przed komisją.

Ale wpierw trzeba mieć na względzie dobro instytutu, powiedział sobie. Zawsze najważniejszy jest instytut. Pieniądze od Amerykanów pozwolą na kontynuację solidnej, potrzebnej roboty. Tylko to się liczy. Instytut powinien funkcjonować bez zakłóceń, nawet jeśli porządni ludzie, tacy jak on, muszą się dla niego poświęcać i znosić obelgi ze strony kretynów pokroju Becka.

Wyglądził ubranie, odwrócił się i wyszedł z pokoju. Jednak groźnie wyglądające wybruszenie na dywanie pod oknem nie uszło jego uwadze.

Na dole, w piwnicy, Newman odwrócił się na dźwięk odsuwanych zasuw przy drzwiach.

- Witam z powrotem - powiedział do Patrycji, kiedy zbliżyła się i usiadła na sofie. - Koniec rodzinnych problemów?

Uśmiechnął się i podszedł bliżej.

- Sprawia pan wrażenie bardzo z siebie zadowolonego - zauważyła, otwierając notatnik.

- A dlaczego by nie? - usadowił się na krześle. - Cieszę się, że pani wróciła. Pani nie jest zadowolona?

- A więc całe to przedstawienie odbyło się z mojego powodu?

- Jeśli pani chce.

Potrząsnęła głową.

- Nie chcę.

Newman wzruszył ramionami.

- Nieważne.

- Chciałby pan usłyszeć moją teorię na temat tego, co się dzisiaj wydarzyło?

- Oczywiście. Słyszałem, że pani teorie są teraz w modzie.

Najwyraźniej doskonale się bawił.

Nie zwróciła na to uwagi.

- Myślę, że się pan przestraszył.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Myślę, że do tej pory wszystko panu świetnie szło. Wszystko było na swoim miejscu, w swoim czasie. I nagle ktoś odważył się to zakłócić. I okazał wyjątkową beczelność, o niczym pana nie uprzedzając. - Przerwała na chwilę. - No i co pan na to?

Newman wyglądał na znudzonego.

- Przepraszam - zamrugał oczami, jakby wyrwany z drzemki. - Mówiła coś pani?

Odchylił się na krześle.

- Zmienili taktykę - ciągnęła tym samym ironicznym tonem. - A pan nie mógł sobie z tym poradzić. Przestraszył się pan i zaczął rozrabiać jak dwulatek.

- Czy to oficjalne stanowisko? Socjopata, niezdolny dostosować się do zmiany, wyładowuje na innych swoje urazy. - Na jego twarzy odbiło się rozczarowanie. - Stać panią na więcej.

- Nie o to mi chodzi, i pan o tym doskonale wie.

- Czyżby?

- Owszem. Pan się po prostu wystraszył. - Przerwała, żeby coś napisać. - Nie był to oczywiście taki strach, jaki mogę odczuwać ja czy Jack Clemente, ale jednak strach.

- Czego się niby przeląknęłam? - spytał, ziewając.

Zawahała się.

- Że straci pan szansę ucieczki. Że pana wytropią i uniemożliwią to, co pan planuje.
- A na czym ten mój diabelski plan ma polegać?

Milczała przez długą chwilę.

- Nie jestem jeszcze pewna. Ale cokolwiek to jest, próbuje pan posłużyć się moją osobą, by to osiągnąć. A kiedy doktor Mont mnie zastąpił, przestraszył się pan, a potem musiał to jakoś odreagować.

Newman wybuchnął śmiechem.

- Ja bym nie powiedział: „przestraszył się”, pani doktor.

- A jak by pan powiedział?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Raczej : „zdenerwował”. Albo może „zaniepokoił się”. - Szukał odpowiedniego określenia. - Tak. Powiedzmy, że „zaniepokoił się”. Wyznaję, że byłem zaniepokojony.

Skinęła głową.

- Bardzo dziękuję. - Po chwili spytała: - A więc co pana tak...zaniepokoiło?

- W dużej mierze to, o czym pani już mówiła - zaczął. - Zmiana, zwłaszcza niespodziewana, w moim fachu nigdy nie jest czymś pożądanym. - Zwłaszcza, gdy knuję coś w tajemnicy - dodał po chwili żartobliwie poważnym tonem.

- A więc wyładował pan złość na doktorze Moncie. Bardzo logiczne - stwierdziła z nieukrywaniem sarkazmem.

Newman wstał i zaczął krążyć po pokoju.

- Ten człowiek to dureń.

- To znakomity powód - odgryzła się.

- Wchodzi tutaj, gada jakieś bzdury o lekarskim establishmencie, próbując udowodnić idiotyczne teorie. Do diabła, to ja jestem establishmentem.

- Naprawdę? - spytała spokojnie.

- Pani tak nie uważa?

Wzruszyła ramionami.

- To, że ktoś jest narzędziem establishmentu, wcale nie oznacza, że do niego należy.

Newman przystanął i spojrzał jej prosto w oczy.

- Co to za teoria, przez którą ma pani tyle kłopotów?

- Co pan ma na myśli mówiąc, że jest pan establishmentem? - nie ustępowała.

- No i kto jest zaniepokojony? - drażnił się z nią.

Patrzyli na siebie w milczeniu, mierząc siły. Kapf i Edel w pomieszczeniu kontrolnym obserwowali ich z napięciem.

- Nie wierzy pani w ani jedno moje słowo - stwierdził w końcu Newman bezbarwnym głosem.

- Co pan ma na myśli mówiąc, że jest pan establishmentem?

Nie cofnęła się przed jego spojrzeniem.

- Czy i pani podali jakieś hasło na wypadek kłopotów, tak jak w przypadku doktora Monta?

Patrycja uśmiechnęła się.

- Aż tak bardzo im na mnie nie zależy - stwierdziła swobodnym tonem. - Co pan ma na myśli mówiąc, że jest pan establishmentem?

- Nie ostrzegali, żeby mnie pani nie przyciskała do muru? Nie zrażała i nie denerwowała?

Wzruszyła ramionami.

- Nie lubię postępować zgodnie z instrukcjami. Ostatni rower, jaki sama składałam, zamienił się w dzieło sztuki nowoczesnej.

Podszedł do niej. Oczy mu się zwężyły, głos przybrał niski, groźny ton.

- Mógłbym panią zabić. Błyskawicznie. Byliby bezradni.

Udawała, że zastanawia się nad jego słowami.

- Mógłby pan spróbować - przyznała, patrząc na niego spokojnie. Po chwili dodała: - Ale z kim wówczas prowadziłby pan te fascynujące rozmowy? Z doktorem Montem? - Znowu skupiła uwagę na swoich notatkach. - Co pan ma na myśli, mówiąc, że jest pan establishmentem?

Newman stał przez chwilę nieruchomo, potem wyraźnie się odprężył. Podeszedł do krzesła i powoli usiadł.

- Społeczeństwo składa się z trzech grup, zgadza się?
- Skoro pan tak twierdzi.

Newman unióśł brwi, jakby zaskoczony jej odpowiedzią.

- Tak twierdę.

Mówił, jakby czytał referat:

- Na najniższym poziomie są masy. Przegrani - ludzie, których Nietzsche nazywa zawiedzionymi, których życie jest nie kończącym się pasmem klęsk, którzy nigdy nie osiągną zamierzonych celów. Wyższy poziom zajmują użytkownicy. Ci wykorzystują przegranych jako nawóz. Posiadają fabryki, miasta, czasem państwa. Dzięki swej umiejętności manipulowania innymi, awansują o szczebel wyżej. Osiągnęli niektóre ze swych celów, zrealizowali niektóre ze swych marzeń. Ale nigdy nie zdobędą wszystkiego do końca. Przypominają pączek bez nadzienia.

- Wydawało mi się, że Nietzsche nie wierzył w istnienie klasy średniej - zauważyła Patrycja, zapisując coś.

Newman popatrzył na nią z politowaniem.

- Nietzsche mówił teoretycznie. A mnie chodzi o rzeczywistość.

- Bardzo przepraszam - odparła z uśmiechem. - A ten najwyższy poziom establishmentu to...

- Co to za teoria na mój temat?

- Nie chcę pana rozpraszać. Nie lubi pan tego. - Przerzuciła kilka kartek w swoim notatniku. - A więc na samym dnie znajdują się zawiedzeni i przegrani, pośrodku użytkownicy, a na samej górze...

- Panowie - wpadł jej w słowo, znowu przyjmując naukowy ton. - Mają wszystko. Z racji urodzenia lub ciężkiej pracy, a do tego dochodzi godny podziwu brak zasad etycznych. Posiadają albo kontrolują wszystko. Nie walczą o realizację marzeń; sami są ucieleśnieniem marzeń. To oni zdecydowali, jak ma się toczyć świat, i nigdy się nie mylą.

- Są wszechmocni?

Newman przytaknął.

- Jeśli posiada pani wszystko, i kontroluje wszystko, to tym samym ustala pani reguły. A ten, kto ustala reguły, nigdy się nie myli.

- A gdzie jest pańskie miejsce w tej niezwyklej hierarchii? - spytała od niechcienia.

- Co to za teorię miała pani na mój temat?

- Zanudziłabym pana na śmierć. Mam wrażenie, że to pańskie społeczeństwo znajdowałoby się w stanie ciągłego wrzenia. Poziom najniższy walczyłyby z użytkownikami, a tych z kolei irytowałoby zwierzchnictwo panów.

Newman nie zaprotestował.

- Rozglądała się pani ostatnio wokół siebie? Społeczeństwo rozłazi się w szwach.
- Ale wciąż nie chce mi pan zdradzić, gdzie jest pańskie miejsce w tym wielkim porządku rzeczy.

- A pani mi nie powiedziała, jaką ma pani teorię na mój temat.

Patrycja odłożyła notatnik i spojrzała mu w oczy.

- Powiem panu, jeśli...

Newman uprzedził ją.

- ...ja powiem pani. Zgoda. - Nachylił się i zaczął gestykulować. - Ma pani do czynienia z trzema całkowicie odmiennymi strukturami. Każda o zasadniczo różnych, wzajemnie wykluczających się celach. Każda napiera na dwie pozostałe, grożąc obaleniem całego gmachu. Zgadza się?

- Okej.

- Tak więc jedynym, co trzyma to wszystko razem, siłą dośrodkową, powszechnym spoiwem, by tak rzec...

- By tak rzec – przedrzeźniła go.

Posłał jej pełne irytacji spojrzenie.

- Tym, co trzyma wszystko razem, jest nienawiść. Powszechnie wyrażana, wzajemnie podsycana, głęboka, niezmienna nienawiść... do kogo? - Przerwał i napił się wody. - Do dewianta - dokończył po chwili. - Dewiant to nocny jeździec. Zjawia w ciemności.

- Bardzo poetyckie - przyznała ze stłumionym śmiechem Patrycja.

Nie zwrócił na nią uwagi.

- Wszystkie poziomy społeczeństwa solidarnie pogardzają dewiantem. Jego niezależnością, umiejętnością wznoszenia się ponad zasady, którymi, o czym doskonale wiedzą obie strony, nie musi się przejmować.

- Tak więc uważa się pan za dewianta - wtrąciła szybko.

Newman uciszył ją gestem dłoni.

- To społeczeństwo uważa mnie za dewianta. Choć osobiście wolę porównanie z nocnym jeźdźcem.

- Tak mi się wydawało - uśmiechnęła się Patrycja. - Mówił pan, że wszyscy nienawidzą dewianta?

Newman przytaknął.

- Ci z najniższego poziomu, bo nie mają odwagi robić tego, co on. Użytkownicy,

gdyż dewiant stanowi najbardziej bezpośrednie zagrożenie dla ich kawałka tortu.

- A panowie? - spytała Patrycja.

- Wiedzą, że nie mogą go kontrolować. Nie do końca. Mogą karać, potępiać, nawet zabić, ale nigdy nie zdobędą nad nim całkowitej kontroli. A kontrola jest racją istnienia panów. - Spojrzał na nią triumfująco. - Dzięki dewiantowi mają okazję wyładować swój gniew na wspólnym wrogu, a nie na sobie nawzajem. - Roześmiał się. - Do diabła, gdyby nie ja, całe społeczeństwo zawaliłoby się pod własnym ciężarem.

Patrycja też zaczęła się śmiać.

- Zmyślił pan to wszystko, prawda?

Newman wyglądał na rozczarowanego.

- Zmyśliłem? - Milczał przez chwilę. - Teraz kolej na panią. Co to za teoria na temat mojej osoby?

Podeszła do drzwi, dając znak, by je otworzyć.

- Nie zamierzam panu mówić - stwierdziła, stając w progu.

- Ale obiecała pani.

- Skłamałam

Newman zamilkł, jego twarz stała się całkowicie pozbawiona wyrazu. W chwilę później pojawiła się na niej wesołość. Wybuchnął szczerym, głośnym, głębokim śmiechem.

- Brawo, pani doktor! - zawołał radośnie. - Brawo! Gem i set!

Zatrzymała się z ręką na klamce.

- Nie mecz?

Kręcił powoli głową, a jego śmiech cichł coraz bardziej.

- Nie - odparł. - Jeszcze nie.

Rozdział ósmy

Nie śnię.

- Naprawdę?

- Nie.

- Nigdy?

- No...czasem coś pamiętam.

Kapf odchylił się na krześle.

- Jak to wygląda?

Newman wzruszył ramionami.

- Tak jak zawsze, gdy coś się przypomina - odparł, jakby nieobecny myślami.

- Czy zdarza się to często?

- Co?

- Że pan pamięta.

Newman odwrócił się i spojrzał na starego człowieka.

- Należy pan do tych, którzy przywiązują wielką wagę do snów.

- Owszem.

- Mówiłem już panu, że nie śnię.

- Pytałem o zapamiętywanie.

- Czasami.

Kapf przyjrzał mu się przenikliwie.

- Kiedy?

Newman wydawał się wciąż nieobecny myślami, jakby jego umysł był zajęty jakimś bardzo odległym problemem, który nie ma nic wspólnego z podziemnym więzieniem.

Bezpośrednio po sesji z Patrycją, Kapf zaobserwował u niego wyraźne obniżenie na-

stroju. Godzinę później wkroczył do jego pomieszczenia, by wykorzystać sytuację.

- Kiedy budzę się rano.
- Naprawdę?
- Budzę się, a one czasem nadchodzą.

Znów błędził myślami gdzieś daleko.

- Co pan pamięta?

Oczy Newmana stały się szkliste, przygarbił się.

- Ból.

- Co pan pamięta?

- Pamiętam szkołę.

- I szkoła jest bólem?

- Nie.

- Ale ma związek z bólem.

Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- Nie.

Newman wiercił się przez chwilę, potem wstał i podszedł do wieży stereo. Zaczął kręcić gałkami.

- W jaki sposób szkoła jest powiązana z bólem? - naciskał łagodnie Kapf.

Newman przykucnął, przyglądając się oznaczeniom na podziałce tunera.

- W jaki sposób szkoła wiąże się z bólem?

- W szkole po raz pierwszy to zauważyłem - odparł Newman, nie odwracając się.

- Ból?

Potrząsnął przecząco głową.

- Różnicę.

Kapf ciągle starał się skłonić go do mówienia.

- Odmienność w szkole może być bolesna.

Newman wstał, patrząc na półkę z książkami, jakby to było okno, przez które mógł widzieć świat.

- Chcieli się bawić, palić, pić, pieprzyć.

- Pańscy koledzy?

- Nic ich nie obchodziło, nic nie wiedzieli. Zapuszczali sobie włosy, nosili wariackie ubrania, lekceważyli każdy autorytet, robili wszystko, by się buntować przeciwko... cholera, wątpię nawet, czy mieli pojęcie, przeciwko czemu się buntowali! - zamilkł. Po chwili dodał: - Ale na Boga, nic ich to nie kosztowało.

- A pan?

- Dla mnie nic nie było łatwe.

- Proszę mówić.

Newman znów odwrócił się do Kapfa.

- Myśli pan, że zdoła się dostać do mojego wnętrza - w jego głosie brzmiało znużenie. - Może ten jeden raz. - Parsknął śmiechem. - Nazwiemy to eksperymentem, zgoda?

- Nic nie było dla pana łatwe - powtórzył Kapf.

- Byłem niezgrabny, niezaradny, beznadziejnie naiwny, nieśmiały. - Twarz Newmana znów przybrała nieobecny wyraz. - Przed ukończeniem dziesięciu lat czytałem i rozumiałem dzieła Keatsa, Shelleya i Byrona, przeczytałem w oryginale „Draculę” Stokera i „Koszmar po południu” Beneta. Patrzyłem na gwiazdy i pojmowałem, czym są, gdzie

się znajdują i co oznaczają. - Umilkł na chwilę. - Ale nie mogłem spojrzeć w oczy żadnej dziewczynie.

- Wiedza eklektyczna - zauważył przyjaźnie Kapf.

- Niezupełnie - Newman potrząsnął głową. - Byłem tylko beznadziejnym, lecz nieudolnym romantykiem. - Wykrzywił twarz w gasnącym uśmiechu. - Pamiętam, jak stałem na podwórzu, patrząc na *Canis Venutici*, Psy Gończe.

Spojrzał na Kapfa.

Starszy człowiek gestem zachęcił go, by nie przerywał.

- Widziałem tę konstelację.

Newman uśmiechnął się ciepło.

- Kocham psy - ciągnął cicho. - Patrzyłem na Psy Gończe w jesienne noce, gdy było je najlepiej widać, i rozmawiałem z nimi. Opowiadałem im o swoich problemach i oczekiwałem od nich pomocy.

Kapf wydawał się zadowolony.

- Mówiły panu, co robić.

Newman popatrzył na niego ze smutkiem.

- Czy wyglądam na takiego, co słucha psich głosów. Doktorze, błagam.

Kapf wycofał się.

- Przepraszam. Był pan nieśmiały wobec dziewcząt.

Newman patrzył na Kapfa, jakby chciał zajrzeć do jego duszy, potem mówił dalej:

- Zastępcze rodziny, u których dorastałem, nigdy nie lubiły okazywać uczuć. W każdym razie nie tych pozytywnych. Byłem zawsze boleśnie nieśmiały wobec przybranych rodziców. - Znów umilkł na moment. - Czy to pragnął pan usłyszeć? Nie chciałbym pana rozczarować.

- Był pan nieśmiały - powtórzył z wolna Kapf. - Nie przejawiał pan pewności siebie. I nic nie przychodziło panu łatwo.

- Dość wcześnie uświadomiłem sobie, że widzę rzeczy inaczej niż pozostali. Jakby obdarzono mnie ostrzejszym wzrokiem. Oni nie wiedzieli, nie obchodziło ich, nie rozumieli tego, co ja.

- A co pana obchodziło?

- Nic.

- Co pan takiego widział, czego oni nie mogli dojrzeć?

- Nic.
- Był pan inny?

Newman uniósł brwi.

- Czy byłem inny?
- Pod jakim względem?

Zawahał się.

- Nośłem bardzo krótko obcięte włosy i klasyczne ubrania w tradycyjnych barwach, chodziłem ze spuszczoną głową. Siedziałem w ławce sam, trzymałem się osobno.

- Dlaczego?
- Nie chciałem, by ktokolwiek zauważył.
- Co zauważył?
- Że byłem inny.

Kapf namyślał się przez chwilę.

- A gdyby dostrzegli tę drobną różnicę...

Newman skrzywił się.

- Wówczas zaczęliby szukać innych. - Usiadł na kanapie. - Ale to nie miało znaczenia, krótko potem przestałem chodzić do szkoły.

- A gdzie pan chodził?

Roześmiał się. Głębokim, serdecznym śmiechem.

- Uwierzyłby pan, że do biblioteki?

- Uwierzyłbym. Udawało im się pana złapać?

Newman wzruszył ramionami.

- Rzadko.

- Dlaczego? Pana przybrani rodzice z pewnością...

- Byli dobrymi ludźmi, ale oboje pracowali. Mieli do mnie zaufanie... - Po chwili milczenia dodał: - Byłem wprawnym kłamcą, doktorze. Naprawdę niebywałym.

- A teraz?

- Nie ma potrzeby.

- Dlaczego?

- Bo całkowicie się z panem zgadzam.

Zapadła między nimi niezręczna cisza.

- A władze szkolne? - zaryzykował Kapf. - Czy nigdy nie kontaktowały się z pańskimi rodzicami?

I znów ten gasnący uśmiech.

- Sporadycznie. Raz czy dwa w ciągu semestru. Kiedy byłem nieobecny przez pięć, sześć tygodni.

- Nie częściej?

- Powiedziałem już, że byłem inny. - Wstał i zaczął chodzić po pokoju. - Widziałem rzeczy, rozumiałem rzeczy, których inni zdawali się nie dostrzegać.

- Co pan rozumiał?

Tym razem uśmiech wydawał się wymuszony. Niemal bolesny.

- Że zrozumieć biurokrację to ją kontrolować. - Newman zamilkł, jakby uważał, że nie potrzeba dalszych wyjaśnień. Kiedy Kapf się nie odezwał, potrząsnął głową i mówił dalej : - Przeprowadziłem serię eksperymentów - na niektóre lekcje chodziłem, podczas

innych wagarowałem. Sporządzałem skomplikowane wykresy - zaznaczałem na nich, kiedy, w jaki sposób i po jakim czasie mnie złapano.

W rzeczywistości to było bardzo proste.

- Ile miał pan wtedy lat?

- Och, nie pamiętam. Dziesięć, może jedenaście.

Kapf milczał przez długą chwilę.

- A ból?

Newman nie zrozumiał.

- Jaki ból?

- Ten w pańskich wspomnieniach, zaraz po przebudzeniu?

Był szczerze zaskoczony.

- O co chodzi, doktorze, o czym pan mówi?

Dalszą dyskusję przerwał głos dobiegający z głośnika.

- Doktor Kapf?
- Tak? - spytał poirytowanym tonem psychiatra.
- Wzywają pana na konferencję, sir.

Kapf z niechęcią złożył notatki.

Newman odprowadził go niemal do samych drzwi.

- Mam nadzieję, że nie znudziłem pana zbyt.

Kapf wyglądał na zasmuconego.

- Panie Newman - powiedział z wolna, jakby wbrew własnej woli - zastanawiam się, czy jest pan naprawdę tak skomplikowany, jak chciałby nam pan to wmówić.

Newman wzruszył ramionami.

- Skomplikowany to pojęcie względne. Społeczeństwo, które nie zna koła, uznałoby je za coś skomplikowanego. My, którzy się nim posługujemy od tysięcy lat, uważamy za coś najzwyczajniejszego pod słońcem.

Usłyszeli dźwięk otwieranych zamków w drzwiach.

- Więc jakby pan siebie określił, panie Newman?

Twarz Newmana stała się naraz całkowicie obojętna, bez wyrazu. Oczy jakby wyblakły, a ciało ogarnął dziwny bezruch. Kiedy drzwi się otworzyły, znikł w sypialni.

- Niech pan obserwuje i uczy się, doktorze - powiedział na pożegnanie. - Niech pan obserwuje i uczy się.

Nim Kapf dotarł na górę, konferencja z udziałem komisji trwała już od dwóch godzin.

Goście z profesjonalną uwagą wysłuchali każdego słowa. I wbrew dość komicznym nazwiskom, oczywiście nieprawdziwym (panowie Red, White, Blue, Green i pani Grey), zdawali się przynajmniej rozumieć, o czym jest mowa.

Tabbart, krok po kroku, z niemiecką precyzją, opisywał każdy przeprowadzony test i osiągnięte rezultaty. Unikał niczym ognia wyrażania jakiegokolwiek opinii, ani razu nie spojrzął też w stronę Becka. Jego wystąpienie było jasne, dokładne, obiektywne.

W półtorej godziny po przybyciu Kapfa, Tabbart zakończył sprawozdanie:

- Tak się przedstawia ściśle medyczny aspekt naszych badań - stwierdził, przesuważając wzrokiem po członkach komisji. - Macie państwo jakieś pytania?
- Doktorze Tabbart, czy wykluczono możliwość organicznych zmian chorobowych

albo uszkodzenia mózgu? - spytał pan Red.

- Całkowicie, sir.

Przyszła kolej na pana Greena.

- Czy istnieje prawdopodobieństwo okresowych zaburzeń czy schorzeń, nie powodujących trwałych i uchwytnych uszkodzeń mózgu, które jednak mogłyby tłumaczyć zmiany w zachowaniu?

- Nie.

- Czy może pan zdiagnozować jakieś obrażenia czy urazy, będące wynikiem pobytu Newmana w rosyjskiej niewoli? - spytał rzeczowym tonem pan Blue.

- Tylko te, o których jest mowa w przekazanych nam aktach. Nic szczególnego.
- W porządku - pan White robił jakieś notatki. - Idźmy dalej.
- Bardzo dobrze - odezwała się pani Grey, zaglądając do planu konferencji. - Kolej na doktora Clemente, który omówi aspekty psychiatryczne. - Spojrzała na Jacka, pogrążonego w prowadzonej szeptem rozmowie z Patrycją i Kapfem. - Doktorze Clemente?

Skinął głową obydwójgu swym nieco podenerwowanym współpracownikom, po czym zwrócił się do komisji.

- Macie mój raport. Niewiele jest do dodania, prócz, być może, uwypuklenia kilku zasadniczych punktów. Ani razu, od czasu umieszczenia go w naszym ośrodku i pod naszą kontrolą, pan Newman nie zdradzał tendencji atawistycznych czy objawów zespołu chwiejności. A nawet wręcz przeciwnie. Wykazywał chęć i gotowość do współpracy. Należy jednak wspomnieć, że niechętnie akceptował nasz regulamin. Ujawniał swoją osobowość przez czytelne zachowania. Wszystko to nie pozwala wydać tego rodzaju orzeczenia.

- Jak pan tłumaczy niezgodność z pierwotną diagnozą? - spytał White.

Clemente zastanawiał się przez chwilę.

- Albo była całkowicie błędna, albo też stres, który wywołał labilność, został znacznie zredukowany. Tak jakby zmniejszyć płomień palnika pod garnkiem z wrzącą wodą.

- Ale on wciąż znajduje się pod ścisłym nadzorem - nie ustępował Red. - Nadal nie może robić tego, co pragnie.

- Rozumie jednak, że to tymczasowa sytuacja. Choć być może nie uważa nas za przyjaciół, wie również, że z pewnością nie jesteśmy jego wrogami.

- Proszę kontynuować - Red nadal notował.

- Pomimo braku bezpośredniego dowodu na obecność zespołu chwiejności, pomimo nie stwierdzenia nawrotów do atawistycznego, prymitywnego zachowania...

- A kot? - padło pytanie ze strony pani Grey.

- Uważam to za zachowanie ewidentnie prymitywne - stwierdził ostro Red.

Clemente zagryzł wargę.

- Kot. Tak. -Milczał, zbierając myśli. - Nie sądzę, by ten pojedynczy incydent mógł o czymkolwiek przesądzać.

- Z wyjątkiem kota - zauważył półgłosem White.

- Jeśli - podkreślam to słowo - jeśli zespół chwiejności ani atawizm nie są właściwą

diagnozą, jaka jest pańska ostateczna opinia? - spytała stanowczym tonem pani Grey.

Clemente odetchnął.

- Na tym etapie nie jesteśmy w stanie podać całkowicie pewnej diagnozy - stwierdził.
- Czy jest psychopatą?
- Trudno powiedzieć. Niewykluczone.
- Czy jest schizofrenikiem? - spytał Red.
- Nie sądzę.
- Czy jest paranoikiem? - wtórował mu Green, patrząc na psychiatrę sceptycznie.
- Może. Według pewnych definicji. Z pewnością jest ostrożny.

- Czy jest socjopata? - naciskał Red.
- Wydaje się to nieprawdopodobne, ale mimo wszystko możliwe.

Pani Grey pokręciła głową z dezaprobatą.

- Nie potrafi pan powiedzieć z całą pewnością. Niewykluczone. Nie sądzi pan.

Może. Wydaje się nieprawdopodobne. - Milczała przez chwilę. - W takim razie co pan wie, doktorze?

W tym momencie Clemente rozkaszał się.

Kapf nalał mu szybko wody. Kaszel trwał nadal, z każdą sekundą się nasilał.

Twarz Jacka pobladła, a jego chusteczka w okamgnieniu zabarwiła się na szkarłatny kolor.

Kapf pomógł mu wstać i razem z Patrycją odprowadził go do drzwi. Tam zajęli się nim dwaj starsi pracownicy, którzy zabrali chorego na korytarz, gdzie czekała już pielęgniarka.

Przed wyjściem Clemente zwrócił się do Kapfa:

- Poprowadź spotkanie, Otto.

Kapf wrócił na swoje miejsce. Przejrzał notatki, potem notatki Jacka Clemente, w końcu zwrócił się do komisji, której członkowie taktownie go nie ponagli.

- Proszę pani, panowie, przepraszamy bardzo, ale doktor Clemente od jakiegoś czasu nie czuje się zbyt dobrze. Może ja spróbuję odpowiedzieć na państwa pytania?

- Bylibyśmy zobowiązani - wyraził opinię reszty komisji pan Red.

Kapf ponownie zajrzał do notatek.

- Myślę, że najlepiej zrozumiecie stan Newmana, jeśli wykluczycie niektóre symptomy. - Zastanawiał się przez chwilę. - Nie wykazywał regresywnego zachowania, odbiegających od normy, z medycznego punktu widzenia, nastrojów, urojeń czy halucynacji. Nie zauważono utraty kontaktu z rzeczywistością czy jakiegokolwiek dezintegracji osobowości. Co prawda incydent z kotem może wskazywać na niedostateczne panowanie nad odruchami, kiedy jednak zastanowić się głębiej, stanie się jasne, że pacjent nie stracił kontroli nad sobą. Przypadek z kotem należałoby zaliczyć, o wiele trafniej, do kategorii przemyślanych zachowań, mających na celu osiągnięcie zamierzonego efektu, nie zaś do działań impulsywnych.

Długopisy członków komisji pracowały bez przerwy.

Kapf łyknął kawy, przyjrzał się uważnie twarzom całej piątki, po czym kontynuował.

- Tak jak wyeliminowaliśmy klasyczną psychozę, musimy również wykluczyć schizofrenię, gdyż pacjent nie zdradza jej charakterystycznych objawów. Co się zaś tyczy paranoi...Newman nie okazuje według mnie urojeń wielkości czy manii prześladowczej w stopniu większym niż jakikolwiek osobnik, który zrobiłby to co on i był traktowany jak on. Czy jest socjopatą? Tylko według najściślejszej definicji. Jest pozbawiony sumienia, odznacza się wysoką inteligencją, ale - i to wydaje się niezwykle istotne - nie można mu odmówić pewnej moralnej wrażliwości! - Kapf zaczął pomagać sobie gestykulacją. - Nie jest to moralność powszechnie przyjęta. Ale jakąś moralnością kieruje się na pewno.

Pan Blue podniósł wzrok.

- Jaki stąd wniosek?

Kapf potarł czoło.

- Że mamy oto do czynienia z nowym, dotychczas nie zdefiniowanym schorzeniem natury psychicznej czy medycznej, oddziałującym zarówno na ośrodki kierujące sumieniem, jak i obszary mózgu odpowiedzialne za zachowanie, albo też...

- Tak?

Kapf milczał przez chwilę, wreszcie podjął decyzję.

- Albo z nowym rodzajem człowieka.

Członkowie komisji, ku zdumieniu Patrycji, ani na chwilę nie przerwali pisania.

Kapf przyjrzał im się dokładniej, po czym lekko skłonił głowę.

- Wydaje mi się, że już rozważaliście taką możliwość - dodał cicho.

Patrycja nachyliła się do niego i wyszeptwała:

- Otto, co myślisz...

Kapf ani na chwilę nie odrywał wzroku od komisji.

- Popatrz na nich. Musieli to podejrzewać od samego początku. A do nas zwrócili się tylko po to, byśmy potwierdzili ich hipotezy albo im zaprzeczyli. - Przerwał. Zdumieni psychiatrzy za ich plecami oczekiwali jakiejś reakcji komisji. - Panowie?

- Proszę kontynuować, doktorze - powiedziała spokojnie pani Grey.

Kapf odchylił się na swoim krześle.

- Chciałbym, by na ten temat wypowiedziała się doktor Nellwyn.

Kiedy mówiła, Kapf przyglądał się komisji, która milcząco potwierdziła jego przypuszczenie.

W oczach Patrycji dostrzegł błysk oczekiwania - na akceptację, na awans, publikację pracy, która wstrząśnie podstawami współczesnej psychiatrii i antropologii.

Potem pomyślał o Newmanie, człowieku niewiarygodnie zniszczonym przez jakąś nieznaną chorobę psychiczną, która w końcu go zabije; albo też o pierwszym osobniku z nowego rodzaju ludzi okrutnych, którzy będą walczyć o przetrwanie z gatunkiem skazanym tym samym na nieuniknioną zagładę.

I przyszło mu do głowy, że tu, w tej sali pełnej ekspertów, uzdrowiaczy, profesjonalistów i specjalistów, tylko on jeden tak naprawdę myśli o Newmanie.

Próbował skupić się na wystąpieniu Patrycji, ale smutek, jaki go ogarnął, nie pozwalał mu się skoncentrować.

W jakiś czas później uświadomił sobie, że w sali ucichły rozmowy.

- Przepraszam?

Pan Blue uśmiechnął się do Kapfa.

- Właśnie mówiłem, doktorze, że chyba znaleźliśmy się w impasie.

- W jakim sensie?

Blue wzruszył ramionami.

- Wydaje się, że teza doktor Nellwyn pozwala na dwie odmienne interpretacje. Domniemane istnienie nowego człowieka; i domniemane istnienie nowej choroby.

- Obie hipotezy nie wykluczają się wzajemnie - rzucił szybko Kapf.

- Nie?

- Jedno jest logicznym przedłużeniem drugiego. - Dostrzegł ich zmieszanie. - Koło w społeczeństwie pierwotnym, prymitywnym może być uznane za dziwactwo. - Uśmiechnął się. - Ale w bardziej rozwiniętej, zaawansowanej cywilizacji, to samo koło jest czymś najzwyczajszym w świecie. Czas pokaże, czy przypadek Newmana to jakaś choroba czy też ewolucja.

- Ciekawa zagadka, doktorze - przerwał mu White. Ale obawiam się, że nasza komisja nie może pozwolić sobie na luksus czekania. - Zwrócił się do kolegów. - Chyba nadszedł czas, by wysłuchać samego zainteresowanego?

Wszyscy przytaknęli.

- Każe go przyprowadzić - zaproponowała Patrycja, sięgając po telefon.

- Jedną chwilę, proszę - zatrzymał ją Kapf.

Patrycja znieruchomiała z ręką na słuchawce.

- Uważam, że to jest jak najbardziej fair - zauważyła pani Grey.

- O co chodzi? - spytała zaniepokojona Patrycja.

Kapf gładził się po brodzie, myśląc gorączkowo. Już wcześniej, w czasie sesji z Newmanem, w jego mózgu odezwały się dzwonki alarmowe. Teraz dzwięczały ogłuszająco.

Obserwuj i ucz się.

- Może byłoby rozsądniej, jeśli to już absolutnie konieczne, gdybyście sami do niego zeszli.

- Dlaczego?

Kapf szukał w myślach odpowiednich argumentów.

- Po pierwsze, względy bezpieczeństwa - zaczął przyciszonym głosem. - Po drugie, nie wiadomo, w jakim stopniu zmiana otoczenia mogłaby wpłynąć na proces terapii.

Nie były to rzeczywiste powody. Właściwie nie wiedział, czego się obawia, ale w głębi duszy czuł, że sprowadzenie Newmana na górę to błąd.

- Szef ochrony Edel? - pani Grey poszukała szukając go wzrokiem.

Edel stanął obok swojego krzesła na końcu sali.

- Madame?

- Czy może pan odpowiedzieć na obawy doktora Kapfa?

Edel jak zwykle zameldował krótko i rzeczowo.

- Ponieważ poinformowano nas o państwa wizycie, jesteśmy przygotowani do zapewnienia wystarczającej ochrony, gdyby zaistniała konieczność przyprowadzenia pana Newmana do tej sali. Będę go eskortował osobiście, pod strażą moich pięciu najlepszych ludzi. - Umilkł na chwilę. Potem dodał zamyślony: - Jeśli sobie państwo życzycie, może być przez cały czas skuty. Choć nie sądzę, by to było konieczne.

- Zgadzam się - dodała Patrycja.

- Proszę, doktor Nellwyn.

Patrycja wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem.

- Biorąc pod uwagę naszą dotychczasową wiedzę o tym człowieku, uważam, że zakucie go w łańcuchy, tak jak robili to Rosjanie, wywołałoby znów reakcje obronne, jakie niewątpliwie okazywał będąc w niewoli.

Pan Red zanotował jej opinię.

- A pozostałe obiekcje doktora Kapfa? Dotyczące nagłej zmiany otoczenia?

Patrycja uśmiechnęła się konfidencjonalnie.

- Bez znaczenia - stwierdziła zdecydowanie. - Z początku może być nieco mało-mówny, nieco defensywny, ale szybko się dostosuje. - Wsparła się o stół. - Odbyłam blisko sto sesji z tym człowiekiem. Nawiązaliśmy szczególną więź, tak więc bez trudu zauważę wszelkie zmiany, wszelkie sygnały ostrzegawcze, zanim cokolwiek się wydarzy.

- Doktorze? - Red czekał na zdanie Kapfa.

Obserwuj i ucz się.

Kapf łyknął kawy, która już dawno wystygła.

- Może nic nie zrobi. Może będzie czarujący i chętny do współpracy albo wojowniczy, agresywny i zadziorny. A może pokaże wam zupełnie nowe oblicze. Bez względu na to, co się wydarzy, uważam, że należy podjąć maksymalne środki ostrożności i zabezpieczyć się na każdą okoliczność.

Patrycja popatrzyła na niego gniewnie, po czym zwróciła się do komisji.

- Przyprawdźcie go skutego, a gwarantuję, że nie będzie współpracował. - Zastanawiała się przez chwilę. - Pozwólcie mi z nim porozmawiać, jestem pewna, że nie sprawi żadnych kłopotów. - Uśmiechnęła się, jakby do siebie. - Posłucha mnie.

Członkowie komisji wymieniali między sobą uwagi.

- Proszę z nim porozmawiać, doktor Nellwyn - powiedział Blue. - I jeśli stwierdzi pani, że jego stan jest unormowany, proszę go przyprowadzić.

Czterdzieści pięć minut później, gdy przez duże okno wlewały się do sali ciemnopomarańczowe promienie zachodzącego słońca, zjawił się Newman w towarzystwie Patrycji, Edela i pięciu strażników.

Gdy sadowił się za stołem dokładnie naprzeciwko komisji, Patrycja wzięła Kapfa na bok.

- Jest w świetnym nastroju - poinformowała go szeptem. - Chętny do współpracy, grzeczny, faza pozytywna.

- Jesteś tego absolutnie pewna?

Uśmiechnęła się uspokajająco.

- Doskonale wie, że nic nie zyska, wywołując jakąś awanturę. Na sali są strażnicy, na korytarzu też, poza tym stąd jest równie daleko do wyjścia jak z jego kwatery. - Poklepała

Kapfa po plecach, jak wnuczka wiekowego dziadka. - Newman świetnie zdaje sobie sprawę, że jego jedyną szansą jest współpraca. A oboje wiemy, że bezbłędnie dostrzega i wykorzystuje każdą okazję, która może przynieść mu korzyść. Nie wspominając już o możliwości popisania się.

Powróciła na swoje miejsce.

Kapf obserwował bez ruchu Newmana.

- Może - mruknął do siebie.

- Generale Beck? - Pani Grey spojrzała na zmęczonego człowieka w kącie sali. - Ze-chciałby pan zacząć?

Beck podniósł się niechętnie i wyszedł na środek, śledzony wzrokiem przez uśmiechającego się grzecznie Newmana.

- Brian, to jest komisja, która przyjechała ze Stanów - zaczął cicho. - Chcą zobaczyć, jak się czujesz. Myślę, że niektórych jej członków znasz.

Newman patrzył to na Becka, to na komisję.

- „Wśród wizji nocy ciemnej miałem sen, śniłem radość dawno utraconą, lecz jasny i chłodny życia dzień zbudził mą duszę zasmuconą”.

Członkowie komisji wymienili spojrzenia.

- Brian, czy zechcesz odpowiedzieć na ich pytania? - ponownie spróbował Beck.

- „Cóż nie jest snem za dnia dla tego, kto oczy ma zwrócone na wszystko co jest wokół niego, a widzi, co w przyszłości zanurzone?”.

Beck tarł czoło, podczas gdy komisja przyglądała się w milczeniu.

- Panie Newman? - zwróciła się do niego Patrycja, wychodząc na środek. - Brian? Wydawało mi się, że chcesz współpracować.

- Kłamałem.

Uśmiechnęła się.

- Boisz się, że cię przejrzą?

Newman zachichotał cicho.

- Niemożliwe.

- A więc?

Machnął ręką.

- Okey.

Patrycja dała znak Beckowi.

- Proszę mówić.

Beck znów się podniósł.

- Brian, czy pamiętasz swoją ostatnią misję?

- „Ten święty sen, ten sen tak święty, wbrew sporom świata tego, radował mnie promieniem najgorętszym i wiódł mnie, ducha samotnego”. - Zwrócił się do Patrycji. - Powiedziałem, że odpowiem na ich pytania.

Beck wrócił na swoje miejsce.

Patrycja spojrzała na komisję i gestem poprosiła o rozpoczęcie.

- Panie Newman? - zwróciła się do niego pani Grey.

Newman wyprostował się na krześle jak struna.

- Ma'am!
- Jak się pan czuje?
- Ma'am! Bardzo dobrze, ma'am!

Pani Grey uśmiechnęła się.

- I jest pan gotów odpowiedzieć na nasze pytania?
- Ma'am! Tak, Ma'am!
- Doceniamy to, że zachowuje się pan jak żołnierz - przejął inicjatywę White - ale może będziemy rozmawiać normalnie? Okey?
- Jak pan sobie życzy, sir.
- Czy pamięta pan swoją ostatnią misję?
- Tak, sir.

Newman natychmiast koncentrował się na osobie zadającej pytania.

- Zechciałby pan ją nam zrelacjonować?

Newman rozejrzał się po sali.

- Wolałbym tego nie robić, sir.

- Dlaczego?

- Sir, z całym szacunkiem, ale nikt nie przyznaje się przed nieznanymi, że w sypialni używa batów i łańcuchów; analogicznie, nie informuje się wszystkich o misjach wywiadowczych.

White wydawał się zadowolony z tej odpowiedzi.

- A zatem, gdybyśmy spotkali się w ścisłym gronie, to zrobiłby pan to?

- Oczywiście, sir!

White kiwnął głową panu Green.

- Czy podczas swojej niewoli naraził pan na szwank jakieś operacje czy osoby z departamentu obrony?

- Nie, sir.

- Czy widział pan kiedykolwiek, by inni Amerykanie to robili?

Newman zastanawiał się przez chwilę.

- Sir, przez cały czas trzymano mnie w izolacji od innych Amerykanów. Żałuję, że nie mogę służyć informacjami na ten temat.

Pałeczkę przejął pan Red.

- Znasz mnie, Newman.

- Tak, sir, znam.

- Skończmy z tymi bzdurami i całą tą komedią, okej?

- Tak, sir.

Red odłożył pióro i nachylił się, by spojrzeć Newmanowi prosto w oczy.

- Zabiełeś jakichś Rosjan w tym cholernym obozie?

Newman nie odpowiedział.

- No, dalej - naciskał Red. - Myślałem, że już nie bawimy się w udawanie.

Newman wykrzywił usta w zimnym, gniewnym uśmiechu.

- Przepraszam, sir. Pamiętam po prostu, co pan mówił, kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem.

- Mianowicie?

- Powiedział pan, że każdy, kto odpowie na podobne pytanie, musi być szalony. Próbuję więc wykombinować, jak mam wybrnąć z sytuacji. - Zastanawiał się przez chwilę. - Nikt nie chciałby być uznany za szalonego, prawda?

Patrycja podeszła do niego.

- Dobrze się pan czuje? Chce pan wrócić do siebie?

Newman zignorował ją i skoncentrował się na panu Blue, który zadawał pytania, zaglądając do notatek.

- Panie Newman, czy uważa się pan za szalonego?

- Nie, sir.

- Za człowieka w depresji albo psychopatę?

- Cierpię na lekką depresję, sir - odparł Newman z westchnieniem. - To doprawdy niełatwe, być tak blisko domu, a wciąż siedzieć pod kluczem.

- Dlaczego pan sądzi, że wciąż trzymają pana pod kluczem?

Newman wzruszył ramionami.

- Jestem pewien, że pan wie to lepiej ode mnie, sir.

Pani Grey zwróciła się do pozostałych członków komisji.

- Zanim będziemy kontynuować, chciałabym poznać opinię. Czy pacjent znajduje się dostatecznie dobrym stanie, by poddać się formalnemu przesłuchaniu dotyczącemu jego misji?

Powoli, jeden po drugim, przytakiwali.

Patrycja uśmiechnęła się i poklepała Newmana po plecach, by dodać mu odwagi.

Kapf dostrzegł nieznaczny uśmiech, który błąkał się przez ułamek sekundy na wargach Newmana, by zniknąć pod maską nic nie mówiącego wyrazu twarzy.

Przez następne czterdzieści pięć minut omawiali środowisko, w jakim dorastał Newman, jego życiorys, aż do ostatniej misji, mnóstwo drobnych rzeczy, które pozwalały komisji ujrzeć tego człowieka w szerszym świetle. W końcu doszli do głównego zagadnienia sesji.

Młodszych pracowników, z wyjątkiem Patrycji, poproszono o opuszczenie sali.

Wbrew obiekcjom Kapfa usunięto też trzech z pięciu strażników. Wyłączono magnetofony, odłożono pióra i przystąpiono do rzeczy.

- Chciałbym przypomnieć doktor Nellwyn, doktorowi Kapfowi, szefowi ochrony Edelowi i generałowi Beckowi - zaczęła z powagą pani Grey - a także wam, panowie strażnicy, że to, co za chwilę usłyszycie, jest ściśle tajne. Ujawnienie tych informacji jest pogwałceniem prawa amerykańskiego i niemieckiego, i jako takie podlega karze.

Wszyscy obecni milcząco przyjęli ostrzeżenie do wiadomości.

- Doskonale - obróciła się w prawo. - Panie Red, proszę.

- Porozmawiajmy, o Abchazji, jeden pięć, Newman.

Newman spoważniał.

- Tak, sir.

Przez następne trzy godziny bez przerwy omawiali drobiazgowo aspekty ostatniej misji Newmana. Prześwietlono, zanalizowano i zbadano każdy dzień, godzinę i szczegół.

Wszyscy zaczęli już odczuwać zmęczenie.

Komisja robiła notatki i popijała kawę.

Patrycja, zawsze w pobliżu Newmana, usiadła wreszcie za nim, podpierając głowę

dłońmi.

Edel i dwaj jego ludzie przestępowali z nogi na nogę, starając się zachować czujność.

Kapf, wyczerpany trudami dnia, kilka razy złapał się na tym, że drzemie.

Nawet Newman, jak się wydawało, nie był wolny od znużenia. Wyciągnął przed siebie nogi, trochę zaspany, ale nadal odpowiadał na nie kończący się szereg pytań.

- Czy było pana zamiarem...
- Tak.
- Czy rozważał pan...
- Bardzo ogólnie.
- Jaki był stan pańskiego umysłu, gdy...
- Tak naprawdę, nie myślałem o tym.

W końcu, tuż przed siódmą wieczorem, pani Grey zasygnalizowała ostatnią turę pytań.

- Panie Green.

- Dziękuję - odparł zagadnięty, tłumiąc ziewnięcie. - Tylko dwie sprawy. - Zwrócił się do Newmana. - Dane naszego wywiadu satelitarnego nie są tak szczegółowe, jak byśmy chcieli. Czy uzyskał pan jakieś informacje na temat faktycznych zniszczeń?

Newman namyślał się nad odpowiedzią.

- Słyszałem tylko, jak pułkownik z Sowieckiej Komisji Nuklearnej mówił, że będą musieli obudować pozostałości reaktora czymś w rodzaju sarkofagu z ołowiu i betonu. I że trzeba odciąć zasilanie, podobnie jak w przypadku podreaktorów.

- Może pan ocenić straty, jakie ponieśli w wyniku tej akcji?

- Nie, sir - odparł śpiewnie Newman, ziewając. - Nie mogę.

Pani Grey dała znak kolejnemu członkowi Komisji.

- Panie Red.

- Tylko jedno pytanie. Czy utrzymuje pan, że siatka wywiadowcza Haygood pozostała nietknięta po pańskim aresztowaniu?

- Tak, sir.

- Pan Blue - powiedziała pani Grey, trąc ze zmęczenia oczy.

- Dziękuję. Moje pytanie dotyczy tego, co odkrył pan w konstrukcji modułu wewnętrznej obsługi reaktora.

Red nalał sobie następną filiżankę kawy.

Newman przeciągnął się.

- To może trochę potrwać.

Zamknął oczy, jakby chcąc wyraźniej zobaczyć zapamiętane szczegóły.

Patrycja, by się ożywić, ćwiczyła mięśnie karku, kręcąc głową.

- Był to proces dwufazowy - zaczął Newman. - Najpierw natknąłem się na chromowany właz, umieszczony w ścianie z kompozytu.

Edel wstał, zajął pozycję przy drzwiach i dał znak swoim ludziom, że mogą usiąść.

- Właz był przytwierdzony dziewięcioma, jak się okazało, stalowymi nitami. Te z kolei tworzyły trójkątny...

To, co wydarzyło się w tym momencie, można było odtworzyć tylko dzięki nagraniu na taśmie wideo, analizowanej klatka po klatce.

Newman, błyskawicznym, jakby odruchowym kopnięciem, podrzucił swój stolik, któ-

ry w chwilę później wylądował na stole komisji. Mebel uderzył w Blu i White'e, którzy polecili do tyłu, pozostali zaś członkowie gwałtownie się odchyliłi na boki.

Newman skoczył na równe nogi. Prawą dłonią rzucił za siebie krzesło, które przeleciało obok oniemiałej Patrycji i trafiło w kolana najbliższego wartownika.

A on zdążył już ruszyć do przodu.

Pokonując drogę dzielącą go od okna, w pełnym biegu zdzielił Becka łokciem w czoło. Kiedy generał runął do tyłu, Newman chwycił krzesło i cisnął nim w okno. Krzesło zatoczyło w powietrzu krótki, ostry łuk i uderzyło w szybę! Gdy na podłogę spadł deszcz stłuczonego szkła, Newman osunął się błyskawicznie na kolana, unikając o ułamek sekundy pierwszego i jedyne go pocisku, jaki zdołał wystrzelić Konrad Edel.

Znów zerwał się na nogi i skoczył szczupakiem, z wyciągniętymi przed siebie ramionami, przez dziurę w szybie.

Nim Edel zdążył dobiec do okna, upłynęło niemal dziesięć sekund! Wsadził dymiącą lufę automatycznego pistoletu w dziurę, przez którą wyskoczył Newman, i rozglądał się gorączkowo, ale było już za późno.

Newman zniknął mu z pola widzenia.

Gdy pędził w stronę lasu, Edel i jego ludzie nie zaprzęтали już jego uwagi. Działał instynktownie, postępując zgodnie z planem, który przez ostatnie trzy miesiące przećwiczył w myślach setki razy, a zmodyfikował podczas przesłuchania przed komisją. Znał odległości, znał przeszkody; pozostało tylko wprowadzić wszystko w czyn.

Dotarł do granicy lasu dwie sekundy wcześniej, niż początkowo zakładał. Grunt był miękki, wilgotny i Newman wiedział, że w takim terenie łatwo go będzie wytropić. Zmienił natychmiast trasę ucieczki i wskoczył na ścieżkę o skalistym podłożu, która biegła przez jakieś sto metrów równoległe do skraju lasu.

Nagle na jego drodze pojawili się dwaj uzbrojeni strażnicy, celując mu w głowę z karabinków mp-5k.

Newman nie wahał się ani przez chwilę.

- Nie strzelajcie! Nie... - krzyknął, rzucając się na nich.

Mężczyźni spóźnili się o jedną, fatalną sekundę.

Newman uderzył jednego z nich barkiem w tułów, jak futbolista. Kiedy runęli na ziemię, chwycił mężczyznę za rękę (dłonie wciąż zaciskały się na śmiertelnie groźnej broni), po czym nacisnął mu palec spoczywający na spuście.

Drugi strażnik zginął na miejscu, gdy dziewięćmilimetrowe pociski, wystrzelone w trzysekundowej serii, przeszły mu ciało.

Newman poderwał się lekko na nogi, mierząc w głowę rozciągniętego na ziemi pierwszego strażnika.

- Uciekaj - rzucił gardłowym głosem.

Strażnik zawahał się, potem wstał z wysiłkiem i ruszył biegiem w przeciwną stronę; nie zobaczył już, jak Newman odrzuca karabinek na bok i podejmuje przerwana ucieczkę. Odgłos broni palnej sprowadziłby siły ochrony. A on nie miał chęci zabijać nikogo więcej.

Kiedy biegł, jego oczy rejestrowały otoczenie. Zdawał sobie sprawę, że ma w najlep-

szym razie jeszcze trzydzieści sekund do granicy lasu, a potem będzie musiał podjąć próbę pokonania wschodniego ogrodzenia.

I wtedy, w cudowny sposób, znalazł to, czego szukał.

Na terenie instytutu wyły syreny alarmowe.

Edel pierwszy się otrząsnął. Od razu wcisnął guzik alarmowy w sali konferencyjnej, po czym krzycząc skoczył do drzwi.

Po niespełna dwóch minutach zebrał pod murami oddziału dziesięciu ludzi, którzy utworzyli tyralierę i ruszyli niespiesznie w stronę lasu, z bronią gotową do strzału.

Edel wiedział, że Newman zniknął w lesie co najmniej półtorej minuty wcześniej.

Kolejnych dziesięciu ludzi wysłano w stronę zachodniego ogrodzenia, a pięciu do głównej bramy instytutu.

Nim upłynęło pięć minut, ludzie Edela wzmocnił oddział dwudziestu pięciu czekających w pogotowiu strażników, którzy rozstawili się między lasem a wschodnim ogrodzeniem.

Patrząc, jak ciężko uzbrojeni ludzie znikają wśród zarośli, szef ochrony modlił się, by Newman nie zabił zbyt wielu z nich.

Gdy poszukiwania trwały już od czterdziestu pięciu minut, wrócił znużony do pomieszczeń służbowych na piętrze oddziału.

Niektórzy członkowie komisji zdążyli już wyjechać, innych właśnie opatrywano w głównym budynku instytutu.

Patrycja, Kapf, Tabbart, Beck (który w ciągu godziny postarzał się o czterdzieści lat) i biały jak ściana, dyszący nierówno Clemente, siedzieli w opustoszałej sali konferencyjnej, czekając w milczeniu.

Gdy Edel wszedł do pomieszczenia, wszyscy z nadzieją podnieśli na niego wzrok.

Pokręcił głową.

- Właśnie zakończyliśmy pierwszy rekonesans, za chwilę przystępujemy do dalszych poszukiwań. Przeszukaliśmy las i odsłonięte tereny instytutu, a teraz sprawdzamy budynki - wszystkie pokoje i piętra po kolei. - Osunął się wyczerpany na krzesło. - Jednak od chwili znalezienia ciała jednego z funkcjonariuszy, Brunella, nie natknęliśmy się na ślad Newmana. - Odetchnął głęboko. - Nie mam wielkiej nadziei.

- Musimy powiadomić władze - stwierdził Kapf opanowanym głosem.

- O czym? - spytał gniewnie Tabbart. - Ten człowiek zgłosił się na ochotnika. Nie wolno nam rozgłaszać, że w instytucie przebywał niebezpieczny osobnik o sadystycznych skłonnościach i że pozwolono mu zbiec. - Zamilkł na chwilę i łknął wódki. - Od początku byłem przeciwny zajmowaniu się tym przypadkiem. I powiedziałem to! Dałem to jasno do zrozumienia! Ja... - przerwał nagle, jakby zabrakło mu energii.

- Czy naprawdę jest niebezpieczny? - odważyła się wtrącić Patrycja. - Chcę powiedzieć, że ma teraz to, o co mu chodziło, prawda? Może niepotrzebnie panikujemy?

Jednak jej ton wskazywał, że sama nie wierzy w to, co mówi.

- Myślałem, że potrafisz dostrzec niepokojące oznaki, ty mała, głupia... - zaczął Tab-

bart.

Patrycja obróciła się gwałtownie w stronę Becka.

- To ty go wyszkoliłeś! Można nawet powiedzieć, do diabła, że go stworzyłeś! Dlaczego się nie zorientowałeś, że coś knuje?

Beck zerwał się na równe nogi.

- Nie stworzyłem go! - wrzasnął. - Wykorzystywałem go, wyposażylem w środki techniczne, dawałem wskazówki, ale na Boga, nie stworzyłem go!

Clemente uniósł nieznacznie dłoń.

- Proszę was. Co się stało, to się nie odstanie. - Mówił głosem słabym i ochrypłym od niemal ciągłego kaszlu. - Szef ma rację. Nie możemy powiedzieć policji, kim jest Newman. - Napił się wody. - Ale musimy ją poinformować, że potencjalnie niebezpieczny pacjent opuścił teren instytutu...no cóż...bez naszego pozwolenia. Możemy poprosić, żeby prowadzili obserwację, ale nie zbliżali się do niego. Niech nas powiadomią, gdy tylko go zlokalizują.

Wszyscy się z nim zgodzili.

- Dopilnuję tego - powiedział Edel, udając się do telefonu.

- I musimy zrobić co w naszej mocy, by go znaleźć - dorzucił Clemente, którego męczył kolejny atak kaszlu.

Beck pocierał szeroki siniec na czole. Nie pozwolił założyć sobie opatrunku.

- Już dzwoniłem do Dowództwa Sił Bezpieczeństwa NATO w Augsburgu - powiedział znużonym tonem. - To pięćdziesiąt trzy kilometry na północ stąd. Około trzydziestu pięciu minut drogi. - Przerwał, by przyłożyć sobie kompres z lodem. - W ciągu godziny przyślą tu dwa oddziały poszukiwawcze.

Clemente kaszlał coraz gwałtowniej.

Kapf, który od samego początku milczał, wstał i przywołał stojącą z boku pielęgniarkę. Wspólnymi siłami umieścili Clemente na wózku inwalidzkim. Kobieta wyprowadziła go z sali. Kapf podążył za nimi.

- Otto?

Odwrócił się do Patrycji.

Była blada i roztrzęsiona.

- Newman nie skrzywdzi nikogo, chyba że zostanie przyparty do muru. Jestem tego pewna. - W jej głosie wyczuwało się błagalny ton. - Znam tego człowieka.

- Skoro tak twierdzisz.

Ruszył za pielęgniarką do windy.

Osiem godzin po ucieczce, po pięciokrotnym przeszukaniu lasu, budynków, dosłownie wszystkiego, instytut zaczął powracać do normalnego życia.

Krótko po czwartej rano ochrona podjęła regularne patrole, specjalne oddziały poszukiwawcze penetrowały okolicę, a budynek oddziału został zamknięty. Wszyscy złożyli przysięgę, że dochowają tajemnicy, i rozeszli się do domów.

W lesie, tuż obok skalistej ścieżki, poruszył się nocny ptak. Jakiś dźwięk, dochodzący

z wysoka, pomiędzy gęstego listowia jednego z drzew, kazał mu znieruchomieć, podnieść niespokojnie głowę i szybko odlecieć.

Newman zsunął się bezgłośnie na ziemię.

Trwał nieruchomo, pochylony, nasłuchując, obserwując i węsząc.

Oczy mu się zwężyły, nozdrza drgały, palce zginały się i prostowały.

Upewniwszy się wreszcie, że nic mu nie grozi, wyprostował się ostrożnie i ruszył ścieżką w stronę oddziału.

Przystanął na skraju lasu, patrząc na niebezpiecznie odsłonięty, rozległy trawnik, który się przed nim rozciągał. Spojrzał na coraz jaśniejsze niebo, jakby szukał czegoś przez chwilę, po czym uśmiechnął się.

Ustalając kierunek według konstelacji Canes Venatici, Psów Gończych, zszedł ze ścieżki i ruszył przez szeroki trawnik w stronę głównego budynku.

- Szukajcie, chłopaki - powiedział cicho.

Kiedy był już blisko oddziału, instynkt kazał mu się zatrzymać. Z ziemi zaczął z wolna podnosić się przed nim jakiś niewyraźny, ciemny kształt.

Potęźnie zbudowany mężczyzna po trzydziestce odrzucił na bok płachtę maskującą i stanął twarzą w twarz z Newmanem.

W lewej dłoni trzymał swobodnie nóż. Na palcach połyskiwał mosiężny kastet..

Newman nie wyglądał na zaskoczonego.

- Nie znam cię.

- Nie znasz mnie ze swoich czasów, jak sądzę - stwierdził spokojnie mężczyzna. - Zróbmy to.

- Nie musimy - odparł Newman, postępując krok w jego stronę. - Nic do ciebie nie mam.

Teraz z kolei mężczyzna zrobił krok w kierunku Newmana.

- Dostałem rozkaz.

Runął do przodu, mierząc niczym wąż w gardło przeciwnika.

Newman rzucił się na ziemię, wysuwając prawą nogę do przodu. Zahaczył czubkiem stopy o uniesioną piętę mężczyzny i podciął go. Tamten zważył się na plecy.

Newman przekręcił się na prawy bok, a jego lewa ręka wysunęła się błyskawicznym ruchem w stronę głowy przeciwnika. Niespełna sekundę później mężczyzna leżał w agonii, ze zmiażdżoną krtanią i tchawicą, niezdolny do ruchu, do wydania jakiegokolwiek dźwięku, podczas gdy płuca zalewała mu krew.

Newman wstał, rozejrzał się i otrzepał na sobie ubranie.

- Szkoda - powiedział tylko, obchodząc zakrwawione ciało, po czym zniknął w nocnej ciemności.

Część trzecia

OBSERWACJA

Rozdział dziewiąty

Kawiarnia była zapelniona tylko w połowie.

Kelnerki obsiadły stoliki na zapleczu i plotkowały, kucharz stał w drzwiach swego przybytku i przekomarzał się z maitre d'hotелеm, który zajmował stanowisko przy wejściu do baru. Lokal zdawał się powoli zamierać, czy może już zamarł, by za jakiś czas ocknąć się z marazmu popołudniowych godzin i przygotować na porę kolacji.

W rogu sali, jak niemal w każdą środę od dziewięciu lat o tej właśnie porze, siedziało dwóch mężczyzn. Zwykle pili kawę, rozmawiali cicho, po czym płacili i wychodzili osobno.

Przed laty ludzie ci wzbudzali wśród pozostałych gości i obsługi niezliczone spekulacje. Od dawna jednak nikt się nimi już nie interesował. Przychodzili tu regularnie i dawali wysokie napiwki.

- Niepokoję się coraz bardziej - stwierdził cicho wyższy. - Ułynął niemal miesiąc, a ja słyszę od ciebie tylko bezwartościowe plotki. Nie przychodzę tu po to!

- Myślisz, że mnie to cieszy? - naburmuszył się niższy. - Chcę dać ci więcej, naprawdę! - Po chwili dodał: - Teraz nie mogę. Proszę, spróbuj to zrozumieć.

Mówił smutnym głosem, w którym pobrzmiwała prośba o wyrozumiałość.

Wysoki ujął i pogładził jego dłonie.

- Przepraszam - powiedział z prawie niedostrzegalnym uśmiechem. - Robię się na starość nerwowo.

Niższy udobruchał się.

- A ja nie powinienem odpowiadać ci opryskliwie. Wybaczysz mi?

- Oczywiście. - Wydawało się, że mówi szczerze. - Co mogę zatem przekazać naszym przyjaciołom, jeśli chodzi o śledztwo?

Tabbart, ten niższy, wręczył rozmówcy pod stołem kopertę.

- To streszczenia najświeższych raportów.

Wysoki schował kopertę, nie zaglądając do środka.

- Coś cienka.

Tabbart wzruszył ramionami.

- Nic się nie dzieje.
- Nasi przyjaciele chcieliby wiedzieć coś więcej - naciskał Wysoki.

- Dlaczego? - Tabbart wydawał się szczerze zdumiony. - Dlaczego tak bardzo się de-nerwują z powodu jakiegoś amerykańskiego agenta o psychopatycznych skłonnościach, który biega sobie swobodnie po Niemczech?

- Widzisz, kiedy byłem ostatnim razem w Moskwie, poszedłem do Jelcyna i zadałem mu to samo pytanie - odparł Wysoki z uśmiechem. - „Powiedz mi, Borys, dlaczego tak się przejmujesz tym zwariowanym Amerykaninem?” - spytałem. - Wiesz, co mi odpowiedział?

- Co?

Twarz Wysokiego przybrała w mgnieniu oka poważny, a nawet, zdawało się, groźny wyraz.

- „Zamiast zadawać głupie pytania, udziel mi kilku pieprzonych odpowiedzi!”. - Na chwilę twarz mówiącego znieruchomiała, istna maska wściekłości i furii. Potem gniew nagle z niej zniknął, twarz mężczyzny znów przybrała łagodny wyraz. - I co ty na to, mój drogi doktorze?

Tabbart zamarł. Kiedy wreszcie odzyskał mowę, w jego głosie brzmiał niepokój.

- Słyszałem co nieco.

- Mów.

- Zdaje się, że... - Tabbart urwał, gdy do lokalu weszła z ulicy młoda prostytutka i usiadła trzy stoliki dalej. Kiedy ją obsłużono, dokończył o wiele ciszej: - ...zdaje się, że mają nasilić poszukiwania za granicą, a tutaj ograniczyć działania.

- Dlaczego? - spytał Wysoki, patrząc na rozmówcę władcym wzrokiem.

- Dyrektywy Waszyngtonu i dowództwa NATO w Brukseli. Są rozczarowani dotychczasowymi rezultatami i żywią coraz głębsze przekonanie, że Newman musiał gdzieś się wynieść.

- A jakie jest zdanie dowodzącego poszukiwaniami?

Tabbart zerknął na dziewczynę, która popijała kawę. Zauważyła to i uśmiechnęła się do niego.

- Bezwstydna - powiedział cicho, nie odrywając od niej wzroku. - Ma tak krótką sukienkę, że widać jej prawie...

- Nie obchodzi mnie, co widać! - rzucił wściekle Wysoki, odstawiając gwałtownym gestem filiżankę, aż zabrzęczało szkło. - I tak by cię to nie zainteresowało!

Zamilkł, gdy roztrzęsiony Tabbart obrócił się w jego stronę.

- Nie masz prawa mówić do mnie w ten sposób - zaprotestował, podenerwowany, piskliwym głosem. - Nie masz prawa! Od ponad dwudziestu lat jestem wierny tobie i sprawie.

Wysoki westchnął głęboko.

- Manfred, stary przyjacielu, wybacz mi - powiedział uspokajająco i zaczął głaskać kurczowo zaciśnięte dłonie Tabbarta, które rozwarły się powoli niczym płatki kwiatu, by czym prędzej objąć dłoń wysokiego mężczyzny. - Manfred, czasy się zmieniły, i to, obawiam się, że nie na lepsze. - Umiłkł, jakby rozważał jakiś dylemat. Po chwili ciągnął, zdając się mówić do siebie. - Jeśli nie będę mógł ich zadowolić, znajdą sobie kogoś, kto to

zrobi. - Spuścił wzrok na blat stołu. Miał nadzieję, że w jego głosie słyhać smutek i rezygnację: - Może to i lepiej. Jestem już stary.

- Nie! - zaprotestował Tabbart stanowczo. Wyciągnął rękę i dotknął policzka swego rozmówcy. - Nie jesteś stary!

Wysoki uśmiechnął się gorzko.

- Nigdy przedtem ich nie zawiodłem. - Spojrzał Tabbartowi głęboko w oczy. - Ani nie podniosłem na ciebie głosu, moja Magdaleno. A teraz... Może ciebie także zawiodłem.

Tabbart uśmiechnął się przez łzy.

Unióśł dłoń mężczyzny do ust i delikatnie ucałował,

- Nie - powiedział cicho, wzruszony. - Nigdy, przenigdy mnie nie zawiodłeś. - Z pewnością można im coś przekazać!

- Na przykład? - spytał Wysoki smutno, jakby nieobecny.

Tabbart zamyślił się głęboko, wciąż trzymając dłoń swego towarzysza.

- Może informacje o zmianach personalnych?

Wysoki nie sprawiał wrażenia przekonanego.

- Zmiany personalne?

- Zidentyfikowano drugiego człowieka, którego Newman zabił na terenie instytutu.

- Więc?

- To był jeden z robotów Becka. Generał postawił go tam na wypadek ucieczki Newmana.

- Mów dalej - Wysoki wciąż wyglądał na przygnębionego. Jego oczy patrzyły jednak ostro i triumfalnie.

Tabbart przysunął się bliżej.

- W związku z potknięciami naszego generała mówi się o podziale dowodzenia pomiędzy Becka a szefa tajnego oddziału poszukiwawczego.

- No i? - nalegał beznamiętnie wysoki.

- Beck byłby nadal głównodowodzącym, ale szef oddziału podejmowałby decyzje operacyjne. - Spojrzał swemu rozmówcy w oczy, nie dostrzegając w nich jednak zrozumienia. - Jeśli do tego dojdzie, to możliwości Becka zostaną w znacznym stopniu ograniczone. Co tu dużo mówić, zasłużył sobie na to - dodał gniewnie.

Wysoki zaczął przejawiać pewne zainteresowanie.

- A co wiemy o tym drugim? Tym, który przejmie dowodzenie.

Tabbart uśmiechnął się.

- Osobiście dostarczę ci jego akta, najdroższy.

Wysoki z pewnym wahaniem nachylił się i pocałował Tabbarta w policzek.

Dziewczyna wstała, pokręciła głową, a potem wyszła z kawiarni.

Kiedy oddaliła się od witryny lokalu, przyspieszyła kroku, kierując się w stronę budki telefonicznej. Otworzyła małą torebkę i wyjęła kserokopię niewielkiego, sporządzonego ołówkiem szkicu. Wrzuciła do automatu monety i wykręciła numer.

- Halo?

Rozejrzała się, czy w pobliżu nikogo nie ma.

- Ingrid Sprenger.

Mężczyzna po drugiej stronie nie odpowiedział od razu. Dopiero gdy zorientował się, z kim mówi, w słuchawce odezwał się jego zdecydowany głos: - Ja, Ingrid?

- Znalazłam tego, którego szukasz.

Na peryferiach Monachium, jakieś pięćdziesiąt kilometrów dalej, również mówiono o poszukiwaniach.

W odpowiednio przerobionej stodole wzdłuż dłuższych ścian, ustawiono dwa pokaźne stoły. Były zavalone mapami, luźnymi kartkami, plikami raportów, a między tym wszystkim stały telefony i radiostacje. Naprzeciw wejścia wzniesiono podest z wielkim ekranem, dużą białą tablicą i wąskim stolikiem.

Nad całym pomieszczeniem dominowało zawieszona wysoko nad ekranem, powiększone zdjęcie Briana Newmana. Odnosiło się wrażenie, że człowiek ten spogląda na załoczoną stodołę z miną na poły rozbawioną, na poły smutną.

Trzydziestu dwóch ludzi kończyło właśnie rozstawiać krzesła, gdy na podium wkroczyli główni aktorzy.

Pierwszy z nich, kapitan John Kilgore, był stosunkowo młody, nie miał jeszcze trzydziestki. Nosił niebieskie dżinsy, obcisły golf podkreślający jego znakomitą kondycję fizyczną i wojskowe buty, które nie bardzo pasowały do reszty stroju.

Wszedł na podium i usiadł twarzą do zebranych. Odznaczał się jasnym spojrzeniem, doskonałą postawą i niezmiennym wyrazem twarzy.

Następny był Beck.

Wyglądał staro. Wokół oczu widniały ciemne obwódki. Skóra miała barwę starego befsztyka, a mięsień pod lewym uchem drgał nerwowo. Odnosiło się wrażenie, że co najmniej od tygodnia Beck spał w ubraniu i nie golił zarostu. Osunął się ciężko na krzesło.

Ostatni zjawił się Kapf.

Jak zawsze nieodgadniony, zajął miejsce obok Becka i natychmiast otworzył przed sobą teczkę. Przez chwilę czytał jakieś dokumenty, potem zamknął ją i spojrzał spokojnie na audytorium.

Kilgore nachylił się i szepnął coś do Becka, który przytaknął. Wtedy kapitan wstał.

- Dobry wieczór - zaczął głębokim, silnym głosem. - Dziś upływa trzydziesty trzeci dzień akcji o kryptonimie 95-0707. Podejrzany jest wciąż na wolności, prawdopodobnie

uzbrojony i z pewnością niebezpieczny. - Przewrócił leżącą przed nim kartkę. - Doniesienie o pojawieniu się podejrzanego w Mannsbruck zostało sprawdzone przez oddział żandarmerii z bazy lotniczej w Wiesbaden. Zatrzymanego osobnika zidentyfikowano jako obywatela narodowości niemieckiej i zwolniono z przeprosinami po sześciu godzinach ścisłego aresztu. - Wskazał ręką za siebie, a wtedy na ekranie pojawiła się fotografia Niemca. - Znów to samo. Powtarzam wam to, o czym już mówiłem, chłopaki - stwierdził niedbałym tonem. - Jest jakieś podobieństwo, to pewne. Ale zwróćcie uwagę na oczy, ich rozstawienie, położenie w stosunku do grzbietu nosa, na ich usytuowanie w jednej linii z kącikami ust. - Wybuchnął śmiechem. - Ten facet nawet go nie przypomina! - Dał znak, a wtedy wyłączono projektor. - Pamiętajcie, by skoncentrować się na tym, co najtrudniej

zmienić. Nasz człowiek to doświadczony agent. Będzie się starał maksymalnie zmienić wygląd, ale z oczami, nosem, ustami nic nie może zrobić. - Po chwili dorzucił: - Zapamiętajcie te szczegóły. - Zajął do notatek i zwrócił się do Becka. - Chciałby pan coś dodać, generale?

Beck potrząsnął tylko w milczeniu głową.

- W porządku, zatem przejdźmy do rzeczy. - Kilgore umilkł, rozglądając się wokół. - Grupa naziemna?

Podniósł się jakiś młody człowiek siedzący w pierwszym rzędzie.

- Nasi ludzie docierają na północy aż do Lipska, na zachodzie do Stuttgartu. Obstawiliśmy dwadzieścia jeden miast w tym trójkącie. Ale szczerze mówiąc, gdybyśmy go zauważyli, należałoby to uznać za niezwykle szczęśliwy zbieg okoliczności.

Usiadł zatroskany.

- Grupa powietrzna?

Z tylnych rzędów podniósł się mężczyzna.

- Przez całą dobę kontrolujemy wszystkie lotniska. Nie zgłoszono zaginięcia żadnego samolotu, prócz tych trzech dzisiejszego ranka. A tak przy okazji, miejscowa brygada antynarkotykowa przesłała nam oficjalne podziękowania w związku z namierzeniem tych handlarzy.

- Miło słyszeć, że udaje nam się w ogóle kogokolwiek znaleźć - roześmiał się Kilgore. - Psychiatria?

Kapf wzruszył ramionami.

- Tym razem nie mam nic nowego. Z wyjątkiem osobistego przekonania, że Newman wciąż przebywa gdzieś w okolicy. Najprawdopodobniej bardzo blisko.

Kilgore spojrział na niego z góry, jakby chciał mu zadać jakieś pytanie, ale zrezygnował i odwrócił się do swoich ludzi.

- Kontrola graniczna.

Kobieta z telefonem w ręku podniosła wzrok.

- Proszę zaczekać - powiedziała do słuchawki. - Wszystkie amerykańskie punkty graniczne postawiono w stan pogotowia - dysponują podobiznami, pełnym rysopisem i komputerowo opracowanymi zdjęciami, które ukazują go w najróżniejszych przebraniach. Jak na razie, bez rezultatu. Niemiecka straż graniczna też nie ma nic do zameldowania.

Powróciła do rozmowy telefonicznej.

- Dowódca oddziału uderzeniowego? - Kilgore rozejrzał się po pomieszczeniu.-
Gdzie jest?

Nadbiegł jakiś mężczyzna.

- Przepraszam, John.

- Mów.

- Nadal trzymamy w pogotowiu cztery pododdziały, które w ciągu czterech godzin możemy przerzucić w dowolne miejsce kraju. Wy go znajdujecie, my go zgarniamy. - Przerwał na chwilę, żeby usiąść. - Następnym razem przyłóżcie się i wskażcie nam właściwy cel.

Kilgore podziękował mu gestem.

- Jak czuje się nasz dżentelmen z Mannsbruck?
- Grozi wszystkim sądem - nam, obu rządów i każdemu, kto mu tylko przyjdzie do głowy.

Kilgore uśmiechnął się.

- Okej, w wolnym czasie spotkajcie się ze swoimi adwokatami.

Wszyscy wybuchnęli serdecznym śmiechem.

Odczekał, dopóki sienie uspokoiłi.

- A teraz poważnie - powiedział, kiedy rozsiedli się wygodniej. - Minęły trzydzieści trzy dni, chłopaki! Trzydzieści trzy dni! - Wydawał się szczerze rozgniewany. - Wiemy, że ten typ to znakomicie wyszkolony w technice przetrwania profesjonalista, i to taki, który działa prawdopodobnie instynktownie; całe życie ucieka przed facetami takimi jak my, ale bez przesady! My żyjemy z łapania drani jego pokroju! Ruszcie tyłki i znajdźcie tego gościa. - Wzburzenie kapitana stopniowo opadało. - Bo zamienię was na kilka starych psów gończych. Rozejść się.

Wszyscy wrócili szybko do pracy.

Kapf i Beck zeszli w ślad za Kilgorem z podium i skierowali się do jego prywatnego gabinetu.

- Zawsze jestem zaskoczony pańskim nieformalnym podejściem, kapitanie - przyznał Kapf, sadowiąc się w fotelu.

- Wystarczy, że starają się wykonywać swoją robotę - odparł Kilgore obojętnie. - Nie muszą wysłuchiwać moich wrzasków o guzikach, obciętych nieregularnie włosach i niewojskowej postawie.

Usiadł na małej sofie naprzeciwko Kapfa.

- Tracimy czas - stwierdził Beck niezadowolony i zirytowany.

Młodszy oficer spojrzał na niego.

- Sir?

- Wychodzę - mruknął niewyraźnie Beck, ruszając w stronę drzwi. - Tu go nie znajdziemy!

Kilgore wpatrywał się w miejsce, w którym przed chwilą stał generał.

- Zaczynam się o niego martwić - rzekł, nie podnosząc wzroku.

Kapf przytaknął z powagą.

- Nie widziałem jeszcze, by ktoś był poddany takiemu stresowi. W dużej mierze z

własnej winy, jak sędzę.

Kilgore spojrział na psychiatrę.

- A jak już jesteśmy przy pańskich opiniach...

Kapf zgadł, o co mu chodzi.

- Wciąż pan nie wierzy, że Newman jest w pobliżu?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo ja bym się tak nie zachowywał. - Nie przypominał już sympatycznego oficera, jakim się wydawał podczas odprawy. - Przeszedłem niemal identyczne przeszkolenie jak on. Znam zasady. - Zaczął wyliczać je na palcach dłoni: - Nie biegnij w prostej linii. Nie

pozostawaj w jednym miejscu dłużej niż sześć godzin. Nie wędruj za dnia. Nie patrz nikomu w oczy, ale i nie odwracaj wzroku. - Przesunął się do przodu, na sam brzeg sofy. - I zasada numer jeden: bezustanny ruch.

- Niech pan nie zapomina, kapitanie, że Newman też zna te zasady - Kapf nie dał się zbić z tropu. - Co więcej, wie, że pan je zna. Sam pan mówił swoim ludziom, że jest ekspertem w technice przetrwania. Najprawdopodobniej uczynił z niej już nie sztukę, ale wręcz naukę. - Zastanawiał się nad czymś przez chwilę, potem mówił dalej: - Jego zasady mogą się teraz diametralnie różnić od pańskich. Zakłada, że pan, jako wojskowy, jako twór określonej procedury i dyscypliny, będzie robił to, co pan właśnie robi. Zacznie poszukiwania od środka, a potem będzie się stopniowo kierował na zewnątrz. - Przerwał i potarł czoło. - Byłoby logiczne, gdyby uznał, że najbezpieczniej jest przyciąć się wewnątrz okręgu, nie poza nim. O czym świadczy fakt, że pozostał na terenie instytutu, dopóki poszukiwania nie przesunęły się dalej.

- Jest więc w pułapce - stwierdził cicho Kilgore.

Kapf uśmiechnął się smutno, niemal z rezygnacją.

- Nic podobnego. Wynajduje sobie miejsca, gdzie może się bez większego trudu schować i przeczekać, dopóki pańskie poszukiwania nie przejdą bokiem. Wie, że w końcu zacznie pan szukać dalej, a wtedy będzie mógł sobie pójść, gdzie mu się tylko spodoba.

Kilgore uniósł brwi.

- Jest zdolny do takiej kalkulacji?

- I nie tylko - w głosie Kapfa zabrzmiała groźba i ostrzeżenie.

Kilgore podniósł się.

- Co mam więc robić?

- Jakie otrzymał pan rozkazy?

Młody żołnierz wziął z biurka kartkę i podał ją Kapfowi.

- Nadal rozszerzać teren poszukiwań - wyliczał. - Aż dotrzemy do wszystkich czterech granic. Następnie zlikwidować centrum operacyjne i przekazać prowadzenie akcji wywiadowi.

- Można się było tego spodziewać - stwierdził Kapf, przeglądając zapiski. - Newman też pewnie na to liczy.

- Co pan więc radzi?

Kapf zwrócił mu kartkę z rozkazami.

- Zignorować to. Skoncentrować wysiłki na obszarze, jaki mógł pokonać tuż po ucieczce.

Kilgore sprawdził tablicę na ścianie, na której zaznaczano wszystkie ważne fakty związane z akcją 95-0707.

- Zabił człowieka generała między drugą a czwartą. - Zajrzał do jakichś papierów na biurku. - Wschód słońca zaczął się tego dnia o siódmej trzydzieści dwie.

- Od trzech i pół do pięciu i pół godziny - obliczył szybko Kapf. - Nie zameldowano o jakichś skradzionych pojazdach?

- Nie.

Teraz z kolei Kilgore coś liczył.

- Jeśli średnie tempo marszu piechura wynosi sześć kilometrów na godzinę, w grę wchodziłby maksymalny promień...trzydziestu trzech kilometrów.

- To powinien być obszar pańskich poszukiwań, kapitanie. - zakonkludował Kapf. Wstał i skierował się do drzwi. - Newman znajduje się prawdopodobnie w jego obrębie.

Kilgore był wyraźnie rozdarty między koniecznością słuchania rozkazów a tym, co radził mu Kapf. Po długiej chwili milczenia pokiwał ze smutkiem głową.

- W dowództwie mówi się już o zmianie naszego przydziału. Są przekonani, że zdążył opuścić kraj. - Zamilkł. Po chwili dodał: - No i martwią się o swój budżet. Ta akcja kosztuje krocie.

Kapf zatrzymał się w progu.

- Co więc pan zrobi?

Kilgore wzruszył ramionami.

- To, co mogę. Postąpię zgodnie z rozkazami i będę rozszerzał obszar poszukiwań. Ale - uprzedził protest Kapfa - zintensyfikuję również o jakieś dwadzieścia pięć procent działania lokalne.

Kapf wyciągnął do niego rękę.

- Jestem potrzebny w instytucie.

- Odprowadzę pana, doktorze.

Obaj mężczyźni przeszli w milczeniu przez centrum dowodzenia i zatrzymali się przy drzwiach wejściowych.

- To wszystko, co mogę zrobić, doktorze. Proszę mi wierzyć. Nie zgodzą się na zaangażowanie większych sił.

- Te nie wystarczą, kapitanie.

- Jest pan pewien?

- Tak.

- Dlaczego?

Kapf wskazał ogromną fotografię Newmana, który zdawał się ich obserwować.

- Bo go znam.

A w Instytucie Volkera sprawy już dawno powróciły do normy.

Większość personelu, nie mając pojęcia o obecności Newmana, wykonywała bez przeszkód swoje zwykłe obowiązki. Ci, którzy pracowali na oddziale, na którym przebywał Newman, zostali pouczeni i zobowiązani przysięgą do zachowania w tajemnicy

wszystkich wydarzeń, jakich byli świadkami, też powrócili do swoich zajęć.

Z dwoma wyjątkami.

Jack Clemente leżał na najwyższym piętrze, w apartamencie przeznaczonym dla VIP-ów, zniszczony bólem i zżerany powoli przez chorobę. Od dnia, kiedy uciekł Newman, nie podnosił się z łóżka.

Patrycja, choć z pozoru w dobrej formie i znów zapracowana, w głębi serca cierpiała. Dręczona pytaniami bez odpowiedzi, przygnieciona poczuciem winy, przychodziła każdego ranka do pracy, przeglądała aktualną listę pacjentów, prowadziła wykłady, a potem chowała się w swoim gabinecie, rzekomo by pisać pracę na temat swych doświadczeń z Newmanem.

A tak naprawdę, by rozmyślać i rozpaczać.

Tyle już razy to przeżywała. Analizowała każdy aspekt sprawy. Przejrzała każdą minutę dostępnych nagrań wideo, czytała zapisy rozmów. Mimo to, choć upłynął miesiąc, wciąż nie mogła znaleźć błędu.

Może nie było żadnego błędu - myślała.

Patrząc przez okno gabinetu na zachodzące słońce, włączyła magnetofon i zaczęła dyktować.

- Notatki dotyczące podrozdziału trzeciego.

Umilkła, obserwując cień, który przesunął się po budynku oddziału. Wyłączyła magnetofon i odstawiła magnetofon, pozwalając myślom błądzić swobodnie.

Bezpośrednio po ucieczce Newmana w instytucie zapanował chaos. Nie było czasu na analizy czy przypuszczenia. Zaczęła się pogoń za człowiekiem, którego należało znaleźć i unieszkodliwić.

Wszędzie kręcili się uzbrojeni ludzie. Odprawy dla żołnierzy z oddziałów specjalnych i wyższych oficerów z departamentu obrony, przesłuchania obecnych przy ucieczce, wszystko się kłębiło. I nikt nawet słowem nie wspomniał, co mogłoby się stać, gdyby nie złapano Newmana.

Ale to było przed miesiącem.

Od tego czasu nic się nie wydarzyło.

Patrycja bawiąc się bezwiednie gumką przypomniła sobie ostatnie dni. Pamięć odtwarzała je jak film w zwolnionym tempie.

Po dwóch tygodniach, gdy nie natrafiono na ślad Newmana, początkowy zapal nieco ostygł. Personel pozostawiono wreszcie w spokoju i wszyscy zaczęli powracać do swych zwykłych obowiązków - w końcu trzeba było zająć się normalną pracą.

Wtedy Tabbart zwołał zebranie.

Patrycja zjawiała się w gabinecie szefa ze starannie wypisaną na maszynie rezygnacją. Wiedziała, że jej rozstanie z instytutem jest nieuniknione. Tabbart potrzebował kozła ofiarnego, a kóz bardziej nadawał się do tej roli, jeśli nie kobieta, która, jak sobie w pokręconym mózdzku ubzdurał, była za wszystko odpowiedzialna?

Oczekiwała, że zebranie będzie tylko formalnością. Tabbart poprosi ojej rezygnację, a ona ją przedłoży. Do diabła, skoro jako jedyna przeciwstawiła się zakuciu Newmana w łańcuchy, to Tabbart miał teraz przeciwko niej dostatecznie dużo amunicji.

Ona sama doszła jednak do wniosku, że sprawa jest bardziej skomplikowana. Naciśnięto niechcący jakiś guzik, stało się coś, co doprowadziło do absolutnie nieprzewidywalnej reakcji ze strony Newmana. Tylko tak mogła sobie wytłumaczyć to, co się stało. Było to jedyne logiczne wyjaśnienie. Ale wiedziała, że Tabbart oczywiście wszystko poprzekręca.

Spodziewała się krótkiego, nieprzyjemnego, przygnębiającego spotkania.

Wprowadzono ją do gabinetu szefa i wtedy nastąpiła pierwsza z wielu tego dnia niespodzianek.

Zamiast emanować sterylną pustką, pokój zdawał się pękać w szwach.

Jack Clemente, na wózku inwalidzkim i pod tlenem, siedział na lewo od Tabbarta. Otto Kapf i Pierre Mont rozsiedli się na sofie, podczas gdy generał Beck usadowił się pod oknem, spoglądając w milczeniu na trawnik.

Tabbart siedział bez słowa za wielkim, lśniącem biurkiem, popijając ze szklanki herbatą. Skinął Patrycji głową, kiedy weszła i usiadła naprzeciwko niego.

Clemente wyglądał okropnie. Do spustoszeń dokonanych przez nowotwór doszedł jeszcze stres wywołany ucieczką Newmana. Starła się przyciągnąć go wzrokiem, popatrzyć mu w oczy, ale on siedział z pochyloną głową i czekał, aż Tabbart zacznie.

- Doskonale - powiedział w końcu szef. - Zostałem poinformowany przez wojskowych, że pomijając sporadyczne konsultacje, dadzą nam spokój. Uważam zatem, że nadzedł czas, byśmy w swoim gronie ocenili, co i dlaczego się wydarzyło, kto ponosi za to odpowiedzialność i jakie środki zaradcze należy podjąć. - Przy ostatnich słowach spojrzął w prawo. - Po długiej dyskusji z doktorem Clemente doszedłem do pewnych wniosków. Chciałbym poznać waszą opinią, by móc sporządzić sprawozdanie dla zarządu.

Patrycja przygotowała się na najgorsze.

Tabbart zaczął czytać kolejne punkty z napisanej na maszynie listy.

- Po pierwsze: pacjent, od chwili przybycia do instytutu aż do momentu, gdy stanął przed komisją, znajdował się pod opieką i kontrolą personelu na oddziale A249. - Przerwał, a potem spytał: - Jakież zastrzeżenia czy uwagi co do tego punktu?

Clemente zdjął na krótko maskę tlenową. Patrząc na Patrycję, odezwał się świszczącym, słabym głosem:

- Absolutnie żadnych.

Długo patrzyli sobie w oczy.

Patrycja zrozumiała co chciał jej powiedzieć i nieznacznie skinęła głową.

Tabbart znów spojrzął na listę.

- Po drugie: podczas jego pobytu na oddziale nie zaobserwowano ani nie zgłaszano żadnych nieprzewidzianych zachowań czy trudności, które mogłyby stanowić zagrożenie dla personelu lub świadczyć o możliwości ucieczki pacjenta. - Znów nastąpiła przerwa. - Zastrzeżenia i uwagi?

Patrzył wprost na Montę.

- Niewiele brakowało, by ten człowiek mnie zabił - mruknął pod nosem lekarz.

Tabbart potrząsnął głową.

- Powiedziałem: „nieprzewidziane”, doktorze Mont. Rezultat pańskiego spotkania z pacjentem dał się łatwo przewidzieć. Przyparł go pan do muru, mówiąc metaforycznie, a on zareagował w całkowicie przewidywalny, niby-wrogi sposób.

Patrycja zaczynała wszystko rozumieć.

- Niewiele brakowało, a przez to jego niby-wrogie zachowanie ja bym niby-umarł, metaforycznie mówiąc! - odparł gniewnie Mont.

- Ale jego reakcja była do przewidzenia. Sądzę, że się pan ze mną zgodzi - stwierdził cierpliwie Tabbart.

- Oczywiście, ma pan rację, doktorze Tabbart - odważyła się wtrącić Patrycja.

Szef podziękował jej uśmiechem.

- Dziękuję, doktor Nellwyn.

Powrócił do swojej listy.

- Po trzecie: przedstawiciele departamentu obrony zostali poinformowani, czym grozi wyprowadzenie pacjenta z jego kwatery, w celu spotkania z członkami komisji. Doktor Kapf zaproponował, by spotkali się z Newmanem w jego kwaterze na dole, lub by przywodzić go skutego i związanego. Komisja zdecydowanie odrzuciła te propozycje. Zastrzeżenia czy uwagi?

Wszystko miało być zatuzowane.

Patrycja bezwiednie uśmiechnęła się do siebie.

- Po czwarte: czytał dalej Tabbart. - Wobec nierozsądnych żądań komisji departamentu obrony, podjęto odpowiednie środki, by zagwarantować wszystkim obecnym maksimum bezpieczeństwa. Między innymi doktor Nellwyn odbyła pełną sesję z pacjentem. Doradzała mu, by zgodził się współpracować, ale też uprzedzała, że będzie bacznie obserwować wszelkie oznaki zmiany zachowania z jego strony. - Spojrzał na Patrycję. - Zastrzeżenia czy uwagi?

- Brak - odparła uprzejmie.

Tabbart ciągnął w podobnym stylu jeszcze przez dwadzieścia minut, przedstawiając oficjalną wersję wydarzeń, zakończonych ucieczką Newmana.

Instytut nie ponosił żadnej odpowiedzialności. Komisja zachowała się nierozsądnie i wykazała bezmyślność. To ona odpowiada za ucieczkę pacjenta; natomiast zasługą Instytutu było to, że nie doszło do niej wcześniej.

Kiedy skończył, powiódł szybko wzrokiem po pokoju. Kapf i Clemente od razu przystali na wnioski Tabbarta. Beck przytaknął bez słowa. Mont mruknął coś niechętnie, ale się zgodził. Tabbart zwrócił się do Patrycji.

- Doktor Nellwyn, będę szczerzy. Nie zawsze zgadzaliśmy się w tej czy innej sprawie, ale proponuję, byśmy dla dobra instytutu zapomnieli o nieporozumieniach.

Przesuwała palcami po schowanym w kieszeni podaniu z prośbą o zwolnienie.

- W imię długiej owocnej przyszłości? - spytała lekko podenerwowana.

Clemente skrzywił się, słysząc jej ton, ale Patrycja patrzyła na Tabbarta twardo.

Siedział sztywno przez długą chwilę, w końcu skapitulował.

- Zgoda - stwierdził cicho.

Odetchnęła z ulgą.

- Zgoda.

Powróciła do pracy, w każdym razie takiej, na jaką zezwalał jej Tabbart.

W zamian za poparcie jego intrygi, zgodził się na ustępstwa. Osiągnęli milczące porozumienie. Patrycja miała pozostać w instytucie, otrzymać w końcu awans na starszego pracownika, ale wiedziała, że Tabbart już dopilnuje, by nigdy nie mogła zajmować się poważnymi przypadkami czy badaniami.

Chwilowo jednak jej sytuacja była do zniesienia.

Mogła pracować nad studium o Newmanie. Instytut wspierałby, niechętnie co prawda, jej badania dotyczące hipotezy o kolejnym kroku w ewolucji człowieka. A po jakimś czasie przeniosłaby się gdzie indziej. Pewnie do jakiejś instytucji rządowej albo na któryś z amerykańskich uniwersytetów.

Pomimo chwilowego zwycięstwa w tej wojnie obliczonej na wyczerpanie, Patrycja

doskonale wiedziała, że nie osiągnie satysfakcji, dopóki nie doprowadzi do końca przypadku Briana Newmana.

Wzięła do ręki magnetofon i zaczęła od nowa.

- Jeśli założenie niniejszej pracy jest słuszne, to znaczy, jeśli pacjent, który notabene wszystkiego się domyśla, stanowi przykład nieuniknionego rozwoju człowieka, to być może obawiał się, że komisja, z lęku czy też złej woli, zapragnie go usunąć. Decyzja ucieczki, z punktu widzenia pacjenta i jego obaw wydawała się logiczna jako obrona wobec przekonañ członków komisji o genetycznym uwarunkowaniu jego osobowości.

Zatrzymała taśmę i puściła ją od nowa. Słuchając, wyobrażała sobie powszechne oburzenie i kontrowersje, jakie wywoła publikacja jej pracy. A ona sama, jako autorka, będzie bezustannie wyklinana i demonizowana.

Ale nie odczuwała z tego powodu żadnej satysfakcji. Już nie.

Jedynie, co się liczyło, to Newman. Prawdy i odpowiedzi, jakie kryły się w tym człowieku, stanowiły dla Patrycji istotę wszystkiego, w co wierzyła. Czuła w sobie, poza wszelkimi wątpliwościami i domysłami, niepowstrzymane pragnienie poznania, dokąd zmierza człowiek. Kim i czym miał się stać w nadchodzących tysiącleciach.

Newman stanowił klucz do tej zagadki!

I zniknął.

Westchnęła głęboko i postanowiła odwiedzić Jacka Clemente. Czuła się w obowiązku być przy nim teraz, tak jak on towarzyszył jej ostatnio w trudnych chwilach.

Nienawidziła scen przy łóżku konającego. Zawsze popadała później w depresję. Ale miała wobec Jacka dług wdzięczności.

Choć stał na progu śmierci, zżerany powoli przez chorobę, to jednak zmusił Tabbarta, by zatrzymał ją w instytucie. By pozwolił jej jeszcze raz zająć się Newmanem.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem i zapukała do drzwi.

Obok łóżka siedziała Jenny, szydełkując w milczeniu, a w tle mrucał cicho telewizor. Zdawało się, że Clemente śpi. Sen, choć niespokojny, zawsze przynosił ulgę.

Gdy Patrycja weszła do pokoju, Jenny podniosła wzrok znad robotki i uśmiechnęła się.

- Jak się masz, kochanie? - spytała ożywionym szeptem, obejmując serdecznie młodszą przyjaciółkę.

Przez chwilę Patrycja zastanawiała się, czy Jenny w pełni sobie uświadamia, jak bar-

dzo jej mąż jest chory. Ale oczywiście wiedziała. Po tych wszystkich pełnych poświęcenia latach nie zamierzała go zawieść, zachowując się w ostatnich chwilach jego życia, jak pogrążona w żalu wdowa.

Patrycja pocałowała ją w policzek.

- Jak się czuje?

Jenny wzruszyła ramionami.

- Po południu było ciężko, ale teraz jest chyba znacznie lepiej. - Spojrzała na jedyne-
go mężczyznę, jakiego kiedykolwiek kochała. - Myślę, że wygląda nieźle, prawda?

- Ależ oczywiście - skłamała Patrycja. Miała nadzieję, że zabrzmiało to szczerze. I tak już z trudem się powstrzymywała, by stąd nie uciec. Poczucie obowiązku było

jednak silniejsze. - Nie chcę go budzić. - Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę łóżka, a potem obróciła się do Jenny. - Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- A dla mnie? - odezwał się Jack.

Jenny uśmiechnęła się szeroko, nachyliła się nad nim i pocałowała w policzek.

- No, no, patrzcie, kto się zbudził! - zagadała bez troski.

- Doktor Nellwyn, niech pani będzie tak uprzejma i każe mojej żonie pójść do domu - powiedział Clemente żartobliwym tonem. Głos miał chrapliwy. - Powinna coś zjeść i odpocząć.

Patrycja podeszła do łóżka i pocałowała Jacka w drugi policzek.

- Widzisz - zwrócił się Clemente do żony - ty się martwisz o mój wygląd, a młode, atrakcyjne kobiety cisną się do mnie z ustami. Uciekaj!

Jenny nie protestowała, wzięła swoją torebkę, a potem jeszcze raz ucałowała męża.

- Przegryzę coś w kawiarni, kochanie.

Patrycja otoczyła ją ramieniem.

- Zostanę, dopóki nie wrócisz.

Jenny skinęła głową i ruszyła do drzwi. Otworzyła je, ale na progu przystanęła i odwróciła się.

- Kocham cię - powiedziała głosem ciężkim od łez.

- Uciekaj! - nakazał Clemente.

Jenny wybiegła, zanim Jack zdążył dostrzec jej lzy.

Patrycja przysunęła sobie krzesło do łóżka.

- Jak cię tu traktują, staruszku?

W jej twarzy nie było nic fałszywego. Ot, dwoje starych przyjaciół, spędzających wspólnie czas.

Clemente zdołał wzruszyć ramionami.

- Umieram - stwierdził po prostu. - Jeden z najbardziej naturalnych procesów życia. - Odkasznął, co spowodowało, że musiał założyć maskę tlenową. Gdy odzyskał oddech, odsunął ją od twarzy. - Wolałbym tylko, żeby nie trwało to tak długo.

Patrycja nie wiedziała, co powiedzieć.

Clemente, wyczuwając jej nastrój, lekko się uśmiechnął.

- Jak tam sprawy na wygnaniu?

- Cisza.

- Wyobrażam sobie. - Ujął jej dłoń. - Jak ci idzie praca?
 - Naprawdę chcesz wiedzieć? To znaczy... - spojrzała na aparaturę, która utrzymywała go przy życiu.
 - Twoje maniery są jak zawsze nienaganne.
- Patrycja zmieszała się.
- Możemy pogadać o raku, jeśli wolisz - stwierdził Clemente od niechcienia. - Mam kilka ładnych zdjęć z ostatniej operacji.
- Patrycja roześmiała się i uniosła dłonie w geście kapitulacji.
- Poddaję się. - Po chwili niezręcznego milczenia dodała: - Praca, słusznie. No cóż, posuwa się. Powoli, ale jednak.

- W czym problem?
- Wciąż natrafiam na ścianę.
- Mów dalej.

Wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem.

- Jeśli Newman jest umyślowo chory, potrzebujemy czasu, by się o tym upewnić. Jeśli nie jest chory, jeśli stanowi kolejny etap w rozwoju, też trzeba czasu, by mieć całkowitą pewność. Zawsze to samo.

- No i co?

- Bez Newmana, bez możliwości przeprowadzania dalszych testów, bez dodatkowych badań nie możemy ani udowodnić, ani obalić żadnej z tych teorii.

Clemente milczał przez chwilę.

- I co w związku z tym czujesz?

Patrycja pogroziła mu palcem.

- Nie próbuj bawić się ze mną w psychoanalizę, doktorze. Leżysz w łóżku czy nie, zaraz ode mnie oberwiesz.

Clemente przekrzywił głowę, zastanawiając się nad jej słowami.

- O co chodzi, koleżanko Patty? Dotknąłem czułego miejsca?

- Wiem, że umierasz - broniła się. - Ale to nie powód do irytującego zachowania!

- Racja - przyznał słabym głosem. - Ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Jak się czujesz, pozbawiona kontaktu z Newmanem, dzięki któremu mogłaś udowodnić swoją teorię?

Choć w głosie nie wyczuwało się siły, oczy spoglądały twardo.

- Chcesz znać prawdę?

- Pewnie.

Nachyliła się i powiedziała szeptem:

- Zrelaksowana.

- Ach.

Spojrzała zaskoczona.

- Co to miało znaczyć?

- Jestem ciekaw, czy kiedykolwiek przyznasz, że się martwisz, bo może nie masz racji.

- Nie w tym rzecz - zaprzeczyła. Drzwi za jej plecami otworzyły się nagle. - Śmier-

telnie się boję, że mogę mieć rację.

Odwróciła się, by zobaczyć, kto wszedł, ale nie dostrzegła nikogo. Tylko drzwi zamknęły się bezgłośnie.

Wzruszyła ramionami i zmieniła temat. Przez godzinę plotkowali o instytucie, dopóki nie wróciła Jenny.

Pięć pięter pod pokojem Jacka Clemente, przy głównym holu, znajdowała się kaplica instytutu. Miejsce to, zawsze pogrążone w mroku, nie związane z żadnym wyznaniem, było dostępne przez całą dobę, choć tak naprawdę, mało kto z niego korzystał. Zaglądano tu rzadko, i tylko w ciągu dnia.

Tej nocy jednak w pierwszej ławce, opierając głowę o splecione dłonie, klęczał jakiś człowiek.

Konrad Edel przed pracą, wstąpił jak zwykle do kaplicy, by się pomodlić.

Czynił tak od kilku tygodni.

- Korzymy się przed Tobą, o Panie, wielki i dobry Boże - mamrotał. - Twoja jest moc i chwała. Twoja nadzieja, odkupienie i natchnienie. - Zacisnął mocniej powieki. Poczł, jak wzbiera w nim siła ducha. - Panie mój, tak jak przedtem, tak i teraz strzeż swego pokornego słuę. Moja droga jest Twoją drogą. Chcę podążać Twoim śladem. Obdarz mnie mądrością i siłą, bym mógł w milczeniu dźwigać swój ciężar; pokorą, bym mógł przedkładać potrzeby innych nad moje własne; daj mi pewną i niezachwianą wiarę w doskonałość planu, który przygotowałeś dla nas w Twym wszechświecie.

Drzwi kaplicy za jego plecami otworzyły się, ale nie zwrócił na to uwagi, skupiony, pełen poczucia łaski, jakiego doznawał, ilekroć zbliżał się do końca modlitwy.

- Panie mój, obdarz spokojem i ukojeniem Jacka Clemente, który cierpi śmiertelne bóle. Obdarz spokojem umysłu Alexandra Becka, który stoi na krawędzi najstraszliwszego losu, jaki może stać się udziałem każdego z nas. I obdarz, swym dobrem i miłosierdziem Boże, twoją zagubioną owcę, Briana Newmana. Ześlij mu spokój i ukojenie, których tak rozpaczliwie potrzebuje. Obdarz go opanowaniem i mądrością, by w chwili największej próby czynił rzeczy właściwe. W imię Twego Syna, błagam cię. Amen.

Edel umilkł, po czym wstał z klęczek. Gdy się odwrócił i ruszył w stronę nawy, dostrzegł w mrocznym narożniku kaplicy klęczącego, pogrążonego w modlitwie człowieka. Szybko odwrócił wzrok, nie chcąc naruszać jego spokoju.

- Amen - wyrzekł Newman, podnosząc głowę, by spojrzeć na drzwi, które zamknęły się powoli za szefem ochrony.

Rozdział dziesiąty

Ghislain wspinał się powoli po chwiejnych schodach, które prowadziły na strych.

Zbliżając się do drzwi pokoju zarezerwowanego dla specjalnych gości jego prywatnego klubu, czuł z każdym krokiem coraz większy lęk i niepokój.

Strych miał mroczną przeszłość; jego mieszkańcy często musieli płacić wysoką cenę za uprzątnięcie „śmieci”, jakie po sobie zostawiali. Z dywanu usuwano wiele mówiące plamy, czasem nawet trzeba było pozbyć się samego dywanu. Czasem kogoś sownie wynagradzano, czasem z ciemnego brzegu do lodowatych i zielonych wód Izary zrzucano trupa.

Wody rzeki są zielone - myślał często Ghislain - z powodu pieniędzy, jakie płacono, ilekroć wizyta przed świtem kończyła się cichym pluskiem tobołu, kryjącego ciężar szczątków jakiejś nieszczęsnej istoty, po której nikt nigdy nie tęsknił.

Ale człowiek, który miał wkrótce zjawić się w tym pokoju, różnił się od swych poprzedników.

Typową klientelę tego apartamentu stanowili magnaci finansowi, bogaci szefowie ponadnarodowych korporacji albo wysoko postawieni politycy. Ludzie sprawujący kontrolę i pragnący, chociażby na jedną noc, na jedną godzinę, na jedną chwilę - wyzwolić się spod wszelkiej kontroli.

Za odpowiednią kwotę dostarczano im mężczyzn, kobiety, dzieci lub zwierzęta i gwarantowano uwolnienie od wszelkich zasad, praw, osądów moralnych czy opinii publicznej - jednym słowem od wszystkiego, co mogłoby zakłócić radość owego doświadczenia.

Ale człowiek, który miał się tu zjawić niebawem, nie odczuwał potrzeby uwolnienia się od kontroli. Balansował na najcieńszej krawędzi między kontrolą a chaosem i nigdy nie przechylił się niebezpiecznie w tę czy tamtą stronę.

Wszystko zaczęło się ponad dwa tygodnie wcześniej.

Było niemal południe, dla właściciela klubu środek nocy. Ghislain spał sobie w głównej sypialni swojego luksusowego i dobrze strzeżonego domu na peryferiach Monachium. Dzieci były w szkole, żona krzątała się gdzieś na parterze.

Nagle - nawet teraz nie wiedział dlaczego - obudził się, tknięty jakimś złym przecuciem.

Usiadł na materacu i rozejrzył się wokół. Frieda, jego żona, stała przy nogach łóżka i patrzyła na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

Nie poruszyła się, nie odezwała, tkwiła tylko w miejscu z szeroko otwartymi oczami, zerkając w lewo.

Ghislain powoli obrócił głowę, idąc za jej spojrzeniem.

Ujrzał jakiegoś mężczyznę o sympatycznej, choć bladej twarzy, który celował z obryzyna w głowę Friedy.

- Jeśli się poruszysz, twoje dzieci po powrocie do domu znajdą szczątki rodziców na ścianie - nie bawił się w ceregiele. Mówił szkolną niemieczyzną z amerykańskim akcentem.

Ghislain wciąż siedział nieruchomo.

- W sejfie mam może ze trzydzieści tysięcy marek - wykrztusił. - I biżuterię żony. Weź wszystko. Nie będziemy stawiać oporu.

Starał się za wszelką cenę zapanować nad głosem.

- Dziękuję, wezmę, jeśli będzie trzeba - odparł beznamiętnie mężczyzna. - Ale wolalbyśmy dorzucić coś do twojego sejfu, niż go opróżnić. - Zamilkł na chwilę.

Potem wyjaśnił: - Proponuję ci pewien interes.

- Nie dyskutuję o interesach, kiedy ktoś celuje do mojej żony z broni palnej! - Ghislain, zdumiony, usłyszał swój własny głos.

- Ale dziś będziesz dyskutował - brzmiała cicha odpowiedź mężczyzny.

- Dlaczego?

- Bo to ja celuję.

Spokój i niedbałość towarzyszące tym słowom sprawiły, że Ghislain poczuł dreszcz na karku.

Przez następne piętnaście minut mężczyzna opisywał szczegółowo, o co mu chodzi i co jest gotów za to ofiarować. W pewnym momencie, widząc, że Ghislain przestaje się bać, a zaczyna wykazywać zainteresowanie, opuścił broń.

Po dwudziestu minutach właściciel nocnego klubu kazał żonie zaparzyć kawy i nic nikomu nie mówić.

Po czterdziestu minutach obaj doszli do porozumienia.

Mężczyzna potrzebował kompletu fałszywych dokumentów najwyższej jakości, nie do zakwestionowania przy nawet najbardziej szczegółowej kontroli. Chciał też, by ustalono miejsce pobytu trojga ludzi. Nie chodziło o porwanie ani zabicie (co byłoby znacznie

tańsze), tylko o znalezienie. Ale najważniejsze było lokum, gdzie, jak się wyraził, „mógł dobić targu” z ludźmi, których szukał.

W zamian oferował coś niezwyklego! Zapłatę, której nie sposób było nie przyjąć.

Ghislain zgodził się od razu. Prawdę mówiąc, nie miał wyboru! Wiedział doskonale, że w razie odmowy mężczyzna o sympatycznej twarzy zabiłby ich oboje z żoną bez chwili wahania.

Poza tym - myślał sobie wówczas Ghislain - gdy tylko ów dziwny gość opuści dom, będzie można zawiadomić policję.

Albo znajomych.

Lecz gdzieś w głębi duszy czuł, że ten człowiek nie jest wariatem czy zarozumiałym bandytą, chcącym się popisywać. I wiedział, choć nie wspomniano o tym nawet słowem, jakie on, Ghislain, poniósłby konsekwencje, gdyby kiedykolwiek mu się przeciwstawił.

Jeśli zaś chodzi o styl, sposób przedstawienia się ...No cóż, samo to, że udało mu się w biały dzień ominąć trzech uzbrojonych strażników i przechytryć wysokiej klasy system alarmowy w ściśle strzeżonej, ogrodzonej okolicy, stanowiło w oczach Ghislaina najbardziej wymowną wizytówkę.

Wszystko to działo się przed siedemnastoma dniami, a z czasem sprawy przybrały jeszcze pomyslniejszy obrót, niż przepowiadał to uśmiechnięty człowiek.

Pięć okolicznych klubów, stanowiących dla Ghislaina konkurencję, poważnie ostatnio ucierpiało, co zmusiło ich właścicieli do zamknięcia interesu.

Erotica doszczętnie spłonęła.

Pleasure Spa została zniszczona wskutek wybuchu gazu.

Bachus Playground doznał wielu niewyjaśnionych awarii natury technicznej, co skończyło się poważnymi obrażeniami u dwunastu osób.

Nieznany osobnik sfotografował limuzyny gości odwiedzających dwa pozostałe kluby i przekazał zdjęcia gazetom. Lokale straciły szybko na popularności, ich właściciele niebawem je porzucili.

I tak większość stałych bywalców owych lokali, zwłaszcza nocna klientela w limuzynach, która niczego się tak nie obawiała jak rozgłosu, wyłądowna u Ghislaina.

Jego interes pięciokrotnie zwiększył obroty. Ghislain musiał zatrudnić więcej dziewcząt i barmanów, myślał nawet o tym, by w związku z większym ruchem wykupić sąsiedni budynek.

Ale nadszedł czas, kiedy trzeba zapłacić diabłu za usługi.

Ghislain przystanął na podeście schodów, poprawił krawat, przygładził włosy i otworzył kluczem drzwi.

Salonowi nadano luksusowy i wyrafinowany wystrój. Środek krytej grubym dywanem podłogi zajmowało wiktoriańskie łóżko z baldachimem. Wszędzie stały antyki z mahoni, ściany wyłożono kosztowną tapetą. Wykonane na zamówienie lampy oświetlały rześcicie pokój, a ich blask odbijał się w najwspanialszych połączonych lustrach, jakie można było znaleźć w Niemczech. Z boku znajdowała się garderoba i apartament kąpielowy z wszelkimi udogodnieniami.

Ghislain objął pomieszczenie jednym spojrzeniem, stwierdził zadowolony, że wszystko jest na swoim miejscu, po czym ruszył po grubym dywanie w stronę okna. Odsunął ciężkie pluszowe kotary i podciągnął do góry rolety, odsłaniając zakratowane szyby.

Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął duży klucz starego typu, którym otworzył okno, a potem kratę.

Patrzył przez chwilę, niemal z nadzieją, na alejkę w dole, ale niczego nie mógł dojrzeć.

Nie sprawiło mu to ulgi.

Zamknął czym prędzej okno, opuścił roletę i zaciągnął zasłony. Nie gasząc światła i nie zamykając drzwi, zbiegł szybko po schodach i wyszedł przez boczne drzwi na ulicę.

Obszedł budynek i znalazł się w alejce, dokładnie pod oknem strychu. Rozejrzał się wkoło, ale dostrzegł tylko pojemniki na śmieci, zamknięte drzwi i przemykającego gdzieś niedziedzie szczura.

Sprawdził godzinę na zegarku. Była za pięć pierwsza w nocy.

- To ja, Ghislain - powiedział cicho. - Jestem tutaj.

Żadnej odpowiedzi.

- Apollyon, to ja, Ghislain. Mam wiadomości.

I znów nie było odpowiedzi.

W chwilę później jego uwagę zwrócił jakiś ruch w jednej z nisz. Patrzył skamieniały, jak z cienia wynurza się powoli uśmiechnięty człowiek, którego znał jako Apollyona.

- Miło to słyszeć - Newman nie był rozmowny. Przywołał skinieniem właściciela klubu, który zbliżył się niechętnie.

W przyćmionym świetle alejki Ghislain zauważył, że od ich ostatniego spotkania Newman przytył o jakieś pięć kilo. Skórę miał ciemniejszą, bledość zniknęła pod zdrową opalenizną. Zapucił też brodę i wąsy.

- Ten człowiek - zaczął Ghislain, podając mu narysowaną ołówkiem podobiznę Tabbarta. - Zauważyła go dziewczyna w dzielnicy Reichs.

Newman spojrział na rysunek.

- Dobrze.

- Kazałem go śledzić - relacjonował pospiesznie Ghislain. Mrok, alejka i obecność tego człowieka, który niósł ze sobą śmiertelne niebezpieczeństwo, wszystko to potęgowało strach właściciela burdelu. - Co tydzień, góra co dziesięć dni, pański człowiek umawia się w lokalu dla homoseksualistów na randkę z innym mężczyzną. Siedzą tam i rozmawiają około godziny, po czym wychodzą osobno. Nie mam informacji na temat tego drugiego mężczyzny, wiem tylko, że przypuszczalnie handluje rosyjskimi ikonami. Nakazałem dalszą obserwację.

Wytarł odruchowo spocone dłonie o nogawki spodni.

Newman się rozpogodził.

- Oczywiście.

Jego nastrój uległ nagle zmianie i Ghislain stwierdził z ulgą, że mężczyzna jest nastawiony przyjacielsko.

- Jak tam interesy?

- Nigdy nie wyglądały lepiej - uśmiechnął się szeroko. Jak to się mówi, wszystkie bilety wyprzedane. Noc w noc. - Umilkł na chwilę. - Nasz program okazał się większym sukcesem, niż pan przepowiadał.

Zatarł ręce, zadowolony.

Newman też się uśmiechnął.

- Nasza dewiza to sprawianie ludziom przyjemności - rzucił od niechcienia niczym slogan reklamowy. - Reprezentuję starą firmę, która docenia zadowolenie klienta. Poza tym, dobrze znów pracować - głos zaczął mu z wolna cichnąć, jak to się czasem zdarzało.

Patrzył gdzieś w przestrzeń, jakby pogrążony bez reszty we wspomnieniach.

Nagle uświadomił sobie, że Ghislain przygląda mu się z uwagą.

- A twoja żona i dzieci? - spytał z nieznacznym uśmiechem. - Jak się czują?

Jego swobodny, przyjazny wyraz twarzy ani na chwilę nie uścił czujności Ghislaina. To proste, grzecznościowe pytanie wywołało w nim dreszcz.

- Doskonale - odparł pospiesznie. - Mam też dobre wiadomości co do pańskich dokumentów - wrócił czym prędzej do interesów.

- Miło to słyszeć. - Newman wyczuł zdenerwowanie rozmówcy. - Jeśli nie pojawiły się żadne trudności, nie ma się czego obawiać. Rozluźnij się.

Ghislain wyjął z kieszeni niewielką karteczkę.

- Zgodnie z pańską prośbą, będzie się pan nazywał Charon Apollyon, naturalizowany Greko-Amerykanin z Nowego Jorku. - Po chwili spytał: - Jest pan pewien, że chce się posługiwać tak rzadkim nazwiskiem? To może zwracać niepożądaną uwagę.

- Wręcz przeciwnie - Newman zaglądał Ghislainowi przez ramię. - Im dziwniejsze nazwisko, tym mniejsze wzbudza podejrzenia u pracowników urzędu imigracyjnego. Chcesz, żeby cię zatrzymali, nazywaj się Joe Smith.

Ghislain nie miał zamiaru się sprzeciwiać.

- Skoro pan tak twierdzi. - Sięgnął do marynarki i wręczył Newmanowi zaklejoną kopertę. - To karty kredytowe, karty klubowe i inne dokumenty wydane przez stan Nowy Jork.

- A pozostałe? - spytał Newman, otwierając kopertę i przeglądając jej zawartość.

- Prawo jazdy i kartę ubezpieczenia dostarczę za dwa dni. Paszport też, choć może być dzień opóźnienia.

Obaj równocześnie podnieśli wzrok, na dźwięk telefonu komórkowego Ghislaina.

Odebrał szybko.

- *Ja*. - Długa przerwa. - *Ein moment*. - Zwrócił się do Newmana. - Jeden z ludzi, których pan szuka. Właśnie się zjawił.

Newman ruszył ku drzwiom klubu.

- Zatrzymajcie go przez chwilę.

Ghislain powiedział coś szybko do telefonu, a potem go wyłączył.

- Wedle życzenia - rzucił niespokojnie za oddalającym się Newmanem.

W alejce zapanowała cisza. Po jakimś czasie Newman powrócił, uśmiechając się do Ghislaina.

- Pozostałe dokumenty będą mi potrzebne za dwa dni. Nie później.

- Oczywiście.

- Zadzwoń dzisiaj wieczorem, by ustalić miejsce i czas spotkania.

Coś się w nim działo, zmienił się. Wydawał się lekko podenerwowany, nieco napięty. Jak ciężarowiec tuż przed pojedynkiem o mistrzostwo wagi.

- Czy mam sprowadzić tego człowieka na górę?

Newman rozejrzał się po alejce, badając wzrokiem zewnętrzną ścianę klubu i metalowe schodki pożarowe. W końcu przytaknął.

- Świetnie.

Ghislain włączył telefon.

- Proszę sobie wyobrazić, cóż za zbieg okoliczności - zauważył, wystukując numer. - Ten mężczyzna, to stary członek mojego klubu.

Newman podszedł do podnóża schodków pożarowych, przesuwając po drodze pojemnik na śmieci. Obliczył odległość między pokrywą pojemnika a podstawą drabinki.

Nagle jakby przypomniał sobie o obecności Ghislaina.

- Dzięki takim zbiegom okoliczności wiatr rozwiewa popioły Erotiki, a twój klub prosperuje w najlepsze - powiedział z porozumiewawczym uśmiechem.

Potem patrzył, jak podenerwowany właściciel klubu oddała się pospiesznie, rzucając przez ramię lękliwe spojrzenia. Kiedy zniknął, Newman powiódł wzrokiem wzdłuż drabinki pożarowej, która sięgała okna strychu.

Dokonał w myśli pewnych obliczeń.

Dwie minuty, zanim Beck wypełni wstępne formalności, poda swoje wymagania na ten wieczór.

Pięć minut, na pokonanie trzech pięter.

Kolejne trzy minuty dla dziewczyny.

Ghislain poinformował Newmana o skłonnościach generała, tak że zdążył już porozmawiać z dwiema dziewczynami, które w przeszłości obsługiwały Becka.

Cztery minuty, do chwili, kiedy sytuacja osiągnie pożądany przez Newmana punkt.

Razem czternaście minut.

Spojrzał na zegarek. Pierwsza zero trzy. Wtopił się z powrotem w niszę, by tam zająć i jeszcze raz wszystko przemyśleć.

Wiedział, że załatwiający prywatne porachunki, okazuje niewiarygodną głupotę. Łączyło się to z olbrzymim ryzykiem, uszczuplało jego zasoby finansowe (po zamachach na kluby miał mniej więcej trzydzieści tysięcy czterysta marek, czyli około dwudziestu dwu tysięcy dolarów, z czego większość miał wydać na ucieczkę), wreszcie spotkanie to narażało go niepotrzebnie na aresztowanie albo śmierć. Na dłuższą metę nic mu to nie dawało, nie służyło nawet zemście, bo i tak nie odczuwał takiej potrzeby.

Mimo to niemal od pierwszych chwil wolności wiedział, że będzie musiał to zrobić.

Siedząc tamtej nocy cicho na najwyższych konarach gęstego drzewa, obserwował, jak poszukiwania zataczają coraz szersze kręgi. Najpierw ludzie Edela, a potem, jakąś godzinę później, niezwykle zdyscyplinowane oddziały wojska.

W ciągu trzech pierwszych godzin dwukrotnie przystawali pod jego drzewem. Liście były zbyt gęste, by mogli go zobaczyć, ale on ich słyszał, choć prawdę mówiąc, nie przejmował się specjalnie tą pogonią, gdyż czuł się bezpiecznie na swojej zamaskowanej

grzędzie.

Błądził myślami gdzie indziej, zastanawiając się, jakimi to torami pobiegnie od tej chwili jego życie.

Wiedział, że poszukiwacze ruszą w końcu dalej, i że będzie wolny. Co jednak miał robić z tą wolnością?

Początkowo myślał o wyprawie na południe, w stronę Austrii, a stamtąd może do Jugosławii, do jakiegoś małego, gwarneho portu nad Adriatykiem. Potem niewielki statek płynący do Stanów, gdzie mógłby zniknąć bez trudu w gigantycznym tyglu.

Myślał też o tym, by wyruszyć na zachód, do Hiszpanii, i zgubić się w gajach oliwnych i przyjaznej ciszy Katalonii.

Gdy zeskakiwał z drzewa, był już zdecydowany, dokąd się udać.

Człowiek Becka zmienił wszystkie jego plany.

Ów bezowocny akt, to co Beck nim mimowolnie mu zdradził, wywołało w głowie Newmana tyle pytań, że jego plany i myśli od razu uległy zmianie.

Jasne jak słońce.

Jeśli Newmana nie można było okiełznać, należało go zabić.

Ale to przecież nie miało sensu.

Już wcześniej agenci, i to wielu ważniejszych od niego, urywali się ze smyczy. Likwidacja zawsze było ostatnią z możliwości. Uciekano się do niej dopiero wtedy, gdy zawiodły wszelkie próby odzyskania zbiega.

Ale Beck chciał zacząć od próby zabójstwa.

Dlaczego?

Newman nie stanowił zagrożenia dla żadnej z aktualnie przeprowadzanych operacji wywiadowczych. Beck i ludzie z rządu wiedzieli, że nikt nie zdołałby go zmusić do wydania siatki szpiegowskiej. I że nie żywił do nich poważnych pretensji.

W każdym razie nie w stopniu, który nakazywałby całkowitą jego eliminację.

Ale Beck mimo wszystko próbował. A Beck nigdy nie robił niczego bez akceptacji z góry, a więc pojawiło się najważniejsze.

Dlaczego?

Przypomniał sobie zwłoki napastnika, postawionego na jego drodze przez Becka, i zastanawiał się. Co sprawiało, że on, Newman, stanowi aż takie zagrożenie? Co spowodowało dziwaczne uwięzienie w murach instytutu, a teraz to polowanie, aby go zabić?

Ta myśl nie dawała mu spokoju, gdy opuszczał teren instytutu.

Oddalił się, jak gdyby nigdy nic, i złapał okazję do samego Freisingu, około czterdziestu kilometrów na północ od Monachium. Przyjazny kierowca ciężarówki, Belg, pożyczył mu nawet czterdzieści marek, czyli mniej więcej trzydzieści dolarów amerykańskich.

Kilka pierwszych dni spędził w kanale odpływowym tuż za miastem.

W nocy udawał się, na piechotę albo autostopem, do małego miasteczka rolniczego, by zorientować się w topografii okolicy. Lecz ani na chwilę nie uwolnił się od pytania, które prześladowało go podczas godzin jasnego dnia, spędzanych w półśnie, w wilgotnej i chłodnej pleśni głębokiego kanału.

Dlaczego?

Przed upływem trzeciego dnia postanowił, choć zdawał sobie sprawę, że nie jest to dobry pomysł, znaleźć za wszelką cenę odpowiedź nim ucieknie na dobre.

Pożyczone czterdzieści marek wydał szybko na żywność i odzież, więc chwilowo zaprzestał swoich dociekań i skupił się na pilniejszych sprawach.

Jeśli zamierzał pozostać, potrzebował więcej pieniędzy i stałego, bezpieczniejszego lokum.

W ciągu trzech kolejnych nocy w handlowej dzielnicy Freisingu dokonano serii włamań. Skłonność drobnych niemieckich przedsiębiorców do trzymania w zamykanych na

klucz kasetkach znacznych sum pieniędzy ułatwiła mu zadanie - po piątym włamaniu zebrał tysiąc osiemset piętnaście marek, nieco mniej niż tysiąc czterysta dolarów, i wrócił do miasta położonego najbliżej instytutu.

Wynajął za dziewięćset marek mały, odrapany sklepik w obskurnej, ubogiej dzielnicy. Właściciel, mieszkający gdzie indziej, nie zadawał żadnych pytań. Należał do niego cały budynek z lokalami, które przestały funkcjonować, gdy wraz z upadkiem Muru zaczęła się recesja. Cała transakcja została przeprowadzona pocztą i przez telefon.

Lokalizacja była doskonała. Okolica spokojna i wyludniona. Kilka czynnych jeszcze sklepów stanowiło fasadę dla tureckich dilerów i anarchistów, którzy je wynajmowali.

Newmanowi to odpowiadało. Ci ludzie nie zadawali pytań i gdyby pogoń tu dotarła, co było nieuniknione, nic by nie powiedzieli.

Nie miał zresztą złudzeń. Na razie wyprzedzał ścigających, ale wiedział, że nim zrezygnują z poszukiwań, sprawdzą każdy trop jeszcze raz. Zaczną od dokładnej penetracji hoteli, pensjonatów, schronisk, a w końcu dojdą do sklepów od frontu ulicy.

Trik polegał na właściwym wycuciu czasu.

Sklep spożywczy przekształcił się niebawem w bazę operacyjną z zapasem prowiantu na dwa dni, apteczką pierwszej pomocy, garderobą i podstawowym zestawem broni (którą kupił albo ukradł). Ściany pokryły się starannie oznakowanymi mapami i skomplikowanymi wykresami.

Nocą obserwował instytut, często nierozsądnie ryzykując wejście przez główną bramę, by włamywać się do gabinetów i czytać przechowywane w nich akta.

Za dnia natomiast nanosił dane na wykresy, a potem wpatrywał się w nie godzinami, starając się odkryć wzór, sekretne przesłanie, które powiedziałyby mu, dokąd powinien się udać.

Wciąż jednak nie mógł znaleźć odpowiedzi na podstawowe pytanie.

Ale był już blisko.

Odbite pospiesznie na kserokopiarce notatki, które przeczytał w wolnej chwili, mówiły coś o bliżej niesprecyzowanej, a mającej z nim związek, teorii. Okazało się, że to owa hipoteza, choć najwyraźniej kontrowersyjna, była motorem działań rządu.

Obserwował Patrycję w jej gabinecie, podczas obchodów, w drodze do pracy i do domu. Myślał o wysuniętej przez nią teorii, która doprowadziła do nieprzewidzianego następstwa, i zastanawiał się, czy chodzi o to samo, o czym czytał w notatkach.

Raz nawet stał w jej sypialni, nad pogrążoną we śnie kobietą, zastanawiając się, czy nie wydobyć z niej odpowiedzi siłą.

Byłoby to łatwe, ale mogłoby też spowodować, że poszukiwania znów nabiorą rozpędu. A tego nie chciał.

Wtedy tego nie chciał.

Zasiadł więc do krótkiej lektury materiałów znalezionych w teczce doktor Nellwyn. Był to zarys pracy na temat czegoś, co autorka nazywała *Homo Crudelis*. Człowiek okrutny. Przerwał szybko czytanie, uznając ten koncept za przykład interesującej

masturbacji intelektualnej, ale nie widząc żadnego związku z jego obecną sytuacją.

Potem, uśmiechając się złośliwie, wpadł na pewien pomysł.

Obudziwszy się, Patrycja znalazła na poduszce, tuż obok swojej głowy, pozostawiony przez kogoś kwiat. Jej strach niemal natychmiast ustąpił radości.

Przez trzy z kolejnych pięciu nocy niewidzialny intruz odwiedzał ją i zostawiał kwiat.

Za każdym razem przeglądał też zawartość jej teczek.

Patrycja po raz pierwszy czuła, że całkowicie panuje nad sytuacją, ale nikomu nie mówiła o tym, co się dzieje. I zaczęła zapisywać swoje myśli w sekretnym dzienniku, przechowywanym w instytucie, w jednej z zamkniętych na klucz szafek.

„Newman się boi - pisała. - Jest sam, więc stara się dotrzeć do jedynej na świecie bliższej mu osoby. A zatem między pacjentem a terapeutą istnieje pewien związek, prawdopodobnie o podłożu erotycznym. Jest to niezwykle krucha relacja, jednakże odpowiednio pielęgnowana (nie wolno zapominać o fizycznym bezpieczeństwie terapeuty) może pomóc w uzyskaniu wyrazistszego obrazu pacjenta”.

I zaczęła ów związek podtrzymywać.

Z myślą o edukacji nocnego gościa wkładała do teczek bardziej szczegółowe dokumenty. Spała czujnie, ubrana w podkreślające jej kobiecość, podniecające i skąpe stroje, które jak była przekonana, podobały się Newmanowi. Wielokrotnie myślała o tym, by podejść do niego, kiedy krążył po jej domu. Albo żeby otworzyć oczy, kiedy wyczuwała jego obecność.

Nie zrobiła tego, bo następny ruch należał do Newmana - tak sądziła, w to wierzyła. Miała nadzieję, że wkrótce go uczyni.

Wizyty stawały się jednak coraz rzadsze i Patrycja zaczęła tęsknić za kwiatami; opłakiwała kres kolejnego związku „koleżanki Patty”.

Newman zaś obserwował i czytał, ukrywając się za dnia, poszukując odpowiedzi nocą.

Aż do chwili, gdy czystym zrządzeniem losu natknął się na Becka, który pojawił się na diabelskim placu zabaw. Od ucieczki z instytutu upłynęły wtedy ponad dwa tygodnie.

Newman, któremu kończyły się już pieniądze, udał się do dzielnicy czerwonych świateł w poszukiwaniu jakiejś łatwej ofiary z większą ilością gotówki, kogoś, kto by nie zgłaszał na policji, że został obrabowany.

Kiedy rozglądał się za kimś odpowiednim, ze zdumieniem dostrzegł generała, który dosłownie otarł się o niego. Twarz ukrywał za podniesionym kołnierzem płaszcza. New-

man natychmiast zapomniał o pieniądzach i ruszył śladem Becka niczym cień.

Widział, jak generał wchodzi do klubu Ghislaina.

Czekał dwie godziny, dopóki znów się nie pokazał, blady i wyczerpany.

Wydał ostatnie pieniądze, by zasięgnąć języka o Ghislainie i jego klubie, pojechał też na przedmieście, gdzie ów mieszkał.

Potem wprowadził swój plan w życie.

Rozejrzał się po alejce. Była wciąż opustoszała. Spojrzał na zegarek, minęło dopiero pięć minut. Podeszedł do pojemnika stojącego pod drabinką pożarową.

Ghislain stanowił niewiadomą, ale Newman doszedł do wniosku, że człowiek ten jest całkowicie pozbawiony skrupułów i zasad moralnych. Typ, jakiego potrzebował.

Wiedział, że właściciel klubu w końcu go zdradzi. Miał to wypisane na twarzy zielonymi dolarami. Dało się to od biedy zaakceptować. Uczciwa zdrada, zrodzona z chciwości, a nie politycznego pragmatyzmu.

I nawet owa zdrada, na swój sposób, mogła się przyczynić do realizacji planów Newmana.

Uśmiechnął się, wchodząc na pokrywę pojemnika.

Była pierwsza piętnaście.

Czas zacząć.

Beckowi podobał się pokój na poddaszu, ale wciąż nie czuł się w nim pewnie.

Składał tu wizytę po raz pierwszy, więc najpierw spenetrował każdy zakątek, upewniając się, że nie ma ukrytych mikrofonów lub kamer. Usiadł wreszcie zadowolony w starym bujaku, czekając na dziewczynę.

Był zmęczony. Boże, jak bardzo zmęczony! Każdym ścięgnem i zwojem mózgowym czuł znużenie. Nie sypiał, prawie przestał jeść, niemal rozpadał się na kawałki. Mimo wszystko jedynie siłą woli udawało mu się zachować przynajmniej pozory normalności.

Nie było to łatwe.

Od czasu ucieczki Newmana prześladowały go koszmary na jawie. Widział demonicznego Newmana, skradającego się po nic nie podejrzewającym świecie. Uderzając na ślepo, Beck zawsze pozostawał o krok w tyle, nieodmiennie potykając się o poćwiartowane, rozkładające się ciała ofiar, a wszystkie zaglądały mu w duszę martwymi oczami, oskarżając go w milczeniu i skazując na wieczne potępienie.

Wrócił więc do klubu Ghislaina.

Drgnął, słysząc ciche pukanie do drzwi. Wziął się w garść, poprawił marynarkę i zaczerpnął głęboko powietrza.

- Wejść.

Była młoda, nie miała więcej niż dwadzieścia lat. Słodka, szczerą twarzą, lśniąca blond włosy i mocne, pełne ciało ukryte pod klasycznym ubraniem - tego właśnie pragnął. Może było to nawet więcej, niż pragnął.

- Przepraszam, że kazałam panu czekać - powiedziała słodko, podchodząc i witając się bardzo oficjalnie. - W czym mogę dziś panu pomóc?

Beck wyciągnął powoli rękę i ujął jej dłoń. Ucisnął ją mocno.

- Nie jestem pewien, czy możesz mi pomóc - odparł głosem chrapliwym od pożąda-

nia i bólu, które łączyły się w jedno nienazwane mroczne uczucie.

- Proszę, sir - powiedziała poważnie. - Może mi pan wszystko powiedzieć.

Przyciągnął ją do siebie, chwytając za pośladki.

Wykręcała się niezręcznie.

- Sir, proszę, to nie wypada!

Zaczął się z nią szarpać. Walczyła, ale nagle straciła równowagę i przewróciła się na podłogę. Runął na nią, a ona zaczęła się opierać.

- Dziwka! - rzucił, rozrywając na niej ubranie. - Ty mała prowokatorko! Myślisz, że możesz mnie przejrzeć! Dostać się do wnętrza mojej głowy! - Zerwał z niej bluzkę i zaczął podciągać spódnicę. - Nic z tego, do diabła!

Gniótl jej obnażone piersi.

W tym momencie, płonący podnieceniem i wściekłością, czerwony jak krew, bliski zniewolenia tej bezbronnej dziewczyny, poczuł na policzku delikatne i chłodne muśnięcie nocnego powietrza. Ale nie zwrócił na to uwagi i znów skupił się na dziewczynie.

- Nazywaj mnie. Newmanem - warknął. - Brianem Newmanem.
- Trochę myślące - odezwał się z kąta znajomy głos.

Beck zamarł.

Przebiegł wzrokiem pokój, aż w końcu dostrzegł Newmana, który stał ze smutnym wyrazem twarzy przy pluszowych zasłonach.

Dziewczyna pozbierała szybko swoje rzeczy i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Przez niemal minutę obaj mężczyźni patrzyli na siebie. Potem Beck powoli usiadł.

Newman zrobił kilka kroków w głąb pokoju, zatrzymując się między nim a drzwiami. Zauważył, że Beck zerka ukradkiem na swój płaszcz, który leżał w nogach łóżka.

Uśmiechnął się, dostrzegając jednocześnie wybrzuszenie na materiale i wyraz oczu generała.

- Nie uda ci się - stwierdził od niechcienia. - Znasz mnie. Wiesz, o czym mówię.

Beck zagryzł wargę, wydawało się, że pogodził się z sytuacją, po czym nagle skoczył w stronę łóżka.

Newman trafił generała obcasem w okolice krzyża, rzucając go na podłogę.

Beckowi zabrakło zaledwie kilku centymetrów. Jeszcze raz sięgnął rozpaczliwie do płaszcza, ale stojący z tyłu człowiek chwycił go za rozpostarte palce i wykręcił mu boleśnie rękę na plecy. Zmuszając generała do pochylecia się, Newman wpakował mu kolano w twarz.

Beck runął u stóp przeciwnika - krwawy stos niewybaczalnych grzechów. Odwrócił się do Newmana, swojego wroga-przyjaciela, ucznia-golema, i spojrzał na niego kaprawymi oczami, w których malował się żaloszny ból, przerażenie i ulga.

- Masz dość? - spytał Newman głosem spokojnym, smutnym, niemal protekcyjnym.

Beck milczał przez dłuższą chwilę.

- Zabijesz mnie?

Newman wzruszył ramionami, przyglądając się rozciągniętemu na podłodze człowie-

kowi.

- Interesująca scena.

Beck chciał odwrócić wzrok. Chciał zniknąć, rozpląnąć się, stać się niewidocznym. Ale ciągle patrzył na Newmana.

Ten wyjął z kieszeni leżącego na łóżku płaszcz czterdziestkępiątkę, po czym usiadł jak gdyby nigdy nic na starym bujaku obok drzwi.

- Musisz mi wybaczyć, nie jestem już tak wnikliwym psychoanalitykiem jak dawniej. Czy ma być to spełnieniem życzenia czy też karą za grzechy, jakiej w głębi duszy pragniesz?

Beck milczał.

- Och, daj spokój - strofował go Newman. - Nie bądź niegrzecznym chłopcem. No więc?

Był szczerze rozbawiony.

- Czego chcesz? - wykrztusił generał.

- Bardzo wielu rzeczy, zapewniam cię. Masz coś przeciwko temu, żebyśmy przeszli do konkretów?

Po dłuższej chwili milczenia, którego Newman najwyraźniej nie pragnął zakłócać, Beck potrząsnął głową.

- Nigdy nie uciekniesz.

- Już to zrobiłem. A może tego nie zauważyłeś? A tak na marginesie, dla porządku, jak się nazywał?

- Kto? - spytał zaskoczony Beck, ale po chwili zrozumiał. - Ach. - Chwila milczenia.

- Leonard Pelikan. Miał żonę i troje dzieci, gdybyś i to chciał wiedzieć.

Nie zrobiło to na Newmanie żadnego wrażenia.

- Mam nadzieję, że był ubezpieczony. - Przyglądał się byłemu dowódcy bez zmrużenia powiek. - Co się z tobą, u diabła, stało przez te sześć i pół roku?

Jego głos przybrał ton szczerzej troski z lekką nutką żalu.

Beck patrzył w dywan.

- Zestarzałem się.

- Bzdura.

- Zmęczyłem się.

- Bzdura.

Beck spojrzał na niego. Oczy zaczęły mu nieznacznie wilgotnieć.

- Zużyłem się.

Newman przytaknął.

- W to wierzę.

- Mogę wstać?

Newman wskazał krzesło naprzeciwko bujanego fotela. Uśmiechał się, gdy Beck podniósł się z podłogi, poprawiał ubranie, a potem siadał na krześle.

- Jak do tego doszło?

Beck wzruszył ramionami.

- Chyba za długo prowadziłem wojny innych ludzi. Zbyt wielu przyjaciół pogrzeba-

nych w anonimowych grobach, w jakichś niedostępnych miejscach. Zbyt wiele wspomnień o ich bólu. Zbyt wiele ciał, krwi. Wszystkiego zbyt wiele.

- Wzruszające - stwierdził Newman, tłumiąc śmiech. - Już to widzę. Wrażliwy pułkownik, och, przepraszam, generał, rozpaczający nad stratą swoich ludzi. Odczuwający ich ból, przeżywający ich koszmary. - Zamilkł na chwilę, a jego twarz przybrała poważny wyraz. - Zabawne, ale jakoś nie mogę sobie przypomnieć, żebym cię spotkał w którejś z moich cel więziennych.

- Próbowałem cię wyciągnąć - wtrącił cicho Beck.

Newman zignorował jego słowa.

- A ja cię szukałem, wiesz? Kiedy zaczęli przesłuchania...? Nachylił się w stronę Becka. - Zaczynali przesłuchania, a ja cię szukałem. Przykładali mi elektrody do jąder, a ja cię szukałem. Wbijali w żyły jakieś igły nie wiadomo z czym, a ja cię szukałem. Przywiązywali rozpalone przedmioty do moich stóp, a ja cię szukałem. - Umilkł, jakby pograżony we wspomnieniach. - Żyrandol, a ja cię szukałem. - Znow przerwał, a po chwili powiedział, głosem niskim i groźnym: - Boże, jak bardzo chciałem, żebyś dzielił to wszystko ze mną!

Beck drżał nieznacznie.

- Nie rozumiem - masował sobie kark. - Żyrandol?

Twarz Newmana rozjaśniła się.

- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz? Że tego nie było w raportach albo dokumentach, które otrzymałeś od naszych nowych ukochanych przyjaciół, Rosjan? - Uśmiechnął się, stając przed Beckiem. - No cóż, pozwól w takim razie, że złożę ci pełne sprawozdanie.

- Nie musisz - stwierdził ponuro Beck, któremu zaczął drgać policzek.

- Ależ muszę! Oczywiście, że muszę! Jaki byłby ze mnie ołowiany żołnierz, gdybym tego nie zrobił?

Newman zaczął rozglądać się po pokoju, w końcu dostrzegł to, o co mu chodziło. Podszedł do zasłon i oderwał długi sznur. Ponownie zbliżył się do Becka, zawiązując na obu końcach supły.

- To taka ciekawa gra. Ci, którzy mnie przesłuchiwali, lubili ją stosować, ilekroć uważali, że nie jestem należycie skoncentrowany. - Trzymał sznur za oba końce, stojąc przed Beckiem. - Wstań - nakazał uprzejmie.

- Proszę, nie - Beck bronił się przestraszonym, niemal dziecięcym głosem.

- Wstań.

Beck podniósł się powoli.

Newman otoczył go ramieniem i zaprowadził na środek pokoju.

- Najpierw przerzucali linę przez hak od żyrandola. - zarzucił lekko sznur na nagi hak w suficie, który zainstalował kilka dni wcześniej. - Następnie obwiązywali mi prawy nadgarstek... o tak... i lewą kostkę. - Wsunął sobie pistolet za pasek i podał luźny koniec sznura Beckowi. - Gdyby pan zechciał, generale.

Newman stał na prawej nodze, lewą, zgiąwszy, podniósł z tyłu do góry.

Beck chwiał się niepewnie, jakby nogi miały mu lada moment odmówić posłuszeń-

stwa.

- No dalej, generale! To twoja wielka szansa. Będę całkowicie zdany na twoją łaskę!
- Uśmiechnął się, ale w tym grymasie nie było cienia serdeczności. - ZRÓB TO!! -
rozkazał.

Beck ujął powoli sznur i drżącymi dłońmi związał uniesioną lewą kostkę Newmana z jego prawym nadgarstkiem.

- Dobrze. Teraz zaciśnij. - Newman zdawał się całkowicie swobodny. - Trzeba się trochę napracować, ale sądzę, że zrozumiesz, na czym to polega. Długo nie wytrzymam w tej pozycji, moja stopa opadnie, co może się skończyć wyłamaniem barku. Wlepił w Becka wzrok. - Jestem zdany na twoją łaskę, generale.

Beck się nie poruszył.

- Tak samo było u naszych nowych przyjaciół, Rosjan - dokończył zimno Newman. - Nic nie mogę zrobić. Jestem całkowicie zależny od ciebie. Możesz tak sobie stać i czekać, aż moje nogi nie wytrzymają, a potem patrzeć, jak przez chwilę się kołyszę. Albo możesz powiadomić myśliwych, kazać im tu przybyć, związać mnie i zabrać.

Beck drżał teraz na całym ciele. Zrobił krok w stronę drzwi, zatrzymał się. Zrobił krok w stronę Newmana, zatrzymał się. Pot plamił mu koszulę, kapał na dywan i piekł w oczy.

- No dalej, Alex! To twoja wielka szansa! Zadzwoń! A może wolałbyś odzyskać swój ą potężną spluwę i zabić mnie własnoręcznie? - spytał po chwili milczenia Newman.

Beck, który cały czas wpatrywał się w podłogę, podniósł gwałtownie głowę.

- Co?

- Śmiało - prowokował go Newman kuszącym szeptem. - Zrób to. Niech mój mózg zachłapie ten ładny niebieski dywan. Niech moje wnętrzności wymalują wzór na ścianach. No dalej, bądź niegrzecznym chłopcem. Bądź kumplem. - Umilkł. - Bądź bohaterem! - dodał po chwili.

Beck przestał nagle drżeć. Wyprostował się, odetchnął kilka razy głęboko, z wysiłkiem, i zrobił krok w stronę Newmana.

- Dobrze - zachęcał go Newman. - Jeszcze tylko kilkadziesiąt centymetrów.

Beck zaczął wysuwać rękę po broń. Potem ujął pistolet obiema dłońmi.

Palce miał mokre od potu. Usta otwierały mu się i zamykały spazmatycznie.

Łapał powietrze jak ryba, oczy zachodziły mgłą.

- W porządku, Alex - powiedział Newman uspokajającym tonem. - W porządku, stary.

Beck przygarbił się. W chwilę później rozwiązał supeł wokół jego kostki.

Newman ani na chwilę nie oderwał oczu od zdruzgotanego człowieka. Rozluźnił powoli pętle wokół nadgarstka.

- Posłuchaj, Alex, gdy dzisiejszy wieczór dobiegnie końca, już się więcej nie zobaczymy.

- Tak.

- Musisz o czymś wiedzieć, zanim posuniemy się dalej.

- O czym?

Beck wyglądał tak, jakby nie spał od wieków.

Newman położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie ponosisz winy za moje istnienie - odparł po chwili milczenia.

Obaj mężczyźni nie odzywali się przez długi czas. W końcu Beck przemógł się.

- Dziękuję - powiedział słabym głosem.

Newman wykrzywił usta w przyjacielskim uśmiechu.

Po czym podał sznur generałowi.

- Zaczniemy?

Beck spojrzął na sznur, wziął go i powoli obwiązał sobie nadgarstek.

Rozdział jedenasty

Był niemal ranek.

Głęboki granat nocnego nieba, ustępując z wolna ciemnej szarości, nie mógł już długo powstrzymać nieuniknionego brzasku.

Bez względu na to, jak bardzo Beck tego pragnął.

Siedział na jednym z bujanych foteli, masując delikatnie obolałą nogę, ale bardziej dokuczalo mu zranione ego. Nie był poważnie kontuzjowany, w każdym razie nie w sensie fizycznym. Nie miał połamanych kości ani widocznych siniaków. Odniósł natomiast głęboką ranę, która sięgała owego tajemnego miejsca, gdzie ludzie zazdrośnie skrywają swoją jaźń.

Ból, jaki odczuwał, nie miał imienia!

Trwał od niemal pięciu godzin. Bezlitosny. Nieubłagany. Starannie obmyślane techniki zagwarantowały osiągnięcie pożądaných rezultatów. Wykluczyły kłamstwa.

Na nic się zdały wyuczone mechanizmy obronne i wymyślone ad hoc sztuczki.

Newman sporo się nauczył od swoich rosyjskich pedagogów.

Beck zdradził mu tę niewielką część prawdy, jaką znał. Dlaczego nie? Ten człowiek miał do tego prawo. I tak by się w końcu dowiedział.

Nie mogło być inaczej.

Beck zaczął traktować Newmana tak, jak o nim w głębi duszy myślał. Jako siłę natury. Ludzkiego Lewiatana, zdolnego do wszystkiego, w każdym miejscu i o każdym czasie. Jako wszechmocnego Übermenscha, Nadczłowieka ze snów Nietzschego i koszmarów, które dręczą filozofów.

Dość szybko powiedział Newmanowi o teorii wysuniętej przez Patrycję - przynajmniej na ile zdołał ją zrozumieć. Powiedział mu także o tezie wysuniętej przez Jacka

Clemente. Do diabła, zdradził mu nawet hipotezę Monta o nienawiści wobec lekarzy.

Ale nie wspomniał o Kapfie.

Dlaczego? Nawet teraz nie bardzo wiedział.

Ale trwał przy swoim z uporem ostrygi skrywającej perłę. Perłę, której nie chciał Newmanowi pokazać.

Tamten był ostrożny, a przynajmniej tak ostrożny jak oprawca ze swoją ofiarą. Mógł naciskać mocniej, zadawać silniejszy ból fizyczny, ale celowo się od tego powstrzymywał.

Wydawało się, że nawet w tej chwili, gdy już zniknęły wszelkie bariery, gdy cała ta idiotyczna przyjaźń, jaka kiedyś między nimi istniała, rozplynęła się gdzieś w odmętach życia i upływających latach - że nawet teraz Newman nie chce zadawać Beckowi prawdziwych tortur.

Zbyt wiele między nimi zaszło.

Mógł jednak pytać.

I mógł żądać odpowiedzi.

Pytał o poszukiwaczy. Kto nimi dowodzi? Co to za człowiek? Gdzie znajduje się ich baza? Ilu, gdzie, kiedy...I nieodmiennie powracał do głównego zagadnienia.

Dlaczego?

Odpowiedź Becka zawsze była taka sama.

„Rozkaz z góry.”

Beck oczekiwał, że to rozwścieczy Newmana, doprowadzi go do emocjonalnej i fizycznej furii, która zakończy to przesłuchanie - może na zawsze, dzięki Bogu.

Ale reakcja Newmana też była za każdym razem identyczna.

„Od kogo? Na czyje polecenie? Co wiedzą? Dlaczego?”

Potem zaczęli od nowa. Odpowiedzi płynęły, niczym gęstniejąca krew z otwartej rany: wolniej, coraz wolniej, ale uparcie i bez widocznego końca.

Patrycja - ewolucja; Clemente - choroba; Mont - neuroza.

A w umyśle Becka panował chaos.

Nie mów mu o Kapfie! Nigdy o Kapfie! Nie rozmawiaj o Kapfie! Powstrzymaj się! Ocal coś! Pokonaj go w jakiś sposób! Musisz wygrać. Tylko jeden raz.

Musisz coś mieć, cokolwiek...O Boże! Mój Boże! Gdzie jesteś?! Tutaj! PROSZĘ! Nie. Nie. Nie wolno ci wzywać Boga! Nie! Mógłby zauważyć. Nie pozwól mu dostrzec! Nie pozwól mu się dowiedzieć...DO DIABŁA! OCAL MNIE!

Potem wszystko się skończyło.

Newman pomógł mu położyć się na łóżku, delikatnie opatrzył nadgarstek i kostkę, otarte i oparzone od sznura. Poszedł do łazienki i przyniósł zimny, wilgotny ręcznik. Trochę chłodnej wody, by sprawić ulgę wysuszonemu gardłu.

- Każę przysłać na górę kubełek lodu na ramię - Newman wykazywał niezwykłą troskliwość. - Może mają też jakiś balsam czy coś w tym rodzaju. - Ruszył ku drzwiom, ale po chwili się zatrzymał. - Jeśli opuścisz ten pokój wcześniej niż za trzy godziny, będziesz

martwy. Jak odsiedzisz swoje, możesz robić, co chcesz, nie obchodzi mnie to. - Wydawało się, że patrzy z uwagą na byłego opiekuna. - Interesujący z ciebie człowiek, generale. Interesujący. To wstyd, że nie wiesz, co się dzieje.

- Wiem - mruknął Beck.

- Co powiedziałeś?

- Że wiem.

- Naprawdę?

Newman podszedł bliżej i spojrzał na niego okiem chirurga.

Położenie szczęki. Zacięty wyraz twarzy. Oczy, czerwone z wyczerpania i bólu, wpatrują się w Newmana ze strachem - nie przed umieraniem czy torturami, ale przed czymś

zupełnie innym. Był to głęboki, rozdzierający duszę strach, jaki odczuwa wróżbita, dostrzegając w szklanej kuli śmierć - nie swoją własną, ale setek, tysięcy, milionów. Wszystkich ludzi.

Obaj mężczyźni patrzyli na siebie przez długą chwilę. W końcu Newman ponownie nacisnął klamkę.

- Dobrze. Ale cokolwiek zamierzasz robić, rób to w swoim imieniu, okej? - roześmiał się. - To drugie nazwisko jest zbyt kłopotliwe.

Wyszedł z pokoju, śmiejąc się cicho do siebie.

Beck wyprostował się na fotelu. Zaczął powoli rozpinąć koszulę. Potem zdjął ostrożnie buty i skarpetki. Pięć minut później był już nagi, a jego ubranie leżało na łóżku, złożone po wojskowemu w kostkę.

- Żyłem o jeden dzień za długo - mruknął, wchodząc do łazienki. W chwilę później rozległ się szum prysznic. - O dzień za długo.

Na drugim krańcu Monachium, na lotnisku Fürstenfeldbruck, w umyśle pewnego człowieka rozbrzmiewały niczym echo podobne słowa.

Zbyt długo - myślał Rujnow, czekając, aż samolot zatrzyma się na pasie startowym. - Jest na wolności już zbyt długo.

Podróż samolotem bezpośrednio z Petersburga, i to w burzowej pogodzie, wprawiła byłego dowódcę ośrodka odosobnienia w zły humor. A może chodziło o polecenia, jakie otrzymał. W każdym razie doszedł do wniosku, że należy mu się sowita zapłata.

Wedle najlepszych tradycji specnazu, w którym z dumą służył, nim zesłano go w syberyjską głąsę, Rujnow, stojąc w nieskończenie długiej kolejce do odprawy celnej, zachowywał kamienny wyraz twarzy. Nie było to trudne, gdyż błędził myślami gdzie indziej.

Wieść o ucieczce Newmana postawiła na nogi tych nielicznych rezydentów rosyjskiego wywiadu w Niemczech, którzy znali sprawę.

Ci, którzy niemal siedem lat wcześniej próbowali go aresztować, pili za sukces pościgu.

Ci, którzy go niegdyś przesłuchiwali, widzieli w tym zemstę Opatrzności na Amerykanach, odpowiedzialnych za stworzenie tego człowieka.

A ci, którzy go uwięzili, ludzie tacy jak pułkownik Rujnow i strażnicy z ośrodka odosobnienia 6210, modlili się w zaciszu domowym albo klęczeli w kościele, błagając Boga,

by został złapany, nim... albo wsiadali do samolotu i lecieli przez burzę do Monachium.

Czterdzieści minut później Rujnow przeszedł bez kłopotu przez odprawę celną. Poszukał w hali przylotów człowieka, który miał się z nim skontaktować, rozpoznał go po umówionym sygnale i zbliżył się do niego.

- Wszystko gotowe? - spytał przyciszonym głosem.

- Tak, o ile mogę opierać się na dostępnych informacjach - odparł wysoki mężczyzna, ten sam, który wcześniej spotkał się z Tabbartem.

Wsiedli do mikrobusu marki Volkswagen, który zgodnie z monachijskim obyczajem parkował przednimi kołami na chodniku.

- Widziano go gdzieś?

- Nie.
- Jakież ślady?
- Żadnych.

Rujnow analizował w myślach każdą możliwość.

- Czy Amerykanie wciąż uważają, że nadal przebywa w Niemczech?

Wysoki wyjechał na autostradę łączącą miasto z lotniskiem i przyspieszył do stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

- Wydaje się, że nie są co do tego zgodni. Dowódca oddziału poszukiwawczego za radą jednego z lekarzy przydzielonych do jednostki, poprosił o zgodę na wzmocnienie poszukiwań w promieniu siedemdziesięciu pięciu kilometrów od instytutu. Wyższe dowództwo uważa jednak, że nasz człowiek zdążył już opuścić Niemcy.

Rujnow zastanawiał się.

- A co mówią nasi eksperci?

Wysoki uśmiechnął się.

- Dowiemy się podczas śniadania, pułkowniku. Obiecuję panu. - Wyczuwał narastający niepokój Rujnowa. - Proszę się nie martwić. Jeśli wciąż tu jest, znajdziemy go specjalnie dla pana.

Rujnow skinął głową i przez boczną szybę wozu patrzył na drogę.

Wysoki prowadził, zerkając czasem na pułkownika. W końcu spytał:

- Co ten drań takiego zrobił, że ugania się za nim sam pułkownik z dowództwa bezpieczeństwa okręgu północnego?

Rujnow wciąż patrzył przez okno.

- Jeszcze nic - mruknął. - Mam nadzieję.

W godzinę po wschodzie słońca podobne myśli zaprzętały kilku ludzi w niemal opustoszałym centrum dowodzenia poszukiwaniami.

Przygotowując się z wolna do nowego dnia, krążyli niemal jak w malignie.

Pracowali nieprzerwanie od trzydziestu pięciu dni. Podążali każdym tropem i sprawdzali każdą ewentualność, bez względu na to, jak nieprawdopodobna się wydawała, ale nigdzie nie natknęli się chociażby na ślad ściganej zwierzyny. Nigdy przedtem ów elitarny oddział nie spotkał się z podobną sytuacją. Przez cały czas spoglądała na nich z góry powiększona twarz Newmana, na której, jak się zdawało, widniała nieskrywana satysfakcja.

Tabbart zaszedł do stodoły i przywitał się z paru osobami z rannej zmiany.

Uśmiechał się i przyjął proponowaną filiżankę kawy. Rozmawiał chwilę o pogodzie. W końcu podszedł do „całonocnego biurka” - centrum komunikacyjnego, przez które przechodziły wszystkie raporty i doniesienia z poprzedniej nocy.

- Dzień dobry, sierzancie - zagadnął profesjonalnie przyjacielskim tonem. - Jak się pan miewa w ten piękny poranek?

- A skąd mam wiedzieć? To pan jest doktorkiem.

Tabbart roześmiał się, choć nienawidził tego słowa.

- Nie wygląda pan gorzej niż inni - zauważył łagodnie.

Sierzant uśmiechnął się.

- Tak źle?

Tabbart wzruszył ramionami.

- Nasz kłopotliwy wychowanek nie daje wam odetchnąć, co?
- Jakby zniknęła z powierzchni planety - stwierdził znużonym tonem sierżant. - Jeszcze nie widziałem czegoś takiego. - Potarł powieki. - To cholernie stresujące!

Podsunał Tabbartowi krzesło.

- Wie pan, może dobrze by panu zrobiło, gdyby pan z kimś o tym pogadał. Wspominałem kapitanowi Kilgore, że moi podwładni pozostają do waszej dyspozycji i zawsze chętnie pomogą.

Sierżant machnął ręką.

- A kto ma na to czas? Pracujemy w systemie szesnastu godzin na osiem. Akurat wystarcza, żeby zjeść i trochę się przespać. - Po chwili dodał: - Jeśli nie musimy akurat sprawdzać fałszywego tropu!

- To rzeczywiście musi być stresujące - Tabbart zachowywał się jak rasowy psychiatra podczas sesji terapeutycznej z pacjentem.

Młody człowiek roześmiał się.

- I to jeszcze jak.

Tym razem Tabbart rozejrzał się wkoło, po czym przysunął się z krzesłem bliżej swego rozmówcy.

- Gdyby miał pan ochotę porozmawiać...
- Nie sądzę, sir - odparł pospiesznie sierżant. - Bez obrazy, ale bezpieczeństwo jest najważniejsze.

Tym razem Tabbart uśmiechnął się jak cierpliwy rodzic.

- Oczywiście. Tak powinno być - ciągnął swoim łagodnym głosem. - Ale proszę się nie obawiać, mam odpowiednie upoważnienie. Wielu z moich starszych pracowników też je posiada. To konieczne przy pracy, jaką instytut wykonuje dla pańskiego rządu.

Wyciągnął plastikową kartę z wypukłym nadrukiem i pokazał sierżantowi.

Żołnierz obejrzał ją dokładnie.

- Nie wiedziałem - przyznał. Widać było, że jest zaskoczony.
- A więc - naciskał Tabbart - gdyby zrzucenie z siebie tego ciężaru miało panu ulżyć... - uśmiechnął się po ojcowsku -... to z wielką przyjemnością pana wysłucham.

Młody człowiek rozejrzał się po wnętrzu stodoły, w którym z każdą chwilą przybywało ludzi. Potrząsnął głową.

- Nie wiem - stwierdził niepewnie. - Gdyby inni się o tym dowiedzieli...

Tabbart wstał i poklepał go po plecach.

- Doskonale rozumiem - przyznał gładko. - Kiedy kończy się pańska zmiana? Za piętnaście minut?

Sierżant przytaknął.

Tabbart przybrał poważny wyraz twarzy.

- Myślę, że gdyby zechciał pan przejść się po świeżym powietrzu, jak już skończy się pańska zmiana, i gdybyśmy przypadkiem się spotkali, powiedzmy niedaleko trawnika, i przeszli się kawałek razem, nie byłoby w tym nic złego, prawda?

Sierżant rozchmurzył się.

- Chyba nie.

- Dwaj znajomi na spacerze, w brzasku poranka, spędzający miło czas. Czyż jest coś bardziej...lecniczego? - mrugnął do sierżanta, który przerzucał papiery na biurku.

- Jestem teraz trochę zajęty, doktorze. Muszę to wszystko uporządkować przed końcem mojej zmiany.

Tabbart skłonił się lekko.

- Oczywiście. Przepraszam, że panu przerwałem. - Popatrzył na rój ludzi kręcących się po pomieszczeniu dowództwa akcji. - Pospaceruję sobie tymczasem.

Oddalił się powoli, przystając i zamieniając kilka słów z różnymi ludźmi, którzy rozpoczynali swoją zmianę.

Sierżant odprowadził go wzrokiem, potem wrócił do swojej roboty.

- Mimo wszystko ten facet nie jest takim znowu dupkiem - mruknął, podnosząc słuchawkę telefonu, który właśnie zadzwonił.

Dwie godziny później, w niewielkiej kawiarence w Reisch, Tabbart zasiadł naprzeciwko Wysokiego i Rujnowa.

- Chciałbym, Magdalena, przedstawić ci mojego partnera z Moskwy, Sergieja Jowa - powiedział cicho Wysoki. Zwrócił się z kolei do Rujnowa. - Sergiej, mam przyjemność zapoznać cię z naszym najwierniejszym pracownikiem, Magdaleną.

Rujnow uścisnął ponad stołem dłoń Tabbarta.

- Doktorze – powiedział przyciszonym głosem, ale z głębokim szacunkiem. - To dla mnie niezwykle honor spotkać człowieka odznaczającego się taką odwagą, hartem ducha, inteligencją i wiernością.

Tabbart promieniał.

- Wie pan - ciągnął Rujnow - od dawna podziwiam pańską pracę i czuję się osobiście zaszczycony, że zgodził się pan spotkać ze mną w tak krótkim czasie.

Tabbart skwitował komplement machnięciem ręki.

- Proszę, Herr Jow. To ja czuję się zaszczycony, że mogę służyć pomocą.

Ten człowiek był dokładnie taki, jak przedstawiały go akta i słowa Wysokiego. Szczere zaangażowany, zarozumiały, służalczy.

- Nie chcę być niegrzeczny, ale może by pan od razu naświetlił aktualną sytuację, że się tak wyrażę - stwierdził Rujnow, nachylając się nad stołem.

Tabbart skwapliwie się z nim zgodził.

- Oczywiście. Sam zajmuję ważne stanowisko i zdaję sobie doskonale sprawę, jakie

żądania musi pan spełniać - nadął się jak żaba.

Rujnow uśmiechnął się, tłumiąc w sobie chęć, by go uderzyć.

- Dziękuję za zrozumienie.

- Drobnostka. A teraz przejdźmy do sprawy. - Rozejrzał się uważnie po opustoszałej kawiarni. - Uzyskałem właśnie pewne zaktualizowane informacje od zespołu poszukiwawczego.

Rujnow zwrócił się do Wysokiego.

- Jest dokładnie taki, jak go opisywano albo jeszcze gorszy - szepnął Rujnow do Wysokiego. Zdumiewające, ale nie czuł obrzydzenia.

- Proszę, mów dalej, Magdalena - poprosił tamten.

Tabbart wyciągnął niewielki notesik i co pewien czas do niego zaglądał.

Rujnow niemal podskoczył na krześle. Agentowi nie wolno było pod żadnym pozorem nosić przy sobie jakichkolwiek notatek. Ale potrzebował tego człowieka i nie mógł go strofować.

Przynajmniej na razie.

- Od czasu mojego ostatniego raportu zaszły trzy ważne zmiany. - Przerwał na chwilę. - Otrzymałście moje meldunki, czy też mam je zreasumować?

- Proszę mówić, doktorze. Pańskie wcześniejsze raporty były wyczerpujące i jasne.

Tabbart pokraśniał z zadowolenia.

- Jak pan sobie życzy. - Zajrzał do notatek. - Pierwsza sprawa. Oddział poszukiwawczy otrzymał rozkaz przedstawienia w ciągu najbliższych siedemdziesięciu dwu godzin konkretnych wyników. W przeciwnym razie zostanie odesłany do koszar.

- Naprawdę?

- Tak. Żołnierze są bardzo sfrustrowani. Z tego, co wiem, po raz pierwszy nie udało im się dopaść ściganej zwierzyny. Traktują to bardzo osobiście.

- Proszę mi wybaczyć, że panu przerywam, doktorze...

- Nic nie szkodzi. Nie musi się pan krępować, może pan prosić o wyjaśnienie wszelkich szczegółów, jakie tylko pana interesują, Herr Jow. W końcu jestem ekspertem.

Rujnow uśmiechnął się.

- Zdaję sobie z tego sprawę, doktorze. - Po chwili spytał: - Dlaczego, według pana, nie są w stanie złapać tego człowieka?

Tabbart namyślał się nad odpowiedzią.

- Sądzę, że przyczyną jest sztywność struktury ich dowództwa. Sytuacja ulega bezustannie zmianie, a oni nie potrafią za nią nadążyć. Mając do czynienia z psychopatą, którego działania są pozbawione logiki i planowania, stoją na straconej pozycji.

Rujnow przytaknął, najwyraźniej poruszony. Doszedł jednak do wniosku, że nie ma sensu prosić Tabbarta o wyrażanie opinii.

- Proszę kontynuować - powiedział z uśmiechem.

- Druga sprawa jest jeszcze dziwniejsza. Jeden z moich starszych pracowników, Otto Kapf, przekonał jakoś dowódcę oddziału, by wycofał ludzi z dalszych terenów i skoncentrował się na wioskach i miejscowościach w bezpośrednim sąsiedztwie instytutu. Wmówił sobie, że Newman, przepraszam, nasz człowiek, przywiązał się do tego miejsca jak łoś do swojego łowiska i że należy go szukać w pobliżu.

Na twarzy Tabbarta malowała się nieklamana niechęć.

Rujnow zastanawiał się. Akta Kapfa wywarły na nim wrażenie. Człowiek ten był znany z konserwatyzmu, dokładności i wnikliwej intuicji. Pułkownik doskonale rozumiał, że wbrew temu, co twierdził ten głupiec Tabbart, teorię Kapfa należy starannie rozważyć.

- A ta trzecia rzecz...czy nie wspominam o niej przedwcześnie, doktorze?
- Ach tak. Trzecia sprawa. Człowiek pełniący nominalne dowództwo nad poszukiwaniami zniknął.

- Generał Beck?
- Ten sam.
- Proszę mówić, doktorze. Słucham pana z największą uwagą - Rujnow ujrzał w myślach twarz człowieka, którego akta przestudiował dokładnie podczas lotu z Rosji. Człowieka tak podobnego do niego samego - wojownika, któremu od dawna nie pozwalano uczestniczyć w bitwie. Doświadczonego zabójcę, którego jedynym celem, pragnieniem, przedmiotem modlitw był kres ludzkiej plagi. Kres Briana Newmana.

Próbował się skupić na tym, co mówił Tabbart.

- Generał miał dziś o czwartej rano przekazać tajnym kanałem wiadomości do Waszyngtonu. Kiedy nie zjawił się na czas, wezwano kapitana Kilgore'a, dowódcę oddziału. Rozkazał sprowadzić generała do stanowiska dowodzenia, ale ludzie, których po niego wysłał, nie zastali go w mieszkaniu. Łóżko było pościelone.

- Coś takiego - odezwał się wysoki mężczyzna, po raz pierwszy naprawdę poruszony słowami Tabbarta.

- Tak - ciągnął doktor. - Nie powiadomili jeszcze Waszyngtonu, ale zaczęli poszukiwania.

- Wyszukają jakieś hipotezy? - naciskał Rujnow. Sam szukał w myślach odpowiedzi. Tabbart wzruszył ramionami.

- Jeśli tak, to na razie zachowują je wyłącznie dla siebie. Będę ich jednak sondował. - Umilkł, a po chwili dodał: - Oczywiście mam w tej sprawie własne zdanie.

Zdawało się, że czeka na zachętę.

- Proszę mówić, doktorze. Będę wdzięczny za każdą pomoc, jaką pan zechce okazać. W rzeczywistości Rujnow w ogóle go nie słuchał.

Tabbart udał głębokie zamyślenie.

- Miałem okazję obserwować generała z bardzo bliska przez wiele miesięcy. Doszedłem do kilku wniosków. Charakteryzuje go poczucie niższości, brak mu wewnętrznej dyscypliny, często przesadnie reaguje na najmniejszy nawet przejaw krytyki. - Przerwał na chwilę. Twierdzą, że sytuacja go przerosła. Pewnie pije gdzieś na umór. Znajdą go nieprzytomnego w jakimś rynsztoku.

Rujnow milczał długą chwilę. Wysoki mężczyzna nadal przepytывał doktora, ale pułkownik wiedział, że Tabbart nie ma już nic ciekawego do powiedzenia, i skupił się na czymś innym.

Jego myśli krążyły wokół Kapfa, Becka i jak zawsze Newmana.

Ten zaś, ukryty w swoim sklepie, zaledwie jakieś pół godziny drogi od kawiarni, rozkładał właśnie poranne sprawunki: paczkę kawy, kielbaski, dwie gazety, trochę taśmy klejącej i trzydzieści kolorowych pisaków. Otworzył pojemnik z kawą, ugryzł kawałek kielbasy i zabrał się do pracy.

Brał szpalty gazety i powoli, starannie, zaklejał nimi okna. Pracował przez dwadzieścia minut, kilkakrotnie wychodząc na ulicę, by się upewnić, że nikt nie będzie mógł zajrzeć do środka. Wreszcie, zadowolony, rozłożył na niewielkim stoliku kolorowe pisaki i spojrzął na ściany.

Jedyną pomoc w tym, co robił, stanowiła jego własna pamięć i kilka książek, które specjalnie kupił. Po półgodzinie obwiązał sobie czoło przepaską, by ochronić oczy przed potem.

Najpierw posługiwał się ołówkiem - tworzył starannie zarys dzieła, wycierał gumką, ustalił odpowiednie wymiary. Na ścianie zaczął się z wolna ukazywać czytelny obraz. Potem przyszła kolej na pisaki.

Dobierając z największą starannością właściwe kolory, różnicował odcienie, bawił się perspektywą i konturami, zmieniał zarysy, by znaleźć dla swej wizji odpowiedni wyraz. Eksperymentował - przyciemniał, rozjaśniał, nakładał na siebie poszczególne kolory, cały czas mając na uwadze końcowy efekt.

Przed nastaniem ranka było jasne, że będzie potrzebował jeszcze wielu godzin, by dokończyć dzieła.

Wiedział, że zajmie mu to większość dnia, może nawet przeciągnie się do nocy. Powinien co najmniej jeszcze raz wybrać się do sklepu papierniczego po świeży zapas pisaków. Ale nie mógł przerwać pracy przed jej ukończeniem.

Dzieło stanowiło zbyt ważną część Wielkiego Planu.

Na przeciwległym krańcu miasta, na diabelskim placu zabaw, pojawił się Ghislain, łamiąc tym samym odwieczny zwyczaj, wedle którego nie wypadało pokazywać się tam przed trzecią po południu. Wprowadził mercedesa do garażu i włączył alarm. Potem ruszył powoli w stronę alejki na tyłach klubu. Kiedy się tam znalazł, znieruchomiał.

Nie wiedział właściwie, dlaczego tak się zachowuje, nie miał przecież powodu, ale sam fakt, że stał w tym samym miejscu, gdzie po raz ostami widział Apollyona, przyprawił go o dreszcz. Rozejrzał się wkoło, nie patrząc jednak w górę, wzdłuż drabinki pożarowej. Kiedy już się upewnił, że alejka jest pusta, wszedł do klubu bocznymi drzwiami.

Najpierw zajrzał do swojego biura.

Otworzył kredens i przewinął taśmę z kamer wideo ukrytych na schodach.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu, a potem patrzył na sylwetki dziewcząt i ich klientów, pędzące w zawrotnym tempie po schodach, w górę i w dół. Kamera dokładnie rejestrowała czas.

Zjął wieczko z plastikowego kubka kawy i zaczął pić, gdy nagle jego uwagę przykuła jakaś przemykająca w pośpiechu postać. Zatrzymał taśmę i przewinął ją cło tyłu w zwolnionym tempie.

Czas: piąta dwadzieścia trzy - Apollyon schodzi beztrąsko po schodach, całkowicie nieświadomy faktu, że jest filmowany.

Ten człowiek przebywał w pokoju z drugim mężczyzną przez ponad cztery godziny! Ghislain, póki co, nie myślał o całym tym bałaganie, jaki czekał na niego na strychu. Rozsiadł się wygodnie, by przed zrobieniem porządków dokończyć kawę.

Nagle zerwał się z miejsca, oblewając sobie kolana i koszulę.

Czas: piąta dwadzieścia pięć - Apollyon, który wynurzył się znikąd, nachyla się w stronę ukrytej kamery, przygląda się bacznie, a potem z uśmiechem macha ręką. Wielka dłoń przez trzydzieści sekund zasłania obiektyw, potem znów wszystko dokładnie widać.

Przeklinając się za niezdarność, próbując desperacko odzyskać spokój i zapanować nad oszalałym sercem, Ghislain przebrał się w dres, który trzymał w biurze. Potem, nie zważając na tępy ból w skroniach, wyszedł i ruszył schodami na górę.

W połowie pierwszego piętra przystanął. Na jednym z lustrzanych paneli ściennych, dokładnie tam, gdzie znajdował się obiektyw niewidocznej kamery, ktoś namalował duże kółko, po bokach zaś wielkie strzałki, skierowane do środka.

A nad tym wszystkim widniało napisane po niemiecku, francusku i angielsku jedno słowo - KAMERA!

Ghislain otarł pot z czoła, połknął kilka pastylek uspokajających i wspinał się dalej.

Stanął pod drzwiami strychu, wziął głęboki oddech, ujął klamkę i otworzył drzwi.

W ciągu tego czasu, kiedy wynajmował pokój na strychu, widział już niejedno. Pokrwawione ciała, martwe zwierzęta, w jakiś sposób należały jednak do ustalonego porządku rzeczy. Tymczasem w scenie roztaczającej się przed jego oczami było coś, co kazało mu przystanąć i zmówić po cichu modlitwę.

Na haku, który Apollyon, wbił w sufit, kołysał się mężczyzna. Człowiek, którego zwabił minionej nocy na strych, wisiał na sznurze od zasłon.

Był nieskazitelnie ubrany. Włosy miał przczesane i pokryte żelem. Musiał niedawno się golić i pachniał jak po kąpieli. Świeżo wyczyszczone buty lśniły.

Szeroko otwarte oczy patrzyły nie wprost, ale w górę, jakby w chwili śmierci ów człowiek spoglądał na linę. Głowa spoczywała na lewym ramieniu, ręce zwisały się luźno po bokach.

Pod paskiem od zegarka widniała zwinięta kartka.

Ghislain ostrożnie ją wyciągnął. Rozwinął papier i przeczytał trzy nabazgrane słowa.

Obowiązek. Honor. Ojczyzna.

Potrząsnął głową i schował kartkę do kieszeni.

W normalnej sytuacji podjąłby zwykłe czynności, ale Apollyon poinstruował dokładnie Ghislaina, co powinien zrobić, jeśli nad ranem odkryje martwe ciało.

Postawił przewrócony taboret, najwidoczniej pchnięty nogą przez samobójcę, podtrzymał ciało ramieniem i przeciął linę.

Następnie złożył zwłoki na podłodze.

Zdjął pętlę z szyi denata, przejrzał dokładnie jego kieszenie w poszukiwaniu innych notatek, a następnie rozebrał martwego mężczyznę do naga.

Ghislain nie był specjalnie zadowolony, wszystko to budziło w nim obrzydzenie, ale Apollyon domagał się, by tak właśnie postąpić.

A on nie zamierzał mu się przeciwstawiać... W każdym razie nie teraz.

Otworzył garderobę, wyjął z niej torbę - wiedział, że tam będzie - i ubrał ciało w rzeczy dostarczone przez Apollyona. Zgodnie z jego rozkazem zmienił martwemu bieliznę, zabrudzoną w ostatniej przedśmiertelnej chwili grozy.

Wszystko zajęło pół godziny.

Sprawdził, czy ma przy sobie zaklejoną kopertę, którą dostał od Apollyona, i wyciągnął telefon komórkowy, po czym szybko wystukał numer. Odezwano się po trzecim sygnale.

- Ghislain...Tak. Zamknij się i słuchaj. Mam coś specjalnego, rozumiesz...Tak. Strych...Nie...Powiedziałem: nie! Ten nie wylądował w rzece!...Wiem, ale jestem gotów zapłacić ekstra, okej?...Dobrze. A teraz słuchaj. Musisz...

W dwie godziny później, tuż po trzynastej, przed domem należącym do instytutu zatrzymał się służbowy samochód, własność rządu USA. Wysiadł z niego Kilgore, za nim Kapf. Rozejrzeli się, po czym ruszyli ścieżką prowadzącą od furtki do drzwi wejściowych.

- Nie kupuję tego, doktorze - mówił Kilgore, kontynuując rozmowę prowadzoną w samochodzie. - Nie zgadzam się z panem. - Po chwili milczenia dodał: - Robi pan z niego jakiegoś supermana. - Roześmiał się, pukając do drzwi. - Uwierzę, jak zobaczę na jego piersi duże, czerwone S.

Kapf nie wyglądał na skłonny do żartów.

- Nigdy nie nazywałem go supermanem. Użyłem określenia Nietzschego - Übermensch.

- To chyba to samo, prawda?

- Niezupełnie. Übermensch znaczy „nadczołowiek”. Poprawiona, doskonalsza postać człowieka, a nie nowy, inny twór. To nadal człowiek, choć jednocześnie ktoś, kto dzięki bezustannemu procesowi ewolucyjnemu jest zdolny niemal do wszystkiego.

Kilgore zapukał ponownie.

- To tylko niuanse znaczeniowe.

Z wnętrza domu nie dobiegła żadna odpowiedź, więc kapitan wyciągnął klucz i otworzył drzwi.

- Halo? Generał Beck? Sir? To ja, Kilgore! Halo? - Spojrzał na Kapfa. - Wciąż go nie ma.

Weszli do środka, zamykając za sobą drzwi.

Przemierzali hol i znaleźli się w salonie. Dom sprawiał wrażenie posprzątanego, czystego i całkowicie pustego.

- Niech pan posłucha - kiedy weszli do gabinetu Kilgore podjął przerwany wątek. - Nie przeczę, że z tego Newmana niezły spryciarz. Jak dotąd, nikomu nie udało się tak długo ukrywać przed moimi ludźmi, do diabła! Sądząc po jego aktach, jest utalentowany, dobrze wyszkolony i ma spore doświadczenie. - Zamilkł, przeglądając jakieś papiery na stoliku do kawy. Po chwili dodał: - Ale to wszystko.

Kapf, wchodząc do kuchni, odparł.

- Coś więcej, kapitanie. O wiele więcej. Odznacza się ilorazem inteligencji znacznie powyżej geniuszu. Bez trudu rozumuje na poziomie abstrakcji, do czego pan albo ja jesteśmy zdolni tylko za sprawą świadomego wysiłku i pracy. A to oznacza, że przeanalizował wszelkie możliwe warianty działania, że bezustannie poprawia i modyfikuje swoje plany.

Kilgore zajął do pełnej lodówki.

- Zgadzam się, że jest inteligentny. Zgadzam się, że to najbardziej fartowny sukisyn, jakiego kiedykolwiek ścigałem. Ale nie widzi na wylot, nie umie latać i o ile się orientuję, żeby go zabić, wystarczy jeden strzał w głowę.

Zajrzeli do pierwszej sypialni. Panował w niej porządek.

- Brian Newman jest człowiekiem - przyznał Kapf, gdy ruszyli dalej. - Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ale nie jest taki jak ja albo pan - stwierdził, kładąc dłoń na ramieniu Kilgore'a. Starał się znaleźć jakiś sposób, by wytłumaczyć oficerowi, o co mu chodzi. - Czy słyszał pan kiedykolwiek o Theodore Bundym, pańskim rodaku?

- Oczywiście.

- Niewykluczone, że w ciągu ośmiu lat zabił sześćdziesiąt osiem kobiet, a policja nawet się do niego nie zbliżyła. Nie pozostawiał żadnych śladów, które mogłyby pomóc w ustaleniu jego tożsamości, bez trudu wymykał się ogólnonarodowej obławie organizowanej przez FBI, cały czas prowadząc normalne życie.

Kilgore otworzył drzwi głównej sypialni.

- Ale w końcu go złapali. Umarł chyba na krześle elektrycznym.

Przeszli powoli przez część garderobianą, nie przerywając rozmowy.

- Tak - potwierdził Kapf. - Dokonali na nim egzekucji. Ale dopiero po ośmiu latach i sześćdziesięciu ośmiu zbrodniach.

Kilgore przystanął i obrócił się do starszego psychiatry.

- Twierdzi pan, że Newman przypomina Bundy'ego? - spytał śmiertelnie poważnym tonem.

Kapf skinął głową. Odsunęli zasłonę oddzielającą część garderobianą od sypialnej.

- Pod wieloma względami. Z jednym istotnym wyjątkiem.

- To znaczy?

Kapf wsunął głowę, obrzucając pomieszczenie szybkim spojrzeniem.

- Bundy był obłąkany. Newman nie jest.

Nagle zatrzymał wzrok na wielkim łóżku.

- Kapitanie Kilgore?

Kilgore, który zaglądał właśnie do szafy, odwrócił się w jego stronę.

- Tak, doktorze... - umilkł nagle.

Na łóżku, w pełnym umundurowaniu, starannie uczesany, błyszcząc wypolerowanymi guzikami, z dłońmi złożonymi w modlitewnym geście na piersi, leżał generał Alexander Beck.

Obaj mężczyźni stali nieruchomo, oniemiałi z wrażenia. Kilgore ocknął się pierwszy.

Szybko wyciągnął czterdziestkępiątkę, po czym bezgłośnie i zwinnie spenetrował sy-

pialnię. Kiedy stwierdził, że nikt się w niej nie ukrywa, ruszył w stronę pozostałej części domu.

- Niech pan tu zostanie - nakazał gorączkowym szeptem.

Kapf dał mu ręką znak, żeby robił, co chce.

- Nie ma go tutaj - mruknął, kiedy Kilgore znalazł się poza zasięgiem jego głosu. Potem, ze smutkiem na twarzy, podszedł do łóżka, sprawdził Beckowi puls, by potwierdzić to, co i tak było oczywiste, po czym przystąpił do pobieżnych oględzin denata. W okolicy gardła dostrzegł jakieś przemieszczenie, poruszył więc głową zmarłego. Wnioski nasuwały się same.

Kilgore wrócił pięć minut później i zastał Kapfa siedzącego na krześle i czytającego jakąś kartkę.

- Dom jest pusty i zamknięty na głucho - stwierdził, odkładając broń. Ponieważ Kapf nie słuchał go, zerknął na Becka.

- Może pan powiedzieć, co mu się stało?

Kapf podniósł na niego wzrok.

- Śmierć przez powieszenie. Nie umiem powiedzieć, czy zrobił to sam, czy ktoś go zamordował.

Powrócił do lektury.

Kilgore zacisnął i rozprostował palce. Podeszedł do doktora.

- Co to jest? - spytał, wskazując kartkę papieru.

Kapf, nie przerywając czytania, podał oficerowi kopertę.

- Miał to w dłoni.

Koperta była zaadresowana „Do moich wszystkich przyjaciół na brzegu”.

- Co tam jest napisane? - spytał Kilgore, sięgając po kartkę.

Kapf otrząsnął się, jakby wyrwany z zamyślenia.

- Przeczytam panu. „Panowie (i panie, jeśli takowe są obecne): powierzam wam szczątki generała brygady Alexandra Chamberlina Becka z Armii Stanów Zjednoczonych. Wierzę, iż kierowani poczuciem ludzkiej solidarności dopilnujecie, by miał pogrzeb wojskowy z wszelkimi honorami. Zapewniam was, że nań zasłużył, nie tylko wzorową służbą (do chwili, gdy ją przed paroma laty zakończył, ma się rozumieć), ale też dlatego, że umarł podczas pełnienia obowiązków - czyż może być wspanialszy kres żołnierskiego życia? Szczegóły dotyczące jego śmierci są nieistotne. Zakładam jednak, że to mnie będzie się obarczać odpowiedzialnością za to smutne wydarzenie. W powyższym stwierdzeniu zawiera się zarówno prawda, jak i nieprawda, ale trudno, przyjmuję to. Powinniście wiedzieć jedno - gdyż dowodzi to, jakim człowiekiem był niegdyś generał Beck. Spośród waszych ekspertów, zamroczonych psychiatrów, błyszczących aluminiowych żołnierzów, nudziarzy z różnych komisji, to on mnie znalazł. A teraz do rzeczy. Nie żywię szczególnej urazy do nikogo za przetrzymywanie mnie w zamknięciu i leczenie (takie, jakie ono było). Akceptuję wasze mgliste wyjaśnienia, że mieliście na względzie moje dobro itd. Nie ma to już znaczenia. Pragnę jedynie zamknąć pewną sprawę, a potem ruszyć dalej. Pozwólcie mi tylko zachować wynikający z miejsca moich narodzin, przywilej do obywatelstwa amerykańskiego, a przyrzekam, że wszystko skończy się dobrze. Będę żył swoim życiem i zostawię was w spokoju. Jeśli natomiast nie pozwolicie mi nawet na

to, a to przecież tak niewiele...Z poważaniem, Brian Newman”.

Kilgore wziął list i szybko przebiegł go wzrokiem.

- Zdaje się, że jestem winien panu przeprosiny, doktorze. On nadal przebywa w pobliżu.

Kapf podszedł do okna. Patrzył w milczeniu na ulicę za szybą. Kilgore podniósł słuchawkę telefonu.

Dochodziła dziewiąta wieczorem.

A tuż po dziewiątej Newman cofnął się o krok i otarł pot z twarzy, którą rozjaśnił uśmiech.

Rysunek był bardziej prymitywny, bardziej toporny, bardziej surowy, niż początkowo przewidywał. Ale mimo wszystko nie wydawał się taki zły. Pulsujące kolory, ostre kontury i żywy sposób obrazowania tworzyły dokładnie taki efekt, jaki miał nadzieję uzyskać.

Dotknął malowidła w kilku miejscach, by się upewnić, że jest suche, a następnie zakrył je, zawieszając na trzech wbitych u góry gwoździach prześcieradło. Potem usiadł, patrząc na jasnoszary materiał i wyobrażając sobie reakcje widzów po odsłonięciu dzieła.

Czy wywoła pożądany efekt? - zastanawiał się. - Czy sięga dostatecznie daleko? A może za daleko? Czy w przyszłości, po wielu latach, gdy studenci i profesorowie będą się spierać o jego ukryte znaczenie, ktoś z nich trafnie je zinterpretuje?

Wstał, umył się, założył ciemny dres i opuścił sklep.

Galeria została należycie przygotowana.

Nadszedł czas, by dostarczyć gościom zaproszenia.

Część czwarta

WIELKI PLAN

Rozdział dwunasty

Jesienna mgła owijała się wokół budynków Instytutu Volkera, zanurzając wszystko w szarobiałej wacie.

Podwojono strażę przy bramach, dokładnie sprawdzano przepustki; światło latarek wydobywało z mroku wnętrza nielicznych samochodów, które podjeżdżały do instytutu; co dwadzieścia minut zmieniano patrole. Strażnicy siedzieli przy monitorach, próbując przebić wzrokiem białą zasłonę, która spływała z góry. Inni, przebrani za sanitariuszy, penetrowali wnętrza budynków.

Od chwili, gdy odkryto ciało Becka, upłynęło dziesięć godzin - dziesięć godzin pośpiesznych spotkań, gorączkowych telefonów i nerwowych działań. Początkowy szok i przerażenie już minęły. Ludzie krążyli grupkami, zerkając nerwowo na boki.

Ostatnie zebranie zakończyło się fiaskiem - ustalono tylko jedno:

Brian Newman naprawdę przebywał gdzieś w pobliżu.

Konrad Edel chodził po dachu głównego budynku i przeklinając mgłę rozmieszczał swoich ludzi. Próbował się zorientować, co tak naprawdę zaszło.

Był obecny przy sekcji zwłok Becka. Odczuwał taką potrzebę, niemal przymus.

Wynik nie zaskoczył nikogo. Beck zmarł z powodu złamania karku, co nastąpiło prawdopodobnie na skutek powieszenia za pomocą podwójnie splecionej, cienkiej liny. Badanie ciała ujawniło także ślady lekkich otarć na nogach, ramionach i górnej części torsu. Patologowie nie byli w stanie orzec „z całą pewnością”, czy obrażenia powstały przypadkowo, czy też w wyniku celowego działania.

Ale Edel wiedział.

Lekarz przeprowadzający sekcję nie potrafił też powiedzieć, czy Beck został przez kogoś powieszony, czy też popełnił samobójstwo.

Ale Edel wiedział. Wiedział i winił samego siebie za to, że sprawy zaszły tak daleko.

Newman mnie zdradził - rozmyślał Edel, chodząc po zimnym, mokrym, jakby odizolowanym od otoczenia dachu. - Zdradził, zawiódł zaufanie, zakpił z mojej wiary i przekonań - wykorzystał je, by stworzyć sobie możliwość ucieczki.

I właśnie dlatego Alexander Beck jest martwy.

A teraz Edel czekał. Wcześniej zaszedł do kościoła i dopilnował, by rozpoczęło się czuwanie przy zwłokach generała.

Analitycy wywiadu byli przekonani, że teraz Newman przystąpi do działania.

Patrycja uważała, że to Newman znalazł ciało Becka, a następnie zdjął je ze sznura i przygotował jak do trumny. Ostatnia przysługa bliskiego przyjaciela.

Kapf natomiast pozostał zagadkowo obojętny.

Ale to wszystko nie miało większego znaczenia, tak naprawdę się nie liczyło.

Edel wiedział, że Newman wróci. Nie wiedział dlaczego, nie wiedział kiedy ani jak.

Ale był pewien, że się zjawi.

I wierzył, że on, Konrad Edel, będzie gotów, gdy znów się spotkają.

- Trzy Siedem do Zero Jeden.

Edel wyciągnął radiostację. Miał też broń.

- Tu Zero Jeden.

- Tu Trzy Siedem. Mgła gęsta jak mleko. Widoczność zerowa, odbiór.

- Tu Zero Jeden. Tak jest wszędzie. Mgła wciąż napływa z północy. Odbiór.

- Tu Trzy Siedem. Proszę o pozwolenie na powrót do punktu dowodzenia. Odbiór.

- Tu Trzy Siedem. Zostańcie na miejscu. - Edel wpatrywał się w otuloną mlecznym puchem okolicę. - Wszystkie jednostki naziemne, tu Zero Jeden. Pozostać na dotychczasowych pozycjach. Powtarzam, pozostać na dotychczasowych pozycjach. Przejść na nasłuch. Powtarzam, przejść na obserwację nasłuchową.

Czterej ludzie, którzy stanowili jednostkę Trzy Siedem, stali wokół zaimprovizowanego posterunku przy wschodnim ogrodzeniu, wsłuchując się w instrukcje szefa.

- Stary zaczyna się wściekać - zauważył jeden ponuro.

- Odmrozimy tu sobie jaja - pociągnął nosem drugi i zabrał się za wycieranie noktowizora z wilgoci.

Najstarszy z czwórki w milczeniu wpatrywał się w mgłę.

- Cisza. Obowiązuje obserwacja nasłuchowa!

Czwarty mężczyzna uśmiechnął się, wyciągając termos z kawą.

- Zapowiada się długa noc.

Zaczął nalewać dla wszystkich parujący napój. Kiedy odwrócił się do najstarszego, zastygł, zdziwiony jego zachowaniem

Mężczyzna oddalił się kilka kroków od posterunku i stał nieruchomo z przekrzywioną na bok głową i zamkniętymi oczami.

- Albert? - spytał cicho ten z kawą.

- Cisza - brzmiała krótka odpowiedź.

Pozostali szybko odstawili swoje kubki, czym prędzej odbezpieczyli broń, po czym zajęli po cichu pozycje obok starszego mężczyzny.

- Co się stało, Albert? - spytał mężczyzna z kawą, odstawiając termos i podnosząc mały karabinek mp-5k.

Albert potrząsnął głową.

- Wydaje mi się... Nie wiem. - Zamilkł na kilka długich sekund. Nagle jeszcze bardziej przechylił głowę w bok. - Jakies pięćdziesiąt metrów stąd, w linii prostej. - Wpatrywał

się w płynącą chmurę mgły, która opadała wokół nich. Potem znów potrząsnął głową. -
Może się myliłem.

Zawrócił w stronę posterunku, ale przystanął i rzucił swoim ludziom:

- Mimo wszystko zachowajcie czujność.

W pokoju, gdzie leżał Clemente, panowała równie napięta atmosfera.

Patrycja i Kapf siedzieli przy łóżku, popijając kawę, Clemente miał na obu rękach kroplówki. Jego słowa zniekształcała maska tlenowa. Jenny zajęła miejsce nieco dalej, nie uczestnicząc w rozmowie. Nie chciała jednak opuścić męża, gdy był tak bliski śmierci.

Skóra Jacka miała chorobliwie żółtobiałą odcień, powieki z trudem się otwierały, dłonie drżały, ilekroć udawało mu się nimi poruszyć. Oddychał ze świstem, z trudem uczestnicząc w rozmowie, ale niewątpliwie śledził jej tok.

Patrycja zaprzeczyła czemuś, co wcześniej mówił Kapf.

- Nie zgadzam się - stwierdziła znużonym tonem. - Nic na to nie wskazuje.

- Jest list - zauważył psychiatrę, popijając kawę.

Po raz pierwszy w ciągu godziny Patrycja kiwnęła potakująco głową.

- List. W tym się przynajmniej zgadzamy. To klucz do całej sprawy. - Wyciągnęła ze swojej teczki kopię. - Czytałeś go. Myślę, że mówi sam za siebie.

- Racja - odparł cicho Kapf.

- Ale wciąż nie chcesz przyznać, że to nie Newman jest odpowiedzialny za śmierć Becka.

Kapf spojrział na Clemente, który nic nie powiedział, tylko słabo się uśmiechnął.

- Przyjmuje odpowiedzialność za działania, które do niej doprowadziły - stwierdził po prostu Kapf. Po chwili dodał: - Dlaczego mu nie wierzysz?

- Przeczytaj jego słowa! - W głosie Patrycji pojawił się szorstki ton. - Cytuję: „Zakładam jednak, że to mnie będzie się obarczać odpowiedzialnością”. Koniec cytatu. - Spojrzała na obu mężczyzn. - Czy może być coś bardziej oczywistego?

Spoglądali bez zainteresowania.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zaczęła od nowa.

- Oto Newman - samotny, obdarzony wyjątkowymi zdolnościami, ścigany właśnie dlatego, że taki jest. Napotyka Becka krótko po jego samobójczej śmierci. Wie, że będziemy go obarczać winą. Dlaczegożby nie? Rosjanie zrzucali na niego odpowiedzialność za wszystko. W jego przekonaniu niczym się od nich nie różni.

Clemente zdjął maskę tlenową.

- Nie mamy nic na poparcie tej tezy - wycharczał.
- Mamy wszystko na jej poparcie - rzuciła gniewnie Patrycja, lekceważąc stan człowieka siedzącego na łóżku. - Przeczytajcie ten list. - Podsunęła im przed oczy. - Newman wspomina o przetrzymywaniu go w zamknięciu i o „mglistych wyjaśnieniach” usprawiedliwiających traktowanie go jak więźnia. - Spojrzała na Kapfa. - Takich samych słów użyłeś kilka miesięcy temu, mówiąc o Rosjanach, doktorze.

- Więc dlaczego nie pozostawił wszystkiego na swoim miejscu? - odparował Kapf. - Na pewno byłoby nam łatwiej ustalić prawdziwą przyczynę śmierci generała, gdybyśmy go znaleźli wiszącego na sznurze. Newman jest chyba na tyle inteligentny, by to zrozumieć, prawda?

- Po co miałby brać na siebie niepotrzebne ryzyko i przenosić ciało generała do jego domu, a potem układać je tak starannie? - wtrącił cicho Clemente.

Patrycja zamyśliła się.

- Musiał czuć się w jakimś stopniu winny tej śmierci. Może miało to jakiś związek z tymi wszystkimi latami, jakie spędzili razem przed jego uwięzieniem. Może chodziło o wzajemny szacunek, jeśli wolicie, który nakazywał mu zachować jak najlepszą pamięć o generale.

- Wydawało mi się, że ten twój *Homo Crudelis* jest pozbawiony jakichkolwiek emocji - zauważył z uśmiechem Kapf. - Jak w takim razie wytłumaczysz tak wielki żal?

Odłożyła list i naala sobie kawy.

- Kiedy go znów będziemy mieli, przeprowadzimy kilka sesji. Wtedy się dowiem.

Kapf odwrócił się do Clemente, wskazując głową, Patrycję.

- Optymizm młodości.

Clemente znów tylko się uśmiechnął.

Patrycja była zaskoczona.

- Co przez to rozumiecie? - Patrzyła to na jednego, to na drugiego. - Oddziały poszukiwawcze mają rozkaz tylko go obezwładnić - szukała u nich potwierdzenia. - Czyż nie?

W oczach Clemente pojawił się głęboki smutek.

- Nigdy nie rozumiałaś wszystkiego do końca, koleżanko Patty - mruknął.

- Czego nie rozumiałam? - spytała cicho i ostrożnie.

- Że ten pacjent nie żyje w próżni wyłącznie dla twojej przyjemności.

Kapf spojrział na Clemente, potem zwrócił się do Patrycji.

- Generał liniowy wojsk amerykańskich umiera, mówiąc oględnie, w bardzo podejrzanych okolicznościach. Amerykański agent o powszechnie znanych, wielokrotnie demonstrowanych, okrutnych skłonnościach, działający uprzednio pod rozkazami tegoż generała, znika i sam wyznaje, że jest przynajmniej w jakimś stopniu odpowiedzialny za jego śmierć. - Urwał, patrząc młodej kobiecie głęboko w oczy. - Jaka według ciebie będzie reakcja Amerykanów?

- Mój Boże!

Kapf wymownym gestem rozłożył ręce.

- Jeśli kapitan Kilgore nie otrzymał jeszcze rozkazu bezzwłocznego użycia broni, gdy uda się zlokalizować cel, to tylko z powodu nieuniknionych opóźnień, wynikających ze zbyt rozbudowanej struktury dowodzenia. Lada moment taki rozkaz nadejdzie.

- Nie mogą - słabo próbowała zaprzeczyć Patrycja. - Czy nie uświadamiają sobie, czym jest? Jakie znaczenie mogą mieć dalsze badania tego człowieka?

- Oczywiście, że sobie uświadamiają - odparł cicho Kapf. - I tym się właśnie kierują. Zapadło długie milczenie. W końcu Patrycja podniosła wzrok.

- Powiedziałaś to już wcześniej - zauważyła, patrząc pytającym wzrokiem na Kapfa.
- Podczas przesłuchania. Powiedziałaś., jak to brzmiało? - Wróciła myślami do wydarzeń sprzed miesiąca. - Powiedziałaś, że zawsze wiedzieli, czym jest, albo coś w tym rodzaju.

- Zgadza się.

- Co miałaś na myśli?

Kapf zbierał do teczek swoje papiery.

- Po co do tego wracać?

- Co miałaś na myśli? - powtórzyła pytanie.

W jej głosie coraz wyraźniej słychać było upór.

Clemente ściągnął maskę.

- Powiedz jej, Otto. - Popatrzył na Patrycję, uśmiechając się do niej. - I tak to z ciebie wyciągnie.

Znów nałożył maskę. Dostrzegła w tym słabym uśmiechu coś, co dotyczyło jej duszy.

- Może powinniśmy kontynuować gdzie indziej - zwróciła się szeptem do Kapfa.

Clemente podniósł dłonie.

- Jeszcze żyję, doktor Nellwyn! - wycharczał przez maskę. - Nadal jestem szefem pani oddziału i nadzoruję projekt!

Odwzajemniła mu uśmiech.

- I ciągle gładki i przyjemny jak drzazga w tyłku - dodała ze łzami w oczach.

Clemente uniósł brwi i znów ściągnął maskę.

- Dzięki za spostrzegawczość. Doktorze Kapf, proszę kontynuować.

Kapf westchnął.

- Doskonale. - Wstał i podszedł do okna. Mówiąc, patrzył na całun mgły, który zakrywał ziemię. - Pomysł z wykorzystaniem wyrzutków społeczeństwa do niebezpiecznych misji nie jest niczym nowym. W poprzednim stuleciu często zatrudniano więźniów przy budowie dróg w Azji. W tym wieku niejednokrotnie proponowano okrutnym mordercom zmniejszenie lub darowanie kary w zamian za dokonanie zabójstwa politycznego na zlecenie. To powszechna praktyka.

- Rozumiem.

Patrycja nigdy przedtem nie widziała takiego Kapfa. Tak bardzo...otwartego.

- W miarę jak misje stawały się coraz niebezpieczniejsze i jednocześnie coraz bardziej skomplikowane, pospolici skazańcy nie byli w stanie wykonać zadań.

- I dlatego pomyślano o socjopatach - wtrąciła Patrycja.
- Właśnie. O socjopatach.

Odwrócił się w końcu od okna.

Clemente zdjął maskę tlenową. Spoczywała teraz na jego piersi, która unosiła się i opadała niespokojnie.

- To nie mogło się udać - stwierdził zdecydowanie. - Socjopaci są za bardzo skupieni na sobie. Nigdy nie byłiby godni zaufania, mogliby, z chęci zysku albo zwykłej złośliwości, sprzedać informacje drugiej stronie.

Łyknął tlenu, a Kapf ciągnął:

- Są zbyt chwiejni, zbyt nieprzewidywalni, lojalność się dla nich nie liczy, robią to, co przynosi korzyść wyłącznie im samym. Nigdy nie można na nich naprawdę polegać.

- Do czego zmierzacie? - przerwała mu Patrycja.

Clemente ujął dłoń młodej kobiety.

- Wiem, że będzie to dla ciebie zaskoczeniem, ale nie ty jedna wysunęłaś teorię o kolejnym etapie ewolucji człowieka.

Kapf uśmiechnął się.

- To był temat mojej pierwszej pracy naukowej. Nie było cię jeszcze na świecie. Wykorzystałem około dwudziestu prac, jakie napisano już wcześniej.

- A Nietzsche wyprzedził nas wszystkich o ponad sto lat - dodał Clemente.

- Pomyśl o teoretykach z Instytutu Horizon. Siedzieli w swojej wieży z kości słoniowej, przeglądając charakterystykę idealnego wykonawcy poleceń służb specjalnych, jaką im przedstawiono. - Kapf znów odwrócił się do okna. - Nie odpowiadała żadnemu z istniejących typów osobowościowych, ale...

Clemente zaczerpnął trochę tlenu i dokończył myśl kolegi:

- Teoretycznie chodziło o osobnika odznaczającego się typowym dla socjopaty brakiem zahamowań moralnych, zdolnego do przemocy, a więc wykazującego pewne skłonności atawistyczne, ale jednocześnie o wysokim współczynniku inteligencji. Ktoś taki spełniałby wymagania.

Kapf podszedł do łóżka.

- Zadanie postawione przed pracownikami Instytutu Horizon stanowiło coś w rodzaju ćwiczenia umysłowego. Nazwijmy to stworzeniem abstrakcyjnego człowieka. Chodziło o całkowicie nowego osobnika albo kogoś już istniejącego, tyle że o odpowiednio zmiennej psychice. Nie miało to zresztą większego znaczenia. Szansa, że taki człowiek istnieje, wynosiła, bo ja wiem, jeden do dwóch tysięcy. - Na jego twarzy pojawił się wyraz zniechęcenia. - Ale dla rządu, który mógł wybierać spośród dwustu sześćdziesięciu milionów, było to całkiem realne wyzwanie. - Wyjął z kieszeni kalkulator i rzucił go Patrycji na kolana. - Oblicz sobie, jeśli chcesz. W populacji liczącej dwieście sześćdziesiąt milionów osobników mieściłoby się sto trzydzieści tysięcy odpowiednich kandydatów. - Roześmiał się gorzko. - W samym wojsku ponad trzysta tysięcy potencjalnych Brianów Newmanów.

Clemente zamknął oczy.

- Wiedzą, jakim zagrożeniem jest Brian Newman - stwierdził cicho. - Wiedzą, bo wysłali za nim ludzi. A ponieważ wiedzą, czym jest, i ponieważ wymknął im się spod kontroli, w dodatku ma coraz...coraz...

Jenny podeszła do łóżka i łagodnie nałożyła mężowi maskę tlenową. Kiedy sprawdziła mu puls i przekonała się, że oddycha jak we śnie, powróciła na swoje miejsce i czytała dalej.

Kapf pocałował ją w policzek, poczekał chwilę, aż Patrycja także ją obejmie, dodając tym gestem otuchy, a potem wyprowadził młodszą koleżankę na korytarz.

- Co Jack chciał powiedzieć? - spytała go.

Kapf wcisnął przycisk windy i westchnął.

- Ponieważ wiedzą, czym Newman jest, albo czym może być, ponieważ nie znajduje się już pod ich kontrolą, i ponieważ coraz lepiej zdaje sobie ze wszystkiego sprawę...

Drzwi windy rozsunęły się. Skinął na Patrycję, by pojechała razem z nim, ale ona pokazała, że chce wrócić do pokoju Jacka Clemente.

Kapf uśmiechnął się ze smutkiem i wszedł do windy.

- Dlatego muszą go zlikwidować.

Drzwi zaczęły się zamykać, ale Patrycja przytrzymała je ręką.

- Musimy ich powstrzymać! - Rozejrzała się szybko wokół, a potem nachyliła się do Kapfa. - Uważasz, że Newman stanowi jakąś formę zmutowanego umysłu. Ja sądzę, że to kolejny stopień w ewolucji. Doskonale. Tak czy tak, musimy go przebadać, dowiedzieć się! Zgadzasz się ze mną?

- Moja droga doktor Nellwyn, świat jest duży. Ponad dwa i pół miliarda ludzi. Policz sobie. To ćwierć miliona Newmanów. - Odsunął łagodnie jej rękę blokującą drzwi windy. - Podejrzewam, że nie upłynie wiele czasu, nim usłyszymy o nowym Brianie Newmianie.

Zjechał na parter, do swojego gabinetu, głęboko zatroskany zdrowiem Jacka Clemente, naiwnością Patrycji Nellwyn i swoim coraz bardziej pesymistycznym spojrzeniem na życie. Nie odpowiedział na powitania kilku napotkanym pielęgniarkom i sanitariuszom, potrząsnął głową na widok ludzi z ochrony, nieporadnie próbującym udawać pracowników instytutu, po czym ruszył powoli do swojego gabinetu. Otworzył drzwi, zapalił światło i przekroczył próg pokoju.

- Proszę zamknąć drzwi, doktorze.

Kapf znieruchomiał na dźwięk głosu Newmana, dochodzącego gdzieś z lewej strony.

- Drzwi - ponaglił Newman matowym, pozbawionym intonacji tonem.

Kapf zamknął powoli drzwi.

- Na zamek, jeśli można.

Nie odwracając się, stary człowiek sięgnął za siebie i przekręcił klucz.

- A teraz, byłbym wdzięczny, gdyby pan zechciał podejść do okna i zaciągnąć, ot tak, od niechcenia, zasłony.

Głos Newmana docierał z niska, jakby z podłogi.

Kapf wykonał posłusznie polecenie. Zasłonił szczelnie okno, cały czas pamiętając, by robić tylko to, co mu Newman każe. Nic ponadto.

- Teraz może się pan odwrócić, doktorze.

Newman siedział na podłodze, w kącie pokoju, obok drzwi. Wstał i rozprostował kości. Potem wskazał dłonią biurko.

- Proszę, niech pan usiądzie wygodnie, doktorze Kapf. - Jęknął cicho, przeciągając się. - Jestem już za stary, żeby się chować po kątach. - Przywołał na twarz uprzejmy uśmiech. - Jak się pan miewa?

Kapf podszedł do biurka i usiadł. Przyjrzał się uważnie stojącemu przed nim zbiegowi.

Wydawało się, że Newman trochę przytył, był czysty, opalony. Wyglądał na zdrowego, odprężonego i zadowolonego. Zachowywał się tak, jakby przyszedł z wizytą albo

chciał trochę poplotkować. Kapf miał nadzieję, że taki właśnie jest powód tych odwiedzin.

Inne wytłumaczenie było zbyt przerażające, by chciał się nad nim zastanawiać.

Newman zdawał się czytać w myślach Kapfa.

- Spokojnie - roześmiał się beztrąsko. - Nic do pana nie mam. Gdyby było inaczej, nigdy by mnie pan nie ujrzał.

- A generał Beck? - zaryzykował Kapf.

Newman usiadł w fotelu naprzeciwko biurka.

- Co generał Beck?

- Zobaczył pana... - Kapf zawahał się na chwilę - ...nim umarł.

Newman wiercił się, starając się zająć jak najwygodniejszą pozycję.

- Beck nie żyje?

Kapf potwierdził z powagą.

- Nie żyje.

- Szkoda.

Kapf przyglądał się uważnie człowiekowi, którego widział przed sobą.

- Władze uważają, że to pan go zabił.

Newman uniósł brwi z udanym zdziwieniem:

- *Moi?*

- *Vous.*

Newman nadal wydawał się zaabsorbowany wyłącznie swoim fotelem.

- A co pan sądzi? - spytał jakby od niechcienia.

Pamiętając, kto przed nim siedzi, Kapf zastanawiał się nad odpowiedzią. Newman był rozluźniony, beztrąski, nawet trochę niedbały w swoim zachowaniu. Wszystko to mogło być jednak kolejną maską, skrywającą mniej radosną prawdę.

Albo cygaro było tylko cygarem.

- Nie - odparł w końcu Kapf - Nie sądzę, by pan zabił generała.

Newman podniósł wzrok.

- Naprawdę?

Było w nim teraz coś nowego, ale Kapf nie potrafił wyczuć, co.

- Czytałem pański list.

Newman uśmiechnął się jak dziecko, które ma za chwilę dostać mnóstwo prezentów.

- Podobał się panu? - Na jego twarzy malowała się nieklamana ciekawość. - Ale tak szczerze?

Kapf zignorował pytanie.

- Co to znaczy: „Do moich wszystkich przyjaciół na brzegu”?

- Napracowałem się nad tym listem. Starłem się, by był jasny, czytelny, a mimo to zabawny. Jak mi poszło?

- Czy nie odnosi pan wrażenia, że dryfuje pan po świecie, zerwawszy wszystkie cumy?

- Ważne były też odstępy. Z każdej strony margines szerokości mniej więcej trzech centymetrów. - Umiłkł na chwilę. - Staranność jest w oficjalnej korespondencji niezwykle istotna.

Kapf wyjął powoli fajkę i zaczął ją napełniać tytoniem z pojemnika stojącego na biurku.

- Do moich wszystkich przyjaciół na brzegu - powtórzył zamyślony. - To wskazuje na osobę będącą w podróży, być może płynącą statkiem.

- Rozmawialiśmy o liście, nie o koperce - stwierdził Newman, biorąc do ręki pudełko i badając z uwagą zawity wzór na wieczku i ściankach.

- Nie - skorygował Kapf. - To pan mówił o liście. - Przerwał, by zapalić fajkę. - Do moich wszystkich przyjaciół na brzegu. Ciekawy zwrot. - Podniósł wzrok. - Planuje pan długą podróż drogą wodną? - uśmiechnął się przy tych słowach.

Newman bżyknął jak pszczoła.

- Jedna podróż za mną, dziewięć przede mną.

Kapf wzruszył ramionami.

- Pytałem, bo lubię konkrety.

- Słusznie.

Przez niewiarygodnie długie dziesięć minut obaj milczeli.

- Odnacza się pan umiejętnością trwania w bezruchu, doktorze. Podziwiam to - odezwał się w końcu Newman.

- Jak się pan miewa?

Newman poprawił się w fotelu.

- Jestem bardzo zajęty.

- Wyobrażam sobie - odparł z powagą Kapf.

Newman wstał i obracał się powoli jak dziecko, które chce pokazać rodzicom nowe ubranko.

- To zdumiewające, jakie znaczenie dla zdrowia fizycznego i psychicznego ma swoboda działania.

- Dobrze pan jada?

- Skromnie, ale dość dobrze.

- Ma pan wystarczająco dużo ruchu?

Newman przytaknął.

- Sporo chodzę.

- Jak pan sypia?

- Pięć albo sześć godzin na dobę. Czasem więcej.

- I wystarcza?
- Na to wygląda. Budzę się rzeński.
- Budzi się pan rzeński. - Kapf zastanawiał się przez chwilę. - I pamięta pan ból.

Oczy Newmana płonęły wewnętrznym ogniem.

- Brakowało mi pana.
- Niech mi pan opowie o bólu.
- Nigdy nie zakończyliśmy naszej ostatniej sesji, prawda?
- Niech mi pan opowie o bólu.

Oczy Kapfa też płonęły.

Newman znów usiadł.

- O jakim bólu?

Kapf oparł się wygodnie i pyknął z fajki.

- Był pan bystrzejszy, bardziej świadomy różnych rzeczy niż pańscy koledzy szkolni.
- Tak.
- Był pan nieporadny, nieśmiały w kontaktach z dziewczętami.
- Tak.
- Sporządzał pan skomplikowane schematy, żeby wagarować. Spędzać dni, tygodnie,

miesiące w bibliotece.

- Tak.
- Niech mi pan opowie o bólu.

Uśmiech zniknął powoli z warg Newmana, jego twarz traciła jakikolwiek wyraz.

Było to denerwujące, ale Kapf nic nie dał po sobie poznać.

- Niech mi pan opowie o bólu.

Newman zdawał się nie słyszeć.

- Mówi pan po japońsku? - spytał Kapfa.
- Nie.
- Wie pan cokolwiek o japońskim społeczeństwie i obyczajach z ósmego wieku?
- Nie.

- Niech pan sobie wyobrazi, że budzi się pan pewnego ranka w ciepłym i przytulnym łóżku. Wstaje pan, idzie do ubikacji, bierze prysznic, myje zęby, ubiera się, goli, czesze, po czym wychodzi z domu, by zacząć nowy dzień. - Newman przerwał i spojrzał na Kapfa. - No może pan to sobie wyobrazić?

- Tak.
- Przeszępuje pan próg i nagle znajduje się pan w Japonii z ósmego wieku. Wędruje pan po nieznanym ulicach, wiedząc, że musi dokądś dotrzeć, ale nie może pan sobie przypomnieć dokąd ani znaleźć drogi! Wciąż pan to sobie wyobraża?

- Tak.

Głos Newmana był bezbarwny, twarz obojętna, ale emanował z niego wręcz fizyczny gniew, niczym tryskające na wszystkie strony krople potu boksera, który otrzymał potężny cios.

- Wkrótce otacza pana tłum. Szczekają coś w tym swoim absolutnie niezrozumiałym, gardłowym języku, wszyscy mówią i drą się jednocześnie! Chwyta ich pan za ramiona, jednego po drugim, i potrząsa nimi, krzycząc na całe gardło: GDZIE JA JESTEM? DO-

KĄD MAM PÓJŚĆ? CO MAM ROBIĆ? Widzi pan to?

Kapf skinął głową.

Newman odchylił się nagle, z ciała ustępowało napięcie, gniew przygasał.

- A teraz niech pan sobie wyobrazi, że ma pan w tym momencie trzynaście lat - powiedział przytłumionym głosem. - To właśnie, doktorze, jest bólem.

Kapf stwierdził, że zgasła mu fajka. Zapalał ją powoli, starając się jednocześnie zgłębić cierpienie i zagubienie nastoletniego Newmana, tkwiącego w pułapce świata, który tylko on widział, pragnącego za wszelką cenę nawiązać z kimś kontakt, opowiedzieć o swych przeżyciach komukolwiek, kto wiedziałby, jak poradzić sobie z tym darem czy też przekleństwem, prześladowującym go.

- Niech pan mówi dalej - poprosił po chwili.

- Nie bardzo jest o czym.
- Śmiało.
- Jest pan zapracowanym człowiekiem. Może innym razem - uśmiechnął się Newman i wstał.

Ale Kapf zauważył, że jego rozmówca nie zamierza jeszcze wychodzić.

- Ból minął, prawda?
- Tak.
- Pan sam to sprawił?
- Tak.
- W jaki sposób?

Uśmiech zmienił się niemal w grymas.

- Myślę, że pan wie.
- Jak powstrzymał pan ból?

Newman nachylił się powoli, opierając dłonie o krawędź biurka.

- Uświadamiając sobie, że wszystko jest w porządku.
- Proszę mówić dalej.
- Uświadamiając sobie, że to inni muszą szukać kontaktu ze mną, a nie odwrotnie.
- Do moich wszystkich przyjaciół na brzegu - powtórzył Kapf już teraz pewniej, jakby zaczynał rozumieć.

Newman nie zwracał na niego uwagi.

- Uświadamiając sobie, że za sprawą przypadku, ewolucyjnego żartu czy też kaprysu Boga nie istnieje nic, czego nie mógłbym zrobić. Uświadamiając sobie, że w gruncie rzeczy - głos Newmana przycichł tak bardzo, że Kapf ledwie go słyszał - moja odmienność, moje... - umilkł na chwilę - ...moje talenty czynią mnie silnym. Silniejszym niż ktokolwiek czy cokolwiek.

- Do moich wszystkich przyjaciół na brzegu.
- W swoim czasie, doktorze - odparł Newman, podchodząc do drzwi. - W swoim czasie.

Przekręcił gałkę i uchylił nieznacznie drzwi, by wyrzeźić na korytarz. Zadowolony, otworzył je na oścież.

- Dlaczego pan wrócił? - naciskał Kapf.
- Musiałem się czegoś dowiedzieć.

- Czego mianowicie?

Newman potrząsnął głową.

- Nieważne. Wiem już, co chciałem wiedzieć.

Przekroczył próg pokoju.

- Do moich wszystkich przyjaciół na brzegu - spróbował po raz ostatni Kapf.

Ale mówił już w pustkę.

Mgła nie ustąpiła przed północą, wydawała się nawet gęstsza. Drogi były zamknięte, a wyjazd z miasta niemożliwy.

Umówili się w barze pewnego hotelu w monachijskim Centrum. Mimo to jeden z mężczyzn spóźnił się o ponad godzinę.

- Jak długo będziemy jeszcze czekać, sir? - spytał gniewnie młody sierżant. - Mamy coś lepszego do roboty.

Kilgore uśmiechnął się.

- Ale w tej sytuacji mamy związane ręce - rzucił od niechcenia. - Zaczekamy, choćby następną godzinę.

W tym momencie do ich stolika podeszła barmanka, uśmiechnęła się znacząco do kapitana i wręczyła mu jakąś wiadomość.

Kilgore dał jej napiwek, a potem odprowadził ją wzrokiem do samego baru.

- Niewykluczone nawet, że będziemy musieli spędzić tu noc - stwierdził wesoło, otwierając kciukiem kopertę. Przeczytał szybko krótką notatkę. - Idziemy - wstał, kładąc pieniądze na stoliku. - Na górze, apartament 1458.

Pięć minut później obaj żołnierze stanęli przed drzwiami pokoju 1458 i zapukali. Otworzył im Wysoki.

- Kapitan Kilgore?

- A pan jest...? - spytał Kilgore, mijając go w progu.

- Zbędny, jeśli chodzi o pańską sprawę. - Zatrzymał sierżanta, kładąc mu dłoń na piersi. - On też.

Sierżant spojrzął na Kilgore'a, czekając na rozkazy. Kapitan dał mu znak, żeby posłuchał.

- W porządku - szepnął. - Poczekaj za drzwiami.

Sierżant udał się w ślad za Wysokim.

Kilgore wszedł do salonu luksusowego apartamentu, podziwiając kryształowe kieliszki, które rozstawiono na zabytkowym stoliku do kawy. Pokój był ciepły i przytulny, kosztowny w każdym znaczeniu tego słowa. Wydawał się też pusty.

Kapitan podszedł do stolika i wziął do ręki butelkę wina.

- Nieźle - stwierdził z niekłamanym zachwytem, oglądając etykietę.

- Nigdy nie nabrałem zamiłowania do wina - odezwał się za jego plecami burkliwy głos.

Kilgore nawet się nie odwrócił.

- Musi pan zarabiać lepiej ode mnie, pułkowniku. Ten trunek kosztuje około osmiuset pięćdziesięciu marek za butelkę.

Rujnow wkroczył do pokoju.

- Jest własnością mojego kolegi - stwierdził krótko, wyprostowany jak kij, rosyjski

oficer.

Uścisnęli sobie dłonie.

- W takim razie słucham - powiedział Kilgore, nalewając sobie kieliszek znakomitego wina.

Rujnow mówił bez wahania, ale bez wylewności i z niechęcią typową dla człowieka, który poświęcił życie na walkę z ludźmi takimi jak ten młody Amerykanin.

- Ma pan problemy z ustaleniem miejsca pobytu Briana Newmana.

- Naprawdę?

Rujnow przytaknął.

- Owszem.

- I pan się tym przejmuje?

- Tak.

- Z jakiej racji? Dlaczego Moskwa martwi się o człowieka, za którego nie jest już odpowiedzialna?

Rujnow usiadł obok kapitana.

- Odpowiedzialność to w tym kontekście właściwe słowo, kapitanie Kilgore. Niektórzy uważają, że pana Newmana w ogóle nie należało zwalniać. Nie chodzi o jakiś polityczny odwet czy międzynarodowe ryzykanctwo, ale właśnie o podstawowe poczucie ludzkiej odpowiedzialności.

Kilgore odstawił kieliszek.

- Niemniej jednak został zwolniony. Teraz my ponosimy za niego odpowiedzialność, nie wy.

Rujnow popatrzył w zamyśleniu na amerykańskiego oficera. Jak sprawić, by ten człowiek zrozumiał problem, pojął jego wagę? Postanowił zastosować inną taktykę.

- Odłóżmy chwilowo na bok zagadnienie odpowiedzialności - zaczął ponownie. - Czy może pan z czystym sumieniem stwierdzić, że nie potrzebujecie pomocy?

- Mogę.

Obaj mężczyźni przez długi czas patrzyli sobie w oczy.

- Jak mam pana przekonać, że nie kierują mną żadne podstępne zamiary? - Rujnow wpatrywał się w młode, twarde rysy, które pod tyłoma względami stanowiły zwierciadlane odbicie jego własnej twarzy sprzed lat. - Zależy mi tylko na tym, by Newman został, że się tak wyrażę, zneutralizowany. W tym celu jestem gotów podzielić się z panem swoją wiedzą, kontaktami, możliwościami.

- Podzielić się?

Rujnow przytaknął.

- Oddam panu do dyspozycji moje siatki, w ograniczonym stopniu, oczywiście. A pan ze swej strony powie mi, jakie działania już podjęto i jak wyglądają pańskie plany na przyszłość.

Kilgore wybuchnął śmiechem. Rozkazano mu spotkać się z tym Rosjaninem. Widział jego akta. Ale cała sprawa nadal wyglądała śmiesznie. Już sam pomysł, by rosyjski oficer niemal w stanie spoczynku, człowiek, który nie dysponuje bezpośrednimi kontaktami wywiadowczymi, mógł zaoferować jakąkolwiek pomoc najbardziej elitarnemu oddziałowi poszukiwawczemu armii amerykańskiej, wydawał się absurdalny.

- Proszę się nie gniewać, pułkowniku Rujnow, ale to tylko strata czasu. Nie ma pan

nic, co mogłoby się nam przydać. - Parsknął śmiechem. - Zimna Wojna się skończyła, pułkowniku. Przegraliście i od tej pory jesteście w dołku. Do diabła, przecież między innymi dlatego mógł pan tu przyjechać, prawda? Zamknęli większość dawnych ośrodków odosobnienia, a pan od dwóch miesięcy pozostaje bez przydziału.

Rujnow nie zaprzeczył.

- Ma pan dokładne informacje, kapitanie. Nawet jeśli wyciąga pan z nich niewłaściwe wnioski.

Gniewała go arogancja Amerykanina i dał mu to odczuć.

Kilgore odstawił kieliszek i wstał.

- Dostałem rozkaz, żeby się z panem spotkać. Zrobiłem to. Jeśli będzie miał pan coś dla mnie, to proszę się ze mną skontaktować; wie pan, jak mnie znaleźć. Ale poza tym

nie widzę sensu naszej współpracy. - Podeszedł do drzwi. - Dobranoc, sir.

Rujnow odprowadził go wzrokiem.

- Bez naszej pomocy nigdy go pan nie znajdzie, kapitanie.

Kilgore przystanął i odwrócił się.

- Nie?

Rujnow podniósł się powoli.

- Nie. - Podeszedł do kapitana. - Nie znajdzie go pan. I proszę nie brać tego do siebie czy do swoich ludzi. To po prostu bezsporny fakt.

Kilgore zaczynał odczuwać irytację.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Rosjanin wydawał się taki pewny siebie, taki zarozumiały, że kapitan miał ochotę go uderzyć. Jednak dyscyplina wzięła górę nad emocjami.

- Ale z pomocą naszych szlachetnych sojuszników, przy zastosowaniu ich doskonałych metod i wykorzystaniu rozpadających się siatek, osiągniemy sukces, czy nie tak, pułkowniku? A panu uda się znów wkroczyć na scenę. - Przerwał na chwilę, by się uspokoić. - Zawsze wiedziałem, że lubicie wymachiwać szabelką, ale pan jest naprawdę wyjątkowy.

Rujnow nie zwracał uwagi na ton kapitana. Zareagowałby prawdopodobnie tak samo, gdyby to Kilgore przyszedł do niego z podobną sprawą. Ale musiał jakoś dotrzeć do tego zarozumialca. Zmusić go, by dostrzegł niebezpieczeństwo. Postanowił, że podejmie jeszcze jedną próbę i przemówi jak żołnierz.

- Kapitanie Kilgore, nie twierdzę, że jestem lepszy od pana. I ma pan rację, nasze siatki rozpadają się. Przyznaję, że pan i pańscy ludzie nie macie równych w swoim fachu. Ale Newman jest lepszy. - Umilkł, szukając gorączkowo słów. - Myślę tylko, i mówię to z całym szacunkiem, że razem możemy powstrzymać tego człowieka, nim wydarzy się tragedia.

Kilgore przyglądał mu się uważnie. Było w tym człowieku coś, co świadczyło, że się boi. Ale nie o siebie. Raczej odczuwał lęk przed nieznanym. Przed jakąś nieznaną mroczną siłą, której sam Rujnow nie potrafił określić słowami.

- Pułkowniku - zaczął Kilgore, ale zamilkł, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Po chwili dodał: - Wie pan, jak się ze mną skontaktować.

Nacisnął klamkę.

- Spotkał go pan kiedykolwiek? - zatrzymał go Rujnow.

- Nie - odparł Kilgore z ręką na klawiszu.

- A ja tak. - Podszedł do Amerykanina. - Niemal przez siedem lat patrzyłem temu potworowi w oczy, widziałem mrok jego duszy. - Odetchnął głęboko i wyprostował się, jakby powrócił z ciemnej otchłani, w którą się zapadł. - I widziałem jego ofiary.

Oczy Rujnowa płonęły ogniem, jaki Kilgore widział tylko raz. U innego człowieka - oddanego tej samej sprawie, zabitego przez tego samego demona.

- Do rzeczy, pułkowniku - ponaglił go nerwowo.

Rujnow zawahał się, jakby nie mógł wyrazić swych myśli słowami.

- Muszę panu powiedzieć, kapitanie, że popełnia pan tragiczny błąd - szczególnie zaakcentował ostatnie wyrazy. - Proszę, by rozważył pan wszystko jeszcze raz.

Kilgore przyglądał mu się z uwagą.

Pod tanim garniturem i szorstkimi, wojskowymi manierami Kilgore dostrzegł, po raz pierwszy, głębokie znużenie. Zarówno fizyczne, jak i psychiczne, kryjące się tuż pod powierzchnią, znużenie, które mogło w każdej chwili zawładnąć Rosjaninem.

- Daję panu jeszcze pięć minut - zgodził się w końcu.

Rujnow skinął głową i wprowadził kapitana z powrotem do pokoju.

- Chcę opowiedzieć panu o sierżancie Dniebrońskim...

Słońce niemal wzeszło, gdy mgła zaczęła wreszcie opadać.

Edel, po długiej, wyczerpującej nocy, zszedł powoli z dachu instytutu, by zacząć odprawę nocnej zmiany. W drodze do sali konferencyjnej dogonił go Albert z pododdziału Trzy Siedem.

Edel spojrział na zmęczonego mężczyznę.

- Wyglądasz okropnie - stwierdził z uśmiechem.

- I kto to mówi - zrewanżował mu się Albert, - Ty wyglądasz, jakbyś miał sto lat.

- Czuję się, jakbym miał sto lat.

Obaj mężczyźni weszli do budynku ochrony.

- Jak poszło w nocy?

Albert wzruszył ramionami.

- Przekłęta mgła.

Edel przytaknął i nalał dwie kawy.

Albert napił się i ciągnął:

- Ni cholery nie widać. Człowiek podskakuje na każdy odgłos. - Pokręcił głową. - Jeśli dziś w nocy będzie tak samo, to trzeba coś zrobić.

- Kilgore ma nam dostarczyć detektory ruchu. Spróbujemy je zainstalować jeszcze przed zachodem słońca.

Edel zauważył Kapfa, który zbliżał się do nich.

- Przepraszam, że nie mogłem skontaktować się z panem wcześniej - wyjaśnił. - To była długa, ciężka noc.

Kapf zaniepokoił się.

- Jakież straty?

Edel uśmiechnął się słabo.

- Kilka przypadków przeziębienia. Ale nasz gość nie pojawił się zeszłej nocy. - Wydawał się zaskoczony wyrazem twarzy Kapfa. - O co chodzi, doktorze?

Kapf patrzył gdzieś w przestrzeń.

- Słucham? - spytał, dostrzegając zdziwioną minę Edela.

- Coś jest nie tak? Stało się coś?

Kapf myślał gorączkowo.

Obawiając się konfrontacji Newmana z oddziałami ochrony, co zapewne dla kilku osób skończyłoby się tragicznie, po jego zniknięciu zwlekał z wszczęciem alarmu.

Po dwudziestu minutach, które spędził, spisując swoje wrażenia, próbował znaleźć szefa ochrony. Powiedziano mu, że Edel jest na obchodzie, ale że można wezwać go przez radio, jeśli to coś pilnego.

Sam nie bardzo wiedział dlaczego, ale nie nalegał.

Potem, tego ranka, kiedy w końcu zadzwonił i powiedziano mu, że Edela można złapać na odprawie, zrobił kopię notatek i ruszył na spotkanie. Ale znów się zawahał.

- Doktorze Kapf?

Stary psychiatra odwrócił się do Edela z rozbajającym uśmiechem.

- Przepraszam.

- Mogę w czymś pomóc?

Kapf westchnął.

- Mogę posiedzieć na pańskiej odprawie?

Edel wzruszył tylko ramionami, słysząc kolejną, dziwną prośbę jednego z psychiatrów. Ale w końcu pracował tu nie od dziś.

- Oczywiście, doktorze. Proszę usiąść gdziekolwiek. Przepraszam.

Ruszył w głąb sali, kręcąc głową.

Wziął od sekretarki teczkę, położył na mównicy i zaczął przeglądać jej zawartość, czekając, aż jego ludzie usadowią się wygodnie.

Kopie raportów poszczególnych zmian, prośby o lepszy sprzęt, od dziewięciu pododdziałów prośby o grzejniki i ciepłe posiłki.

Znalazł zaklejoną kopertę, zaadresowaną po prostu -"Konrad".

Pokazał ją sekretarce.

- Co to jest?

Rzuciła na kopertę przelotne spojrzenie.

- Leżała na moim biurku, kiedy przyszłam dziś rano na zmianę.

Edel odłożył przesyłkę na bok. Powiódł wzrokiem po ludziach z ochrony.

- Można zacząć, panowie?

Usadowili się na krzesłach, ale nagle Albert podniósł dłoń do góry.

- Siedem Cztery jeszcze nie ma.

- Gdzie oni są? - spytał Edel gniewnie.

Albert roześmiał się.

- Mają kawał drogi z lasu. Może zgubili się we mgle.

Wszyscy, z wyjątkiem Edela, wybuchnęli śmiechem.

- Damy im jeszcze pięć minut.

Znów zaczął przeglądać papiery. Wziął do ręki kopertę i otworzył kciukiem akurat wtedy, gdy weszli ludzie z Siedem Cztery.

Potrząsnął głową, patrząc wymownie na zegarek.

- Mgła - wyjaśnił niepewnie dowódca pododdziału.

Przygwoździł ich spojrzeniem.

- Nalejcie sobie kawy i siadajcie. Chcę już zacząć.

Wyjął z koperty kartkę i zaczął czytać. Po chwili drżącymi dłońmi złożył papier.

- Odprawa zacznie się z dziesięciominutowym opóźnieniem - oświadczył.

Dał znak Kapfowi, by udał się za nim i pospieszył do bocznej salki.

- Był tutaj - wyszeptał i podał lekarzowi kopertę.

Psychiatra wziął wyjął szybko kartkę i powoli odczytał jej treść.

„Drogi Konradzie. Wybacz mi, że nie pisałem wcześniej, ale wiesz, jak to bywa w drodze. Czuję się dobrze i mam nadzieję, że ty również. Z tego, co mogę sam zobaczyć - w bardzo ograniczonym zakresie - wnoszę, że wyglądasz świetnie. Pewnie mi nie uwierzysz, ale moje działania nie były wymierzone w ciebie. Zrobiłem to, co uważałem za konieczne, by chronić siebie i moją przyszłość. Wierzę, że gdy minie pierwszy szok wywołany moją ucieczką, przestaniesz obwiniać mnie o zdradę i nielojalność, a zgodzisz się ze mną, że zrobiłem tylko to, co i ty byś uczynił, na moim miejscu. Brakuje mi naszych rozmów, naszych dyskusji nad Pismem Świętym, wszystkich tych wspólnie spędzonych chwil. Brakuje mi twojej mądrej rady. Potrzebuję jej teraz bardziej niż kiedykolwiek. Gdybyś zechciał, gdybyś znalazł w swym sercu wielkoduszność, by ostatni raz wybaczyć notorycznemu grzesznikowi, byłbym rad spotkać się z tobą. To dla mnie bardzo ważne - wytłumaczyć się, wytłumaczyć Becka, doświadczyć jeszcze jednej chwili radości, nim zacznę - bez wątpienia - długą podróż wygnańca, której kres może być tylko jeden. Jeśli się zgodzisz, a modłę się o to do kogoś, kogo ty nazwałbyś Najwyższą Istotą, bądź obecny w swoim gabinecie dziś po południu o siedemnastej trzydzieści. Zadzwoń, by się umówić. Jeśli zaś nie możesz mi wybaczyć, to wiedz, że cię rozumiem. Wciąż doceniam głęboko wszystko to, co starałeś się czynić, by uciszyć ów przeraźliwy dźwięk w moim umyśle. By zagłuszyć ową wściekłość, która mogła w każdej chwili zniszczyć, pochłonąć moją duszę. Ufając, iż mądrość Najwyższej Istoty, czymkolwiek ona jest, pomoże ci podjąć decyzję, słuszną decyzję, pozostając twym towarzyszem broni... Brian Newman, CA.”.

Kapf spojrział na Edela.

- Co zamierza pan zrobić?

Edel zamyślił się.

- Coś, czego on się nie spodziewa, mam nadzieję.

Kapf jeszcze raz przebiegł wzrokiem kartkę.

- CA., wie pan, co to znaczy?

Edel zaprzeczył głową.

- Pewnie nic - odparł, wracając do sali konferencyjnej. Wszedł na mównicę i uciszył

swoich ludzi.

- Nie wierzę, że to nic nie znaczy - powiedział cicho Kapf. Ruszył za szefem ochrony, mruczając coś pod nosem.

Rozdział trzynasty

Byla to przeciętna restauracja. Żaden raj kulinarny, ale i nie jadłodajnia typu fast food. Stołowała się tu głównie klasa średnia. Pianista-śpiewak grał amerykańską muzykę pop. Niezbyt dobrze mu to wychodziło. Ubrani we fraki kelnerzy krążyli między zbyt ciasno ustawionymi stolikami.

Edel, przekraczając próg restauracji nie był zadowolony. Nie odpowiadało mu to miejsce. Wolałby jakiś spokojny lokal albo miłą, cichą kawiarenkę. Tutaj kręciło się zbyt dużo ludzi. Obsługa siliła się na uprzejmość wobec klienteli - głównie żołnierzy z pobliskiej bazy sił powietrznych USA.

W końcu jednak to nie on wybrał ten lokal.

Wszystko zaczęło się przed paroma godzinami, kiedy siedział przy biurku i czekał, aż zadzwoni telefon.

Zawiadomił Kilgore'a, Kapfa, Patrycję, pojawił się także Tabbart. Siedzieli w milczeniu, gdyż wypowiedzieli się już wcześniej, podczas nieprawdopodobnie długich spotkań, jakie odbyły się tego samego dnia. Opracowano plany, sprawdzano zadania, ściągnięto i rozdzielono sprzęt, personel rozmieszczono na stanowiskach.

Pozostało jedynie czekać.

Pięta piętnaście... dwadzieścia... dwadzieścia pięć... trzydzieści!

Nic.

Pięta trzydzieści jeden... trzydzieści dwie... trzy... Długie minuty wlekły się jak godziny. Potem pukanie do drzwi, na dźwięk którego wszyscy podskoczyli na swoich miejscach.

- O co chodzi? - niemal wrzasnęła Edel.

Przerażony sanitariusz cofnął się o krok.

- Oh! Przepraszam. Ale dzwoni ten facet, chce z panem mówić. Automat w holu.

Obecni w pokoju rzucili się do drzwi, niemal tratując młodego człowieka..

Gdy znaleźli się w dużym holu, Edel dostrzegł automat telefoniczny z odłożoną słuchawką. I pielęgniarkę, która już, już, zamierzała ją odłożyć na widełki.

- HALT! - ryknął Edel.

Przestraszona kobieta upuściła słuchawkę, odepchnięta brutalnie przez Edela. Tabbart wziął ją na bok i wyjaśniał coś szeptem. Szef ochrony przyłożył słuchawkę do ucha.

- Konrad Edel.

- Pamiętałeś, żeby założyć podsłuch na automaty telefoniczne, Konrad? - spytał Newman rozbawionym tonem.

- Nie - odparł i odsunął się, tak by Kilgore mógł spisać numer aparatu. Kapitan natychmiast popędził do innego telefonu.

- No cóż, trochę wam to skomplikuje życie, co? - Newman beztrzęsco droczył się z Edelem.

- Przyzwyczailem się do tego.

- Czyżby? - zachichotał Newman. - Za to też przepraszam.

- Dostałem twój list.

- No i co? - spytał zaciekawiony Newman.

Kilgore podszedł do Edela i rozłożył ręce, wypowiadając bezgłośnie: „Potrzebuję czasu”.

- Chciałbym o tym powiedzieć.

- Jestem tego pewien, ale to nieodpowiedni moment.

Kilgore błagał spojrzeniem o zwłokę. Patrycja pisała coś na kartce.

- Muszę mieć pewność, że zagwarantujesz mi nietykalność - Edel, nie mogąc już dłużej zwlekać, przeszedł do rzeczy.

- A ty mi ją zagwarantujesz?

- Od kiedy się mnie boisz?

Tym razem Newman zamilkł na chwilę.

- Nie ma się co spieszyć.

Patrycja pokazała spoconemu szefowi ochrony swoją kartkę.

Edel przeczytał i skinął głową.

- Prawdę mówiąc, nie sądzę, by było o czym rozmawiać.

- Czyżby?

Edel znów skorzystał z odpowiedzi Patrycji.

- Może byłoby lepiej dla nas obu, gdybyśmy od razu zakończyli naszą znajomość.

Krótką chwilą ciszy.

- Bardzo dobrze - stwierdził w końcu Newman. - Powiedz doktor Nellwyn, że pacjent nie pozwala się wciągnąć w zbyt długą dyskusję. Czekam na odpowiedź. Za trzydzieści sekund odkładam słuchawkę.

Edel przebiegł szybko wzrokiem po obecnych. Nie doczekawszy się żadnej pomocy,

rzucił krótko w słuchawkę:

- Zgadzam się na spotkanie.

- Tak sądziłem. - Newman wydawał się zadowolony. - Budka telefoniczna na północnym rogu Jalischburg i Kleemstrasse, za pół godziny.

Rozłączył się.

I tak trwało przez całą noc.

Edel jeździł od budki do budki, otrzymując za każdym razem nowe instrukcje, skąd i kiedy ma dzwonić.

Ale to wszystko działo się przed pięcioma godzinami. Teraz zirytowany znalazł się w restauracji, do której ściągnął go Newman, rozmawiając z nim ostatnio przez telefon zainstalowany na zewnątrz.

Edel podszedł do szefa sali.

- Tak, sir? - spytał mężczyzna w eleganckim, służbowym stroju. - Mogę w czymś pomóc?

- Konrad Edel.

Mężczyzna rozpromienił się - wcześniej otrzymał duży napiwek.

- Ach, oczywiście, sir! Pański towarzysz oczekuje pana! Zechciałby pan udać się za mną?

Poprowadził Edela przez główną salę do oddzielonej zasłonami części, na tyłach lokalu.

- Mogę wziąć pański płaszcz, sir?

Edel potrząsnął przecząco głową, wpatrując się w zaciągnięte zasłony.

- Doskonale, sir. Życzę smacznego.

Mężczyzna uklonił się i szybko odszedł.

Edel odetchnął głęboko, starając się uspokoić bijące przyspieszonym rytmem serce, po czym uchylił zasłonę.

Stół był zastawiony przeróżnymi potrawami, od kanapek po wyrafinowane dania. U szczytu siedział nie znany mu dziwny człowiek.

- Kim pan jest? - spytał Edel.

Ghislain wytarł jedwabną chusteczką dłoń, a następnie wyciągnął rękę do szefa ochrony.

- Nie trzeba chyba podawać nazwisk, prawda? Reprezentuję człowieka, którego pan szuka.

Edel nie poruszył się, wodząc wzrokiem po zasłoniętym pomieszczeniu.

- O co tu chodzi?

Ghislain cofnął dłoń.

- Domyślam się, sir, że otrzymał pan jakieś instrukcje - zauważył głosem, w którym brzmiało napięcie. Po chwili dodał: - Ja też je otrzymałem. Chwilowo żaden z nas nigdzie się nie wybiera. Chyba że chcemy katastrofy.

- Gdzie on jest? - spytał zimno Edel.

Ghislain potrząsnął głową.

- Proszę. Jestem pewien, że gdyby zechciał pan usiąść, byłoby panu wygodniej. Spędzi pan tu najbliższą godzinę.

Przez minutę w napięciu patrzyli sobie w oczy. W końcu Edel powoli i niechętnie usiadł.

Ghislain wykrzywił usta w wymuszonym uśmiechu.

- Osobiście polecam wołowinę w sosie z ostryg. - Kiedy Edel się nie poruszył, Ghislain pokręcił głową. - Jeśli wyjdzie pan, zanim zdążę przekazać panu instrukcje, spotkanie nigdy nie dojdzie do skutku. - Zamilkł na chwilę. - Źle by to się dla pana skończyło, ale zapewniam, że dla mnie nieporównanie gorzej. W obopólnym interesie nalegam, by postąpił pan zgodnie z instrukcjami.

Edel jakby się trochę odprężył.

Ghislain wskazał bogato zastawiony stół.

- Jestem pewien, że ma pan za sobą długi wieczór. Proszę coś zjeść. Wszystko jest zapłacone.

Przez następną godzinę Edel siedział w milczeniu. Skubnął sałatki, napił się trochę piwa. Ani na moment nie oderwał wzroku od Ghislaina.

W końcu rozległ się sygnał telefonu komórkowego.

- Tak? - spytał Ghislain i po chwili podał aparat Edelowi.

- Halo.

- Smakuje?

- Jak długo jeszcze ma trwać ta zabawa w kotka i myszkę?

- Wydaje się pan zmęczony. Może powinniśmy o wszystkim jak najszybciej zapomnieć?

Edel milczał.

- Okej - nie doczekawszy się odpowiedzi, Newman przeszedł do konkretów. - Następny krok. Zdejmie pan ubranie łącznie z bielizną, butami i skarpetkami. A także biżuterię, zegarek, jednym słowem wszystko. Mój wspólnik dostarczy panu odpowiedni strój i obuwie.

Edel zobaczył, że Ghislain kładzie na stole małą torbę i zaczyna wyjmować z niej garderobę.

- Pańskie rzeczy zostaną zwrócone jutro do południa. Ma pan moje słowo - powiedział Newman nieco zmienionym głosem. Wyczuwało się w nim napięcie. - Kiedy już się pan przebierze, proszę wyjść tylnymi drzwiami i skręcić w prawo, w alejkę. Dojdzie pan do Brenstrasse. Potem w lewo. Skontaktuję się z panem w pierwszej budce telefonicznej.

Przerwano połączenie.

Dziesięć minut później, ubrany w roboczy kombinezon, wysokie buty i wełnianą czapkę, Edel zbliżył się do automatu. Prawie natychmiast zadzwonił telefon.

- Tak?

- Proszę się odwrócić - odezwał się głos Ghislaina. Potem mężczyzna odłożył słuchawkę.

- Witaj, Konrad - powiedział Newman, wynurzając się z pobliskiej sieni. - Może byśmy się spacerowali? - Wskazał ulicę po prawej stronie. - Trzy metry przede mną, jeśli łaska.

Ruszyli jednocześnie, Newman w pewnej odległości za Edelem.

- Czy nie można się obejść bez tego teatru? - spytał Edel, nie oglądając się.

- Proszę zachować wszelkie pytania na koniec naszej wędrówki - brzmiała pełna roz-

bawienia odpowiedź.

Szli tak dwadzieścia minut. Zgodnie ze wskazówkami Newmana skręcali w jakieś alejki, przecinali ciemne, źle oświetlone ulice, kilka razy zawracali.

W końcu znaleźli się w dzielnicy tureckiej. W nieruchomym, nocnym powietrzu wyczuwało się zapach kawy zmieszany z wonią haszyszu i marihuany.

Edel spojrzał na zabite głucho budynki i zorientował się, gdzie jest.

Zatrzymali się przed niewielkim sklepem. Newman rzucił mu pęk kluczy i szef ochrony otworzył drzwi. Gdy tylko weszli do środka, Newman ponownie je zamknął.

Nim zapalił światło, jakiś czas przez maleńką szparę między gazetami zakrywającymi okna obserwował ulicę.

Gdy nagie, niemal puste wnętrze sklepu wyłoniło się z mroku, Newman uśmiechnął

się, rozpościerając ramiona i pokazując ściany.

- Witaj w Chez l'ennemi! - powiedział radośnie.
- Jesteś moim wrogiem?

Newman wzruszył ramionami.

- Muszę być czymś wrogiem. Pomyśl tylko, do czego was doprowadziłem.

Edel rozejrzał się po pustym sklepie. Ścianę za jego plecami zakrywało płótno.

Odwrócił się do Newmana.

- Co to za miejsce?
- Niezbyt wyszukane, ale moje własne.
- A więc czekają nas gry słowne, co? - Edel zdobył się na niewyraźny uśmiech. - Z

góry przepraszam za braki w słownictwie.

Newman wskazał dwa składane krzesła stojące tuż obok. Podeszli i usiedli.

- Żadnych gier - odparł. - Tylko szczerza rozmowa.
- To naprawdę coś nowego i zaskakującego.

Newman sprawiał wrażenie rozkojarzonego.

- No więc, jak się czujesz, Konrad?
- Jestem zmęczony. A ty?
- Też.

Podniósł z podłogi nasadkę pisaka i zaczął się nią bawić.

- Dużo myślałem o naszych rozmowach.
- Tak?

Newman przytaknął.

- Były dla mnie bardzo ważne. Odcisnęły na mnie silne piętno.

Edel skinął smutno głową.

- Udowodniłeś to, gdy widzieliśmy się ostatni raz.

Newman podniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Potępiasz mnie za tę ucieczkę?

Wydawał się szczerze zainteresowany odpowiedzią.

- Nie - odparł zdecydowanie Edel. - Jestem pewien, że w swoim przekonaniu czułeś się usprawiedliwiony.

- Dziękuję - szepnął Newman z udawaną powagą.
- Potępiam tylko...nie, raczej żałuję, że mnie okłamałeś - ciągnął szef ochrony. - Są-

dziłem, że doszliśmy do punktu, w którym nie będzie to konieczne.

Newman był szczerze zdumiony.

- Kiedy cię okłamałem?
- Obiecałeś, że nie będziesz próbował uciekać.
- Nigdy tego nie obiecywałem! - Zamilkł na chwilę, a przez twarz przemknął mu cień

urazy. - W istotnych sprawach nigdy nie kłamię.

Edel zaśmiał się ironicznie.

- Masz wybiórczą pamięć, mój przyjacielu.
- Powiedz mi, kiedy obiecywałem, że nie ucieknę, a wracam z tobą. Dobrowolnie i

bez kłopotów.

- Doskonale. - Edel zastanawiał się przez moment. - To było zaraz po tej głupiej historii z doktorem Montem. Przypominasz sobie?

- Ten człowiek to dureń - rzucił pośpiesznie Newman.
- Rozmawialiśmy o komisji. Podejrzewałeś, że nie zechcą cię widzieć po tym incydencie.

- Pamiętam - odparł Newman, wyraźnie próbując sobie przypomnieć ten moment.
- Zapewniłem cię, że spotkanie się odbędzie. Właśnie wtedy obiecałeś.

Newman zastanawiał się przez długą chwilę. Wreszcie, o dziwo, uśmiechnął się.

- Już zacząłem się martwić - stwierdził lekkim tonem. - Myślałem, że jestem w kropce.

- Co przez to rozumiesz? - spytał Edel zaintrygowany.

- Rzeczywiście, obiecałem ci - wyjaśnił Newman, przysuwając się do Edela. - Ale było niezupełnie tak, jak mówisz.

- Czyżby?

Newman przytaknął.

- Jeśli zechcesz sobie przypomnieć, to obiecałem tylko, że nie zrobię żadnego numeru, gdy będą mnie przeprowadzać do sali, w której siedziała komisja - uśmiechnął się do Edela. - O samym spotkaniu nic nie wspomniałem.

Edel starał się odtworzyć w pamięci tamtą rozmowę.

- Należą ci się przeprosiny - rzekł w końcu, zerkając na zegarek. - Masz rację.

Newman wydawał się zadowolony.

- Więc może zaczniemy od początku. Co ty na to?

Jeszcze dziesięć minut - pomyślał Edel. - Zwlekaj, zgadzaj się, pauzuj. Czekaj.

Uśmiechnął się.

- Może.

Newman wskazał strój Edela.

- Przepraszam za to ubranie, ale musiałem podjąć środki ostrożności.

- Rozumiem. - Edel rozejrzał się wokół i dostrzegł na stole obok dwie bibliie. - Nadal studiujesz Pismo?

Newman podszedł do książek.

- Biblia króla Jakuba i wydanie współczesne. Szukam też wersji greckiej i hebrajskiej.

Na jedną krótką chwilę Edel zapomniał, po co tu przyszedł, i co się miało niedługo stać.

Za osiem minut.

- Interesuje cię szczególnie jakiś fragment?

Newman wręczył jedną z biblii Edelowi.

Ten otworzył książkę na zaznaczonej stronie i przeczytał ustęp:

- „A gdy już ich wyprowadzili z miasta, rzekł jeden z nich: »Uchodź, abyś ocalił swe życie. Nie oglądaj się za siebie i nie zatrzymuj się nigdzie w tej okolicy, ale szukaj schronienia w górach, bo inaczej zginiesz!«”.

Newman słuchał w skupieniu.

- Mądra rada.

Edel spojrział na niego.

- Ale nie wzięłeś jej sobie do serca.

- Nie.
- Dlaczegoż to?

Newman wziął do ręki biblię i otworzył na innej stronie. Następnie, z surowym wyrazem twarzy, podał ją Edelowi.

Gdy szef ochrony czytał po cichu, Newman wyrecytował fragment z pamięci:

- „Nie siedziałem w towarzystwie wesołków ani się nie radowałem; siedziałem sam, bowiem twa dłoń na mnie spoczywała, gdyż napełniłeś mnie oburzeniem.”

Edel patrzył na Newmana, gdy ten mówił dalej, z bólem w oczach, zaciskając i otwierając dłonie:

- „Dlaczegoż mój ból nie ustępuje, a moja rana jest nieuleczalna, nie chcąc się zagoić? Czy będziesz dla mnie jak zwodniczy strumień, jak wody, które zawodzą?”

Edel wstał i zbliżył się do mężczyzny, w którego słowach brzmiała teraz rozpacz. Na tę jedną chwilą zapomniał, kim był ten człowiek, co uczynił, co jeszcze mógł uczynić.

I że pozostały niecałe trzy minuty.

Spytał głosem cichym, troskliwym, kojącym:

- Winisz Boga za to, co się z tobą dzieje?

Newman odwrócił się od niego.

Edel nie ustępował.

- Powiedziałeś mi kiedyś, że bierzesz odpowiedzialność za swoje czyny. Tak jak przystało na żołnierza. - Umiłkł na chwilę. - Bóg jest twym zbawieniem, nie prześladowcą.

Newman, wciąż odwrócony plecami, uśmiechnął się, ale gdy przemówił, jego głos przepelniał ból.

- Kim według ciebie jestem, wybrykiem natury, czy też zwiastunem nowego etapu ewolucji?

Edel położył mu dłoń na ramieniu.

- Uważam, że jesteś prześladowanym dzieckiem Boga. - Po chwili milczenia mówił dalej: - Uważam, że zostałeś niegodziwie wykorzystany i porzucony. Uważam, że jesteś zagubiony i potrzebujesz pomocy. Że nie znajdziesz pociechy, dopóki nie przyjmiesz do swego serca Pana.

Newman nagle obrócił się na pięcie.

- Nigdy nie mówiłem, że winię Boga - odparł zimno.

- Nie?

Newman potrząsnął głową.

- Nie. Wręcz przeciwnie. Jestem mu wdzięczny za te dary.

Edel był zaskoczony nagłą zmianą.

- Nic nie rozumiem. Jakie dary? - spytał, zbity z tropu.

Newman ruszył w głąb pomieszczenia.

- Moje wyobcowanie, moją pogardę. Mój ból, rany, nawet moje wieczne opuszczenie było błogosławieństwem, nie przekleństwem.

- O czym ty mówisz?

Newman, podszedł do zakrytej ściany i zdarł zasłonę.

Edel zamarł.

- Jezu Chryste! - zdołał jedynie powiedzieć.

Newman uniósł brwi.

- Nie całkiem.

Pozostała jeszcze jedna minuta.

Na zewnątrz ludzie z oddziału poszukiwawczego zdążyli już niemal zająć stanowiska.

Kierując się sygnałem nadajnika, który Edel połknął tuż przed opuszczeniem instytutu, podążali za nim w odległości kilku kilometrów, nim się zatrzymał. W restauracji dzięki aparaturze podsłuchowej udało im się ustalić, że Edel nie spotkał się z Newmanem. Dwóch zwiadowców ruszyło za opuszczającym lokal Ghislainem,

Kiedy śledzący Edela agenci zauważyli, że ten kilkakrotnie niespodziewanie skręca albo się cofa, Kilgore już wiedział - szef ochrony był z Newmanem, oddział otoczył teren, jak tylko weszli do sklepu.

Edel był doskonale zorientowany w planie ataku. Ludzie Kilgore'a mieli odczekać piętnaście minut, a potem wkroczyć do akcji.

Jako były członek grup antyterrorystycznych, Edel znał wszelkie zasady ataku. ZSB, jak nazywali to zawodowcy.

Zaskoczenie.

Szybkość.

Bezwzględność.

Każdy z tych elementów był konieczny, by zneutralizować cel.

Kilgore sprawdził na swoim zegarku godzinę. Pozostała jeszcze minuta.

- Big Dog Five, tu Big Dog One. Melduj.

- Tu Big Dog Five. Zajęliśmy pozycję na północ od celu. Ładunki są rozmieszczone przy murze od strony ulicy, jesteśmy gotowi wkroczyć, gdy tylko dostaniemy rozkaz.

- Big Dog Nine, tu Big Dog One. Melduj.

- Tu Big Dog Nine. Zajęliśmy pozycję w piekarni na południe od celu. Ładunki na miejscach. Jesteśmy gotowi.

- Big Dog Seven, tu Big Dog One. Melduj.

- Tu Big Dog Seven. Jesteśmy przy solidnym murze z cegieł. Żadnych okien ani wejść. Pełne pogotowie.

- High Dog One i Two, tu Big Dog One. Melduj.

- High Dog Two do One. Mamy pełny widok pod kątem trzydziestu stopni na okna i drzwi frontowe. Niewyraźne sylwetki na papierze. Nie wiem, co to jest.

- Tu Big Dog One. Zrozumiałem.

Kilgore jeszcze raz sprawdził godzinę. Była już pora, ale on wciąż się wahał.

Odwrócił się do niewielkiej grupki stojącej obok wozu dowodzenia.

- To jedyna okazja, lepszej nie będzie. Jeśli macie jakieś inne propozycje, to ostatni moment, żeby je przedstawić.

Jeden po drugim potrząsali przecząco głowami. Patrycja, Kapf, Tabbart, nikt z nich nie wypowiedział nawet słowa. Ale na twarzach mieli wypisany strach.

Rujnow, stojący na prośbę Kilgore'a z tyłu, również pokręcił z wolną głową, po czym rozpląnął się w mroku.

Kilgore wziął do ręki mikrofon.

- High Dog One, tu Big Dog One. Dajcie dwa loty w północne i południowe okna od frontu. Na mój rozkaz.

- Tu High Dog One, zrozumiałem, lot północ i południe.

Patrycja nachyliła się do Kapfa.

- Co to jest lot?

Kapf ani na chwilę nie odrywał wzroku od drzwi sklepu.

- Pocisk z gazem łzawiącym.

- Big Dog Five. Big Dog Nine. Tu Big Dog One. Wchodźcie z flesztym na raz, dwa, trzy, po lotach.

- Tu Big Dog Five, zrozumiałem.

- Tu Big Dog Nine, zrozumiałem.

Patrycja nie bardzo orientowała się, o co chodzi, ale Kapf tylko mruknął:

- Granaty, które dają przy wybuchu oślepiające światło.

Kilgore spojrział na zegarek.

- Nie mogę dłużej ryzykować. High Dog One, tu Big Dog One.

- Zgłasza się High Dog One.

- Odliczcie do dziesięciu, potem macie zielone światło.

- High Dog Two do One. Zrozumiałem.

Dziesięć sekund później, mały niepozorny sklep zamienił się w zięjącego ogniem smoka.

Na ulicy odbiło się echem osiem czy dziewięć ogłuszających eksplozji, a wewnątrz pomieszczenia skoczyły w górę błyskawice pomarańczowego i niebieskiego światła. Przez stłuczone szyby dobywał się dym, który w połączeniu z odłamkami szkła z sąsiednich budynków tworzył surrealistyczną scenę z piekła rodem.

Do środka natychmiast wdarli się uzbrojeni ludzie w maskach przeciwgazowych.

Wskakując przez drzwi i puste okna, wlewali się do małego sklepu niczym mrówki atakujące zewłok martwego zwierzęcia. Kilgore wkroczył z drugą falą atakujących.

Dziesięć minut później ubrudzony sadzą kapitan wyszedł powolnym krokiem na ulicę, gdzie stała już grupa psychiatrów.

- Nic.
- Co? - głos Tabbarta wzniósł się o dwie oktawy.

Kilgore rozłożył ręce.

- Nic. Pomieszczenie jest puste. - Zaczerpnął łyk tlenu ze swojego aparatu.

Oczy miał załzawione od gazu. - Byli tam, ale na tyłach sklepu znaleźliśmy dziurę, wielką jak cholera. - Urwał, by znów odetchnąć tlenem. - Ten sukinsyn przebił się przez fundamenty wprost do starego kanału ściekowego. Chyba jeszcze sprzed wojny. Posłałem tam ludzi, ale to pieprzony labirynt.

- Jak prędko go dopadniecie? - spytał z nadzieją w głosie Tabbart.

Kilgore przygwoździł go wściekłym spojrzeniem.

- Ostatnim razem zabrało nam to trzydzieści pięć dni.

Gdy psychiatrzy zaczęli dyskutować gorączkowo między sobą, kapitan przyłożył aparat tlenowy do twarzy, a potem wytarł wilgotną chusteczką oczy.

- Jeszcze jedna rzecz, chłopaki.

Spojrzeni na niego.

- W środku jest coś, co powinniście zobaczyć.

Kilometr dalej, w głębi parku Wittelsbach, kratka u wyjścia z kanału zgrzytała pod bezustannym naporem czterech rąk. W końcu ustąpiła z głośnym trzaskiem.

Z otworu wyjrzała ostrożnie para oczu. Po chwili obróciły się prawie niedostrzegalnie wokoło, penetrując zielony park, by na podobieństwo ślepiów jakiejś podziemnej istoty, cofnąć się w głąb otworu. W minutę później wygramolił się z niego Edel, a w ślad za nim Newman.

- Hej, nie musiałeś mi towarzyszyć - mówił Newman, podnosząc się.

Edel krwawił lekko z nosa.

- Nie miałem wyboru.

Newman popatrzył na niego.

- Ja cię tylko włączyłem do gry. Gdybym tego nie zrobił, oglądałbyś teraz mój grzebek na koszt Stanów Zjednoczonych. - Rozejrzał się. - Czas ruszać. - Zrobił kilka kroków, by po chwili znów odwrócić się do wycieńczonego szefa ochrony. - Nie idź za mną, dobrze? Nie po to ratowałem życie, żeby cię teraz zabić.

Edel spojrzał na swojego... towarzysza.

- Nie uciekaj. Pozwól się aresztować. Przyrzekam, że nie stanie ci się krzywda.

Newman przystanął.

- A ten fajerwerk w sklepie? Nie, dzięki.

Edel podszedł do niego.

- Brian...

Nagle rozległ się strzał.

Newman rzucił się na ziemię i przekręcił na bok. Niemal w tym samym momencie wyciągnął pistolet tt-33, który dostarczył mu Ghislain. Wystrzelił szybko cztery razy, celując w miejsce, gdzie dostrzegł błysk ognia.

Kiedy przeciwnik nie odpowiedział, Newman uniósł się na kolana i posłał w ciemność cztery kolejne pociski. Wyciągnął błyskawicznie pusty magazynek i załadował następny. Zza skały wyskoczyła jakaś postać i zaczęła uciekać.

Newman wystrzelił w ślad za biegnącym pięć razy, a potem powoli podniósł się na nogi.

- Znam go - powiedział cicho. - Po chwili odwrócił się do Edela. - Jak oni, u licha, się zorientowali, gdzie... - urwał.

Edel, na czworakach, kołysał się wolno w przód i w tył. Głowę miał zwieszoną i od-
dychał ciężko.

Newman podszedł do niego i przyklęknął.

- Gdzie cię trafił? - spytał cicho.

- Dobrze... wycelował... - wycharczał Edel.

Newman zaklął pod nosem.

- Cholera.

Przyniesiono duże wentylatory, by przewietrzyć pomieszczenie, ale nawet teraz, po upływie dwudziestu minut, wyczuwało się woń gazu łzawiącego. Troje psychiatrów trzymało chustki przy twarzach, obchodząc ostrożnie gruz, który zalegał całe pomieszczenie - pozostałość po ataku.

Wokół, przebierając w pobojowisku, krzatali się specjaliści od zbierania dowodów. Oglądali uważnie każdy plastikowy kubek, każdą papierową torebkę i fragment odzieży w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki, która pozwoliłaby znów wpaść na trop Newmana.

Technicy ustawiali pospiesznie lampy sodowe, oświetlając pogrążone w ciemności tyły pomieszczenia, gdzie ładunki wybuchowe uszkodziły żarówki.

Ludzie z trzech pododdziałów uderzeniowych stali z dowódcami wokół ogromnych dziur w północnej i południowej ścianie. Omawiano przebieg akcji, by następnym razem uniknąć błędów.

Wszyscy jednak zadawali sobie to samo pytanie.

Czy będzie ten następny raz?

Kilgore poprowadził psychiatrów przez pobojowisko na tyły pomieszczenia.

- Tam, na ścianie.

Patrycja rozglądała się ciekawie.

- Chcielibyśmy dostać listę i dokładny opis albo zdjęcia wszystkiego, co pan znajdzie, kapitanie. Mogłoby nam to pomóc w ustaleniu, jaki będzie jego następny ruch.

- Dopilnuję tego - obiecał Kilgore, zatrzymując się i omiatając ścianę strumieniem światła z latarki. - Tutaj.

Psychiatrzy wpatrywali się w rozproszony mrok.

- To jakieś malowidło - stwierdziła Patrycja, starając się objąć wzrokiem jego rozmiary.

- Chyba wykonane tuszem - dodał Tabbart.

Kilgore skierował światło latarki na podłogę. Pod ścianą leżało osiem czy dziewięć pisaków w różnych kolorach.

- Znaleźliśmy ich około pięćdziesięciu. Walały się wszędzie - powiedział.

Kapf zbliżył się do malowidła na odległość kilku centymetrów.

- Można to lepiej oświetlić, kapitanie? - spytał mrużąc oczy, by tym lepiej dostrzec szczegóły.

Kilgore skinął na przechodzącego obok kaprała.

- Załatwisz to, Tony?
- Za kilka sekund, szefie.

Pół minuty później ożyły z trzaskiem lampy sodowe, rozświetlając tę część pomieszczenia.

- Niesamowite - wykrzyknęła podnieconym głosem Patrycja.
- Niezwykle - szepnął do siebie Tabbart.

Kapf cofnął się o kilka kroków, by objąć spojrzeniem całe malowidło. Stał nieruchomo prawie minutę, nie mówiąc ani słowa. Tylko po jego surowym obliczu spływała ledwie widoczna łza.

- Czy to możliwe, żeby namalował to ktoś przed Newmanem? - spytała Patrycja.

Kapf potrzęsął głową.

- Spójrzcie na twarze.

Scena przedstawiona na obrazie rozgrywała się na jakimś polu.

Jasnoliliowe niebo z pomarańczowymi chmurami zwieszało się pogodnie nad zieloną ziemią. Krzewiaste pagórki pokrywały krzyżujące się ze sobą, wydeptane ścieżki.

Pośrodku tej sielankowej okolicy można było dostrzec sześcioro ludzi. Pięciu mężczyzn i kobietę. Biegli nadzy ku pagórkom. Ich twarze wykrzywiał straszliwy ból, ciała zlewała krew brocząca z czerwonych pręg na skórze.

W postaciach tych uderzało niesamowite, choć niezbyt wierne, podobieństwo do Alexandra Becka, Manfreda Tabbarta, Jacka Clemente, Otto Kapfa, Konrada Edela i Patrycji Nellwyn.

Wydawało się, że biegną zagłębieni niemal po kolana w stosach umęczonych, półwartowanych, rozkładających się ciał. A za nimi, w połowie drogi między ziemią a niebem, leciał rój...czegoś.

Przypominało to owady, dwukrotnie mniejsze od biegnących postaci. Zdawało się, że ścigając uciekinierów, z mozołem uderzają przezroczystymi skrzydłami powietrze. Ich ciała pokrywała stal - siedem lub osiem kawałków blachy, przytwierdzonych do odwłoków żelaznymi nitami. Miały długie, wygięte ku górze ogony zakończone boleśnie ostrymi, czerwonymi żądłami. Z niektórych ściekały krople krwi; z jednego zwisało oderwane ludzkie ramię; na jeszcze innym tkwiło, niczym białe na pal, serce. Głowy tych owadzych stworów, nieproporcjonalnie duże w stosunku do ciał, zwieńczone złotymi pięcioramiennymi koronami, miały długie, jedwabiste białe włosy. Twarze, niektóre z profilu, inne częściowo zakryte, jeszcze inne obrócone ku patrzącym, miały ludzkie rysy - zawsze te same, tak dobrze znane obecnym.

Z oblicza każdego owada spoglądał - bądź to na ciała, bądź to na uciekających - Brian Newman. Oczy żółtopomarańczowe, zęby przesadnie długie i ostre, wyraz twarzy niepohamowanie dziki - ale był to Newman.

W rogu malowidła, obok czegoś, co przypominało krater wulkanu, z którego wylatywały owadzie stwory, stała jeszcze jedna postać.

Psychiatrzy, którzy przez dobre dziesięć minut nie mogli otrząsnąć się z szoku, próbując pojąć sens przedstawionej sceny, skupili się teraz wokół tego właśnie fragmentu. Oglądali go przez szkło powiększające, które Kilgore znalazł na podłodze, studiowali po

kolei coś, co okazało się sylwetką człowieka. Smugi dymu wydobywającego się z krateru tworzyły nad głową tej postaci rząd cyfr: 2-27-9-1-11.

- Trzeba to z całą pieczołowitością zachować - wyszeptała Patrycja.
- Zgadzam się - przytaknął Tabbart, również zniżywszy głos.

Kapf chodził w tę i z powrotem po pobojuwisku, zagryzając wargi i potrząsając głową, jakby klócił się z samym sobą, nie zwracając uwagi na malowidło, od którego pozostali nie mogli oderwać wzroku.

Wreszcie przystanął, uklęknął, po czym oczyścił z kurzu książkę, którą wyciągnął spod fragmentu ściany. Usiadł i zaczął ją kartkować.

- Gniew skierowany na tych, których uważa za swoich prześladowców - stwierdził fachowo Tabbart. - Rozumiem. Ale ciekawe, że ukazał siebie w owadziej postaci. Być

może doszedł tu do głosu utajony kompleks niższości. Komar rozgniatający człowieka, by się tak wyrazić.

Patrycja potrząsnęła głową.

- To wygląda bardziej na metamorfozę. Od gąsienicy poprzez larwę i poczwarkę do całkowicie ukształtowanej postaci. - Wskazała malowidło. - Newman podjął próbę wyjaśnienia swego ewolucyjnego rozwoju. Od słabego, bezbronnoego *Homo Sapiens* do *Homo Crudelis*, bezlitosnego człowieka o lodowatym sercu, wykutego w trzewiach wulkanu, przychodzącego na świat, by zmierzyć się ze słabszą formą ewolucyjną w walce o dominację na planecie.

Nim Tabbart zdążył jej przerwać, odezwał się nagle Kapf. Obydwoje spojrzeli na niego.

- „I piąty anioł zatrąbił - czytał mocnym głosem - i ujrzałem gwiazdę, która spadła na ziemię, i dano jej klucz do studni Czeluści. I otworzyła studnię Czeluści, a dym uniósł się ze studni jak dym z wielkiego pieca, i od dymu studni zaćmiło się słońce i powietrze”.

Patrycja i Tabbart obrócili się z wolna ku malowidłu, wodząc wzrokiem od wulkanu po liliowe niebo.

Kapf czytał dalej:

- „Z dymu wyszła szarańcza na ziemię, i dano jej moc, jaką mają ziemskie skorpiony. I powiedziano jej, by nie czyniła szkody trawie na ziemi ani żadnej zieleni, ani żadnemu drzewu, lecz tylko ludziom, którzy nie mają pieczęci Boga na czołach”. - Wstał i podszedł do malowidła. - Wszystko staje się jasne - powiedział cicho. - Dziwna inskrypcja na kopercie, jego słowa, że to inni muszą się dostosować do niego, a nie odwrotnie. Inicjały przy podpisie. - Umilkł na chwilę. - Ten rysunek. - Znów zaczął czytać: „A wygląd szarańczy: podobna do koni uszykowanych do boju, na głowach ich jakby wieńce podobne do złota, oblicza ich jakby oblicza ludzi, i miały włosy jakby włosy kobiet, a zęby ich były jakby zęby lwów, i przody tułowi miały jakby pancerze żelazne...I mają ogony podobne do skorpionowych oraz żądła”. - Zamknął książkę i dokończył z pamięci: - „Mają nad sobą króla - anioła Czeluści; imię jego po hebrajsku ABADDON, a w greckim języku ma imię APOLLYON”.

Tabbart, roztrzęsiony, spojrział na malowidło, ale Patrycja nie rozumiała.

- O co tu chodzi? - spytała z wahaniem.

Kapf roześmiał się cynicznie.

- To aż nadto oczywiste - stwierdził. - Brian Newman całkowicie oszalał.
- Co?

Kilgore, który przez ostatnich kilka minut rozmawiał przez telefon komórkowy, podszedł do nich i włączył się do rozmowy.

- Mamy tego człowieka, który spotkał się z Edelem. To właściciel domu publicznego we wschodniej dzielnicy miasta. - Spojrzał na Patrycję i Kapfa, na ich nieruchome, jakby zastygłe twarze. - Co się stało?

Kapf przejął inicjatywę.

- Proszę mówić dalej, kapitanie.
- No cóż, ten człowiek jest gotów zeznawać - ciągnął podenerwowany Kilgore. - Zdążył już nam podać fałszywe nazwiska Newmana. Lokalna policja przypuszcza, że uda nam się wyciągnąć z niego znacznie więcej.

- Które nazwisko podał, kapitanie? Abaddon czy Apollyon?
- Apollyon - zaskoczenie niemal odebrało Kilgore'owi mowę. - Skąd pan...
- A więc jest teraz Charonem Apollyonem - zauważył Kapf głęboko zamyślony.

Kilgore spojrział na kartkę papieru w swoim ręku.

- Skąd u licha pan wiedział?

Kapf nie spuszczał wzroku z Patrycji.

- Wychowano mnie w znacznie surowszym świecie niż wasz - stwierdził z namysłem. - Moi nauczyciele to szkoła i Kościół. Jak większość moich rodaków, nie wyłączając Edela, dobrze znam tę historię, tak przerażająco przedstawioną przez Newmana. - Spojrział na trzęsącego się Tabbarta. - Obawiam się, że wykorzystywano ją wielokrotnie, by natchnąć człowieka strachem, jak powiadają Amerykanie. Rozpoznałem ją niemal natychmiast, podobnie jak Edel. A tak na marginesie, znaleźliście go już?

- Nie - odparł Kilgore, wpatrując się w malowidło.

Kapf westchnął.

- Nie - powtórzył i umilkł na chwilę. - Liczby nad tą mroczną postacią potwierdziły tylko moje przypuszczenia. To stary luterkański sposób oznaczania wybranych fragmentów Biblii. - Podał Kilgore'owi biblię. - Dwójka wskazuje na drugi lub Nowy Testament. Dwadzieścia siedem to Apokalipsa. Dziewiątka - numer rozdziału. Jedynka - to pierwszy wiersz, początek opowieści; jedenastka - wiersz jedenasty, jej koniec.

Kilgore odszukał odpowiedni fragment, przeczytał, po czym znów spojrział na malowidło.

- Dość wierne odtworzenie - przyznał. - A imię, jakim się posługuje?

- „Do moich wszystkich przyjaciół na brzegu” - uśmiechnął się Kapf. - Proszę nie zapominać o inskrypcji na kopercie znalezionej przy Becku. Charon to postać z greckiej mitologii, przewoził dusze zmarłych przez Styks. Kiedy potwierdził pan, że Newman wybrał sobie na nazwisko greckie miano anioła czeluści, reszta była już jasna. - Podeszedł do malowidła. - Proszę pamiętać, że swój list do Edela podpisał inicjałami CA., umieszczonymi po imieniu i nazwisku. Charon Apollyon. Wszystko się zgadza.

- Nie dla mnie - odparła gniewnie Patrycja. - Absolutnie! - Zrobiła kilka energicznych kroków, ale po chwili przystanęła i obróciła się na pięcie. - I kto tu mówi, że on oszalał!

Kapf potrząsnął głową, odstepił od malowidła i wskazał głową przerażające obrazy.

- On sam.

Newman pomógł Edelowi położyć się na kamiennej ławce pod autobusową wiatą na obrzeżach parku Wittelsbacha. Ściągnął mu koszulę, zwinął ją i podłożył ostrożnie pod głowę. Edel jęknął, gdy jego ciałem wstrząsnął paroksyzm bólu.

- Chyba koniec ze mną - powiedział słabym głosem.

Newman nie próbował go oszukiwać.

- Dostałeś w brzuch, masz silny krwotok wewnętrzny. Kula musiała uszkodzić kilka organów.

Na twarzy Edela pojawił się wyraz rozbawienia.

- Po tych wszystkich latach... - urwał i wypłuł trochę krwi. Newman szybko otarł umierającemu człowiekowi twarz. - Po tych wszystkich latach... oberwać śmiertelnie od swojego. - Uśmiechnął się słabo. - Prawdziwa ironia losu.

Newman spojrzał na niego.

- Nie wiem, czy sprawi ci to ulgę, ale to nie był swój.

- Nie?

Newman potrząsnął głową.

- To był Rosjanin. - Jego oczy spoglądały zimno, mięśnie drżały jak u dzikiego zwierzęcia. - Pułkownik o nazwisku Rujnow.

Nie wiadomo dlaczego wydawało się, że Edel jest zadowolony.

- Dostrzegam w tym pewną symetrię - stwierdził cicho niegdyśszy bezlitosny wojownik. Spojrzał Newmanowi w oczy. - Zabijesz tego pułkownika?

- Bez wątpienia - głos Newmana był zimny jak stal.

Edel poruszył się, co wywołało w jego ciele kolejną falę bólu.

- To nie po chrześcijańsku - powiedział pełnym cierpienia głosem. - Ale czuję się przez to... - szukał z wysiłkiem odpowiedniego słowa. - Czysty. Rozumiesz?

- Rozumiem.

Newman odsunął mu włosy z czoła.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? Chcesz, żebym załatwił jakieś sprawy? - spytał cicho, ale bez cienia troski.

Edel wykrzywił usta.

- Jestem sam, jeśli nie liczyć mojego Boga. - Urwał. - Ale chcę być pochowany na cmentarzu przykościelnym. Obok jałowca.

- Dopilnuję, żeby się o tym dowiedzieli. - A jeśli nie, to sam cię pochowam. Masz moje słowo.

Edel uśmiechnął się, wypływając więcej krwi.

- To jedna z ważniejszych rzeczy, prawda?

- Tak.

Szef ochrony wydawał się zadowolony.

- Jeszcze jedno.

- Słucham.

- Mówili o tobie mnóstwo różnych rzeczy. - Próbował się uśmiechnąć, ale ból był te-

raz nie do zniesienia. - Gaduły, niedowiarki, doktorzy. I widziałem obraz. Twój obraz. -
Urwał, czekając, aż minie ból. - Chciałbym wiedzieć.

Newman nachylił się i wyszeptał coś umierającemu człowiekowi do ucha.

Na twarzy Edela pojawił się z wolna uśmiech. Newman wyprostował się.

- Ach, tak właśnie powinno być - wymamrotał szef ochrony. Spojrzał na Newmana z tęsknotą w oczach. - Ludzie nie muszą cierpieć niepotrzebnie, jak myślisz?

Newman potrząsnął głową, stanął na baczność i zaszalutował.

Edel naprężył się, zamknął oczy i zaczął się modlić:

- Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje. Przyjdź królestwo Twoje,
bądź wola twoja...

Prawa dłoń Newmana przecięła jak błyskawica powietrze, miażdżąc Edelowi nos i wbijając kawałki kości w mózg. Przez ciało przebiegł śmiertelny skurcz, potem wszystko znieruchomiło.

- ...jako w niebie, tak i na ziemi - dokończył Newman, odwracając się i oddalając w noc.

Była na nogach bez przerwy od ponad trzydziestu godzin. Bluzka i marynarka, pomimo nocnego zimna, już dawno przesiąkły potem. Czuła w skroniach pulsowanie, wywołane brakiem snu, głodem, niepokojem i gniewem.

Patrycja rzuciła na łóżko torebkę i zdjęła ubranie. Pal licha hipotezy, spory czy zmarwienia, w tej chwili myślała tylko o prysznicu, posiłku i kilku godzinach snu.

Całą resztą zajmie się później.

Wzięła szlafrok i poszła do łazienki.

Kiedy przestępowała próg, jakaś silna dłoń, która pojawiła się znikąd, chwyciła ją za gardło, uniosła z żelazną siłą i cisnęła brutalnie na ścianę łazienki.

Ledwie była w stanie oddychać i myśleć, gdy Newman przysunął do niej twarz.

Patrzył szeroko otwartymi oczami, bez zmrużenia powiek. Nozdrza mu drgały w takt równych, głębokich oddechów, na twarzy malowało się coś więcej niż wściekłość. Przyszło jej do głowy, że jeśli śmierć ma jakieś oblicze, to musi ono wyglądać właśnie tak.

- Mam wiadomość dla ciebie i twoich kolegów - wyszeptał chrapliwie Newman. - Czynię cię odpowiedzialną za jej przekazanie. Zgadzasz się? Jeśli tak - skiń głową. Jeśli nie - umrzesz.

Czuła jego oddech na twarzy, gdy szybko przytaknęła.

- Konrad Edel nie żyje. Zginaj z mojej ręki, ale nie z mojej woli. Ma być pochowany na cmentarzu swojego kościoła, przy krzewie jałowca. Jesteś za to odpowiedzialna. Tak czy nie?

Dała mu znak oczami, że się zgadza.

- Wkrótce odchodzę. Jeśli spróbujecie mnie powstrzymać spowodujecie klęskę jakiej nawet nie umiesz sobie wyobrazić. - Umilkł na chwilę. - Nie tylko w Abchazji znajdują się reaktory. Nie będziecie mi przeszkadzać w opuszczeniu kraju.

Jesteś za to odpowiedzialna. Tak - skiń głową. Nie - umrzesz.

I znów szybkie, pełne przerażenia kiwnięcie głową.

Odciągnął ją od ściany i zawlókł z powrotem do sypialni. Rzucił na łóżko.

Próbowała rozpaczliwie sięgnąć do szuflady nocnego stolika, gdzie trzymała broń.

Bez większego wysiłku chwycił ją za kostkę u nogi i przyciągnął do siebie.

Dwie minuty później leżała skrępowana.

Pomimo paralizującego strachu, jaki w niej z każdą chwilą narastał, „koleżanka Patty” czuła coś jeszcze - radość z bezpośredniego, brutalnego, nie mającego nic wspólnego z praktyką kliniczną kontaktu z demonem czy też bohaterem jej pracy naukowej i marzeń.

Gdy Newman sięgnął nad nią po chustę, która leżała na nocnym stoliku, jego twarz przesunęła się centymetry od jej twarzy; prawą dłońią musnął przypadkiem nagą pierś.

Zdarzała w niespokojnym oczekiwaniu, ale jakby po chwili zastanowienia tchnęła: - Nie! Proszę, nie!

Newman spojrział na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Potem zachichotał, rozejrzał się wokół, podniósł z podłogi szlafrok i rzucił na jej nagie ciało.

- Nigdy nie miałaś tego jak należy, co? - spytał z rozbawieniem, które niemal natychmiast zniknęło pod maską śmierci. - Jeszcze jedno - dodał, nachylając się nad rozciągniętą na łóżku kobietą. - Kiedy będzie już po wszystkim, kiedy już wyjadę z kraju, a wy zaczniecie zapominać, co się tak naprawdę stało...kiedy będziecie już myśleć tylko o waszych ukochanych teoriach i pytaniach bez odpowiedzi... - urwał i przysunął usta tuż do jej ucha. - Nie podążajcie za mną. Nigdy - wyszeptał. - Zostawcie mnie w spokoju. Każdy, kto będzie mnie szukał... ponosisz za to odpowiedzialność.

Zakneblował ją, ściągnął z łóżka, po czym podszedł do telefonu. Wykręcił jakiś numer i spokojnie czekał, aż zgłosi się rozmówca.

- Cześć - rzucił wesoło do słuchawki. - Czy mogę mówić z Johnem Kilgorem, pokój 1296? Wielkie dzięki.

Odwrócił się do Patrycji i czekając na połączenie poluzował jej więzy na kostkach. Nagle skupił się na telefonie.

- Kapitan Kilgore?

- Kto mówi?

- Charon Apollyon.

Długa chwila ciszy po drugiej stronie.

- Tak?

- Przykro mi, że nigdy nie spotkaliśmy się osobiście - stwierdził swobodnym tonem Newman. - Myślę, że moglibyśmy zostać przyjaciółmi.

- To nadal możliwe - zauważył ostrożnie Kilgore. - A gdybyśmy tak umówili się gdzieś i pogadali o tym?

- Okej.

- Co? Aha, okej. Gdzie chciałby pan...

Newman zrobił oko do Patrycji.

- Jestem u pani Nellwyn. Może tutaj? - Milczał przez moment. - Ma pan czterdzieści minut - dodał i odłożył słuchawkę.

Znów uśmiechnął się do Patrycji, która wyglądała na przerażoną.

- Spokojnie, pani doktor. Wychodzę, ale ktoś musi panią rozwiązać.

Ruszył w stronę drzwi.

Nagle przystanął, jakby sobie coś przypomniął, po czym zawrócił.

Ściągnął z niej szlafrok i cisnął go do łazienki.

Patrzył z góry, uśmiechnięty, na jej odsłonięte, nagie ciało.

- Będzie to dla pani naprawdę poniżające, gdy za dwadzieścia parę minut wpadnie tu cała zgraja facetów. - Znów ruszył ku drzwiom. - Trochę pokory dobrze pani zrobi.

Rozdział czternasty

Wiedeń, często nazywany królową Dunaju, leży w punkcie, gdzie krzyżuje się większość szlaków handlowych Europy. Jest to wielki port i centrum handlowe, a także miasto biznesu o bogatej i dramatycznej historii.

Jest czymś jeszcze: szpiegowską stolicą świata.

Najświeższe badania przeprowadzone przez amerykańskich ekspertów dowodzą, że co szósty szpieg na świecie pracuje albo rezyduje w Wiedniu.

Ponieważ stolica Austrii jest jedynym miastem świata, w którym znajdują się wszystkie ambasady państw należących do Organizacji Narodów Zjednoczonych, jak również ponad trzydzieści przedstawicielstw przeróżnych „ruchów wyzwolenia”, rzadko który dzień upływa tu bez jakiejś szpiegowskiej intrygi.

Centrum Wiednia nazywane jest Innere Stadt. Ze swoimi szerokimi bulwarami - w miejscu starych murów obronnych - i Ringstrasse, z licznymi parkami otaczającymi budynki, w których mieszczą się rządowe i zagraniczne instytucje, Innere Stadt nieodmiennie przyciąga każdego przyjeźdnego, nie wyłączając tych, którzy stanowią trzon międzynarodowego szpiegostwa albo są z nim w jakiś sposób powiązani.

W samym centrum Innere Stadt, dokładnie na południowy zachód od najsłynniejszego budynku Wiednia - wysokiej na sto pięćdziesiąt metrów katedry Św. Stefana - znajduje się ratusz.

Jest to gotycki gmach pośrodku niewielkiego parku, z wieżą zegarową, wznoszącą się na wysokość stu metrów. Mieści w swych murach bibliotekę miejską, muzeum historyczne i, w bocznym skrzydle, najsłynniejszą w świecie kolekcję broni.

Pośród tego zbioru, w każdy poniedziałek i czwartek między dziewiątą rano a południem, przesiaduje Abd al Qadir Yaman Ibn Musa Abu Khayyat, największy w świecie

handlarz fałszywymi dokumentami.

W włoskim garniturze za dwa tysiące dolarów, w butach wartych pięćset, świeżo ostrzyżony w luksusowym salonie fryzjerskim, siedzi przed wystawą szesnastowiecznej broni palnej, czytając „Times of London”.

Wraz z dwunastym uderzeniem zegara na wieży człowiek ten wstaje, złożywszy starannie gazetę, chowa ją do teczki z cielęcej skóry i wychodzi.

Razem z nim wychodzi ten, kogo akurat jakiś wywiad przysłał w celu obserwacji.

Nie przejmuje się tym. Jego klienci, z których wielu należało do tych samych służb wywiadowczych, które go tak uważnie śledziły, nigdy nie przychodzili do niego osobiście. Mówiło się, że Abd al Qadir, jak nazywali go przyjaciele, sam jeden wspiera kwitnący biznes pośrednictwa w Wiedniu.

Nie okazał więc zdziwienia, gdy w pewien poniedziałkowy rano usiadł obok niego w milczeniu jakiś mężczyzna.

Abd czytał dalej.

- Mamy wspólnych znajomych? - spytał zza gazety.

Mężczyzna skinął głową.

- Armaico.

- Proszę dalej - Abd al Qadir przewrócił stronę gazety.

- Navinco.

- Coś jeszcze?

- Florida Meridian Air.

Handlarz dokumentami zmarszczył brwi, nie przerywając czytania. To były dobre nazwy, oznaczały instytucje wywiadu amerykańskiego, z którymi w przeszłości miał już do czynienia. Ale nie w ciągu ostatnich pięciu lat.

- Czuję przypływ nostalgii - stwierdził, zerkając na mężczyznę obok.

Po czterdziestce, długie włosy, gęsta broda i duże okulary przeciwsłoneczne, na głowie pognieciony kapelusz.

Nie należał do stałych klientów Abd al Qadira.

Zapadło milczenie.

- Doskonale - powiedział w końcu Abd al Qadir. - Może pan złożyć zamówienie, ale będę potrzebował większej niż zwykle zaliczki.

Nieznajomy skinął głową.

- Zgoda.

Położył na ławce, między nimi, małą karteczkę. Abd al Qadir wziął ją od niechcienia i zasłaniając gazetą rozwinął.

- Dokumenty podróżne to rutyna. Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt pięć marek niemieckich za sztukę. Świadectwo urodzenia i chrztu, powiedzmy dziewięćset osiemdziesiąt dwie marki. - Zamilkł, a po chwili dodał: - Z dwoma pozostałymi mogą być problemy.

Mężczyzna nie zareagował.

Abd al Qadir poczuł się nieswojo. W przypadku kłopotliwych dokumentów zawsze dochodziło do negocjacji.

- Dysponuję odpowiednimi kontaktami - stwierdził po chwili. - Będę musiał jednak zażądać dodatkowej opłaty.

- Nie ma sprawy.

- Sześć tysięcy pięćset pięćdziesiąt marek za każdy egzemplarz.

- I nie zostaną zakwestionowane przez komputer?

Abd al Qadir zachnął się, urażony.

- Oczywiście, że nie. - Dokonał w myślach obliczeń. - Trzy dokumenty podrózne, świadectwa urodzenia i pozostałe. - Umilkł. - Dwadzieścia tysięcy dziewięćset

pięćdziesiąt dziewięć marek. Albo piętnaście tysięcy dolarów amerykańskich.

Mężczyzna po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Nie wiedziałem, że daje pan zniżki. - Położył na ławce małą kopertę. - Zdjęcia, nazwisko, życiorysy, instrukcje dotyczące sposobu dostarczenia dokumentów i dziesięć tysięcy marek. Pozostałe siedem tysięcy trzysta sześćdziesiąt sześć dolarów i czterdzieści jeden centów przy odbiorze.

Abd al Qadir wziął kopertę.

- Zgoda.

- Jak długo to potrwa?

- Co najmniej dziesięć dni. Specjalne zamówienia wymagają czasu.

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę, po czym wstał.

- Dziesięć dni.

Oddalił się, oglądając mimochodem starodawne, szerokie miecze, zbroje i tarcze.

Para młodych kochanków, ślepa na wszystko z wyjątkiem samych siebie, odpłynęła w ślad za nim. Przystanęli na schodach ratusza, młoda kobieta ustawiła się pod jedną z ozdobnych kolumn, a jej chłopak czy mąż zrobił zdjęcie.

Zdołał na nim uchwycić, w dużym zbliżeniu, mężczyznę, który spotkał się z Abd al Qadirem.

- Jest w Wiedniu!

Do gabinetu Kilgore'a wpadł jak burza sierżant.

- Co?

Młody człowiek podał kapitanowi zdjęcie wykonane przed ratuszem.

- Grecki wywiad zauważył go, gdy dobijał targu z handlarzem dokumentami.

Kilgore oglądał zdjęcie przez szkło powiększające.

- To może być on - stwierdził ostrożnie.

- Mało tego - sierżant dosłownie promieniał. - Ich ludzie szli za nim przez jakiś czas.

Udało im się zdobyć papierowy kubek, z którego pił. Odciski palców potwierdzają jego tożsamość! - podał kapitanowi raport.

Uplłynęły trzy tygodnie od nieszczęsnej akcji w sklepie i od nalotu na dom doktor Nellwyn.

Od chwili, kiedy odnaleziono ciało Konrada Edela.

Ludzie z oddziału poszukiwawczego i władze niemieckie przesłuchiwały Ghislaina.

Prócz tego, że wymienił imię i nazwisko człowieka, który go wynajął - Charon Apollyon - nie przekazał żadnych istotnych informacji.

Wszystko, co znajdowało się w sklepie, zostało prześwietlone, poddane drobiazgowym badaniom i opisane. Sprowadzono specjalistów od analizy dzieł sztuki, którzy mieli ocenić malowidło na ścianie, nim je usunięto i przewieziono do instytutu w celu dalszych studiów.

Patrycja poddała się hipnozie, która pozwoliła ujawnić i zanalizować każdy szczegół konfrontacji z Newmanem. Trzykrotnie drobiazgowo przeszukano jej dom.

Mimo to nie znaleziono żadnych śladów Newmana!

Pozostała jeszcze jedna sprawa, która nie dawała nikomu spokoju.

Czy Newman spełniłby swoją nuklearną groźbę, gdyby odkrył, że nadal jest ścigany?

Podjęli wszelkie możliwe środki, by temu zapobiec.

Patrycja zajęła się pogrzebem Edela, którego pochowano na cmentarzu jego kościoła, nieopodal krzewów jałowca. Przyszli przedstawiciele władz i tłumy ludzi.

Szef rządu Republiki Federalnej Niemiec wygłosił mowę o „ludziach na pierwszej linii”; minister wspominał o „ostatniej nagrodzie”, a doktor Tabbart mówił o „fachowości i godności”.

Przez cały czas Kilgore obserwował dachy pobliskich domów, okna po drugiej stronie ulicy, tłum dziennikarzy i gapiów, mając nadzieję, że dostrzeże twarz człowieka, który jak przypuszczał musiał być gdzieś w pobliżu.

Zlikwidowali z wielkim hukiem punkt dowodzenia w stodole, a także ostentacyjnie wycofali ludzi i sprzęt z instytutu.

Ograniczyli w znacznym stopniu wszelkie działania, lecz nie zaprzestali poszukiwań.

Pracując w absolutnej tajemnicy, w ściśle strzeżonym hangarze w Bazie Powietrznej Rheinsgarth, bezustannie sprawdzali każdy możliwy trop. Spotykali się potajemnie z personelem instytutu, próbując stworzyć portret psychologiczny Newmana alias Charona Apollyona.

Do wszystkich amerykańskich agend wywiadowczych na całym świecie wysłali specjalny komunikat.

Sprawa Newmana zyskała pośród innych zadań status priorytetowy.

Poszukiwany - żywy lub martwy.

Ale to wszystko działo się przed trzema tygodniami, a od tego czasu nic się nie wydarzyło. Aż do chwili, gdy do gabinetu Kilgore'a wpadł młody sierżant z wiedeńskimi zdjęciami w rękę.

Kilgore udał się do pokoju analiz, gdzie pięciu innych ludzi badało już fotografie i odciski palców.

- No i co?

Porucznik podniósł wzrok.

- To on. Bez dwóch zdań.

Kilgore wciąż się wahał, zwlekał z podjęciem działania.

W ciągu pięćdziesięciu sześciu dni na wolności, Newman nie popełnił najmniejszego błędu. Nawet gdy go wytropili w sklepie. Kapf był przekonany, że ten facet chciał, by zobaczyli jego obraz. Nawet gdyby go wówczas nie znaleźli, sam by ich do niego zapro-

wadził.

Ani jednego błędu.

Ale Kapf był większym optymistą, gdy Kilgore poruszył ten temat. „Jeśli osobowość Newmana została wchłonięta przez psychopatycznego Apollyona, to w jego poczynania może wkraść się niekonsekwencja - stwierdził stary profesor. - A człowiek niekonsekwentny popełnia błędy.”

Człowiek niekonsekwentny popełnia błędy.

Choćby jeden błąd.

W ciągu pięćdziesięciu sześciu dni.

Pozwala się obserwować w czasie spotkania ze znanym handlarzem dokumentów, rozmawia z nim na widoku, w centrum szpiegowskim Europy.

Wydawało się to zbyt piękne.

Ale i możliwe.

Kilgore zwrócił się do swojego oficera łącznikowego.

- Możemy przycisnąć tego śmiecia od dokumentów?
- Nic z tego - odparł tamten. - Jest na liście nietykalnych.

Kilgore spojrzał na zastępcę.

- Więc?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Mieliśmy szczęście. I to cholerne.

Kilgore przytaknął. Zrobił kilka kroków, pogrążony w myślach. W końcu się zdecydował.

- Bob, zabierz do Wiednia dwa zespoły rozpoznawcze i dwóch zwiadowców. Zorganizuj punkt dowodzenia i rozpocznij poszukiwania. W ciągu trzydziestu sześciu godzin chcę mieć pełną ocenę sytuacji..

Porucznik wybiegł do drugiego pokoju.

Kilgore już wydawał rozkazy innemu oficerowi.

- Opracuj plan natychmiastowego przeniesienia całego oddziału. Skontaktuj się z kim trzeba w Austrii - zmierzaj do drzwi. - I niech ktoś mnie połączy telefonicznie z doktorem Kapfem.

Sześćdziesiąt cztery kilometry dalej, niecałą godzinę jazdy od bazy, Tabbart wyprowadził swój wóz i ruszył z instytutu w stronę domu.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie zaprzętał sobie głowy Brianem Newmanem, nawet o nim nie pomyślał podczas tego długiego, wyczerpującego dnia.

Dlatego był to bardzo udany dzień.

Choć nie wszystko przebiegało bez zakłóceń.

Walka Jacka Clemente z rakiem dobiegała końca. Tabbart współczuł koledze, ale bardziej martwił się, kto go zastąpi.

Rada chciała mianować na to stanowisko kogoś z instytutu, co jak podejrzewał, oznaczało, że wybór padnie na Patrycję Nellwyn. Nigdy nie mógłby się na to zgodzić. Planował zaangażować kogoś zza granicy, ale napotkał silny opór.

Rada rozważała również poszerzenie terenu instytutu poprzez wycięcie niemal połowy lasu. Już zaczęli się pojawiać hałaśliwi, paskudni przedstawiciele Zielonych, przykuwając się łańcuchami do drzew i napuszczając na dyrekcję dziennikarzy z kamerami.

Dla instytucji, której zależało na dyskrecji i prywatności, oznaczałoby to klęskę.

No i był jeszcze problem sponsorów.

Trzy firmy postanowiły cofnąć instytutowi Volkera dotacje. Tabbart spędził kilka godzin na rozmowach dotyczących tylko tego jednego zagadnienia.

Instytut Volkera zawsze czerpał dumę z faktu, że co roku leczył pewną liczbę pacjentów za darmo. Dzięki temu podtrzymywano wizerunek, który Tabbart tworzył przez minione dziewięć lat. Postanowił przeciwstawiać się wszelkim próbom ograniczenia dotacji!

Dzień pełen kłopotów, ale nie związanych z Brianem Newmanem. Uśmiechnął się, prowadząc samochód.

Zwolnił, gdy dotarł do jednopasmowego mostu nad dopływem Izary niedaleko domu. Przed nim stał jakiś samochód, więc Tabbart, zgodnie z przepisami, czekał aż tamten

przejedzie pierwszy, gdyż właśnie zapaliło się zielone światło.

Ale wóz nie ruszał.

Tabbart potrząsnął głową, dziwiąc się głupocie kierowców, a potem zatrąbił.

Bez rezultatu.

Ponownie wcisnął klakson, po czym odwrócił się, słysząc pukanie w boczną szybę po swojej stronie.

Mężczyzna stał tak blisko, że Tabbart nie wychylając się z wozu widział go tylko do ramion. Zdawało się, że nieznajomy patrzy ponad dachem mercedesa.

- *Was ist loss?* - spytał Tabbart.

Padła niewyraźna odpowiedź.

- Idiota - mruknął Tabbart, opuszczając szybę.

Mężczyzna nachylił się.

- *Was ist...* - Tabbart nie dokończył pytania, gdyż poczuł na twarzy chustkę nasączoną chloroformem. Natychmiast stracił przytomność.

Trzydzieści pięć minut później zaczął powoli wracać do siebie.

- Dobry wieczór - odezwał się w pobliżu męski głos.

Tabbart wciąż widział jak przez mgłę. Pulsowało mu w głowie, męczyły go mdłości.

- Co się dzieje? - spytał po niemiecku. - Jestem ważną osobą! Proszę mnie natychmiast uwolnić!

Posłyszał zbliżające się kroki, po czym drgnął, gdy poczuł na twarzy zimną, mokrą szmatę. Znowu odezwał się męski głos:

- Proszę mrugać. To pomoże.

Tabbart zrobił, co mu kazano, a gdy poczuł, że nie ma już szmaty przy twarzy, z wolna otworzył oczy.

- Mój Boże!

Newman pokręcił głową.

- Cieszyłbym się, gdybyście przestali to powtarzać.

- Co...pan...jak...? - zaczął się jękać Tabbart.

- Mam kilka pytań - przerwał mu beznamiętnym tonem Newman.

Gdy minął pierwszy szok, Tabbart zaczął odzyskiwać rezon.

- Nic panu nie powiem! Proszę mnie natychmiast uwolnić!

- Kim jest ten wysoki Rosjanin, z którym spotkał się pan u Hofkellera w dzielnicy

Reisch?

Strach Tabbarta rósł z każdą chwilą, umacniając w nim postanowienie, by nic nie mówić. Zacisnął mocno szczękę.

Newman przysunął sobie krzesło.

- Posłuchaj, Manfred - zaczął znów przyjacielskim tonem. - Obaj wiemy, że i tak powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć. Po co się męczyć? - Zamilkł, wyciągając powoli z buta nóż myśliwski. - Hofkeller. W dzielnicy Reisch. Wysoki Rosjanin, który handluje ikonami i antykami. Pamiętasz?

Tabbart nie mógł oderwać wzroku od ostrza, w którym odbijało się światło jedynej, nagiej żarówki w pomieszczeniu.

- Błagam - powiedział słabym głosem. Ilekroć lśniąco ostrze rzucało blask, czuł, jak jego odwaga coraz bardziej topnieje. - Błagam! O niczym nie mam pojęcia!

Newman nie tracił cierpliwości.

- Masz pojęcie o anatomii.

Wciąż mówił jakby od niechcenia, ale jego głos, niczym zwalniana taśma, tracił stopniowo intonację.

Wyciągnął rękę i szybko rozpiął Tabbartowi spodnie, po czym ściągnął mu je wraz ze slipami aż do kostek.

Tabbart zmagął się z więzami, chciał krzyknąć, wzywać pomocy.

Zdołał tylko cicho jęknąć.

- Błagam!

- Posłuchaj - ciągnął Newman. - Żadna z ran, jakie ci zadam, nie będzie śmiertelna. Opatrzę je, a potem zaczniemy od nowa. - Zamilkł, przysuwając twarz do Tabbarta. - Jesteś lekarzem. Wiesz, ile organów mogę ci uszkodzić, nie powodując śmierci. - Opuścił ostrze noża, aż dotknęło odsłoniętego penisa. - Albo odciąć.

Tabbart próbował się cofnąć, przewrócić do tyłu krzesło, ale Newman wyciągnął dłoń, ujął miękki organ i ścisnął.

- Nie! - wrzasnął Tabbart.

Newman zrobił małe nacięcie na czubku napiętego członka.

- Hofkeller. W Reisch. Wysoki Rosjanin, który handluje ikonami i antykami. Pamiętasz?

Kapf, który przebywał w elektronicznie zabezpieczonej sali konferencyjnej instytutu, potrząsała głową i odłożył słuchawkę telefonu.

- Szef musiał się gdzieś zatrzymać - stwierdził. - Proponuję, byśmy kontynuowali bez niego.

- Okej - odparł Kilgore, siadając przy stole. Spojrzał na Patrycję, która szybko skierowała wzrok na leżące przed nią dokumenty. Uśmiechnął się. - Zechce pani zacząć, doktor Nellwyn?

- Zgoda. - Przewróciła kilka kartek, po czym popatrzyła po obecnych. - Musimy rozważyć dwa zagadnienia. Po pierwsze, dlaczego jest w Austrii? Po drugie, jakie są jego zamiary? Dokąd zmierza i jak chce się tam dostać?

- A więc jest pani przekonana, że to nie bluff? Że nie ma w tym żadnego podstępny?

- Oczywiście, że nie - unikała wzrokiem kapitana. - Dlaczego miałyby być inaczej? Newman ucieka, a stąd do granicy austriackiej jest niedaleko. To pierwsza rzecz, jaka przyszła mu do głowy. Tak nakazuje logika. A właśnie logika kieruje krokami tego człowieka.

- Nie zgadzam się.

Wszystkie oczy obróciły się na Kapfa.

- Doktorze? - zwrócił się do niego Kilgore.

Kapf potrząsnął głową.

- To nie logika kieruje poczynaniami tego człowieka. Raczej pasja.
- Absurd - oceniła krótko Patrycja.

Kilgore uniósł dłoń, prosząc o ciszę.

- Proszę mówić, doktorze.
- Nie zrozumcie mnie źle. Nie mam na myśli pasji, jaką wy odczuwacie. - Uśmiechnął się cynicznie. - Nic, co dotyczy Newmana czy też, jeśli wolicie, Apollyona, nie może być uznane przez tradycyjną naukę za normalne. Niemniej jednak jest to człowiek, którym kieruje pasja.

- To znaczy? - spytał Kilgore.

- To znaczy, że Newman-Apollyon nie odejdzie, w każdym razie nie na zawsze, dopóki nie wykona zadania, jakie dyktuje mu jego pasja.

- A zatem nie wierzy pan w doniesienia - stwierdził ponuro Kilgore.

Kapf wzruszył ramionami.

- Nie wiem, czy był w Wiedniu, czy nadal tam jest, czy już nie. To bez znaczenia. - Umilkł na chwilę. - Wróci. Będzie czuł się w obowiązku doprowadzić sprawę do końca.

Patrycja uśmiechnęła się protekcyjnie, patrząc w stół.

- To znaczy? - w jej głosie wyczuwało się niby żartobliwy sarkazm
- Pomścić przyjaciela - zakonkludował beznamiętnie profesor, jakby to był zwykły fakt.

- Niewiarygodne - powiedziała Patrycja, tłumiąc uśmiech.

Kilgore to dostrzegł.

- Doktor Nellwyn?

Tym razem odpowiedziała na spojrzenie kapitana.

- Zacznę od końca. Newman, nie Newman-Apollyon, ale Newman... - przerwała, gdy Kilgore skinął głową - ...jest niezdolny do nawiązania jakiegokolwiek przyjaźni. A cóż dopiero bliskości i intymności, na tyle głębokich, by zniszczenie tych więzi doprowadziło go do morderczego gniewu. Zwłaszcza że chodziło o człowieka, którego musiał uważać za swego głównego strażnika. W rzeczywistości on jest całkowicie niezdolny do odczuwania takiego gniewu. Absolutnie nieczuły, zimny, obojętny. Umie udawać emocje, gdy może mu to przynieść korzyści, ale nie jest w stanie naprawdę ich odczuwać. - Zajrzała do swoich notatek. - Pasja? Nigdy. Nie w przypadku tego człowieka. Wykluczone. - Odchrząknęła. - Mógł, powinien był, zabić mnie albo co najmniej zgwałcić, kiedy miał oka-

zję. Człowiek zdolny do odczuwania pasji uczyniłby to.

Kilgore odwrócił wzrok, przypominając sobie dotyk jej nagiej skóry, gdy rozwiązywał Patrycję tamtego dnia.

- To, że teraz tu jestem, cała i zdrowa, dowodzi, że ten człowiek jest całkowicie pozbawiony jakiegokolwiek pasji - stwierdziła na koniec.

Kapf spokojnie odpierał jej argumenty

- Nie zgwałcił cię, więc jest pozbawiony pasji. Gdyby cię zgwałcił, nazwałabyś go seksualnym psychopatą. - Spojrzał poważnym wzrokiem na Patrycję. - I wciąż sobie nie uświadamiasz, dziecko, że w obu przypadkach byłby to nadal ten sam człowiek. Celem jego wizyty w twoim mieszkaniu było przekazanie wiadomości, nic więcej. Wszystko inne to tylko mydlenie nam oczu.

Kilgore zawsze czuł się nieswojo, gdy psychiatrzy zaczynali przy nim te swoje niezrozumiałe dyskusje.

- Możemy wrócić do zasadniczej sprawy?

Patrycja zerknęła na niego, potem spojrzała na Kapfa.

- Posłuchaj, dojdzie w końcu do tego, że zasiądziemy wszyscy przy jednym stole i pogodzimy się z faktem, że Brian Newman to następny etap ewolucji - stwierdziła pojednawczo. - Nowy gatunek człowieka. Lane Fenton pisał o tym trzydzieści lat temu. Żywe istoty zmieniają się w szczególny sposób. A najważniejsze jest to, że podobnie jak jednostki, starzeją się całe rasy,.

Kapf i tym razem się sprzeciwił.

- Środowisko naukowe nigdy nie zaakceptowało teorii profesora Fentona.

Patrycja wzruszyła ramionami.

- Ale ja ją zaakceptowałam. - Zwróciła się do Kilgore'a. - Istniejemy od trzystu tysięcy lat, więc najwyższy już czas pogodzić się z faktami i starać się jakoś żyć. - Wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem. - Doktor Kapf, którego notabene niezwykle podziwiam, nie jest po prostu w stanie zrozumieć tego człowieka.

Kapf wyglądał na rozbawionego.

- Doprawdy? Mogę spytać dlaczego?

- Myślę nawet, że powinienes. - Zwróciła się do kapitana. - Sam to powiedział w sklepie. Doktor Kapf dorastał w powojennych Niemczech. Jest produktem jednego z najbardziej zdyscyplinowanych, konserwatywnych społeczeństw w dziejach świata. Jego wiek, środowisko, krąg kulturowy, z którego się wywodzi, sprawiają, że udziela konwencjonalnych odpowiedzi na niekonwencjonalne pytania.

- Fascynujące - zauważył cicho Kapf z nutką smutku w głosie.

Patrycja mówiła dalej, patrząc kapitanowi prosto w oczy:

- Doktor Kapf nawiązał wcześniej do *Homo Crudelis*. Do człowieka o zimnym sercu. Wyjaśnijmy to sobie, nim posuniemy się dalej. - Przerwała i zwróciła się do Kapfa. - Tu niemal się zgadzam. Newmana nie powstrzymują drobne skrupuły, konwencje czy obyczaje. Dysponuje absolutną swobodą czynienia wszystkiego, co chce, kiedy chce i jak chce. Gdyby ktoś próbował go powstrzymać... - Zrobiła wymowny gest. - Ten ktoś nie znaczyłby dla niego więcej niż gołąb czy kot. To wszystko, czym dla niego jesteśmy! - W jej głosie pojawił się ton podniecenia.

Zaczęła mówić szybciej. - *Erectus* nie mógł długo opierać się *Homo Sapiens*, gdyż nie miał dość mocy umysłu. My też nie zdołamy się oprzeć Newmanom, gdyż liczne głupie wrodzone wady, które nazywamy w swej pysze emocjami czy moralnością, czynią nas wobec niego bezbronnymi.

Kapf patrzył na nią bez zmrużenia powiek.

- A więc *Crudelis* stanie się wkrótce istotą dominującą, podczas gdy *Homo Sapiens* z wolna, lecz nieubłaganie, wymrze?

Podeszła do niego i oparła dłonie o stół, jakby całą sobą błagając, by ją zrozumiał.

- Nie *Crudelis*. Nie człowiek okrutny. - Urwała. - *Homo Superbus*.

- Człowiek Wyższy? - spytał cicho Kapf.

Oczy Patrycji błyszczały.

- *Homo Superbus*. Stapleton przewidział jego nadejście już przed blisko siedemdziesięcioma laty. Pomyśl o tym! - Zdawało się, że przez chwilę bujała myślami gdzieś indziej. Gdy znów się odezwała, jej głos miał marzycielski ton. - Pomyśl o wszystkim, co zniszczyliśmy, o wszystkim, czego nie mogliśmy zrobić, gdyż uznaliśmy to za „złe” czy „niemoralne”. O kontroli narodzin prowadzącej do likwidacji głodu. O postępie naukowym na niespotykaną skalę. O kresie wojen, nienawiści, dyskryminacji.

- Już to słyszałem - stwierdził Kapf ze smutkiem patrząc jej w oczy.

Patrycja spoglądała niewidzącym wzrokiem.

- Jest pani w znakomitym towarzystwie, doktor Nellwyn - powiedział cicho, wstając i zgarniając swoje papiery do teczki.

- Stapleton, Nietzsche, Kierkegaard - wyrecytowała zadowolona.

Kapf otworzył drzwi, po czym odwrócił się do niej. W jego oczach można było dostrzec rozczarowanie i jakby gniew.

- Eichmann, Mengele, Speer, Himmler i oczywiście Hitler - skorygował ją. Po chwili dokończył: - Doprawdy, znakomite towarzystwo.

Patrycja zastygła w bezruchu, na jej twarzy pojawiał się z wolna wyraz osłupienia.

Kapf zwrócił się do Kilgore'a.

- Zna pan moją opinię, kapitanie - rzekł cicho. - Proszę mi wybaczyć.

Wyszedł z sali.

Patrycja tkwiła nieruchomo w miejscu, patrząc na zamknięte drzwi.

- On nie rozumie - wymamrotała tak cicho, że Kilgore ledwie mógł ją zrozumieć. - On nie rozumie.

Kilgore myślał gorączkowo. Przyszedł tu po radę, jak najlepiej wytropić zbiega, a znalazł się w samym środku dyskursu filozoficznego. Westchnął głęboko.

- Doktor Nellwyn?

Sprawiła wrażenie obudzonej ze snu.

- Doktor Nellwyn, jeśli mogę przerwać na chwilę to seminarium trzeciego roku filozofii...

Podeszła do stołu i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

- Gdzie znajdę Newmana? - spytał zrezygnowany.

Skierowała się do drzwi.

- Jadę do Wiednia. - Wysła na korytarz. - On po prostu nie rozumie - mruknęła jesz-

cze do siebie.

Kilgore wstał, westchnął i zebrał swoje papiery.

Był silnym, uczciwym, zapracowanym człowiekiem. Wyznawał określone zasady moralne i wcale nie uważał, że jest z tego powodu słaby.

Był jednak samotny.

Niemal w tym samym czasie, gdy Kilgore zasiadał z psychiatrami do stołu, by ustalić, jak szukać Newmana, Rujnow odbywał podobne spotkanie w swoim pokoju hotelowym.

Wysoki dostarczył mu przechwycone kopie raportów wywiadu greckiego.

Teraz usiedli razem, by je przejrzeć.

- Znam Abd al Qadira - stwierdził Wysoki. - Nie będzie mówił. Nawet gdybyśmy mogli go przesłuchać.

Rujnow przerzucał papiery.

- Czy jego robota jest rzeczywiście perfekcyjna?
- Jeśli Newman otrzyma potrzebne mu dokumenty, najprawdopodobniej zniknie na dobre.

Rujnow westchnął.

- Czym dysponujemy w Wiedniu?
- Kilkoma siatkami i zredukowanym oddziałem specnazu w naszej misji ONZ. Pozwoliłem sobie postawić ich w stan gotowości.

- Dobrze. - Rujnow zastanawiał się chwilę. - Kapitan Kilgore stracił nieco zapału od czasu tej idiotycznej akcji w sklepie. Co wiemy o jego zamiarach?

Wysoki wzruszył ramionami.

- Próbowałem skontaktować się z Magdaleną, jak na razie bez powodzenia.
- Chcę z nim porozmawiać, zanim wyjedziemy.
- Tak, sir - odparł Wysoki, nalewając sobie kieliszek wina.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Rujnow spojrzał na swojego rozmówcę.

- Ten dureń nie jest chyba na tyle głupi, żeby kontaktować się z nami tutaj, co?

Mężczyzna z niepewnym wyrazem twarzy podszedł do drzwi.

- Kto? - spytał, kładąc ostrożnie rękę na klamce.
- Magdalena - dobiegła piskliwa odpowiedź.

Wysoki potrząsnął gniewnie głową.

- Jest jednak na tyle głupi.

Otworzył drzwi.

Rujnow usłyszał przytłumione puknięcie. Odwrócił się i zdążył jeszcze zobaczyć, jak Wysoki pada bezwładnie na podłogę, a drzwi się zamykają.

- Pułkownika.

Newman opuścił pistolet na wysokość oczu Rujnowa i zrobił kilka kroków w jego stronę.

Rujnow zamarł, nie oddychał, nie poruszał wargami. Patrzył tylko na człowieka trzymającego broń i myślał o tym wszystkim, czego już w życiu nie zrobi.

- Dużo czasu upłynęło - zauważył Newman, siadając naprzeciwko pułkownika. Po woli opuścił broń na kolana.

- Nie dość dużo, jak sądzę.

Newman wybuchnął śmiechem, w którym nie było wesołości.

- Pod koniec życia wykazujesz zmysł ironii - stwierdził, oglądając butelkę wina.

Wydął pogardliwie usta. - Ocet.

Rujnow usiłował zapanować nad drżeniem rąk.

- Czy mam błagać o życie?

Newman wzruszył ramionami.

- To nic nie da.

- Doskonale.

Newman powąchał kieliszek, z którego pił Wysoki, i odstawił go.

- Pozostawię ci jednak pewien wybór. - Spojrzał Rujnowowi w oczy. - Możesz umrzeć bezboleśnie albo skończyć w mękach.

Rujnow odetchnął głęboko.

- Czego chcesz?
- Jak mnie znalazłeś?

Rujnow obliział nerwowo wargi.

- Wiedziałem, że pozostawisz sobie jakąś drogę ucieczki. - Wskazał głową Wysokiego, który leżał martwy na podłodze. - Znał stary system kanałów, jeszcze z czasów faszyzmu. Musiał wiedzieć takie rzeczy, to należało do jego obowiązków. Ustawiłem ludzi przy najbardziej zamaskowanych wyjściach. - Umilkł na moment. - Zrządzeniem losu znalazłem się akurat tam, gdzie wyszedłeś.

- Zrządzeniem złego losu, chciałeś powiedzieć.
- Na to wygląda.

Oczy Newmana zwęziły się, głos przybrał niski, zimny ton.

- Dlaczego zabiłeś Konrada Edela?
- Tego ochroniarza?

Newman nie odpowiedział, tylko unióś broń na wysokość czoła tamtego.

- Dlaczego? - powtórzył pytanie.
- Nieszczęśliwy przypadek. Celowałem w ciebie.

Newman przyglądał się pułkownikowi długo i uważnie.

- W porządku - stwierdził cicho.

Nacisnął spust tylko raz, a potem patrzył, jak siła pocisku, który trafił pułkownika w głowę, zrzuca go z krzesła. Był martwy, nim runął na podłogę.

Bezboleśnie.

Dziesięć minut po północy, gdy w instytucie zapanował normalny, nocny rytm życia, Kapf z pomocą sanitariusza przytargał do swego biura kilka kartonowych pudeł. Ustawił je jedno na drugim w kącie, a sanitariusz wyciągnął z kieszeni rolki taśmy i sznurek.

- Proszę mnie wezwać, jeśli będzie pan czegoś potrzebował, doktorze.

Kapf machnął mu ręką i zaczął porządkować akta; niektóre chował do pudeł, inne pozostawiał w szufladach. Po kilku minutach zjawiała się Patrycja.

- Mogę w czymś pomóc, doktor Nellwyn? - w jego głosie słychać było spokój, odprężenie, determinację.

- Jack Clemente nie żyje.

Kapf przyjął tę wiadomość w milczeniu.

- Zdaje się, że przestał oddychać, gdy nikogo przy nim nie było - dodała mimochodem.

Kapf oparł się o biurko.

- Istnieje we wszechświecie miłosierna moc.

Zadrżała.

- Boże, zimno tu dzisiaj.

- Ogrzewanie znów nie działa jak należy.

Spojrzała na pudła.

- Co się dzieje?

Powrócił do pakowania.

- Odchodzę.

Patrycja zawahała się, potem postąpiła krok do przodu.

- Dlaczego? Czy to moja...

Kapf uśmiechnął się gorzko.

- Jack Clemente miał rację, twoja arogancja rzeczywiście przekracza wszelkie granice. - Zmusił się do uśmiechu. - Nie odchodzę, nigdy bym nie odszedł, z powodu różnic w diagnozie.

Zdawało się, że Patrycja chce coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedziała, jak to zrobić.

- Podczas ostatniej rozmowy sprawy trochę się nam wymknęły spod kontroli. Wszyscy mówiliśmy coś, czego tak naprawdę nie myślimy.

Kapf zaczął wkładać do pudła swoje rzeczy z biurka.

- Czyżby? Ja mówiłem tylko to, co myślę. - Popatrzył jej w oczy. - I ty też, jak sędzę.

Patrycja wytrzymała jego spojrzenie, po czym usiadła na kanapie.

- A więc uważasz mnie za nazistkę.

- Uważam cię za osobę naiwną i arogancką. Najbardziej niebezpieczna z możliwych kombinacji.

Zapadło milczenie.

W końcu Patrycja podniosła wzrok, próbując się uśmiechnąć.

- Więc dlaczego odchodzisz?

Kapf sięgnął po książki na parapecie.

- Nie mam tu już nic do roboty. Jak zauważyłaś, jestem stary. Czasem sobie myślę, że jestem najstarszą istotą ludzką na tej planecie. Może się nie myliłaś, mówiąc, że nadszedł czas, jak się wyraziłaś, na następną generację? Może nadszedł czas, by ta następna generacja zajęła swoje miejsce przy stole. - Spojrzał przez okno na padający śnieg. - Zwalniam po prostu krzesło.

- Posłuchaj - Patrycja wstała i zrobiła krok w jego stronę. - Brakuje mi taktu. Jestem gwałtowna, niegrzeczna i czasem nie mam wycucia, ale to nie znaczy, że musisz odchodzić. - Po chwili milczenia mówiła dalej: - Jedź ze mną do Wiednia. Kiedy odzyskamy Newmana, będziemy mogli razem ustalić, kim jest i dokąd zmierza człowiek!

Oczy płonęły jej podnieceniem jak u myśliwego.

Kapf potrząsnął głową.

- Kapitan Kilgore otrzymał rozkaz. Ma zabić Newmana, gdy tylko go znajdzie -

stwierdził beznamiętnie.

- Wiem - powiedziała cicho. - Pomóż mi z nimi wygrać.
- Nie.
- Dlaczego? - spytała gorączkowo.

Nie odpowiedział. Jakby przyglądał się czemuś, co leżało na trawniku pod jego oknem.

- Dlaczego? - spróbowała ponownie.

Kapf odwrócił się nagle i szybkim krokiem ruszył do drzwi.

- Bo się z nimi zgadzam.

Zbiegł na dół i opuścił główny budynek instytutu tylnym wyjściem. Nie zwracając uwagi na padający śnieg i coraz większy chłód, szedł przez trawnik w stronę oddziału A-249.

Tam właśnie wszystko się zaczęło.

Przystanął pod drzewem, gdzie kiedyś został zabity człowiek Becka.

- To niebezpieczne przebywać tutaj - powiedział cicho.

Newman wzruszył ramionami.

- Cały świat to niebezpieczne miejsce. - Podeszedł wolno do Kapfa. - Chciałem się tylko pożegnać. Już się nie zobaczymy.

- Wiem.

Newman zauważył, że stary człowiek, który miał na sobie tylko koszulę, drży. Zdjął kurtkę i narzucił ją na ramiona Kapfa.

- Powinieneś bardziej na siebie uważać. Nie jesteś już taki młody.

Kapf spoglądał mu w oczy.

- Już mi to mówiono. - Umilkł, a po chwili spytał: - Dokąd pójdziesz?

Newman odwrócił wzrok.

- Do domu, jak sądzę.

- A gdzie jest twój dom?

- Tego muszę się dowiedzieć.

- Co będziesz robił?

Uśmiechnął się z błyskiem w oku.

- Nie wiesz?

Kapf milczał.

- Będę myślał. Rozwahał. Badał - odparł w końcu Newman.

- Szukając samego siebie - Kapf dokończył za niego mocnym głosem.

- Nie - zaprzeczył Newman cicho. - Szukając takich jak ja. - Po chwili dodał: - Takich jak ty.

Kapf wyprostował się.

- Jak ja?

- Okłamuj innych, jeśli chcesz. Ale nie mnie... bracie.

Kapf dostrzegł zarys szczęki, błysk pewności w oku, po czym skinął głową.

- Więc wiesz. - Było to stwierdzenie, nie pytanie.

Newman przytaknął.

- Najpierw nie wiedziałem, ale potem zrozumiałem.
- Jak?
- Po prostu zrozumiałem.

Kapf zrobił ruch, jakby chciał odejść.

- Bardzo dobrze - rzekł stłumionym głosem. - Powiedziałem im, że jesteś obłąkany.

Newman uśmiechnął się smutno.

- A więc zrozumiałeś mój obraz.
- Zrozumiałem.

Newman zatrzymał go.

- Nie spędzę reszty życia jako przedmiot badań szarlatanów i oszustów w rodzaju przyzwoitej doktor Nellwyn.

- Ona chce dobrze.

Newman nie zwrócił uwagi na słowa lekarza.

- I nie zamierzam przez resztę życia się ukrywać. Musiałem się upewnić, że nie będą próbowali brać mnie żywcem.

- Kilgore dostał rozkazy. Ma cię zabić przy pierwszej okazji - stwierdził Kapf cicho.

- Oczywiście. Brian Newman całkiem zwariował. Wmówił sobie, że jest jakimś mściwym aniołem z piekielnych czeluści, który pragnie zniszczyć ludzkość. - W jego głosie pobrzmiwało rozbawienie. - Departament obrony nie może pozwolić na takie zachowanie ze strony jednego ze swych cennych nabytków - roześmiał się beztrósco.

Kapf spojrział na niego ze smutkiem.

- Patrzyłem na ten obraz, a potem wejrzałem w siebie. Wtedy już wiedziałem. Jedyne, co tamci mogą zrobić, by nie wejrzeć w siebie, to zabić cię. - Umilkł na chwilę. - W każdym razie ja bym tak zrobił.

- Rodzinne więzy.

Ból w oczach Kapfa płynął gdzieś z głębi duszy.

- Czym jesteśmy? - spytał stary człowiek.

- Nie wiesz? - odpowiedział łagodnie pytaniem Newman.

Kapf potrząsnął nieznacznie głową.

- Przez większość moich siedemdziesięciu ośmiu lat zadawałem sobie to pytanie. Tłumiłem pokusy, pragnienia, nienawiść, niezadowolenie. Narzuciłem sobie indywidualną dyscyplinę, potem zaakceptowałem zasady narzucone przez ojczyznę i zawód, jaki wykonywałem. Prowadziłem życie ascety, bezustannie się pilnując, by nie pozwalać sobie na najdrobniejsze potknięcie, moment nieuwagi, w którym to, co we mnie tkwiło, mogło się uzewnętrznąć. - Milczał przez chwilę. - Ale nie znalazłem odpowiedzi.

- Jak to powiedziała doktor Nellwyn? Nazwała nas kolejnym etapem w ewolucji człowieka? - Roześmiał się beztrósco. - Ty wymyśliłeś określenie: *Homo Crudelis*?

Kapf pokiwał smutno głową.

- Bardzo poetyczne - Newman mówił lekkim tonem, otoczył starego człowieka ramieniem. - Nie jesteśmy żadnym kolejnym krokiem. Daleko nam do tego.

- Nie?

- Nie. - Newman chwycił Kapfa za ramiona, zmusił go, by spojrział mu w twarz. - Może to pół kroku, może nawet mniej, ale nadal jesteśmy *Homo Sapiens*. - Znow wybuchnął śmiechem. - Pewien przyjaciel spytał mnie całkiem niedawno o to samo - czym jestem. - Zdawało się, że na chwilę odbiegł gdzieś myślami.

- Co mu odpowiedziałeś?

Newman znow spojrział na Kapfa.

- *Homo Sapiens Saevus*.

Na twarzy Kapfa po raz pierwszy pojawił się uśmiech.

- Dziki myślący człowiek. Rzeczywiście, pół kroku.

Newman rozejrzał się wokół i zauważył ludzi w małych grupkach, po dwóch albo trzech, którzy spacerowali od niechcienia po zaśnieżonym trawniku. Wyszli może na wieczorny spacer, jednak coraz bardziej się do nich zbliżali.

Powoli otaczali ich ze wszystkich stron.

- Pytanie tylko - pół kroku w którą stronę? - spytał, rozprostowując powoli nogi i ramiona. - Ewolucja czy regresja, cofnięcie? Do przodu czy do tyłu?

Kapf dopiero teraz dostrzegł ludzi.

- Przemysłałeś to?

Newman przytaknął.

- W miarę, jak człowiek ulega ewolucji, traci stopniowo mały palec u nogi i ręki - ciągnął jakby nieobecny myślami, wciąż obserwując ponad ramieniem Kapfa zbliżające się z wolna, niewyraźne sylwetki. - Jeśli się cofa, palce się wydłużają. - Zamilkł na chwilę. - Chyba dzięki temu możemy się zorientować, dokąd zmierzamy.

Kapf spojrział na niego. Po policzku spływała mu łza.

- A jak tobie się wydaje? - spytał, starając się nie myśleć o tym, co za chwilę nastąpi.

- Dam ci znać, bracie - odparł Newman, odstępując od Kapfa na krok. Powiódł wzrokiem po piętnastu czy dwudziestu ludziach otaczających go półkołem. - Żegnaj.

Rzucił się gwałtownie w lewo.

Nagle zabłyśły reflektory, zalewając każdy skrawek trawnika bezlitosną jasnością.

Z wszystkich stron dobiegały krzyki, ludzie z oddziału poszukiwawczego skupili się jeszcze bardziej - nie strzelali, lecz nieubłaganie zacieśniali krąg wokół ofiary.

- Nie spuszczać go z oka! Nie spuszczać go z oka!

- Kieruje się w stronę lasu! Osaczyć go!

- Obserwować go! Nie wystawiać się na cel! Powoli!

Newman biegł zryzakiem po trawniku, zmieniając na chybił trafił kierunek, choć z grubsza trzymał się wytyczonej trasy. Pędził ile sił w nogach, przygięty, nisko nad ziemią, z pochyloną głową.

- Jezu! Patrzcie na niego!

- Uwaga na ogrodzenie! Niech to diabli! Biegnie w stronę ogrodzenia!

Czterech ludzi w czarnych uniformach, którzy znajdowali się między Newmanem a wschodnim ogrodzeniem, trzymało karabiny gotowe do strzału.

Newman bez większego wysiłku zmienił ponownie kierunek ucieczki.

- Dokąd on biegnie? Do diabła, odetnijcie mu drogę!

Jego umysł pracował jasno i precyzyjnie, działał, analizował, dostrzegał wszystko i przewidywał każdą możliwą wersję wydarzeń.

Sto metrów! - myślał Newman. - Dziewięćdziesiąt metrów!

Za jego plecami smagnęły pierwsze kule.

Opadł instynktownie na kolana, przeturlał się, po czym znów zerwał się na nogi i pobiegł dalej.

Z prawej strony wtoczył się na trawnik transporter. Newman ponad krzykami ścigających go żołnierzy usłyszał trzask odbezpieczanego karabinu maszynowego.

Pięćdziesiąt metrów!

Krzyki zagłuszyło głuchoe trata-ta-ta ciężkiej broni, a zabójcze pociski wyrwały przed uciekającym Newmanem grudy trawnika.

Chyba chcą mi odciąć drogę - przemknęło mu przez myśl.

Jeszcze trzydzieści metrów!

Następne plunięcie ognia uderzyło go w prawą łydkę, przewracając na ziemię.

Znieruchomiał.

Teraz się zatrzymają - pomyślał. - Zatrzymają się, sprawdzą, będą czekać.

Ogień umilkł.

Poczekaj – myślał Newman. – Jeszcze chwilę...teraz!

Zerwał się z ziemi i w ostatnim przyływie sił skoczył w otwarte drzwi ciepłowni, unikając o włos kolejnej porcji ołowiu z karabinu maszynowego.

- Wstrzymać ogień!

Newman słyszał głos Kilgore'a, dochodzący od strony transportera.

- Drugi pododdział! Od tyłu! Nikt nie strzela! Słyszycie? Nikt nie strzela! Tam są przewody gazowe i zbiornik benzyny! Wstrzymać ogień, do diabła!

Newman z wysiłkiem podniósł się na nogi, nie zwracając uwagi na silnie krwawiącą łydkę. Jego umysł pracował jasno, ból był do zniesienia. Zachowywał spokój i wciąż jeszcze panował nad sytuacją - znajdował się dokładnie tam, gdzie chciał.

Dobrnął na środek ciepłowni, do wielkiej rury, która przewodziła rozgrzane powietrze z ogromnych palenisk gazowych, znajdujących się tuż pod nim, do głównego budynku.

- Brian Newman! - krzyknął Kilgore przez megafon. - Brian Newman! Wyjdź z rękami w górze, a nic ci się nie stanie.

Newman znalazł pudełko, które zostawił tu kilka godzin wcześniej. Otworzył je i zaczął manipulować przy przełącznikach.

- Charon Apollyon! Tu kapitan John Kilgore z armii Stanów Zjednoczonych. Wyjdź z rękami nad głową, a nic ci się nie stanie!

Kilgore zwrócił się do stojącego obok sierżanta.

- Pododdziały uderzeniowe na stanowiska.

Sierżant skinął głową i powiedział coś cicho do mikrofonu.

- Charon Apollyon! - zawołał Kilgore. - Jeśli wyjdiesz teraz, to może uda nam się...

Przerwały mu dwa krótkotrwałe wybuchy, po których nastąpił głuchy pomruk. A po-

tem, jakby sama ziemia wyrzucała z siebie płomień piekielny i siarkę, od niewielkiego budynku ciepłowni oderwała się ognista kula. Eksplozja wybiła szyby we wszystkich oknach głównego budynku. Wstrząs w jednej sekundzie pozbawił żołnierzy przytomności.

Kula ognia i zniszczenia, rozrastając się popłynęła w górę. Czerwono-pomarańczowa - od jej żaru eksplodowały zbiorniki samochodów zaparkowanych dwieście metrów dalej - unosiła się bezlitośnie ku nocnemu niebu, rozpościerając nad północną częścią Monachium płaszcz dymu i toksycznych oparów.

Malowidło Newmana ożyło.

Rozdział piętnasty

Dwunastu ludzi zabitych.

Sześciu odniosło rany.

Czterech zaginęło.

Po ciepłowni został tylko krater o średnicy ponad dziesięciu metrów.

Mieszkańcom Monachium powiedziano, że w pobliżu podziemnego gazociągu eksplodował niewypał jeszcze z czasów wojny. Chwalono żołnierzy NATO za błyskawiczną reakcję i opanowanie groźnej sytuacji.

Po kilku godzinach chaotycznego ruchu nawet prasa brukowa straciła zainteresowanie wydarzeniem i szybko się zwinęła.

Przez trzy dni strażacy, wojskowi i ratownicy przeszukiwali pobojuwisko, walcząc z językami płonącego gazu i wynosząc kawały gruzu z tylnej części głównego budynku, który przypominał otwartą ranę.

Eksplozja pochłonęła pięciu ludzi Kilgore'a, wielu doznało złamań kości i oparzeń, kilku straciło słuch. Sam kapitan, którego częściowo osłonił transporter, miał strzaskaną prawą nogę i wybity bark.

Mimo to każdego ranka zjawiał się na miejscu katastrofy i nadzorował ostatni akt poświęcenia za Brianem Newmanem.

Instytut opustoszał - przypominał teraz zniszczony i porzucony pomnik. Pacjenci, mniej i bardziej ważni, odeszli, a inspektorzy budowlani z Monachium orzekli, że zachodnie skrzydło jest niebezpieczne i nie nadaje się do zamieszkania.

Ale widywano Tabbarta, krążącego po korytarzach, zagląającego do pustych pokoi i prostującego przekrzywione obrazy na ścianach. Samotna postać, małe człowieczek, który mówił teraz monosylabami, jeśli w ogóle się odzywał.

Każdego ranka, z pierwszym brzaskiem, pojawiał się specjalny oddział ratownictwa wojskowego NATO, który wraz z ekspertami medycyny sądowej badał krater po wybuchu i teren wokół.

Czwartego ranka Patrycja i Kapf stali nad czeluścią i spoglądali w jej głąb, oniemiała z wrażenia.

„Dlaczego? - to wszystko, co doktor Nellwyn była w stanie powiedzieć w ciągu minionych trzech dni. - Dlaczego?”

Kapf już nie pamiętał, kiedy ostatnio spał.

Siła wybuchu rzuciła go ziemię, ale po chwili zerwał się i pobiegł na miejsce katastrofy, starając się za wszelką cenę utrzymać rannych przy życiu do chwili, gdy nadejdzie pomoc służb ratowniczych z Monachium.

Po raz pierwszy od trzydziestu lat dokonywał prowizorycznych zabiegów chirurgicznych, ocalił wiele istnień ludzkich, ale nadal czuł się wypalony i pusty. Jakby w tej jednej chwili ognia, szaleństwa i zniszczenia odebrano mu nagle coś, co dopiero otrzymał.

Pielęgnował w sobie to uczucie, pogrążał się w nim, gdyż rozważanie, powracanie do myśli, która od chwili wybuchu nie chciała dać mu spokoju, było zbyt niebezpieczne.

Patrycja poklepała go po ramieniu i pokazała jakiś ruch w namiocie, w którym pracowali specjaliści medycyny sądowej. Ruszyli w tamtym kierunku.

Zauważyła Kilgore'a, który siedział na wózku inwalidzkim i z ponurą miną, zapisywał coś na kartce. Zbliżyli się cicho.

- Co się dzieje, kapitanie? - zwróciła się do niego, gdy przestał pisać.
- Już po wszystkim - stwierdził beznamiętnie.
- Co?
- Po wszystkim. Znaleźli Newmana. Albo raczej to, co z niego zostało.
- Są pewni? - zdawało się, że Patrycja jest rozdarta między ulgą a niedowierzaniem.
- Absolutnie. Mamy odciski palców, testy krwi i wstępne wyniki badań DNA - wskazał stół roboczy.

Kapf stanął za laborantami i patologami, którzy pochylali się nad badanymi szczątkami.

- Człowieku, to musiało nieźle boleć! - zażartował któryś.
- Aua! - wygłupiał się drugi.
- Zamknijcie się. Macie to zabezpieczyć! - nakazał główny patolog, ostrożnie podnosząc szczypcykami mały palec dłoni. Obok leżał mały palec stopy.

Kapf odwrócił się i powoli odszedł.

Jego samochód został poważnie uszkodzony podczas eksplozji, poszedł więc w kierunku wejścia do głównego budynku, gdzie czekali żołnierze wojsk NATO, którzy służyli nielicznym pozostałym osobistościom z instytutu jako prywatni kierowcy. Wsunął się na tylne siedzenie jednego z wozów oliwkowozielonych.

- Ramberstrasse 25.

Kierowca skinął głową i ruszył.

Kapf uświadomił sobie, po raz pierwszy od tamtej nocy, że wciąż ma na sobie kurtkę Newmana. Odruchowo sięgnął do kieszeni. Znalazł w niej sztywną kopertę.

Przysunął ją do zmęczonych oczu.

Widniały na niej tylko dwa słowa: - „*Mon Frère*”.

Otworzył kopertę i przeczytał po cichu kilka linijek napisanych na pojedynczej kartce papieru, która była w środku. Rozpoznał fragment jakiegoś wiersza amerykańskiego poety, ale nie mógł sobie przypomnieć, którego.

Twa dusza znajdzie się sama
pośród mrocznych myśli szarego grobu -
nikt z całego tłumu nie wejrzy
w twą godzinę sekretnych rozważań.
Zachowaj ciszę w tej samotni,
która nie jest samotnością, gdyż
duchy zmarłych, wiodących
życie przed tobą, są znów
w chwili śmierci wokół ciebie, a ich wola
położy się na tobie cieniem:
zachowaj milczenie.

Kapf uśmiechnął się, złożył kartkę, wsunął ją z powrotem do kieszeni i wreszcie zasnął na tylnym siedzeniu samochodu.